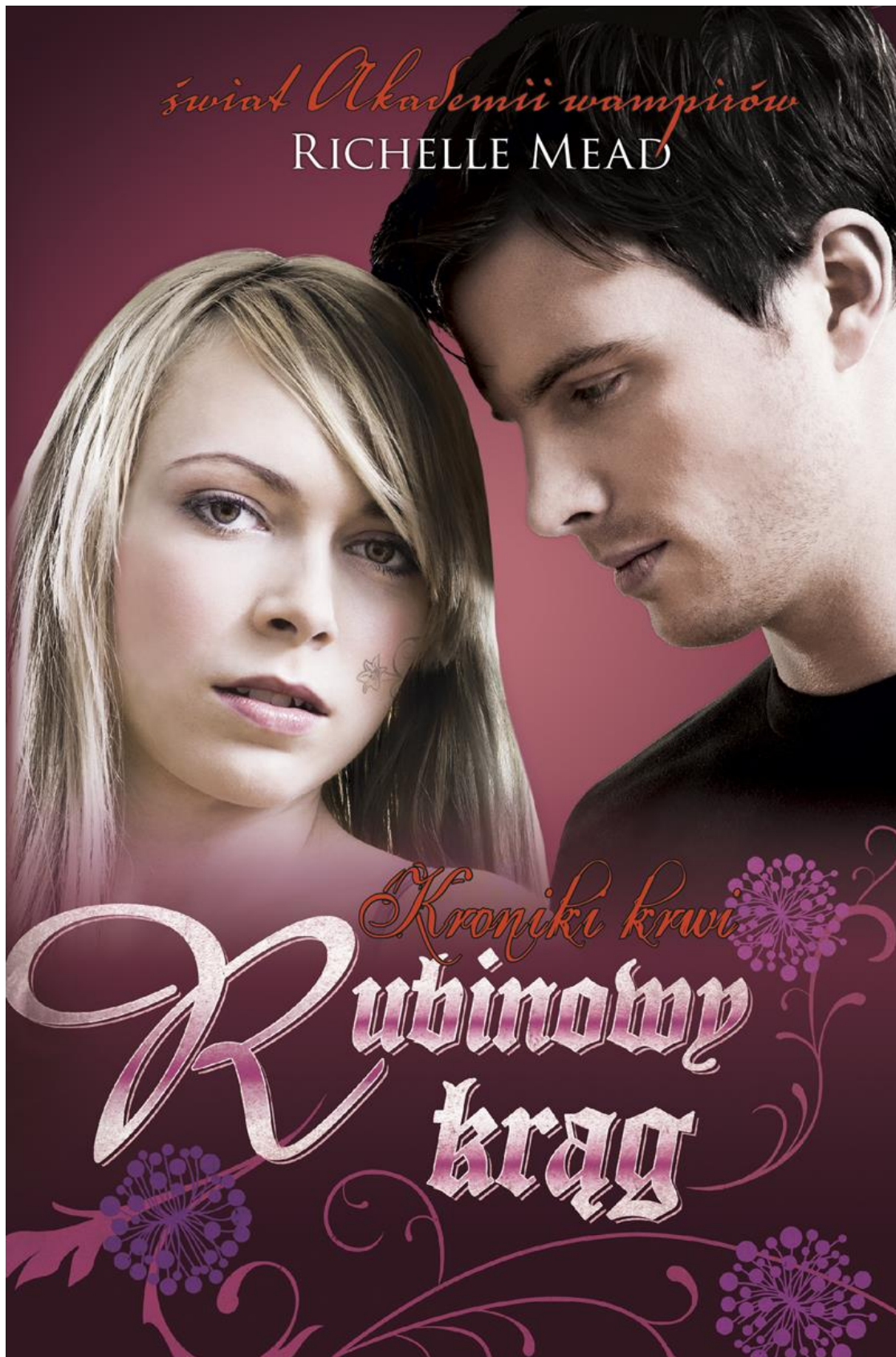


świat Akademii wampirów
RICHELLE MEAD

Kroniki krwi
Rubinowy
krąg



Richelle Mead

**Kroniki krwi
Rubinowy krąg**

Świat Akademii wampirów

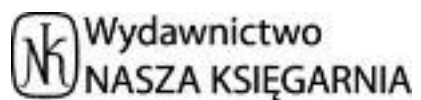
Przełożyła Monika Gajdzińska
Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Kroniki krwi Rubinowy krąg
Spis treści

OkladkaStrona tytułowaZajrzyj na stronyW seriiDedykacjaROZDZIAŁ 1ROZDZIAŁ
2ROZDZIAŁ 3ROZDZIAŁ 4ROZDZIAŁ 5ROZDZIAŁ 6ROZDZIAŁ 7ROZDZIAŁ
8ROZDZIAŁ 9ROZDZIAŁ 10ROZDZIAŁ 11ROZDZIAŁ 12ROZDZIAŁ 13ROZDZIAŁ
14ROZDZIAŁ 15ROZDZIAŁ 16ROZDZIAŁ 17ROZDZIAŁ 18ROZDZIAŁ
19EPILOGPODZIĘKOWANIAStrona redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku
www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj kolejne tomy w serii KRONIKI KRWI
nk.com.pl/kroniki-krwi/194/seria.html

Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR
www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html

W serii
Akademia wampirów:

AKADEMIA WAMPIRÓW
W SZPONACH MROZU
POCAŁUNEK CIENIA
PRZYSIĘGA KRWI
W MOCY DUCHA
OSTATNIE POŚWIĘCENIE

W serii
Kroniki krwi:

KRONIKI KRWI
ZŁOTA LILIA
MAGIA INDYGO
SERCE W PŁOMIENIACH
SREBRNE CIENIE
RUBINOWY KRĄG

*Dla Yvonne i Dona,
którzy codziennie przeżywają swoją miłość*

ROZDZIAŁ 1

Adrian

NIE TAK WYOBRAŻAŁEM SOBIE ŻYCIE MAŁŻEŃSKIE.

Nie zrozumcie mnie źle – wybrałem właściwą kobietę. Kocham ją bardziej, niż można to sobie wyobrazić. Ale życie we dwoje... Cóż, nie miało nic wspólnego z moimi oczekiwaniami. Dawniej snuliśmy fantazje na temat egzotycznych miejsc, w których moglibyśmy zamieszkać w poczuciu absolutnej wolności. W żadnym z naszych planów ucieczki nie pojawiał się jednak wątek uwięzienia w ciasnym mieszkanku. Ale ja nigdy się nie poddaję w obliczu wyzwania.

– Co to jest? – spytała Sydney, wychodząc z łazienki.

Zaskoczyłem ją.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy – odpowiedziałem.

Gdy brała prysznic, przeobraziłem nasz salonik, co nie było łatwe w tak krótkim czasie. Sydney jest oszczędna, również w kwestii zużywania wody do kąpieli. Co do mnie... Zwykle tkwię w łazience tak długo, że pokój można by w tym czasie całkowicie zdewastować i umeblować od nowa. Sydney dała mi zaledwie szansę na udekorowanie wnętrza świeczkami i kwiatami. Ale się udało.

Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Minął ledwie miesiąc.

– Nie mów „ledwie” – zachnąłem się. – To wielkie wydarzenie. Musisz wiedzieć, że zamierzam świętować każdą miesięcznicę do końca naszego życia.

Teraz uśmiechnęła się szeroko, muskając palcami płatki kwiatów w wazonie. Poczulem żal. Zapomniałem już, kiedy ostatnio tak szczerze się uśmiechała.

– I nawet zdobyłeś piwonie. Jakim cudem?

– Cóż, mam swoje sposoby – oznajmiłem z dumą.

Których raczej nie powinna poznać – usłyszałem w myślach ostrzegawczy głos.

Sydney spacerowała po pokoju, oceniając moje starania, które obejmowały także butelkę czerwonego wina i pudełko czekoladowych truflii na kuchennym stole.

– Nie za wczesna pora? – spytała, żeby się podroczyć.

– Zależy od punktu widzenia – odparłem, skinąwszy głową w kierunku okna. – Dla ciebie technicznie jest wieczór.

Jej uśmiech nieco przygasł.

– Szczerze mówiąc, straciłam rachubę czasu.

Nasz tryb życia daje jej się we znaki – ostrzegął głos w mojej głowie. *Wystarczy na nią spojrzeć.*

Nawet w słabym świetle świec mogłam dostrzec u Sydney oznaki stresu. Miała podkrążone oczy. Ostatnio wyglądała na zmęczoną, choć sądziłem, że w rzeczywistości to przygnębienie. Była jedynym człowiekiem mieszkającym na królewskim dworze morojów, który nie służył nam jako karmiciel. I również jedynym człowiekiem w cywilizowanej społeczności morojów, który wstąpił w związek małżeński z jednym z nas. Postępując tak, zgorszyła swój lud i skazała się na życie z dala od przyjaciół i rodziny (w każdym razie tej części, która przynajmniej wciąż się do niej odzywała). Pogardliwe spojrzenia, jakie posyłano jej na królewskim dworze, skłaniały Sydney do izolowania się, zawężając jej świat do rozmiarów

naszego mieszkanka.

– To jeszcze nie wszystko – rzuciłem pospiesznie, żeby zająć czymś jej uwagę. Wcisnąłem guzik i z głośników popłynęły dźwięki muzyki klasycznej. Wyciągnąłem do niej rękę. – Nie zatańczyliśmy na naszym weselu.

Znów się uśmiechała. Ujęła moją dłoń i pozwoliła się przyciągnąć. Tańcząc, uważałem, żeby nie otarła się o którąś z płonących świec. Spojrzała na mnie z rozbawieniem.

– Co ty wyprawiasz? To jest walc. Tańczy się go na trzy. Nie słyszysz? Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy...

– Serio? Więc to jest walc? Hm. Wybrałem ten kawałek, bo brzmiał szlachetnie. Nie mamy swojej piosenki. – Zastanowiłem się nad tym, co powiedziałem. – Wygląda na to, że w tej kwestii nawaliliśmy oboje.

– Jeśli tylko w tej kwestii, to nie jest z nami tak źle – zachnęła się.

Tańczyliśmy dłuższą chwilę, gdy nagle wypaliłem:

– *She Blinded Me With Science*.

– Co takiego? – zdziwiła się.

– To mogłaby być nasza piosenka.

Parsknęła śmiechem, a do mnie dotarło, że już dawno nie słyszałem tego kawałka. Poczulem jednocześnie smutek i radość.

– Cóż – odparła. – To chyba lepsze niż *Tainted Love*.

Teraz roześmialiśmy się oboje. Sydney oparła policzek na mojej piersi. Pocałowałem ją w czubek złotowłosej głowy, wdychając zapach mydła zmieszanego z zapachem jej skóry.

– Czuję się winna – powiedziała cicho. – Jestem szczęśliwa, podczas gdy Jill...

Na dźwięk tego imienia znów ścisnęło mnie w piersi. Fala gęstego mroku zawisła nade mną, dławiąc krótką chwilę radości, którą udało mi się wywołać. Z trudem odepchnąłem ciemność i jeszcze raz cofnąłem się znad krawędzi przepaści, gdzie ostatnio zbyt często przebywałem.

– Odnajdziemy ją – szepnąłem, mocniej przytulając Sydney. – Gdziekolwiek jest.

Jeśli wciąż żyje – wewnętrzny głos był bezlitosny.

Powinienem wyjaśnić, że ten głos rozbrzmiewający w mojej głowie to nie efekt mentalnego treningu. Był bardzo natarczywy i należał do mojej zmarłej ciotki Tatiany, poprzedniej władczyni morojów. Głos był złudzeniem, objawem obłądzenia, w który powoli popadałem na skutek praktykowania rzadkiej odmiany magii. Wystarczyło zażywać leki, żeby go uciszyć, ale wówczas pozbawiłbym się również magicznych zdolności. Nie mogłem sobie na to pozwolić teraz, gdy rzeczywistość stała się tak nieprzewidywalna. W ten sposób zjawa ciotki Tatiany zamieszkała w mojej głowie. Jej obecność przerażała mnie chwilami; zastanawiałem się, kiedy oszaleję na dobre. Czasami traktowałem ją jako coś oczywistego i to przerażało mnie, jeszcze bardziej. Zaczynałem wierzyć, że jest naturalnym zjawiskiem.

Tymczasem udało mi się zignorować ciotkę i znów pocałować Sydney.

– Odnajdziemy Jill – zapewniłem zdecydowanym tonem. – A na razie musimy zająć się naszym życiem.

– Pewnie masz rację – westchnęła. Widziałem, że próbuje przywołać pogodny nastrój. – Jeśli ten taniec ma nam wynagrodzić brak weselnego, czuję się nieodpowiednio ubrana. Może powinnam znaleźć tamtą suknię.

– Wykluczone – sprzeciwiłem się. – Suknia była fantastyczna, ale wolę cię nieubraną. Właściwie mogłabyś być nieubrana znacznie bardziej...

Pocałowałem ją inaczej niż przed chwilą. Miękkość kobiecych warg podziałała na mnie podniecająco, a Sydney zaskoczyła mnie, odpowiadając równie namiętnie. Ostatnio nie miała

ochoty na zbliżenie i szczerze mówiąc, wcale się nie dziwiłem. Szanowałem to i trzymałem się z daleka... W tej chwili poczułem jednak, jak bardzo brakowało mi jej żaru.

Upadliśmy na sofę ciasno objęci, całując się jak wariaci. Odsunąłem się na moment, żeby jej się przyjrzeć, i zachwyciły mnie te złote refleksy w jasnych włosach i blask brązowych oczu w świetle świec. Mógłbym zatracić się na dobre, podziwiając urodę ukochanej, otoczony miłością. Ta chwila była doskonała, tak romantyczna i upragniona... Dopóki nie otworzyły się drzwi.

– Mama?! – wykrzyknąłem, odrywając się od Sydney, jakbym był uczniakiem, a nie dwudziestodwuletnim żonatym mężczyzną.

– Witaj, skarbie. – Mama weszła do pokoju energicznym krokiem. – Dlaczego pogasiliście światła? Ponuro tu jak w grobie. Wyłączyli prąd? – Zapaliła lampy i oboje z Sydney musieliśmy zmrużyć oczy. – Już jest. Nie trzeba było zapalać tylu świec. To niebezpieczne. – Skwapliwie zdmuchnęła kilka za jednym zamachem.

– Dzięki – bąknęła Sydney bezbarwnym tonem. – Miło wiedzieć, że tak poważnie podchodzisz do zasad bezpieczeństwa.

Wyraz twarzy żony przypomniał mi pewien incydent. Moja matka, jak zwykle „pomocna”, poodklejała fiszki z książki, nad którą Sydney spędziła wiele godzin, sporządzając notatki. Jej zdaniem uporała się w ten sposób z „bałaganem”.

– Miałaś wrócić dopiero za parę godzin – zacząłem znacząco.

– Tak, ale sytuacja na sali karmicieli stała się nie do wytrzymania. Można by pomyśleć, że wszyscy pójdą na spotkanie rady, ale skąd! Przyszli tam i gapili się na mnie. Nie potrafiłam się odprężyć. Ostatecznie pozwolili mi zabrać jednego do domu. – Matka rozejrzała się dokoła. – A gdzież on się podział? A, tu jest. – Cofnęła się do przedpokoju i po chwili wprowadziła człowieka tylko trochę starszego ode mnie. Był oszołomiony. – Usiądź na tamtym krześle. Zaraz do ciebie przyjdę – poleciła mu.

Zerwałem się na równe nogi.

– Sprowadziłaś tu karmiciela? Mamo, wiesz, jakie to trudne dla Sydney.

Sydney się nie odezwała, ale zbladła na widok chłopaka. Jego spojrzenie błędziło bez celu, co było skutkiem działania endorfin znajdujących się w ślinie wampirów, które żywiły się jego krwią.

Mama westchnęła z przesadną rozpaczą.

– A co miałam zrobić, skarbie? Nie mogłam pić, podczas gdy Maureen Taurus i Gladys Daszkow plotkowały tuż obok.

– Oczekuję od ciebie odrobiny szacunku dla mojej żony! – wykrzyknąłem. Od czasu gdy się pobraliśmy i poprosiliśmy o schronienie na królewskim dworze, większość morojów – łącznie z moim ojcem – odwróciła się od nas. Mama trwała po naszej stronie, nawet z nami zamieszkała, lecz to nieraz powodowało komplikacje.

– Przecież może poczekać w waszej sypialni – zasugerowała, nachylając się, by zgasić kolejne świece. Zauważyła na stole trufle i przystanęła, by włożyć sobie jedną do ust.

– Sydney nie musi się chować we własnym domu – upierałem się.

– Cóż – odparowała matka. – Ja także nie. To również mój dom.

Byłem tak sfrustrowany, że miałem ochotę wyrwać sobie włosy z głowy. Namiętność uleciała. Wcześniejsza radość Sydney także znikła bez śladu. Moja żona na powrót pogrzyżyła się w poczuciu beznadziejności, jakie musiało towarzyszyć człowiekowi uwięzionemu w świecie wampirów. Choć wydawałoby się to niemożliwe, sytuacja pogarszała się z każdą minutą. Moja matka zauważyła wazon z piwoniami.

– Jakie one piękne – zachwyciła się. – Melinda musiała być ci bardzo wdzięczna za

uzdrowienie.

Sydney znieruchomiała w pół kroku.

– Czyje uzdrowienie?

– Nieważne – wtrąciłem pospiesznie w nadziei, że matka zrozumie mój ton.

Daniella Iwaszkow była skądinąd zadziwiająco bystrą kobietą. Tego dnia jednak kompletnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

– Melindy Rowe, dworskiej florystki – wyjaśniła. – Wpadliśmy na nią z Adrianem, kiedy ostatnio wybraliśmy się na karmienie. Melinda miała okropny trądzik i Adrian był tak miły, że przyspieszył proces gojenia. Melinda obiecała mu w zamian zdobyć piwonie.

Sydney odwróciła się do mnie. Wściekłość wyraźnie odebrała jej mowę. Musiałem natychmiast rozładować sytuację, więc chwyciłem ją za ramię i zaciągnąłem do naszej sypialni.

– Pospiesz się! – krzyknąłem do matki, zanim zamknąłem za nami drzwi.

Sydney wybuchła.

– Jak mogłeś? Obiecałeś! Dałeś słowo, że nie będziesz używał mocy ducha, chyba że w poszukiwaniu Jill!

– To drobiazg – uspokajałem ją. – Prawie nic mnie to nie kosztowało.

– Ziarnko do ziarnka! – krzyczała Sydney. – Wiesz, że tak jest. Nie możesz marnować energii na... cudzy trądzik!

Rozumiałem jej zdenerwowanie, ale poczułem się lekko urażony.

– Zrobiłem to dla nas. Na naszą rocznicę. Myślałem, że będziesz zadowolona.

– Będę zadowolona, jeśli mój mąż pozostanie przy zdrowych zmysłach – warknęła.

– Tę granicę dawno przekroczyliśmy – zauważyłem.

Ona nie ma pojęcia, co przeżywasz – podsunęła ciotka Tatiana.

Sydney skrzyżowała ręce na piersi i usiadła na łóżku.

– Widzisz? Znowu to robisz. Żartujesz ze wszystkiego. A to jest poważna sprawa, Adrian.

– Nie żartuję. Wiem, na co mnie stać.

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Czyżby? Mimo wszystko uważam, że powinieneś zrezygnować z magii. Wróć do pigułek. To najbezpieczniejsze wyjście.

– Mieliśmy odnaleźć Jill – przypomniałem jej. – Moja magia może nam się przydać.

Odwróciła wzrok.

– Do tej pory magia nas zawodziła. Nie tylko twoja.

Ostatnie zdanie dotyczyło jej samej. Nasza przyjaciółka, Jill Mastrano Dragomir, została uprowadzona przed miesiącem. Do tej pory nie zdołaliśmy wpaść na jej ślad. Nie umiałem nawiązać kontaktu z Jill w magicznych snach, a Sydney – adeptka ludzkiej sztuki czarnoksięskiej – także nie potrafiła jej zlokalizować za pomocą swoich czarów i zaklęć. Potwierdziła tylko, że Jill wciąż żyje. Ktoś prawdopodobnie podawał dziewczynie narkotyki – w ten sposób można było ukryć ją przed magią ludzi i morojów. Musieliśmy ją odnaleźć. Obojgu nam bardzo zależało na Jill – szczególnie mnie, bo kiedyś sprowadziłem ją na powrót do żywych dzięki mocy ducha. Nie mieliśmy pojęcia, co się z nią dzieje, i strach o nią kładł się cieniem na naszym związku, niweczył nawet krótkie chwile szczęścia, jakie nas spotykały w tym dobrowolnym areszcie domowym.

– To bez znaczenia – odparłem. – Kiedy ją znajdziemy, użyję magii. Nie wiadomo, co będę musiał dla niej zrobić.

– Na przykład wyleczyć z trądziku? – zakpiła Sydney.

Zwiesiłem głowę.

– Mówiłem ci, to nic wielkiego! Potrafię zadbać o siebie. Wiem, jak często mogę

korzystać z mocy. To nie twoje zadanie o tym decydować.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Oczywiście, że moje! Jestem twoją żoną, Adrian. Jeśli nie będę się o ciebie troszczyć, kto to robi? Musisz panować nad duchem.

– Dam sobie radę – wycedziłem.

– A cioteczka się odezwała? – spytała, mierząc mnie wzrokiem.

Odwróciłem głowę, nie chcąc patrzeć jej w oczy. Usłyszałem westchnienie ciotki Tatiany.
Nie trzeba było jej o mnie mówić.

Ponieważ milczałem, Sydney podniosła głos.

– Więc tak! To jest chore, Adrian! Musisz to wiedzieć!

Obróciłem się do niej ze złością.

– Dam sobie radę. Jasne? Z nią również sobie poradzę! – wrzasnąłem. – I przestań mi mówić, co mam robić! Nie wiesz wszystkiego, chociaż pragniesz sprawiać takie wrażenie!

Sydney cofnęła się o krok. Ból w jej oczach zranił mnie bardziej niż wypowiedziane przez nią przed chwilą słowa. Poczuję się jak łajdak. Jakim cudem ten dzień zmienił się w koszmar? Miał być idealny. Nagle poczułem, że muszę wyjść. Nie mogłem wytrzymać w tych czterech ścianach ani chwili dłużej. Miałem dość matczynej kontroli. Uczucie, że rozczarowałem Sydney, stawało się nie do zniesienia. Jill również zawiodłem. Oboje z Sydney przybyliśmy na dwór, by szukać schronienia przed naszymi wrogami. Ukrywaliśmy się tutaj, aby być razem. Tymczasem odnosiłem wrażenie, że ta sytuacja może nas rozdzielić.

– Muszę wyjść – oznajmiłem.

Sydney zrobiła wielkie oczy.

– Dokąd?

Przesunąłem ręką po włosach.

– Donikąd. Na świeże powietrze. Dokądkolwiek, byle tu nie tkwił.

Odwróciłem się na pięcie, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, i wybiegłem przez salon, w którym mama piła krew karmiciela. Zerknęła na mnie pytająco, ale ją zlekceważyłem. Opuściłem mieszkanie i szedłem dalej holem budynku dla pałacowych gości. Dopiero gdy znalazłem się na zewnątrz i letnie powietrze owionęło moją skórę, przystanąłem, by zastanowić się, co dalej. Włożyłem do ust gumę, którą żułem w chwilach, gdy bardziej niż zwykle miałem ochotę sięgnąć po papierosa. Odwróciłem się i spojrzałem na budynek. Czułem się winny. Zachowałem się jak tchórz, uciekając w połowie kłótni.

Daj spokój – wtrąciła ciotka Tatiana. *Małżeństwo to trudna sprawa. Dlatego nigdy się na nie nie zdecydowałam.*

Trudna – przytaknąłem. *Ale to nie usprawiedliwia mojej ucieczki. Powinienem tam wrócić. Przepraszam. Muszę znaleźć jakieś wyjście.*

Nie znajdziesz żadnego wyjścia, dopóki będziesz tu tkwił, a Jill się nie odnajdzie – oświadczyła ciotka Tatiana.

W tej chwili minęło mnie dwóch strażników i usłyszałem fragment ich rozmowy. Wspominali o dodatkowych patrolach z okazji spotkania rady. Skojarzyłem, co powiedziała wcześniej matka o tym spotkaniu, i nagle mnie olśniło. Odwróciłem się i ruszyłem pospiesznie w stronę budynku pełniącego funkcję pałacu królowej. Miałem nadzieję, że zdążę.

Wiem, co zrobić – oznajmiłem ciotce Tatianie. *Wiem, jak się stąd wyrwać i poprawić moje relacje z Sydney. Potrzebujemy jakiegoś celu, do którego będziemy dążyć. Znajdę go. Muszę tylko porozmawiać z Lissą. Jeśli zdołam ją przekonać, naprawię wszystko.*

Ciotka milczała, a ja szedłem przed siebie. Zapadła noc. Ludzie kładli się spać, nastąpiła najlepsza pora dla tych, którzy tak jak ja funkcjonowali według porządku wampirów.

Morojski dwór przypominał typowe zabudowania uniwersyteckie. Stało tam około czterdziestu budynków z cegły rozmieszczonych wokół przepięknie ukształtowanych czworokątnych placów i dziedzińców. Lato było w pełni, powietrze ciepłe i przesycone wilgocią, toteż wiele osób wyszło na spacer. Jedni nie widzieli mnie albo nie rozpoznawali, zbyt pochłonięci swoimi sprawami. Inni spoglądali na mnie z zaciekawieniem.

Zwyczajnie ci zazdroszczą – stwierdziła ciotka.

Nie sądzę – odparłem. Zdawałem sobie sprawę, że rozmawiam z wytworem wyobraźni, ale czasem trudno było mi milczeć.

Oczywiście, że tak. Nazwisko Iwaszkowów zawsze budziło zawiść oraz podziw połączony z lękiem. Górujesz nad nimi i dobrze o tym wiesz. Za moich czasów taka sytuacja była niedopuszczalna. Ta twoja mała królowa zupełnie nie radzi sobie z dyscypliną na dworze.

Marsz sprawiał mi przyjemność, mimo że szedłem pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń. Pomyślałem, że ciągłe przebywanie w murach jest niezdrowe – choć nie sądziłem, że kiedykolwiek zdobędę się na podobną refleksję. Powietrze wisiało wprawdzie ciężkie od wilgoci, ale czułem się lekki i odświeżony. W pewnej chwili pożałowałem, że Sydney nie mogła mi towarzyszyć, ale zaraz zmieniłem zdanie. Ona powinna wychodzić w ciągu dnia, gdy świeciło słońce. To jest właściwa pora dla ludzi. Konieczność przestawienia się na nasz tryb życia była dla niej zapewne taką samą udręką jak przymusowe odosobnienie. Musiałem zaprosić ją później na spacer. Słońce nie zabija nas tak jak strzyg, choć nie czujemy się komfortowo w jego świetle. Większość morojów śpi albo pozostaje w domach w ciągu dnia, i gdybyśmy wybrali się na spacer o odpowiedniej porze, Sydney miała szansę nie natknąć się na nikogo.

Na myśl o tym zrobiło mi się raźniej. Wchodząc do pałacu, włożyłem do ust kolejną gumę. Gmach budynku nie różnił się na zewnątrz od pozostałych zabudowań, ale w środku urządzono go z przepychem należnym siedzibie władcy pradawnej rasy. Moroje wybierają swoich królów spośród członków dwunastu arystokratycznych rodów. Wielkie płótna przedstawiające te znakomite postaci zawieszono na ścianach korytarzy w blasku lśniących kandelabrow. Mijałem po drodze wiele osób, a gdy dotarłem do sali posiedzeń, okazało się, że spotkanie dobiegło końca. Wszyscy już wychodzili. Kilku morojów jednak przystanąło na mój widok. Słyszałem ich szept: „obrzydliwość” i „ludzka żona”.

Nie zwracałem na nich uwagi. W centralnym punkcie sali, tuż obok podestu dla Rady, stała Wasylisa Dragomir – „królowa dziecko”, o której wspomniała ciotka Tatiana. Lissę, jak ją nazywałem, otaczali strażnicy w czarnych garniturach. Byli dampirami: pół ludźmi, a pół morojami, rasą wojowników powstałą przed wiekami, gdy moroje i ludzie mogli swobodnie zawierać związki małżeńskie. Dampiry nie mogą mieć dzieci ze sobą, ale mogą się rozmnażać dzięki związkom z morojami.

Tuż za strażnikami Lissy ustawili się morojscy dziennikarze zasypujący ją pytaniami, na które odpowiadała z anielskim spokojem. Przywołałem powiew mocy ducha, żeby zerknąć na jej aurę. Rozświeciła się na moich oczach. Lissę otaczał złoty blask, znak, że posiadała władzę nad magią ducha, podobnie jak ja. Inne jej barwy jednak przygasły i lekko drżały – oznaczało to, że czuła się nieswojo. Rozproszyłem magię i pospieszenie ruszyłem w jej stronę, machając ręką i usiłując przekrzyczeć innych.

– Wasza wysokość! Wasza wysokość!

Jakimś cudem usłyszała mnie w tłumie. Skończywszy udzielać odpowiedzi na czyjeś pytanie, skinęła w moją stronę. Strażnicy rozstąpili się, żeby mnie do niej przepuścić. Wszyscy popatrzyli w naszą stronę z zaciekawieniem tym większym, gdy dostrzegli, kogo Lissa dopuściła tak blisko siebie. Wiedziałem, że oddaliby wiele, by usłyszeć, o czym rozmawiamy. Strażnicy jednak trzymali ich na dystans, a poza tym na sali panował zbyt duży hałas.

– Nie spodziewałam się ciebie. Nie mogłeś się umówić na rozmowę? – spytała, zniżając głos. Na jej twarzy wciąż gościł oficjalny uśmiech. – Uniknęlibyśmy tego całego zamieszania.

Wzruszyłem ramionami.

– Cokolwiek robię ostatnio, wzbudza zamieszanie. Przestałem się tym przejmować.

Rozbawiło ją to i ucieszyłem się, że osiągnąłem choć tyle.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Adrian?

– Raczej co ja mogę zrobić dla ciebie – uściśliłem, wciąż jeszcze podekscytowany pomysłem, który przyszedł mi do głowy. – Musisz pozwolić, żebyśmy wyjechali z Sydney na poszukiwania Jill.

Uśmiech zamarł jej na twarzy.

– Wypuścić was? Miesiąc temu błagałeś, żebym pozwoliła wam tu zostać!

– Wiem, wiem. I za to jestem ci wdzięczny. Ale twoja drużyna nie odnalazła Jill. Potrzebujesz odpowiednich osób do zadań specjalnych.

– Jeśli dobrze pamiętam – zaczęła Lissa – oboje z Sydney nie wypełniliście zadań specjalnych ostatnim razem.

– I właśnie dlatego musisz pozwolić nam wyjechać! – wykrzyknąłem. – Wrócimy do Palm Springs i...

– Adrian – przerwała mi. – Czy ty słyszysz, co mówisz? Przyjechaliście tutaj, ponieważ polowali na was alchemicy. A teraz chcesz wrócić prosto w ich szpony?

– To nie tak. Zamierzałem wyjechać stąd w tajemnicy i...

– Nie – znów nie pozwoliła mi dokończyć. – Nie zgadzam się. Mam wystarczająco dużo zmartwień i bez tego. Nie chcę, żeby złapali was alchemicy. Prosiłeś mnie o ochronę i spełnię daną ci obietnicę. Nawet nie myśl o ucieczce, bo nasze bramy są doskonale chronione. Zostaniecie tutaj, gdzie jesteście bezpieczni.

„Bezpieczni i przegrani” – pomyślałem, wspominając zrezygnowane spojrzenie Sydney.

Kochany – szepnęła ciotka Tatiana – *przegrałeś to znacznie wcześniej.*

– Wysłałam świetną drużynę na poszukiwanie Jill – ciągnęła Lissa, podczas gdy ja milczałem. – Mówię o Dymitrze i Rose.

– To dlaczego jeszcze jej nie znaleźli? I skoro ktoś chciał cię odsunąć od władzy, dlaczego nie...

Nie dokończyłem, ale smutek w jadeitowozielonych oczach Lissy wskazywał na to, że wiedziała. Prawo, które usiłowała zmienić, mówiło, że władczyni musi mieć co najmniej jednego żyjącego członka rodziny. Gdyby ktoś chciał się pozbyć Lissy, mógł to osiągnąć, zabijając Jill i pokazując tego dowód. Fakt, że jeszcze do tego nie doszło, dawał nam wiele nadziei, ale potęgował zarazem tajemniczość całej sytuacji. W jakim celu porwano Jill?

– Wracaj do domu, Adrian – powiedziała łagodnie Lissa. – Porozmawiamy później, na osobności, jeśli zechcesz. Może znajdziemy jakieś inne rozwiązanie.

– Może – zgodziłem się, choć bez przekonania.

Wymknąłem się z tłumu gapiów. Idąc, czułem, jak znów ogarnia mnie znany mroczny nastrój. Wybrałem się do Lissy powodowany impulsem, który na chwilę obudził we mnie nadzieję. Szukając schronienia dla siebie i Sydney, nie miałem pojęcia, co się przydarzy Jill. Lissa nie kłamała, mówiąc, że posłała na jej poszukiwanie świetną drużynę. Wiedziałem, że pomagali im nawet alchemicy – organizacja, w której dawniej służyła Sydney. Mimo to nie umiałem się pozbyć poczucia winy. Myślałem, że gdybyśmy nie ukrywali się z Sydney, moglibyśmy odnaleźć Jill. Działo się coś, czego jeszcze nie rozumieliśmy. W przeciwnym razie porywacze już dawno...

– No, no, no. Spójrzcie, któż to postanowił pokazać swoją tchórzliwą gębę.

Przystanąłem, mrugając bezradnie. Byłem zdezorientowany. Tak bardzo pograżyłem się w gorączkowych rozmyślaniach, że nie zauważyłem, jak pokonałem połowę drogi, i teraz stałem na kamiennej ścieżce biegnącej między dwoma budynkami. Była to opustoszała boczna dróżka, stanowiąca idealne miejsce na zasadzkę. Wesley Drozdow, morojski arystokrata, który całkiem niedawno stał się moim śmiertelnym wrogiem, zaszedł mi drogę w otoczeniu swoich kumpli.

– Zwykle nie masz takiej obstawy, Wes – rzuciłem spokojnie. – Postaraj się o jeszcze kilku, a może nareszcie będziesz mógł stoczyć równą walkę...

Cios pięścią padł z tyłu i trafił mnie w lędźwie. Straciłem dech, zgiąłem się wpół. Wesley doskoczył do mnie i przyłożył mi prawym sierpowym, zanim zdążyłem się otrząsnąć. Niejasno zdałem sobie sprawę, że moja uwaga była niezwykle trafna: Wesley tylko z pomocą kumpli mógł się zmierzyć z moją magią. Padając na ziemię, gdy któryś kopniakiem podciął mi nogi, zrozumiałem, że byłem głupcem, pokazując się publicznie. Wesley od dawna czekał na okazję, żeby się odegrać. Sam mu jej dostarczyłem.

– Co jest? – spytał, wymierzając mi kolejnego kopniaka w brzuch, gdy usiłowałem się podnieść. – Twoja żona karmicielka nie przybędzie na ratunek?

– Właśnie – zadrwił ktoś inny. – Gdzie twoja ludzka dziwka?

Bolało tak bardzo, że nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Niezliczone kopniaki posypały się ze wszystkich stron. Widziałem rozmazane twarze. Ze zdumieniem rozpoznałem kilka z nich. To nie byli kolesie Wesleya. Niektórych znałem, imprezowaliśmy razem... Kiedyś uważałem ich za swoich przyjaciół.

Cios w głowę sprawił, że ujrzałem gwiazdy i już nie rozpoznawałem twarzy wokół mnie. Głosy zlały się w kakofonię belkotliwych dźwięków. Padały kolejne razy. Zwinąłem się w kłębek, usiłując odzyskać oddech. I nagle dobiegł mnie wyraźny głos.

– Co tu się dzieje, do cholery?!

Zamrugałem, próbując skupić wzrok. Ktoś odciągnął gwałtownie Wesleya, który osunął się po murze pobliskiego budynku. Chwilę później trzej kumple Drozdowa podzielili jego los, zanim zorientowali się, że coś się święci. Wycofywali się niczym przerażone owce. Zobaczyłem przed sobą znajomą twarz. To był Eddie Castile.

– Może któryś chce się jeszcze bić? – wychrypiałem. – Wciąż macie przewagę liczebną.

Nieważne, ilu ich było, nie mogli równać się z Eddiem i o tym wiedzieli. Nie widziałem, jak uciekali, ale z satysfakcją to sobie wyobraziłem. Zapadła cisza i zaraz potem ktoś pomógł mi wstać. Odwróciłem się i ujrzałem inną znajomą twarz. Neil Raymond podtrzymywał mnie swoim ramieniem.

– Możesz iść? – spytał z lekkim brytyjskim akcentem.

Skrzywiłem się, bo zaboląła mnie stopa, ale przytaknąłem.

– Taa. Chodźmy do domu. Potem sprawdzę, czy nic sobie nie złamałem. I dziękuję – dodałem, gdy Eddie podparł mnie z drugiej strony. – Miło wiedzieć, że moroj w opałach może liczyć na dyskretną ochronę szlachetnych rycerzy.

Eddie pokręcił głową.

– Znaleźliśmy się tu przez przypadek. Szliśmy przekazać ci najnowsze wieści.

Przebiegł mnie dreszcz. Przystanąłem.

– Jakie wieści? – spytałem bez tchu.

Po twarzy Eddiego przemknął uśmiech.

– Spokojnie, to dobra wiadomość. Tak sędzę. Tylko niespodziewana. Macie z Sydney gościa przy bramie frontowej. To człowiek.

Tego się nie spodziewałem. Wychodząc za mnie i prosząc o schronienie u morojów, Sydney odcięła się od większości znajomych ludzi. Dziwne, że któryś przyjechał tu do niej.

Z pewnością żaden z alchemików. Odprawiono by go z kwitkiem.

– Kto to jest? – spytałem.

Eddie wyszczerzył się w uśmiechu.

– Jackie Terwiliger.

ROZDZIAŁ 2

Sydney

OCH, ADRIAN.

Nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej, gdy ocierałam mu twarz z brudu i krwi wilgotnym ręcznikiem, odgarniając na bok luźne kosmyki jego włosów o barwie orzecha. Mimo że był w opłakanym stanie, posłał mi szelmowski uśmiech, któremu nie mogłam się oprzeć.

– Głowa do góry, Sydney. Nie dałem się pokonać bez walki. – Zerknął na Neila i dodał scenicznym szeptem: – Prawda? Powiedz jej, że byłem dzielny i dotrzymałem im pola.

Neil zdobył się na blady uśmiech, ale matka Adriana nie dała mu nic powiedzieć.

– Adrian, skarbie, nie pora na żarty.

Moja wampiryczna teściowa i ja nie zgadzałyśmy się w wielu sprawach, ale w tej niezmiennie trzymałyśmy wspólny front. Miałam wyrzuty sumienia, że nie zatrzymałam Adriana w domu po naszej sprzeczce. A przynajmniej nie kazałam wezwać strażnika, bo już wcześniej go zaczepiano. Strażnicy towarzyszą morojom zwykle tylko w świecie zewnętrznym, gdzie realne zagrożenie stanowią strzygi. Tutaj, choć przedstawiciele rasy Adriana patrzyli na nas niechętnie z powodu ślubu, sytuacja nie wydawała się niebezpieczna. Spotykaliśmy się z groźbami i obelgami, ale nigdy nas otwarcie nie zaatakowano. Całe szczęście, że Eddie i Neil nadeszli w porę.

Eddie poszedł do bramy frontowej, żeby przyprowadzić pannę Terwiliger. Incydent z Adrianem naprawdę wyprowadził mnie z równowagi, bo nawet się nie zdziwiłam, co sprowadza moją dawną nauczycielkę historii i mentorkę w dziedzinie magii do królewskiej twierdzy wampirów. I choć pomyślałam z niepokojem, że ta wizyta nie może oznaczać nic dobrego, bardzo się ucieszyłam, że ją zobaczę. Nie widziałyśmy się od wielu miesięcy. Kochałam Adriana i nie miałam nic przeciwko Danielli – ale marzyłam o kontakcie z człowiekiem.

– Kości są całe – upierał się Adrian, dotykając policzka. – Wkrótce nie będzie śladu. Szkoda. Blizna podkreśliłaby moje doskonale wysklepione kości policzkowe i dodała rysom surowej męskości. Nie żeby brakowało mi męskości...

– Daj spokój, Adrian – rzuciłam słabo. – Cieszę się, że nic ci nie jest. Mogło być znacznie gorzej. Mimo wszystko powinieneś pójść do lekarza, na wszelki wypadek.

Miał taką minę, jakby zamierzał wygłosić kolejną kąśliwą uwagę, ale odparł rozsądnie:

– Tak, moja droga.

Przybrał wyraz twarzy niewiniątka, co skłoniło mnie do podejrzeń, że nie zamierza posłuchać. Pokręciłam z dezaprobatą głową, uśmiechając się mimo woli, i pocałowałam go w policzek. Adrian. Mój mąż. Gdyby ktoś mi powiedział jeszcze rok temu, że wyjdę za mąż, uznałabym to za żart. A gdyby powiedział, że poślubię wampira, stwierdziłabym, że majaczy. Patrząc teraz na Adriana, czułam, jak wzbiera we mnie miłość mimo niedawnej kłótni. Nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Już nie.

Czy myślałam o tym, jak wyglądałaby nasza przyszłość poza tym ciasnym mieszkaniem z jego matką u boku? Fakt, tym małżeństwem rozgniewaliśmy nasze rasy i naraziliśmy się na ostracyzm. Mogłam sobie wyobrazić wiele scenariuszy wspólnego życia, ale na razie musieliśmy zadowolić się tym, co mieliśmy. Gdybym opuściła teren królewskiego dworu, alchemicy

natychmiast by mnie uwięzili. Tutaj z kolei Adrian został napadnięty przez swoich. W tym mieszkaniu byliśmy bezpieczni. I co najważniejsze – byliśmy razem.

Pukanie do drzwi przerwało Adrianowi dalszy wywód. Daniella poszła otworzyć i wpuściła Eddiego. Na jego widok niemal zawsze się uśmiechałam. W Palm Springs uchodziliśmy za rodzeństwo, bo oboje mieliśmy ciemnoblonde włosy i brązowe oczy. Z czasem naprawdę zaczęłam go traktować jak brata. Niewielu mogło mu dorównać odwagą i lojalnością. Z dumą nazywałam go swoim przyjacielem. Cierpiałam, widząc jego ból po porwaniu Jill. Miał wiecznie udręczony wyraz twarzy i chwilami bałam się, że popadnie w depresję. Już dawno przestał się golić i żywiłam obawy, że posila się tylko po to, by móc trenować i utrzymywać kondycję – do czasu gdy odnajdzie porywaczy.

Porzuciłam rozmyślenia o Eddie, gdy zobaczyłam, kto wchodzi za nim. Pokonałam pokój jednym susem i chwyciłam ją w objęcia, czego zupełnie się nie spodziewała. Panna Terwiliger – nie mogłam się zmusić, żeby nazywać ją Jackie, chociaż już nie byłam jej uczennicą – odmieniła moje życie pod wieloma względami. Wzięła na siebie rolę, którą niegdyś zwykł odgrywać mój ojciec: uczyła mnie tajników prądowej sztuki. W przeciwieństwie do niego jednak nigdy mnie nie krytykowała. Zachęcała, wspierała, sprawiała, że czułam się wartościową i kompetentną osobą, mimo że nie zawsze byłam aniołkiem. Od czasu gdy zamieszkałam na dworze, utrzymywałyśmy kontakt telefoniczny, lecz dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo za nią tęskniłam.

– No, no – zachichotała, próbując odwzajemnić uścisk. – Nie spodziewałam się takiego powitania.

Jej starania wypadły nieco niezgrabnie, bo w jednej ręce trzymała torbę, a w drugiej coś, co wyglądało jak klatka dla zwierząt.

– Czy teraz już mogę to wziąć? – zniecierpliwził się Eddie, odbierając jej konstrukcję. Zgodziła się i teraz objęła mnie już naprawdę. Poczulałam jej zapach paczuli zmieszany z *nag ćampa*, co przywodziło wspomnienia tych beztroskich chwil, które spędzałyśmy wspólnie, pracując nad zaklęciami. Do oczu napłynęły mi łzy i szybko się cofnęłam, żeby je otrzeć.

– Dobrze panią widzieć – powiedziałam, starając się przyjąć bardziej oficjalny ton. – To niespodzianka, ale przyjemna. Z pewnością nie była to łatwa podróż.

– Te wieści muszę przekazać osobiście. – Poprawiła okulary i przyjrzała się bacznie obecnym. – Miło cię znowu widzieć, Neil. Adrian, cieszę się, że Sydney nareszcie zrobiła z ciebie porządnego człowieka.

Adrian uśmiechnął się i przedstawił jej Daniellę, która zachowała się uprzejmie, choć z rezerwą. Moroje jej pokroju, prowadzący życie niemal wyłącznie na królewskim dworze, nie mają wielu przyjaciół wśród ludzi. Ludzka magia jest dla morojów zjawiskiem tak samo dziwnym jak dla alchemików i musiałam oddać Danielli sprawiedliwość, że przynajmniej próbowała odnaleźć się w tej sytuacji. Doceniałam to, bo choć miała kiepskie wyczucie czasu i mało rozumiała nasz związek, wiedziałam, że przeszła trudne chwile.

– Zapraszamy. – Wprowadziłam pannę Terwiliger do środka. Tak rzadko kogokolwiek przyjmowaliśmy, że niemal zapominałam o zasadach gościnności. – Proszę usiąść, przyniosę pani coś do picia. A może przekąskę?

Potrząsnęła głową i poszła ze mną do kuchni. Reszta podążyła za nami. Tylko Eddie wciąż trzymał nieporęczną klatkę.

– Nie jestem głodna – odrzekła panna Terwiliger. – I chyba nie mamy na to czasu. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nie przybywam za późno.

Włosy zjeżyły mi się na karku, ale zanim zdążyłam się odezwać, Eddie odchrząknął i uniósł klatkę, w której – jak dopiero teraz zobaczyłam – siedział kot.

– Uhm, czy mógłbym zrobić dla niej coś specjalnego?

– Dla niego – sprostowała panna Terwiliger. – Pan Bojangles może poczekać, gdy będziemy rozmawiać. Poza tym, jeśli się nie mylę, będzie nam potrzebny.

Adrian zerknął na mnie pytająco, ale w odpowiedzi mogłam tylko wzruszyć ramionami.

Wszyscy zebraliśmy się przy kuchennym stole. Usiadłam, a Adrian stanął za mną, kładąc mi ręce na barkach. Widziałam kątem oka blask rubinów i białego złota jego obrączki. Panna Terwiliger usiadła naprzeciwko mnie i wyjęła z torby ozdobne drewniane pudełko. Pokrywały je kwieciste wzory, prawdopodobnie wykonane ręcznie. Nauczycielka postawiła pojemnik na stole i przesunęła go w moją stronę.

– Co to jest? – spytałam.

– Miałam nadzieję, że ty mi powiesz – odparła. – Przyszło przed kilkoma tygodniami, ktoś je podrzucił pod moje drzwi. Najpierw pomyślałam, że to podarunek od Malachiego, chociaż to zupełnie nie w jego stylu.

– Fakt – przyznał Adrian. – Granaty, kamizelka moro... to by było do niego podobne.

Malachi Wolfe był raczej niezrównoważonym instruktorem samoobrony, na którego lekcje zapisaliśmy się kiedyś z Adrianem i który z niewyjaśnionych powodów zdobył serce panny Terwiliger.

Uśmiechnęła się przelotnie po uwadze Adriana, ale ciągnęła, nie podnosząc wzroku z pudełka.

– Szybko się zorientowałam, że zostało zapieczętowane zaklęciem. Próbowałam przeróżnych zaklęć otwierających, bardziej lub mniej znanych, ale na próżno. Ten, kto je zamykał, rzucił potężny czar. Po kilku tygodniach, gdy wyczerpałam swoje możliwości, zawiozłam pudełko do Inez. Pamiętasz ją, oczywiście?

– Trudno o niej zapomnieć – przytaknęłam, przywołując wspomnienie sędziwej ekscentrycznej czarownicy z Kalifornii, która każdy szczegół swojego domu ozdabiała różami.

– To prawda. Znała potężne zaklęcie otwierające, ale jej również nie udało się złamać pieczęci, gdyż zaklęcie jest związane z konkretną osobą. – Panna Terwiliger była rozgoryczona. – Nie zorientowałam się w porę. Oczywiście nie chodziło o mnie. Inez stwierdziła, że osoba, dla której pudełko jest przeznaczone, powinna je otworzyć bez trudu. Doszłam do wniosku, że chodzi o ciebie.

– Ale dlaczego przyniesiono je do pani? – zapytałam, wpatrując się w nią ze zdziwieniem. Panna Terwiliger rozejrzała się, krzywiąc twarz.

– Niełatwo dostarczyć tu przesyłkę. Żałuję, że się wcześniej nie zorientowałam. Mam nadzieję, że temu, co znajduje się w środku, nie zaszkodziła ta zwłoka.

Spojrzałam na pojemnik inaczej, czując, że ogarnia mnie jednocześnie podniecenie i lęk.

– Co mam robić?

– Otwórz je – rzuciła panna Terwiliger. – Radziłabym jednak, żeby pozostali się odsunęli. Daniella posłuchała natychmiast, ale Adrian i dąmpiry nie zamierzali się cofać.

– Zróbcie, co powiedziała – ponagliłam.

– A jeśli to bomba? – oburzył się Eddie.

– Najprawdopodobniej potrafię zminimalizować niebezpieczeństwo grożące Sydney, ale za was nie mogę odpowiadać – wyjaśniła panna Terwiliger.

– Najprawdopodobniej? – spytał Adrian. – Może to alchemicy wymyślili nareszcie sposób, żeby się do ciebie dostać.

– Może, ale oni nie przepadają za ludzką magią. Nie sądzę, by się do niej odwoływali.

– Westchnęłam. – Odsuniecie się, proszę. Nic mi nie będzie.

Nie byłam tego taka pewna, ale w końcu posłuchali. Panna Terwiliger wyjęła niewielki

woreczek, z którego rozsypała na stole żółty proszek o ostrym zapachu. Wymamrotała grecką inkantację i już po chwili poczułam magię – moją magię – iskrzącą się w powietrzu wokół nas. Tak dawno nie miałam z nią kontaktu. Zaskoczyło mnie, jak silnie na mnie podziałała. Rzuciwszy zaklęcie zabezpieczające, panna Terwiliger skinęła zachęcająco.

– Do dzieła, Sydney. Jeśli nie zdołasz go otworzyć normalnie, użyj podstawowego zaklęcia otwierającego.

Położyłam czubki palców na wieczku i wzięłam głęboki wdech. Nic się nie wydarzyło, ale tego się spodziewałam. Nawet jeśli panna Terwiliger słusznie przypuszczała, że ta przesyłka była przeznaczona dla mnie, zadanie otwarcia jej wcale nie musiało okazać się proste. Przywołując słowa zaklęcia, zadawałam sobie oczywiste pytanie: czy to na pewno jest dla mnie? A jeśli tak, to od kogo? I najważniejsze: po co?

Wymówiłam zaklęcie i chociaż pudełko się nie poruszyło, usłyszeliśmy ciche kliknięcie. Spróbowałam unieść wieczko. Tym razem ustąpiło. Nie doszło do wybuchu. Po chwili wahania wszyscy podeszli bliżej, żeby zobaczyć, co jest w środku. Ujrzałam plik złożonych kartek i leżący na nich włos. Podniosłam go ostrożnie do światła. Był jasny.

– Pewnie twój – zauważyła panna Terwiliger. – Przypisanie zaklęcia do konkretnej osoby wymaga czegoś, co do niej należy. Włosa, paznokcia, fragmentu skóry.

Zmarszczyłam nos, rozkładając pierwszą kartkę. Staralam się nie myśleć, jak ktoś mógł wejść w posiadanie mojego włosa. Odczytałam ulotkę zapraszającą do wizyty w Muzeum Robotów w Pittsburghu. Byłoby to zabawne, gdyby nie przyprawiające o dreszcz słowa wypisane na zdjęciu reklamującym jedną z wystaw: *Gadobot 2000: „ZABAWMY SIĘ, SYDNEY”*. Wstrzymałam oddech i gwałtownie podniosłam głowę. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Nie rozpoznałam charakteru pisma.

– Co jest na drugiej kartce? – spytał Neil.

Ona również została złożona, gładka i lśniąca, jakby pochodziła z jakiegoś czasopisma. Na pierwszy rzut oka folder reklamowy biura podróży. Rozprostowałam i zobaczyłam zdjęcie pensjonatu w Palo Alto.

– A co to ma wspólnego z muzeum robotów w Pittsburghu?

Panna Terwiliger zeszywniała.

– Chyba powinnaś ją odwrócić.

Poszłam za jej radą i westchnęłam, zobaczywszy co, a właściwie kogo, przedstawiało zdjęcie.

Jill.

Prawie zapomniałam o tej reklamie. Wiek temu – a w każdym razie tak mi się wydawało – Jill pracowała krótko jako modelka dla pewnej projektantki w Palm Springs. Zdjęcie zostało zrobione w tajemnicy, wbrew moim zakazom. Miała na sobie wielkie złożone okulary przeciwsłoneczne i barwny szal owinięty wokół bujnych loków. Wpatrywała się w palmy i ktoś, kto dobrze nie znał Jill, nie rozpoznałby jej. Większość nie zorientowałaby się nawet, że jest morojką.

– Co to ma być, do diabła?! – warknął Eddie.

Miał taką minę, jakby chciał mi wyrwać tę kartkę. Niewiele rzeczy mogło wyprowadzić go z równowagi, ale kwestia bezpieczeństwa Jill na pewno.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Wiem tyle co ty.

Adrian pochylił się nade mną i sięgnął po pierwszą kartkę.

– To oczywiście nie znaczy, że Jill jest przetrzymywana w muzeum robotów? W Pittsburghu?

– Jedźmy tam – rzucił zapalczywie Eddie.
Obrócił się na pięcie, jakby już zamierzał ruszać w drogę.
– To ja pojedę – oznajmiłam, wskazując ulotkę w ręku Adriana. – Pudełko przysłano mnie. Nawet ta wiadomość jest do mnie skierowana.
– Sama nie pojedziesz – sprzeciwił się Eddie.
– Nigdzie nie pojedziesz – zawtórował mu Adrian. Odłożył ulotkę. – Przed moją małą, hmmm, utarczką z Wesleyem rozmawiałem z królową, która dała mi jasno do zrozumienia, że nie możemy opuścić dworu.

Patrzyłam na zdjęcie Jill z mieszaniną smutku i poczucia winy. Jill. Zaginęła prawie miesiąc temu. Zrozpaczeni wypatrywaliśmy jakiegokolwiek jej śladu i oto się pojawił. Ale panna Terwiliger miała rację, pytając, czy nie jest za późno i co się wydarzyło, zanim pudełko zostało mi dostarczone.

– Muszę – odparłam. – Nie mogę tego zlekceważyć. Wiesz o tym, Adrian.
Spojrzeliliśmy na siebie. Oboje byliśmy bardzo przejęci. W końcu skinął głową.
– Wiem.
– Nie sądzisz chyba, że Lissa rozkaże strażnikom zatrzymać mnie siłą?
– Tego nie wiem – westchnął. – Ale słusznie zauważyła, że przysporzyliśmy jej wystarczająco dużo kłopotów, zostając na dworze. A byłoby ich więcej, gdybyś nagle wyjechała i wpadła w ręce alchemików. Możemy próbować się wymknąć... nie zdziwiłbym się jednak, gdyby sprawdzali wyjeżdżające samochody.

– Spodziewałam się tego – wtrąciła panna Terwiliger. Otrząsnęła się z szoku i odzyskała swoją typową postawę „bierzmy-się-do-roboty”, którą bardzo dodała mi otuchy. – I dlatego jestem przygotowana. Mam sposób, żeby cię stąd wywieźć, Sydney, wystarczy, że się zgodzisz.
– Przeniosła wzrok na Adriana. – Obawiam się, że tylko Sydney.

– Wykluczone – sprzeciwił się bez namysłu. – Jeśli ona jedzie, to ja też.
– Nie – odparłam. – Ona ma rację.
Adrian uniósł brwi.
– Słuchaj, ryzykujesz znacznie więcej niż ja, opuszczając dwór. Nie pozwolę ci się narażać, podczas gdy ja będę tu bezpieczny, więc nie...

– Nie o to chodzi – przerwałam mu. – To znaczy zależy mi na twoim bezpieczeństwie, ale posłuchaj siebie. Teoretycznie ryzykuję więcej, ponieważ alchemicy mnie szukają. Tylko że teraz wcale mnie nie szukają, bo wiedzą, że jestem bezpieczna z tobą w jakiejś kryjówce. I dopóki tak myślą, nie zaczną mnie szukać. Na dworze jestem niemal niewidoczna, za to ty pojawiaasz się co jakiś czas u karmicieli. Jeśli oboje znikniemy, ktoś może powiadomić alchemików o naszym wyjeździe. Jeśli jednak ciebie wciąż będzie widać...

Adrian się skrzywił.
– ...uznają, że i ty tu jesteś, tylko unikasz wrednych wampirów.
– W ten sposób będziesz mnie krył. – Położyłam rękę na jego dłoni. – Wiem, że to ci się nie podoba, ale może nam pomóc. Zyskam większą swobodę poruszania się i spróbuję się dowiedzieć, co to wszystko ma wspólnego z Jill.

Nie odpowiedział od razu. Widziałam, że moje argumenty przemawiają do niego, ale trudno było mu się z tym pogodzić.

– Niepokoi mnie myśl, że będziesz się tam błąkać sama, podczas gdy ja zostanę tu, czekając beczynn timer.

– Nie będzie sama – sprostował Eddie. – Nie otrzymałem żadnego zadania i nikt mnie nie ściga. Mogę swobodnie opuścić dwór.

– Ja także – dodał Neil.

– Jeden z was powinien zostać z Adrianem – zauważyłam. – Na wypadek, gdyby ktoś znów próbował go napaść. Może ty, Neil? A ty, Eddie, pomożesz mi się zorientować w sytuacji?

Starłam się, żeby to zabrzmiało jak prośba o przysługę, ale wiedziałam, że Eddie niczego nie pragnie bardziej niż wyjazdu w poszukiwaniu Jill.

– Zrobimy tak – powiedział Adrian. – Zostanę tutaj i będę cię krył, ale dołączę do was, kiedy tylko okaże się to możliwe bez narażania ciebie.

Spojrzałam mężowi w oczy. Tak wiele chciałam mu powiedzieć. Że przykro mi z powodu naszej kłótni i że nie próbuję go kontrolować. Po prostu martwiłam się o niego. Tak bardzo go kochałam, że zależało mi przede wszystkim na jego bezpieczeństwie. Miałam nadzieję, że o tym wiedział. W obecności tylu świadków zdobyłam się jednak ledwie na skinienie głowy.

Panna Terwiliger popatrywała na nas z lekkim rozbawieniem.

– Wszyscy już wybrali swoje bohaterskie role? – spytała i uśmiechnęła się do mnie. – Nie jesteś zainteresowana, jaki obmyśliłam plan, żeby cię stąd wywieźć, Sydney?

Wzruszyłam ramionami.

– Mam do pani zaufanie. Jeśli twierdzi pani, że zna dobry sposób, to tak jest. Co robimy?

Kiedy mi powiedziała, w pokoju zapadło milczenie. Patrzyliśmy na nią tępym wzrokiem. Adrian odezwał się pierwszy.

– Noo – mruknął. – Nie powiem, że się tego spodziewałem.

– Chyba nikt tak nie powie – przyznał Eddie.

Panna Terwiliger skupiła się teraz na mnie.

– Wchodzisz w to, Sydney?

Przełknęłam głośno ślinę.

– Chyba nie mam wyboru. Nie traćmy czasu.

– Najpierw – wtrącił Adrian – chciałbym zamienić z żoną słowo, zanim zacnie się ten ubaw.

– Oczywiście. – Panna Terwiliger dwornie mu się skłoniła.

Adrian wyprowadził mnie z pokoju, wołając do pozostałych:

– Pogadajcie sobie.

Weszliśmy do łazienki i odezwał się dopiero, gdy zamknął za nami drzwi.

– Zdajesz sobie sprawę, że to jest szaleństwo? I nie mówię tego ot tak.

Uśmiechnęłam się i przyciągnęłam go do siebie.

– Wiem. Ale wiemy również oboje, że nie mogę nie pójść tym tropem, który może nas doprowadzić do Jill.

Spochmurniał.

– Chciałbym zrobić coś więcej, niż tylko cię kryć – powiedział. – Ale jeśli to pomoże...

– Westchnął. – Równie szalony jest fakt, że wyjeżdżasz po tylu staraniach o to, by pozwolono nam tutaj zostać i być razem.

– Tak, ale... – Zawahałam się. Nie chciałam powiedzieć tego, co zamierzałam. – Nie powiesz, że jest tak, jak sobie wyobrażaliśmy.

– Co masz na myśli? – spytał, choć wiedziałam, że rozumie.

– Adrian, wiesz, że cię kocham i chcę z tobą żyć. Ale to życie... Z dala od innych... Z twoją matką... Sama nie wiem. Może przyda nam się więcej przestrzeni.

Zielone oczy wpatrywały się we mnie ze zdumieniem.

– Chcesz ode mnie odejść?

– Nie, oczywiście, że nie! Ale chcę to sobie przemyśleć, zastanowić się, jak możemy żyć inaczej, bardziej tak, jak planowaliśmy. – Westchnęłam. – I co ważniejsze...

– ...musimy odnaleźć Jill – dokończył.

Kiwnęłam głową i oparłam czoło na piersi Adriana, wsłuchując się w rytm jego serca. Uczucia i obraz przeżyć, jakie towarzyszyły mi w tym roku, znów powróciły. Musieliśmy utrzymywać nasz związek w tajemnicy. Kiedy jednak został ujawniony, alchemicy uwięzili mnie i usiłowali wybić mi uczucie z głowy, by na powrót móc mnie kontrolować. Każda chwila z Adrianem wydawała mi się teraz cennym darem, ale rozkoszowanie się tym, odwracanie się plecami do Jill... to byłoby samolubne.

– Odnalezienie jej jest teraz ważniejsze od nas – powiedziałam.

– Wiem – przytaknął, całując mnie w czoło. – Kocham cię między innymi dlatego, że nie masz co do tego wątpliwości.

– Tak jest – odrzekłam po prostu.

– Przysięgam, że kiedy tylko poczuję, że mogę się stąd wymknąć, nie wzbudzając podejrzeń, przyjadę do ciebie. Nie zostawię cię samej.

Położyłam sobie rękę na sercu.

– Nigdy nie jestem sama. Zawsze czuję tu twoją obecność.

Pocałował mnie, wprawiając w oszołomienie. Poczulałam ciepło rozchodzące się po całym ciele, aż do czubków palców. Przerwałam, zanim mogliśmy się zupełnie zapomnieć.

– Wróć, zanim się obejrzysz – obiecałam, przytulając go jeszcze raz. – A jeśli wszystko pójdzie dobrze, Jill będzie mi towarzyszyć.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze – sprzeciwił się – to za chwilę ktoś do nas zadzwoni i powie, że porywacz wypuścił ją na wolność, bo właśnie zmieniło się prawo, i Jill jest w drodze do domu.

Uśmiechnęłam się, choć nie czułam radości.

– Byłoby miło.

Pocałowaliśmy się jeszcze raz i wróciliśmy do czekających. Zorientowałam się, że chociaż pogodziłam się z Adrianem, nie wyjaśniliśmy sobie kwestii, które doprowadziły do naszej kłótni. Wciąż mieliśmy wiele do obgadania, zwłaszcza jego nieustający flirt z magią ducha. Teraz mogłam tylko mieć nadzieję, że zdoła utrzymać się w ryzach.

Tymczasem panna Terwiliger zajęła się przemianą naszej kuchni w czarodziejski warsztat. Zastawiła stół fiolkami i woreczkami zawierającymi przeróżne składniki, a potem zagotowała wodę. Wrzuciła do niej coś, co sprawiło, że para nabrała zapachu anyżu.

– Dobrze, dobrze – mruknęła, ledwo podnosząc głowę. – Już jesteś. Odmierzyłybyś dwie łyżeczki sproszkowanego buraka?

Dołączyłam do niej z uczuciem *déjà vu*. Z jaką łatwością powróciłam do dawnych zadań w jej towarzystwie! Choć to nie była idylla. Nauka magii pod okiem wymagającej nauczycielki wyczerpywała, zarówno umysłowo, jak i fizycznie. Dodatkowo ciążyła na mnie odpowiedzialność za Adriana i spółkę. A jednak nasza zażyłość była przyjemna. I stęskniłam się za wspólnym praktykowaniem zaklęć. Przebywając na dworze, trochę ćwiczyłam, lecz nie próbowałam poważniejszych czarów. Zaklęcie, które zamierzała teraz rzucić panna Terwiliger, wymagało współpracy nas obu i kilkugodzinnego wysiłku. Adrian i pozostali zajęli się więc sobą, a Eddie postanowił się zdrzemnąć, bo nie wiedzieliśmy przecież, co nas czeka w Pittsburgu.

„Oby to była Jill – pomyślałam z nadzieją. – Obyśmy dotarli do Muzeum Robotów i ujrzeli ją tam sprzedającą bilety”.

Mimo wszystko wątpiłam, by okazało się to takie łatwe.

Skończyliśmy przygotowania koło czwartej nad ranem. Dla wampirów był to praktycznie środek dnia. Przywykłam do takiego trybu funkcjonowania, ale panna Terwiliger wyglądała na zmęczoną. Wiedziałam, że oddałaby wszystko za kawę, lecz kofeina osłabia skuteczność magicznych zaklęć. Finał całego procesu zależał ode mnie. Jednak w miarę jak zbliżyliśmy się

do końca, nabierałam coraz większych wątpliwości.

– Może byłoby prościej, gdyby mnie pani stąd wywiozła w bagażniku – zaczęłam, trzymając filiżankę sporządzonego przez nas napoju.

– Istnieje spore ryzyko, że będą przeszukiwać samochody – zaprotestował Adrian. – Szczególnie jej wóz. Lissa powiedziała jasno, że nie wolno nam wyjeżdżać.

Niosąc filiżankę do miejsca, w którym panna Terwiliger ustawiała lustro, poczułam, że ogarniają mnie nowe obawy.

– Myślisz, że pozwoli mi tu wrócić, kiedy odkryje, że wyjechałam?

Nikt nie znał odpowiedzi, a panna Terwiliger wykazała się pragmatyzmem.

– Zawsze możemy sprowadzić cię z powrotem tą samą drogą.

Skrzywiłam się i zerknęłam na trzymaną w dłoniach filiżankę. Zastanawiałam się, jak się będę czuła potem. W salonie panna Terwiliger ustawiła wielkie lustro przyniesione z sypialni Danielli. Przysunęła obok transporter dla kota i otworzyła drzwiczki. Białe, pręgowane kocisko – pan Bojangles – wyszło ze środka i usiadło przed lustrem. Słowo daję, można by pomyśleć, że się przegląda.

– Znasz słowa? – spytała panna Terwiliger.

Skinęłam głową i uklękłam obok kota. Uczyłam się tego zaklęcia na pamięć, gdy pracowałyśmy.

– Powinam o czymś wiedzieć, zanim to się stanie?

– Po prostu patrz na kota podczas wypowiedzania zaklęcia – powiedziała panna Terwiliger.

Zerknęłam po raz ostatni na bliskich.

– Do zobaczenia, mam nadzieję.

– Powodzenia – rzucił Neil.

Adrian patrzył mi w oczy dłuższą chwilę. Przekazał mi tym spojrzeniem bardzo wiele. Poczułam gulę rosnącą mi w gardle, ogarnęło mnie wzruszenie. Tyle przeszliśmy, by tu dotrzeć, a teraz ja postanowiłam tak po prostu stąd odejść. „Nie odchodzę – przekonywałam samą siebie. – Jadę na ratunek Jill”.

Kochaliśmy się z Adrianem, ale nie mogliśmy odwrócić się plecami do kogoś nam bliskiego.

Uśmiechnęłam się do niego lekko i wypiłam napój. Miał posmak pieprzu, nie był niesmaczny, ale nie sięgnęłabym po niego dla przyjemności. Opróżniłam filiżankę, odstawiłam ją na bok i skupiłam wzrok na lustrze, a dokładnie na odbiciu kota siedzącego obok mnie. Pan Bojangles trwał przy mnie nieporuszenie i pomyślałam, że panna Terwiliger wybrała zwierzaka ze względu na jego poczciwy charakter. Przywołałam magię, odcinając się od świata i koncentrując wyłącznie na zaklęciu. Wypowiedziałam łacińską formułę, nie spuszczać wzroku z kota. Zaklęcie wymagało wiele siły wewnętrznej. Wypowiedziawszy je, poczułam się wyczerpana, ale magia już zaczynała we mnie pracować.

Nadal patrzyłam na kota, ale jego obraz powoli się przekształcał. Właściwie to mój wzrok się zmieniał. Ruda sierść poszarzała, a pręgi na grzbiecie stały się wyraźniejsze. Widziałam teraz więcej szczegółów. Jednocześnie wszystko wokół stało się niewiarygodnie jasne, jakby zapalono mnóstwo świateł. Zamrugałam kilka razy, żeby otrząsnąć się z tego wrażenia, i zauważyłam, że coraz bardziej zbliżam się do ziemi. Coś mi spadło na twarz i przesłoniło widok. Uwolniłam się. To była moja bluzka. Spojrzałam w lustro i zobaczyłam odbicie dwóch kotów.

Jeden z nich był mną.

– Niesamowite.

Nie od razu rozpoznałam głos Adriana. Pozostałam człowiekiem w wystarczającym

stopniu, by rozumieć ludzki język, ale mój nowy słuch wychwytywał dźwięki w zupełnie inny sposób. Właściwie słyszałam teraz znacznie więcej i wszelkie odgłosy przybrały na sile. Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać, bo czyjeś ręce podniosły mnie i włożyły do klatki. Potem zamknęły drzwi.

– Nie możemy ich pomylić – wyjaśniła panna Terwiliger.

– Gdzie pani zamierza umieścić drugiego? – spytała Daniella.

– Proszę zdecydować – odparła panna Terwiliger. – Nie mogę go zabrać. Strażnicy widzieli, że przyjechałam z jednym kotem. Teraz zobaczą, że z jednym wyjeżdżam.

– Co takiego? – Piskliwy głos teściowej drażnił moje uszy. – Ten stwór ma tu zostać?

– No tak. Nie widziałam problemu w przemianie synowej w zwierzę, ale przerażała ją myśl o konieczności zaopiekowania się kotem.

– Przyniosę wam kuwetę i jakąś karmę – zaoferował Neil.

Za metalową kratką drzwiczek pojawiła się nagle twarz Adriana.

– Co słyszać, kociaku? Dobrze ci tam?

Odruchowo chciałam odpowiedzieć, ale wydobyłam z siebie ledwie słabe miauknięcie.

Świat nagle zawirował, bo ktoś podniósł klatkę, zmuszając mnie do próby utrzymania równowagi wszystkimi czterema łapami i zmysłami, które były mi obce.

– Nie mamy czasu na pogawędki – oznajmiła panna Terwiliger. – Pora jechać.

Adrian musiał iść za nią, bo jego twarz znów pojawiła się za kratką.

– Uważaj na siebie, Sage. Kocham cię.

Panna Terwiliger i Eddie pożegnali się i ruszyli do drzwi. Wyszliśmy na korytarz i potem na zewnątrz. Spojrzałam wcześniej na zegar i wiedziałam, że wciąż panuje noc, ale świat, który widziałam teraz przez kratkę, wyglądał zupełnie inaczej niż ten, do którego przywykłam. Mój udoskonalony wzrok odbierał bardziej intensywnie światła z rozproszonych nielicznych latarni i nawet jeśli nie widziałam wszystkich barw, dostrzegałam znacznie więcej szczegółów niż człowiek. Zakłęcie miało się utrzymać jeszcze przez godzinę, ale moi towarzysze maszerowali rażno przez dziedziniec w stronę parkingu dla gości.

Panna Terwiliger odebrała wypożyczony samochód i postawiła klatkę na tylnym siedzeniu. Niewiele widziałam z tego miejsca, ale wszystko słyszałam. Przy głównej bramie strażnicy wypytywali ją o przebieg wizyty. Chcieli również wiedzieć, dlaczego Eddie jej towarzyszy.

– I tak miałem wyjechać w prywatnych sprawach – odparł bystro, nie próbując się tłumaczyć. – Zaproponowała, że mnie podwiezie.

– Wiem, że okolice dworu nie są całkiem bezpieczne w ciemnościach – dodała panna Terwiliger. – Przyda mi się towarzystwo.

– Proszę zaczekać, za niecałą godzinę wszędzie słońce – radził strażnik.

– Nie mam czasu – odparła. – Muszę zdążyć na samolot.

Tak jak przewidywał Adrian, strażnicy dokładnie przeszukali samochód. Usłyszałam, jak jeden z nich szepcze do kolegi:

– Upewnij się, że nie ma pasażerów na gapę.

Czułam rosnący niepokój i odkryłam ze zdziwieniem, że zdenerwowana macham ogonem.

Nagle ujrzałam przed sobą twarz dampira. Cmoknął do mnie.

– Kici, kici.

Nie zareagowałam, obawiając się, że mogę niechcący prychnąć.

W końcu nas puścili i po chwili znaleźliśmy się na drodze, oddalając się od miejsca, które przez ostatni miesiąc było moim schronieniem i więzieniem zarazem. Panna Terwiliger

prowadziła nieprzerwanie przez jakieś pół godziny, a potem skręciła w boczną drogę. Zaparkowała i natychmiast otworzyła klatkę, żeby mogła wydostać się na zewnątrz. Na tylnym siedzeniu położyła moje ubranie. Widziałam za jej plecami szarzejące niebo.

– Powinnaś była powiedzieć ci wcześniej... – zaczęła, siadając z przodu. – Dużo łatwiej jest poddać się temu zaklęciu, niż się z niego uwolnić.

ROZDZIAŁ 3

Adrian

PO WYJEŹDZIE SYDNEY minuty ciągnęły się jak godziny.

Przemierzałem maleńki apartament wzdłuż i szerz ze ściśniętym sercem. W myślach przygotowywałem się na najgorsze. W każdej chwili mogłem dostać wiadomość, że nasz plan się nie powiodł i strażnicy zatrzymali Sydney podczas próby ucieczki.

– Musisz tak krążyć, skarbie? – nie wytrzymała mama. – Denerwujesz zwierzęta.

Przystanąłem i spojrzałem na pana Bojanglesa. Nie spuszczał oka ze Skoczusia – małego magicznego smoka, którego Sydney przywołała czarami w tym roku. Skoczuszek zazwyczaj zachowywał się jak domowe zwierzątko i teraz wpatrywał się w kota z równą fascynacją.

– To nie ja, mamó. One same...

Przerwał mi sygnał telefonu. Podbiegłem do niego, wzbudzając niepokój kota i smoka. Wiadomość na ekranie była jasna i zwięzła. *Opuściliśmy dwór. Wszystko w porządku* – napisał Eddie.

Czy wciąż jestem mężem kotki?

Tak – przyszła odpowiedź. I po chwili następna: *Ale panna T. przysięga, że tylko przejściowo.*

Trochę się rozluźniłem. Napisałem: *Daj mi znać, kiedy ona wróci.*

Dwadzieścia minut później nadeszła nowa wiadomość, tym razem od Sydney: *Wróciłam do ludzkiej postaci. Wydaje się, że wszystko jest normalnie.*

Wszystko? – upewniałem się.

No, poza obcym mi do tej pory impulsem do ściągania wskaźników laserowych – odpisała.

Jeśli to jest najgorszy skutek uboczny, niech sobie będzie. Pisz o wszystkim. Kocham Cię.

Miau też – odpowiedziała. I po chwili dodała: *Miałam napisać, że ja Ciebie też.*

Odkładałem telefon z uśmiechem, ale daleko mi było do przekonania, że wszystko jest w porządku. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nie wyjaśniliśmy sobie z Sydney wszystkiego. Poza tym kto wie, jakim niebezpieczeństwem będzie musiała stawić czoło w tej podróży. Opuściła dwór... który zapewniał nam schronienie.

Grozi jej coś tylko wtedy, gdy ktoś się zorientuje, że wyjechała – upomniał mnie głos ciotki Tatiany, który rzadko bywał naprawdę pomocny. *Dopóki nikt jej nie szuka – i nie zostanie rozpoznana – jest bezpieczna. Nie zepsuj tego.*

Jasne – zgodziłem się. – *Nikt nie ma powodu podejrzewać, że jej tu nie ma. Sydney nigdy nie wychodzi z domu, a rzadko kto nas odwiedza.*

Oczywiście ktoś nas odwiedził jeszcze tego samego dnia.

Na szczęście nie był to oddział strażników żądających wydania miejsca pobytu Sydney. Przed drzwiami stała Sonia Karp. Uśmiechnęła się na mój widok. Jeśli poczułem ulgę, niepokój ciotki Tatiany natychmiast sprowadził mnie do pionu.

Tylko się przed nią nie wygadaj! – syknęła.

Sonia jest naszą przyjaciółką – odparowałem w myślach.

To jej nie uspokoiło.

I co z tego? Nikt nie może wiedzieć o wyjeździe Sydney, nawet wasz największy przyjaciel. Wystarczy jedno słowo za dużo, choćby w dobrej intencji. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej.

Poczułem ukłucie lęku i zrozumiałem, że ma rację. Podczas gdy prowadziłem konwersację ze zjawą, szczery uśmiech Soni ustąpił miejsca zaciekawieniu.

– Dobrze się czujesz, Adrian? – spytała.

– Ależ tak – zapewniłem, zapraszając ją gestem do środka. – Jestem tylko zmęczony. Miałem ciężki poranek. – Wskazałem swoją twarz, która wciąż nosiła ślady potyczki z Wesleyem i jego bandą.

Sonia zareagowała tak jak się spodziewałem. Bardzo się zmartwiła.

– Co się stało?

– To co zwykle. Kilku idiotów zazdrości mi, bo ożeniłem się z najseksowniejszą kobietą w okolicy.

– Gdzie ona jest? – spytała Sonia, rozglądając się po pustym pokoju. – A twoja mama?

– Poszła się położyć – wyjaśniłem. – A Sydney... wyszła na spacer.

Sonia spojrzała na mnie bystro.

– Spaceruje po tym, jak cię napadnięto?

– Jest dzień, nie ma zagrożenia. Poza tym... Neil jej towarzyszy. – Chciałem powiedzieć Eddie, ale Sonia mogła już wiedzieć o jego wyjeździe. Przy moim szczęściu lada chwila powinien zjawić się Neil i wszystko zepsuć. – Musiała zaczerpnąć świeżego powietrza – dodałem, bo Sonia patrzyła na mnie z powątpiewaniem. – Cały czas przebywa w zamknięciu i zaczyna ją to męczyć. – Przynajmniej w tej kwestii nie kłamałem.

Sonia przytrzymała mój wzrok jeszcze przez chwilę, a potem odpuściła. Moja aura i język ciała zapewne sugerowały nieszczerość, ale było mało prawdopodobne, że odgadnie, iż Sydney zamieniła się w kota i w tej postaci została wywieziona za dworską bramę na poszukiwania Jill.

– Cóż, przyszedłam do ciebie – powiedziała w końcu Sonia. – Jest coś, a raczej ktoś, o kim musimy pogadać.

Usiadłem przy kuchennym stole i zaprosiłem ją gestem, by zrobiła to samo. Chciała o kimś pogadać? Proszę bardzo, pod warunkiem, że nie chodziło o Sydney.

– O kim? – spytałem.

– O Charlotte Sinclair.

Wzdrygnąłem się. Kwestia Charlotte nie była tak problematyczna jak Sydney, ale nie miałem najmniejszej ochoty poruszać jej tematu. Posiadała moc ducha tak jak ja. Kiedy Sydney przebywała w ośrodku alchemików, bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Niestety, okazało się, że dziewczynie zależało na czymś więcej niż na przyjaźni i za dużo sobie obiecywała po naszym związku. Źle przyjęła prawdę, a poczuła się jeszcze gorzej na wieść, że ożeniłem się z człowiekiem. W tych rzadkich chwilach, gdy ją widywałem po powrocie na dwór, nieustannie przypominało mi się stare powiedzenie: „Gdyby wzrok mógł zabijać...”.

– A dokładnie? – spytałem ostrożnie. – Wciąż dla ciebie pracuje?

Sonia kierowała projektem mającym na celu wykorzystanie mocy ducha w zapobieganiu przemianie w strzygi. Charlotte wiele dokonała na tym polu, przywracając do życia swoją siostrę Olive. W kilkusobowej grupie nasyciliśmy magią ducha krew Neila i stworzyliśmy szczepionkę, która od tej pory chroniła go przed przemianą. Sukces Soni był jednak krótkotrwały, ponieważ nie potrafiła powtórzyć tego zabiegu. Mimo wszystko się nie poddawała.

– Teoretycznie tak, ale w rzeczywistości jej praca już od dawna nie przynosi żadnych efektów. – Sonia spochmurniała. – Charlotte... jakby się ostatnio zawiesiła.

Parsknąłem śmiechem.

– Władamy mocą ducha. Ciągle tkwimy w zawieszaniu!

Soni to jednak nie bawiło.

– Nie o to chodzi. Gdybyś ją zobaczył... zrozumiałbyś, o czym mówię. Odesłałam ją

wczoraj do domu, bo mówiła bez sensu. Wyglądała, jakby nie spała od tygodni. Tylko raz widziałam osobę władającą mocą ducha w równie złym stanie... Gdy rozmawiałam z Avery Lazar.

Zaniepokoiłem się. Avery, jedna z nas, władających mocą ducha, przebywała obecnie na oddziale psychiatrycznym morojskiego więzienia.

– Avery nadużywała tej mocy – przypomniałem. Wskreszenie Jill sporo mnie kosztowało. Na jakiś czas w ogóle straciłem moc, ale zrobiłem to tylko raz. Avery przesadzała tak bardzo, że jej umysł w końcu odmówił współpracy. – Charlotte musiałyby poważnie się na naprawdę niebezpieczne eksperymenty, żeby skończyć tak jak ona.

– Mam takie podejrzania – mruknęła ponuro Sonia.

– Że poszukuje bratniej duszy z pocałunkiem cienia?

– No nie... ale może poważnie nadużywać swojej mocy i to od dłuższego czasu. Kiedy ją o to pytam, wykręca się albo zaczyna mówić od rzeczy. – Sonia westchnęła. – Martwię się o nią, Adrian. Charlotte potrzebuje pomocy, ale nie chce ze mną o tym rozmawiać.

Zapadła pełna napięcia cisza i nagle zrozumiałem, do czego zmierza Sonia.

– Myślisz, że ze mną porozmawia?

Sonia wzruszyła ramionami.

– Nikt poza tobą nie przychodzi mi do głowy.

– Wykluczone! – zawołałem. – Wściekła się, gdy odrzuciłem jej względy. Jeśli naprawdę potrzebuje teraz pomocy, z pewnością nie przyjmie jej ode mnie. Poproś kogoś innego.

– Niby kogo? Jej siostra jeszcze się nie odnalazła. Wiedziałeś, że Charlotte zrezygnowała z pracy w biurze? A właściwie... została zwolniona, tak sądzę, chociaż nie powiedziała tego wprost. O ile wiem, tylko nas dwoje obchodzi jej los. Musimy interweniować i jakoś jej pomóc.

– Nie będzie chciała ze mną rozmawiać – zastrzegłem.

Sonia przesunęła ręką po kasztanowych włosach.

– Możesz się zdziwić. Nawet jeśli... wam się nie udało... Charlotte z pewnością czuła się z tobą związana. Proszę cię, Adrian. Przynajmniej spróbuj. Jeśli cię odprawi z kwitkiem, trudno. Nie będę więcej nalegać.

Zamierzałem obstawać przy swoim, ale powstrzymał mnie wyraz twarzy Soni. Była naprawdę zatroskana. Słyszałem to w jej głosie i widziałem w oczach... Nawet jej aura wyrażała niepokój. Znałem Sonię, nie prosiłaby mnie, gdyby nie uważała, że dzieje się coś niedobrego. Poza tym to ona sama radziła mi trzymać się z dala od Charlotte przez wzgląd na jej uczucia.

Zerknąłem na zegar. Zrobiło się późno. Większość morojów kładła się spać.

– Czy to może poczekać do jutra?

Zastanowiła się chwilę i pokiwała głową.

– Na pewno. Chociaż nie sądzę, by Charlotte kładła się już spać. Ale rozsądniej będzie zaczekać na Sydney. Neil będzie mógł pójść z tobą.

I znów omal nie wygadałem, że Sydney jest z Eddiem. Na szczęście w porę ugryzłem się w język. Stwierdziłem, że powinienem jak najszybciej skontaktować się z Neilem, żeby uzgodnić wspólną wersję. Musieliśmy być bardzo ostrożni, by nie pogmatwać sytuacji. To jest właśnie najgorsze w kłamstwie: rzadko udaje się bez komplikacji.

– W porządku – rzuciłem, wstając tak jak Sonia. – Dam znać, jak mi poszło.

– Dziękuję. Wiem, że to nie jest... – Nie dokończyła, bo do pokoju właśnie wpadł pan Bojangles, a za nim pędził Skoczuś. Sonia zwróciła się do mnie z zaciekawieniem. – Od kiedy macie kota?

– Szczerze mówiąc, od dzisiaj. Jackie Terwiliger... Pamiętasz dawną nauczycielkę Sydney? Zostawiła nam go.

Sonia najwyraźniej nie miała o niczym pojęcia.

– Była tutaj? Na dworze? Jak długo?

– Krótko – odparłem, żałując, że w ogóle o niej wspomniałem. – Wpadła sprawdzić, co u Sydney.

– Taka wizyta wymaga sporo przygotowań. Mogła przecież zadzwonić.

Bardzo się starałem zachować kamienny wyraz twarzy.

– Tak, ale wówczas nie mogłaby nam podarować kota. Spóźniony prezent ślubny.

– Adrian... – Sonia użyła tonu, którym musiała dręczyć niezliczone rzesze swoich uczniów, w czasach gdy była nauczycielką biologii w liceum. – Co przede mną ukrywasz?

– Ależ nic – zapewniłem, prowadząc ją do drzwi. – Spokojnie, wszystko jest w porządku. Martw się lepiej, żeby Charlotte od razu nie odprawiła mnie z kwitkiem.

– Adrian...

– Wszystko jest dobrze – dodałem rażno i otworzyłem drzwi. – Miło, że wpadłaś. Pozdrów ode mnie Michaiła.

Mina Soni mówiła wyraźnie, że w żadnym razie nie przekonałem jej o szczerości swoich słów, ale przynajmniej tymczasem nie zamierzała mnie sprawdzać. Pożegnaliśmy się i odetchnąłem z ulgą, kiedy wyszła. Miałem nadzieję, że już nikt nie będzie mnie wypytywał o powód nieobecności Sydney.

Zaraz potem się położyłem. W środku dnia obudził mnie esemes od Sydney. Donosiła, że razem z Eddiem i Jackie dotarli do Pittsburgha, ale do muzeum zamierzali wejść dopiero po zmroku. Zapewniała, że wszystko jest w porządku, a ja odpisałem, że u nas także. Uznałem, że lepiej nie mówić o moim zamiarze przeprowadzenia rozmowy z szaloną dziewczyną, która albo mnie kochała, albo nienawidziła. Sydney miała dość własnych zmartwień.

Później, w ciągu dnia, gdy królewski dwór zaczął się budzić, udało mi się złapać Neila i namówić go, by poszedł ze mną do Charlotte. Było jeszcze wcześniej, prawie nikogo nie spotkaliśmy po drodze, lecz uznałem, że lepiej zawczasu zadbać o bezpieczeństwo. Neil zgodził się mi pomóc z poczucia obowiązku, ale wiedziałem, że i jemu zależało na spotkaniu z dziewczyną. Parę miesięcy wcześniej zakochał się z wzajemnością w jej siostrze, Olive. Nie wiedzieliśmy, czy łączyło ich coś poważniejszego. Neil stracił z Olive kontakt po jej wyjeździe. Dziewczyna rzadko odzywała się nawet do Charlotte i nie sądziłem, by ta wiedziała, gdzie dokładnie przebywa jej siostra, ale Neil miał nadzieję uzyskać jakieś informacje.

Dochodziła szósta, a późne letnie słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie, gdy dotarliśmy pod drzwi Charlotte. Mieszkała w jednym ze skromnych lokali przeznaczonych dla pracowników dworskich (albo byłych pracowników, jak się okazało), daleko od eleganckich rezydencji zajmowanych przez arystokratów pokroju mojego ojca. Wziąłem głęboki oddech, wpatrując się w drzwi i zbierając się na odwagę.

– Nie będzie łatwiej, jeśli próbujesz to odkładać – zauważył bez sensu Neil.

– Wiem.

Zapukałem dwa razy, życząc sobie w myślach, żeby Charlotte spała albo by jej nie było. Wtedy mógłbym uczciwie zgłosić Soni, że próbowałem. Niestety, otworzyła niemal natychmiast, jakby czekała pod drzwiami.

– Witaj, Adrian – powitała mnie chłodno, a spojrzenie jej szarych oczu zaraz powędrowało dalej. – Neil.

Skinął jej głową na powitanie, a ja przyglądałem się Charlotte osłupiały. Nie pochodziła z bogatej arystokratycznej rodziny, ale była piękna i zawsze wyglądała nieskazitelnie.

Przynajmniej kiedyś.

Tamta Charlotte, którą znałem, znikła bez śladu. Jej ciemne loki domagały się szczotki.

I umycia. Pomięta niebieska spódniczka nie pasowała do pomarańczowej podkoszulki, na którą Charlotte narzuciła szary kardigan przełożony na lewą stronę. Na jednej stopie miała białą skarpetkę do kostek. Druga skarpetka, w biało-czerwone paski, sięgała kolana.

A jednak to nie dziwaczne szczegóły garderoby zaniepokoiły mnie najbardziej, a wyraz jej twarzy. Sonia nie przesadzała. Dostrzegłem ciemne kręgi pod oczami Charlotte. Jej oczy patrzyły bystro, niemal świdrująco, ale płonęły gorączką. Takim wzrokiem patrzyli władający mocą ducha, którzy stali na krawędzi. Widziałem go już u Avery Lazar.

– Cześć, Charlotte. Możemy wejść? – zapytałem, głośno przełykając ślinę.

Zmrużyła oczy.

– Po co? Chcesz mi powiedzieć, że do siebie nie pasujemy? Że między nami nic nigdy nie będzie? Cóż, nie jestem człowiekiem, a ty najwyraźniej wybierasz osoby, które jednocześnie służą ci jako posiłek.

Ogarnął mnie gniew, ale szybko przypomniałem sobie, że Charlotte jest chora.

– Przepraszam za to, co powiedziałem. Naprawdę mi przykro. Poznałem Sydney długo przed poznaniem ciebie. Ale nie o tym przyszedłem rozmawiać. Wpuść nas, proszę.

Charlotte wpatrywała się we mnie bez słowa dłuższą chwilę, a ja skorzystałem z okazji, żeby przywołać ducha i obejrzeć jej aurę. Podobnie jak światło otaczające wczoraj Lissę, aura Charlotte była przesycona bladą żółtą poświatą osoby władającej mocą ducha. Jednak inaczej niż w przypadku władczyni aura Charlotte nie płonęła jasno, była słaba i niemal rozmyta. Inne kolory również wyglądały blado, migotały i raz po raz gasły.

– Dobrze – ustąpiła w końcu.

Odsunęła się na bok i przepuściła nas. Stan mieszkania dziewczyny wydawał się równie niepokojący jak jej wygląd. Przychodziłem tam wcześniej, kiedy często wychodziliśmy razem na imprezy. Charlotte bardzo się starała, by maleńkie mieszkanko, w którym sypialnia i pokój dzienny stanowiły jedno, było schludne i ładnie urządzone. Skoro jednak przestała dbać o swój wygląd, także mieszkanie wyraźnie sobie odpuściła.

W kuchennym zlewie piętrzyły się brudne, cuchnące naczynia, krążyło nad nimi kilka leniwych much. Brudna odzież, książki i puszki po napojach energetyzujących leżały dosłownie wszędzie – na stołach, na podłodze, nawet na łóżku. Najdziwniejsza jednak była sterta czasopism na podłodze oraz plik podartych kartek tuż obok.

– Dobrze sypiasz? – spytałem, nie mogąc się powstrzymać.

– Źle – odparła, splatając ręce z tyłu. – Wcale nie sypiam. Nie mam czasu. Nie mogę ryzykować.

– Musisz czasem sypiać – wtrącił rozsądnie Neil.

Charlotte gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie mogę! Muszę szukać Olive. Właściwie już ją znalazłam. W pewnym sensie. Zależy, jak na to spojrzeć. Ale nie mogę do niej dotrzeć, rozumiesz? W tym problem. Dlatego ciągle próbuję. I nie mogę spać. Rozumiesz?

Nie rozumiałem, lecz Neil wstrzymał oddech na dźwięk imienia Olive.

– Odnalazłaś ją? Wiesz, gdzie jest? – wykrztusił.

– Nie – odparła Charlotte z lekką irytacją. – Przecież mówię.

Nieoczekiwanie przycupnęła na podłodze tuż obok sterty czasopism. Wybrała jedno na chybił trafił i zaczęła je drzeć, kartka po kartce, na maleńkie kawałeczki, tworząc kupkę śmieci.

– Co robisz? – spytałem.

– Myślę – odparła.

– Dlaczego drzesz te gazety?

– To mi pomaga myśleć – wyjaśniła.

Spojrzeliśmy na siebie z Neilem.

– Charlotte – zacząłem ostrożnie. – Może powinnaś pójść do lekarza. Neil i ja możemy ci towarzyszyć, jeśli chcesz.

– Nie mogę – sprzeciwiła się, nadal metodycznie rwąc kartki. – Najpierw muszę dotrzeć do Olive.

Kucnąłem obok niej, żałując, że nie wiem, jak rozmawiać z kimś tak rozchwytanym emocjonalnie. Choć można by sądzić, że powinienem już być ekspertem w tej kwestii.

– W jaki sposób próbujesz się z nią kontaktować? Telefonicznie?

– W snach – powiedziała Charlotte. – I udało mi się. Parę razy. Potem mnie zablokowała. Obróciła sen przeciwko mnie. Próbuję to zwalczyć, ale nie jestem w stanie.

Widziałem po minie Neila, że spodziewa się, iż ja to zrozumieję. Tymczasem nie miałem pojęcia, o czym ona mówi. Ktoś szczególnie oporny rzeczywiście mógł utrudniać władającemu duchem nawiązanie kontaktu we śnie, ale reszta jej paplaniny nie miała sensu.

– Olive nie włada mocą ducha – zauważyłem. – Nie może manipulować snem bez twojego pozwolenia. To ty sprawujesz kontrolę.

– Może, może. – Charlotte zaczęła rwać papier ze zdwojoną energią. – Za każdym razem, kiedy próbuję z nią rozmawiać, rzuca jakąś przeszkodę! Rzeczy, które nie przysłyby mi do głowy. Jej koszmary, moje koszmary, cudze. Walczę z nimi. Naprawdę z nimi walczę. Ale to pochłania wiele mocy ducha. – Nagle znieruchomiała i zapatrzyła się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. – To wyczerpujące. A kiedy już uporam się z przeszkodą, Olive znika. Budzi się i nie mogę z nią porozmawiać. Nie mogę zapytać, dlaczego mnie zostawiła. Ty wiesz? – Charlotte przeniosła wzrok na Neila. – Wiesz, dlaczego wyjechała?

– Nie – odpowiedziałem łagodnie. – Wiem tylko, że potrzebujesz długiego wypoczynku. – Chciałem położyć jej rękę na ramieniu, ale się odsunęła. Oczy dziewczyny błyszczały gniewnie.

– Przestań mnie dręczyć – rozkazała niskim głosem. – Nie przychodź tutaj, żeby udawać mojego przyjaciela.

– Jestem twoim przyjacielem, Charlotte. Nieważne, co się stało czy też co się nie stało między nami. Jestem twoim przyjacielem. Chcę ci pomóc.

Jej gniew w jednej chwili przerodził się w rozpacz.

– Nikt nie może mi pomóc. Nikt... Zaczekaj. – Nieoczekiwanie chwyciła mnie za ramię, zaciskając na nim palce z zadziwiająco i nieprzyjemną siłą. – Może jednak potrafisz. Jesteś najlepszy w śnieniu. Pójdź ze mną następnym razem, gdy będę odwiedzała Olive. Wtedy zobaczysz, przekonasz się, że to ona kontroluje sen! Jeśli połączymy nasze moce, będziemy wystarczająco silni, żeby ją zatrzymać! Uda nam się z nią porozmawiać!

Pokręciłem głową.

– Charlotte, to niemożliwe, żeby ona...

Jej palce mocniej wbiły się w moje ramię.

– Ależ tak, Adrian! Chodź ze mną, a zobaczysz.

Zastanawiałem się. Charlotte miała rację – byłem najlepszy w śnieniu (przynajmniej wedle naszej wiedzy) i nigdy nie spotkałem kogoś niewładającego mocą ducha, kto umiałby manipulować snem. Tymczasem Charlotte twierdziła, że Olive to potrafi i uniemożliwia jej nawiązanie kontaktu. Nie powiedziałem tego głośno, lecz przyszło mi do głowy, że Charlotte traciła kontrolę nad snami wskutek nadużywania swojej mocy. To by wyjaśniało, dlaczego nie mogła porozumieć się z siostrą we śnie. Ostatecznie obarczyła winą Olive.

Tak, ale na co zużywałaby tyle mocy ducha? – wtrąciła się ciotka Tatiana.

Dobre pytanie. Przyglądając się Charlotte, która wyraźnie się pogubiła, nie umiałem na

nie odpowiedzieć. Nawet gdyby codziennie próbowała kontaktować się z Olive we śnie, nie mogła doprowadzić się do tak opłakanego stanu. Na co jeszcze zużywała magię? A może skumulowały się różne czynniki? Dodajmy do tego osobisty stres wywołany zniknięciem siostry i odrzuceniem z mojej strony...

– Adrian? – usłyszałem niepewny głos Neila. – Czy przynajmniej spróbujesz jej pomóc?

Nie wiedział, o czym myślę, i uznał, że zamierzam odmówić. Tymczasem ja po prostu nie miałem pojęcia, co mogę zrobić. Poza tym Charlotte potrzebowała czegoś znacznie więcej niż rady specjalisty od magicznych snów. Ktoś powinien jej pomóc poukładać własne życie.

– Dobrze – odezwałem się w końcu. – Pomogę ci nawiązać z nią kontakt we śnie, ale tylko jeśli się trochę prześpisz.

Charlotte natychmiast się sprzeciwiła.

– Nie mogę. Jestem zbyt podekscytowana. Muszę szukać dalej. Muszę...

– Pójdiesz spać – oznajmiłem. – Zaraz sprowadzę tu Sonię. Poda ci jakiś środek nasenny, a ty go zażyjesz. Potem zaśniesz.

– Później. Teraz musimy skontaktować się z Olive. Budzi się i zasypia w porach ludzkich. Wkrótce się położy, więc nie mogę teraz zasnąć. Porozmawiamy z nią i...

– Nie ma mowy. – Powiedziałem to najbardziej stanowczym i surowym tonem, na jaki mnie było stać. – Czekala tak długo, to może poczekać jeszcze trochę. Najpierw odpoczniesz. Na litość boską, Charlotte! Jesteś...

– No jaka!? – Jej oczy płonęły. – Rozbita? Brzydka? Niewystarczająco dobra dla ciebie?

– Wykończona. – Westchnąłem. – Proszę, pozwól mi zadzwonić do Soni. Dzisiaj pójdiesz spać, a jutro poszukamy razem Olive. Wypoczęta lepiej sobie poradzisz z przełamaniem jej oporów.

Sam w to nie wierzyłem, ale udało mi się ją przekonać. W końcu się poddała.

– Dobrze – zgodziła się. – Możesz zadzwonić do Soni.

Zadzwoniłem. Sonia ucieszyła się, że cokolwiek wskórałem, choć nie było to wiele. Powiedziała, że przyniesie Charlotte środki nasenne, a ja obiecałem, że na nią poczekam. Kiedy się rozłączyłem, Charlotte powróciła do rwania papieru, nucąc *Sweet Caroline*.

– Ładnie z twojej strony, że jej pomagasz – mruknął Neil, podchodząc do mnie. – Sen dobrze jej robi. Bardzo się cieszę, że próbujesz nawiązać kontakt z Olive. Oczywiście rozumiem, że nie zdecydowałaś się na to z mojego powodu.

– Dlaczego nie? Wszystkie powody są ważne. – Staralem się mówić lekkim tonem, nie okazując, jak bardzo zaniepokoił mnie stan Charlotte. Gdybym miał być szczery – nie robiłem tego tylko dla Neila, Soni czy Charlotte. Kiedy patrzyłem, jak siedzi, nucąc coś pod nosem, błędząc gdzieś myślami... cóż, nietrudno było mi wyobrazić sobie na jej miejscu siebie. I gdyby do tego doszło, miałem rozpaczliwą nadzieję, że mnie również ktoś przyszedłby z pomocą.

ROZDZIAŁ 4

Sydney

NIE POLECAM PRZEMIANY W KOTA.

Właściwie samo doświadczenie bycia kotem nie jest takie złe. Ale powrót? Ohyda. Czułam się rozdarta na dwoje. Moje kości i skóra nienaturalnie naciągały się i naprężyły, a po wszystkim czułam się obolała i posiniaczona jak w dzieciństwie, gdy spadłam ze schodów. Zbierało mi się na mdłości i w przyptywie paniki czułam, że zwymiotuję. Wymuszone torsje stanowiły jedną z wielu kar w ośrodku reedukacyjnym alchemików, co uruchomiło falę niechcianych wspomnień. Na szczęście dolegliwości szybko minęły i znów poczułam się sobą.

– Jakieś trzydzieści kilometrów stąd podają świetną kawę – oznajmiła panna Terwiliger, gdy usadowiłam się w fotelu i zapięłam pas. – Zatrzymamy się tam i zatankujemy przed dalszą drogą do Pittsburgha.

Kiwnęłam głową na zgodę, wysłałam esemesa do Adriana i rozprostowałam nogi, wciąż czując dyskomfort. Na siedzeniu obok mnie leżało drewniane pudełko przywiezione przez pannę Terwiliger. Wzięłam je do ręki, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Po zdjęciu zaklęcia z pieczęci nie pozostało w nim nic szczególnego. Minął miesiąc od zniknięcia Jill i powstało już mnóstwo spekulacji na temat sprawców jej porwania. Najczęściej podejrzewano morojskich dysydentów, przeciwnych panowaniu Lissy. Skoro jednak mieliśmy do czynienia z ludzką magią, dotychczasowe teorie wzięły w łeb. Byłam jedynym znanym nam człowiekiem parającym się magią i współpracującym z morojami.

Mogłam tylko żywić nadzieję, że część odpowiedzi czeka na nas w muzeum, choć wydawało się to wielce nieprawdopodobne. W pudełku wciąż leżała ulotka, na której wypisano: ZABAWMY SIĘ, SYDNEY.

Wypiliśmy kawę i dalsza podróż minęła nam bez komplikacji. Doprawdy byłaby to miła wycieczka, gdyby nie fakt, że wszyscy troje umieraliśmy z niepokoju. Martwiłam się, że Adrian zrobi jakieś głupstwo. Obawiałam się również o Jill, podobnie jak Eddie. Nowy trop nie poprawił mu samopoczucia, przeciwnie, spotęgował jego obawy. Przez całą drogę wypowiedział może parę słów. Pokonaliśmy dystans całkiem sprawnie i późnym popołudniem zaparkowaliśmy przed Muzeum Robotów w Pittsburghu. Malowany ręcznie szyld głosił, że to przybytek „światowej sławy”, ale nigdy o nim nie słyszeliśmy. Sądząc po pustym parkingu, nie tylko my.

– Zwykle jest tu tłoczniej w weekendy – wyjaśnił kasjer w okienku.

Kupiliśmy trzy bilety i weszliśmy do środka.

– Proszę wejść, proszę wejść – recytował robot stojący przy wejściu. Nie poruszał się. W wielu miejscach był oklejony taśmą. W rękach trzymał długi prostokątny znak powitania.

Całe muzeum stanowiło jedną galerię, w której ustawiono roboty wykorzystywane w celach rozrywkowych i przemysłowych. Większość tkwiła nieruchomo, ale kilka poruszało się, między innymi minilinia montażowa, przy której automat testował jakość produktów. Na zapętłonej taśmie transportowej krążyły ceramiczne kubki. Zatrzymywały się przy urządzeniu skanującym, w którym następnie zapalało się czerwone lub zielone światło informujące o ewentualnych wadach produktu.

Sąsiednia sala była poświęcona historii robotyki. Informacje podano na ścianach. Ujęło mnie to, że uwzględniono pierwsze roboty występujące w mitologii, automaty służące greckiemu

bogowi Hefajstosowi. Głównie jednak skupiono się na rozwoju robotyki w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku. Na końcu postawiono pytanie: „PRZYSZŁOŚĆ???”.

Znaki zapytania skojarzyły mi się z własnym losem. Jaka będzie moja przyszłość? Czy uda mi się podjąć studia i podróżować po świecie, spełniając od dawna pielęgnowane marzenia? A może moje życie pozostanie na zawsze ograniczone do ciasnego mieszkania w otoczeniu wampirów? Może powinnam się pogodzić z koniecznością wiecznego ukrywania się...

– Sydney?

Głos panny Terwiliger wyrwał mnie z rozmyślań w sali poświęconej historii. Wróciłam do głównej galerii. Oboje z Eddiem stali przed wielką szklaną gablotą, w której umieszczono coś na kształt metalowego dinozaura dwukrotnie wyższego ode mnie. Poznałam go, jego zdjęcie znalazło się w przesyłce. Panna Terwiliger oparła rękę na szybie.

– Czujesz to? – spytała.

Przyłożyłam obok swoją dłoń i czekałam. Po kilku sekundach poczułam wibrowanie. Eddie zrobił to samo co my.

– Nic nie czuję – oświadczył, cofając rękę.

– Gablota jest zaczarowana – wyjaśniła panna Terwiliger, robiąc krok w tył.

– Wyczuwa pani coś jeszcze? – spytałam.

Za sprawą większego doświadczenia była bardziej wrażliwa na tego rodzaju zjawiska.

– Nie. Muszę to otworzyć.

W gablocie zainstalowano mały metalowy zamek, który mogliśmy zapewne otworzyć odpowiednimi zakłęciami. Nie dostrzegłam żadnych urządzeń alarmowych i szczerze mówiąc, wcale mnie to nie zdziwiło. Coś mi podpowiadało, że w tym miejscu na próżno by szukać zaawansowanej technologii. To był paradoks. Nie zainstalowano nawet klimatyzacji. Wewnątrz było gorąco i duszno, kilka zasłoniętych okien zapewniało słabą wentylację.

– Ach... – Kasjer szedł w naszą stronę. Pewnie się nudził w pracy. – Widzę, że podziwiacie Gadobota.

Spojrzałam na metalowe kły i czerwone ślepia.

– Nie tylko – odparłam szczerze.

– Jesteście fanami tego filmu? – dopytywał.

– Jakiego filmu? – zdziwiłam się.

– *Gadobot na wolności* – wyjaśnił kasjer.

– Tak – rzucił z ociąganiem Eddie. Panna Terwiliger i ja spojrzaliśmy na niego ze zdumieniem, a on się zarumienił. – No co? To... fantastyczny film. Oglądałem go z Micahem i Treyem.

Mężczyzna ochoczo mu przytaknął.

– Film opowiada o pewnym naukowcu, którego żona umiera na nieuleczalną chorobę. Tuż przed jej śmiercią mąż buduje robota gada i przenosi do niego jej duszę. Niestety, sytuacja nieoczekiwanie wymyka się spod kontroli, gdy ona zaczyna mordować wszystkich wokół.

– To nie było nieoczekiwane – sprzeciwiłam się. – Po co w ogóle budował dla niej ciało dinozaura? Nie mógł wymyślić czegoś bardziej ludzkiego? Albo chociaż jakiegoś przyjaznego zwierzęcia?

– Wtedy nie byłoby tematu na film – zauważył Eddie.

– A jednak warto zadbać o bardziej realistyczne tło... – powiedziałam.

Eddie uśmiechnął się kpiąco, a ja uświadomiłam sobie, że od chwili porwania Jill miał niezmiennie ponurą minę.

– Nie sądzę, by ktoś, kto wybiera się na film pod tytułem *Gadobot na wolności*, liczył na realistyczne tło – odparł.

Kasjer był wyraźnie urażony.

– Co pan sugeruje? To był kawał dobrego kina. Kiedy wyjdzie część druga, ludzie będą się ustawiać w kolejce, żeby obejrzeć tę wystawę!

– Część druga? – spytaliśmy z Eddiem jednocześnie.

Panna Terwiliger chrząknęła.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale do której jest otwarte muzeum?

– Do piątej – odparł kasjer, który wciąż się dąsał, że nie okazałam Gadobotowi należnego szacunku.

– Dziękuję – odparła. – Chyba widzieliśmy już wszystko. Było nam bardzo miło. Chodźmy.

Zaintrygowani jej zachowaniem wyszliśmy z muzeum, ale milczeliśmy do chwili, gdy wszyscy znaleźliśmy się z powrotem w wozie.

– O co chodzi? – spytałam.

– Musimy tu wrócić w nocy, gdy muzeum będzie zamknięte, i stłuc tę gablotę – odparła lekkim tonem, jakby wcale nie proponowała nam włamania. – Uznałam, że nie ma sensu tam się dłużej kręcić. Jeszcze by nas zapamiętano.

– I tak pewnie byliśmy dziś jedynymi gośćmi – zauważyłam. – Zapamięta nas, zwłaszcza że jedno z nas zachwyciło się *Gadobotem na wolności*.

– Hej! – zaperzył się Eddie. – Nie osądzaj czegoś, czego nie widziałas.

Wjechaliśmy do Pittsburgha i ulokowaliśmy się w hotelu, skoro najprawdopodobniej mieliśmy spędzić noc w mieście. W pobliżu znajdowało się kilka restauracji. Wybraliśmy przyjemny lokal na obiad, żeby poudawać, iż prowadzimy normalne życie.

Eddie był niespokojny. Po obiedzie zaproponował mi spacer, co wydawało się dobrym pomysłem. Historyczna część miasta prezentowała się interesująco, w dodatku był idealny letni wieczór, ciepły, z lekką bryzą. I wtedy pomyślałam o alchemikach. O tym, że mogą mnie odnaleźć i znów zamknąć gdzieś, zmuszać do powtarzania ich sloganów i przechodzenia tortur. Poczulałam ściskanie w klatce piersiowej i odmówiłam ruchem głowy.

– Wolę poczekać w pokoju, zanim będziemy mogli wrócić do muzeum.

– Nie wiedzą, że tu jesteś – mruknął łagodnie Eddie, przyglądając mi się uważnie. – Zresztą nie pozwoliłbym im się do ciebie zbliżyć.

Potrząsnęłam głową.

– Lepiej nie ryzykować.

Po zapadnięciu zmroku pojechaliśmy do Muzeum Robotów. Zaparkowaliśmy kilka domów dalej i pokonaliśmy resztę drogi pieszo. Na wszystkie okna i drzwi założono metalowe kraty, napis ostrzegał o alarmie.

– Nie widzę nigdzie instalacji alarmowej – oznajmił Eddie po uważnej inspekcji. – Przeciwnie, jedno z zakratowanych okien jest otwarte, pewnie w ten sposób wietrzą to pomieszczenie. – Była noc, ale na zewnątrz wciąż panowały upał i wilgoć.

– W środku nie zauważyłam kamer, tutaj też żadnej nie widzę – dodała panna Terwiliger.

– Pewnie wydali cały budżet na zakup Gadobota – zauważyłam z przekąsem. – Choć nie przysporzyło im to popularności.

Beztronski nastrój Eddiego dawno ulotnił się bez śladu i nie zareagował na moją zaczepkę. Obejrzał metalową kratę na otwartym oknie.

– Jeśli pociągnę wystarczająco mocno, mogę wyłamać zamek.

– Nie ma potrzeby marnować sił – odparła panna Terwiliger. – Znam odpowiednie zaklęcie otwierające.

– Nie powinniśmy też marnować pani magicznej mocy – wtrąciłam, robiąc krok naprzód.

Wyjęłam małą buteleczkę z mojej przepastnej torby. Czas spędzony przymusowo w mieszkanku na królewskim dworze nie był zupełnie bezowocny. Dzięki naszemu przyjacielowi Abe'owi, osobnikowi o wątpliwej reputacji, zdobyłam szereg składników chemicznych stanowiących typowy asortyment alchemika. Spędzałam długie godziny w zamknięciu, sporządzając przeróżne użyteczne mikstury, na przykład tę, która z łatwością rozpuszcza metal.

Metalowa krata stanowiła coś w rodzaju niewielkich drzwiczek umocowanych na zawiasach po jednej stronie okna i zamykanych na zamek po drugiej stronie. Eddiemu mogło być trudno je wyłamać, ale kilka kropli roztworu wystarczyło, by rozpuścić zamek. Otworzyliśmy kratę. Tylko zasłona oddzielała nas od wejścia do muzeum. Eddie wyjął scyzoryk i szybko rozciął materiał. Skrzywiłam się mimowolnie.

– Trochę mi głupio – przyznałam. – To miejsce nie jest oblegane, a my dodatkowo narażamy ich na koszty.

– Na pewno są ubezpieczeni – stwierdziła panna Terwiliger. – Poza tym jeśli to ma nam pomóc w odnalezieniu Jill, królowa z pewnością przekaże anonimową dotację dla muzeum.

Eddie pomógł nam się wspiąć na parapet i wejść przez okno. Za chwilę sam sprawnie do nas dołączył. W galerii było pusto i cicho – dokładnie tak samo jak w godzinach otwarcia. Słaba poświata sącząca się ze znaków wskazujących drogę ewakuacji oraz światło padające z latarni ulicznych pozwalały nam wszystko widzieć, gdy nasze oczy przyzwyczyły się do półmroku. Od razu podeszliśmy do gabloty z Gadobotem i tym razem pozwoliłam panie Terwiliger rzucić zaklęcie otwierające szklane drzwi. Kiedy skończyła, zastanawiałam się przez chwilę, czy nie dodano zaklęcia przeznaczonego specjalnie dla mnie. Potem usłyszeliśmy wyraźne kliknięcie i drzwi się otworzyły. Gadobot stał za szybą na sporym postumencie, w którym zainstalowano również drzwiczki do niewielkiego schowka.

– Nie ma zamka – oświadczyłam, wyciągając rękę, by je otworzyć.

– Zaczekaj, Sydney! – Panna Terwiliger próbowała mnie powstrzymać, ale się spóźniła. Zamarłam, oczekując wybuchu. Minęło kilka pełnych napięcia sekund i nic się nie wydarzyło. Odetchnęłam z ulgą.

– Przepraszam, nie pomyślałam.

Skinęła głową wciąż niespokojna.

– Wyczuwam tu jakiś rodzaj magii.

– Może chodzi o przedmiot znajdujący się w środku – zasugerowałam. Nie widziałam, co to jest, więc wsunęłam ostrożnie rękę do ciemnego schowka, na poły spodziewając się ukłucia skorpiona. Wyczułam tymczasem pod palcami dużą kopertę z szarego papieru. Wyjęłam ją i zobaczyłam, że wypisano na niej moje imię.

– Ten sam charakter pisma – zauważył Eddie.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Tak, szkoda, że nie mamy jakiejś prostej metody przesłедzenia... – nagle urwałam.

– Słyszeliście?

Widziałam po minie Eddiego, że jego wyczulony słuch już wychwycił ten dźwięk. Panna Terwiliger usłyszała go nieco później.

– Jakby bzyczenie... – Spojrzała na metalowy pysk Gadobota. – Dochodzi stąd.

Dźwięk narastał i Eddie pospiesznie zasłonił nas swoim ciałem, stając przed gablotą.

– Cofnijcie się! – krzyknął i w tej samej chwili Gadobot otworzył paszczę, z której wyleciało kilkadziesiąt świecących obiektów. Zaatakowały nas z niewiarygodną siłą. Upadłam, lądując niewygodnie na boku. Uniosłam ręce, żeby się osłonić przed błyszczącym rojem, ale i tak czułam ukłucia na twarzy. Krzyczałam, ból był nieznośny.

– Co to jest? – wyjąkałam.

– Fotiany – wyjaśniła panna Terwiliger.

Ona także upadła na podłogę i osłaniała twarz przed kolejnym nalotem.

– Foti... co? – dopytywał Eddie.

– Pochodzą z tego samego wymiaru co Skoczus, ale są dużo mniej przyjazne. – Ostrożnie odjęła dłonie od twarzy, żeby zorientować się, dokąd zmierza rój. – To coś w rodzaju zmutowanych świetlików.

Eddie, zawsze gotów do improwizacji, porwał powitalną tabliczkę z rąk robota stojącego przy wejściu. Wymachując nią jak kijem bejsbolowym, zaatakował nadlatujące fotiany. Jakby posłuszne nakazowi jednego umysłu, rozdzieliły się nagle i Eddie uderzył w powietrze. Trafił ledwie kilka stworów, które zareagowały zbyt wolno. Po uderzeniu rozprysły się jak iskry. Te udało się unicestwić, ale pozostało znacznie więcej. Sytuacja skomplikowała się, gdy rój podzielił się na trzy grupy i zaatakował nas jednocześnie.

Zdażyłam wstać, ale widząc stwory lecące wprost na mnie w formacji przypominającej strzałę, puściłam się biegiem i zdołałam się ukryć pod stołem z taśmą transmisyjną. W ostatniej chwili.

– Jak można się ich pozbyć?! – krzyknęłam do panny Terwiliger. – Ogniem?

– Widziałam z daleka, jak Eddie zaciekle wymachuje tabliczką, ale szybkość i zwinność roju uniemożliwiła mu skuteczną walkę.

– Nie chcę spalić muzeum – odkrzyknęła, usiłując uskoczyć z drogi nadlatującym istotom. Pokaleczyły jej ramię, rozdarły rękaw i pozostawiły na skórze drobne krwawe ślady. Panna Terwiliger cofnęła się kilka kroków, uniosła ręce i zaintonowała łaciński tekst, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. W powietrze wzbily się setki drobniutkich roziskrzonych kryształków. Czarownica wypowiedziała teraz polecenie i kryształki rozpoczęły natarcie na fotiany. Przy każdym zetknięciu z nimi „zmutowane świetliki” rozpryskiwały się na iskry.

Oddział wyznaczony do walki ze mną leciał teraz nisko, usiłując wykurzyć mnie spod stołu. Odpędziłam świetliki, wymachując rękami, ale pokłuły mi dłoń, gdy analizowałam zakłęcie panny Terwiliger. Słowa i towarzysząca im energia skojarzyły mi się ze znajomym czarem przywołania kuli ognia, wychwyciłam zaledwie kilka różnic. Uświadomiłam sobie, że to zakłęcie zamrażające. Rzucone z odpowiednią siłą drobinki lodu kaleczyły niczym małe brzytwy.

Pospiesznie wyczołgałam się z kryjówki i stanęłam w pewnej odległości od roju. Usłyszałam za plecami, jak panna Terwiliger powtarza swoje zakłęcie. Z nadzieją, że zapamiętałam słowa, spróbowałam ją naśladować, wykonując te same ruchy i gesty jak przy zakłęciu kuli ognia. Nie byłam tak skuteczna jak moja mentorka. Podczas gdy zakłęcie brzmiało podobnie, jego energia okazała się nieco inna. Zabrakło mi wprawy i za pierwszym razem zdołałam unicestwić tylko kilka „świetlików”. Za drugim i trzecim podejściem poszło mi lepiej. Kiedy tylko zatrzymywałam się, by powtórzyć zakłęcie, stwory błyskawicznie wykorzystywały sytuację. Odpędzałam je jednak i uparcie powtarzałam zakłęcie, aż w końcu rój zaczął się przersedzać.

Straciłam rachubę czasu do chwili, gdy ujrzałam drugą grupę lodowych kryształków dołączającą do mojej, którą posłałam w przetrzebiony rój fotianów. Kątem oka dostrzegłam pannę Terwiliger wymachującą rękami. Chwilę później zbliżył się Eddie wciąż wywijający tabliczką. Oboje uporali się już ze swoimi rojami. Pozostał tylko mój i przyjaciele unicestwili go w ciągu kilku minut.

Gdy ucichło bzyczenie, w sali zapadła dziwna cisza. Staliśmy nieruchomo, oddychając ciężko i rozglądając się, czy gdzieś nie czai się nowe niebezpieczeństwo. Eddie i panna Terwiliger mieli pokaleczone twarze. Czułam swędzenie, więc zakładałam, że nie wyglądam lepiej od nich. Mimo to przeżyliśmy i wyeliminowaliśmy zagrożenie.

– Gdzie ta koperta? – spytał w końcu Eddie.

Pobiegłam do miejsca, w którym ją upuściłam, obok Gadobota, który przyglądał się naszej potyczce z wysoka. Krysztalki lodu rozpuściły się, tworząc kałuże na podłodze i w efekcie jeden róg koperty był przemoczony. Poza tym wyglądała na nienaruszoną. Przyniosłam ją przyjaciółom i zwróciłam się do panny Terwiliger.

– Czy pani coś wyczuwa? – spytałam.

– Jeśli chroni ją zaklęcie, to sprytnie ukryte. – Podniosła rękę i na jej dłoni rozblęśla ognista kulka. – Jestem gotowa, na wszelki wypadek.

Koperta była ciężka i wypchana, toteż nie zdziwiłam się, gdy w środku odkryliśmy cegłę, choć nie miałam pojęcia, co ona może oznaczać. Wyglądała na zrobioną z jakiegoś piaskowca. Zerknęłam pytająco na moich towarzyszy, ale żadne z nich nie wiedziało, o co tu chodzi. Ponownie włożyłam rękę do koperty i wyjęłam mapę Parku Narodowego Missouri Ozarks.

– No, tego się nie spodziewałam – mruknęłam, szukając na mapie jakichś znaków albo napisu. Nic nie znalazłam.

Eddie był wyraźnie zły i podobnie jak ja rozczarowany. Nie wiedziałam, co tu znajdziemy, ale chyba miałam nadzieję na cud. Liczyłam, że spotkamy tu Jill. Tymczasem zyskaliśmy tylko skaleczenia i nowe niezrozumiałe wskazówki. Potrząsnęłam kopertą. Była pusta!

– Co to może znaczyć? – zamyśliła się panna Terwiliger, biorąc ode mnie mapę.

– Ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę – warknął Eddie. Otarł ręką spocone czoło, pozostawiając na nim smugi krwi. – Jill nie ma z tym nic wspólnego. Ktoś usilnie stara się nam wmówić, że ją porwał.

Zajrzałam do koperty i serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłam, że jednak nie jest pusta.

– Obawiam się, że nie masz racji. – Sięgnęłam do środka i wyjęłam ostatni przedmiot. Nawet w słabym świetle nie było wątpliwości: to był kosmyk długich, kręconych, jasnobrązowych włosów. Wiedzieliśmy, do kogo należał. – Ktokolwiek to jest, z pewnością więzi Jill.

ROZDZIAŁ 5

Adrian

MUSIAŁEM BARDZO SIĘ KONTROLOWAĆ, żeby nie zasypywać Sydney esemesami, żądając najświeższych informacji. Nie miałem pojęcia, że tak źle będę znosił jej nieobecność. Przywykłem do tego, że budzę się obok niej każdego ranka, że razem jadamy i wykonujemy zwyczajne codzienne czynności. Teraz, kiedy jej nie było obok, musiałem szukać zajęć dla zabicia czasu i jednocześnie powtarzać sobie, że alchemicy jeszcze jej nie dopadli.

– Nie powinienem był jej pozwolić jechać samej – oznajmiłem nazajutrz matce.

Podniosła wzrok znad haftowanej serwetki. Nabrała zwyczaju wyszywania w wolnych chwilach, co może kiedyś wydałoby mi się dziwaczne, ale wobec ostatnich wydarzeń już nie.

– Za bardzo się tym przejmujesz, skarbie. Muszę przyznać, że moja ludzka synowa jest szokująco zaradna.

Na chwilę przestałem krążyć po pokoju.

– Naprawdę tak myślisz?

Uśmiechnęła się blado.

– Dziwisz się, że mogę o niej powiedzieć coś miłego?

– W sumie tak – przyznałem.

Mama nigdy otwarcie nie potępiła mojego małżeństwa z Sydney. Zresztą nie miała okazji. Pojawiłem się z Sydney na królewskim dworze tuż po ślubie i nikt nie mógł rozdzielić tych, których połączył stan Nevada. Mama nie przyjęła wprowadzie synowej z otwartymi ramionami, ale stanęła po naszej stronie, gdy inni – łącznie z moim ojcem – odwrócili się od nas. Zakładałem, że choć nie pochwałała naszego związku, starała się zachować przyzwoicie.

– Skłamałabym, mówiąc, że kiedykolwiek życzyłam sobie, byś poślubił człowieka – dodała po chwili zastanowienia. – Wiem jednak, że nie masz w życiu łatwej drogi. Nigdy nie miałeś i nie będziesz miał. Zrozumiałam to już, gdy byłeś dzieckiem. I wiem także, że osoba, z którą się zwiążesz, musi być szczególna, musi umieć stawić czoło twoim demonom ramię w ramię z tobą. Ta dziewczyna, Sydney, właśnie taka jest. Zaobserwowałam to przez ostatni miesiąc. Lepiej być z kimś godnym siebie, nawet jeśli to jest człowiek, niż związać się z morojem, który nie uniesie brzemienia odpowiedzialności.

Oślupiały nie byłem w stanie wydobyć słowa.

– Mamo, to najbardziej emocjonalny komentarz, jaki w życiu wygłosiłaś w mojej obecności!

– Daj spokój – zachnęła się. – I nie zamartwiaj się dłużej. Sydney jest kompetentna i utalentowana. I nie jest sama. Ma u boku strażnika i tę dziwną kobietę.

Zdobyłem się na słaby uśmiech, ale nie mogłem powiedzieć mamie, że ta kompetentna i utalentowana Sydney już raz wpadła w ręce alchemików. I też była z Eddiem, gdy ją złapali. Choć walczył do końca... to nie wystarczyło.

Pukanie do drzwi oszczędziło mi dalszych dywagacji, choć wiązało się zapewne z nowymi problemami. Obiecałem Charlotte, że wspólnie poszukamy Olive. Pozostało mi do umówionego czasu jeszcze kilka godzin. Sonia zapewniła, że środek usypiający, który jej podała, pozwoli dziewczynie zapaść w sen, ale uznałem, że nie zadziałał i że za chwilę ujrzę rozgorączkowaną Charlotte w drzwiach.

Ale za drzwiami stała Rose. Nie byłem pewien, czy powinienem poczuć ulgę, czy raczej mieć się na baczności. Słyszałem, że wyjeżdżała.

– Cześć – przywitałem ją. – Co słychać?

Najwyraźniej nie przebywała na służbie, miała na sobie dżinsy i podkoszulkę, podczas gdy jako strażniczka oficjalnie paradowała w czarno-białym kostiumie. Zrzuciła długie brązowe włosy na jedno ramię i się uśmiechnęła.

– Słyszałam, że utknęliście tu jak w więzieniu, więc przybywam wam na ratunek.

Staralem się nie skrzywić, słysząc liczbę mnogą.

– Sądziłem, że oboje z Dymitrem poszukujecie Jill – bąknąłem, usiłując odwrócić jej uwagę od nas.

Rose spochmurniała.

– Próbowaliśmy... ale nie mieliśmy szczęścia. Lissa wezwała nas z powrotem. Mamy się przyjrzeć kilkorgu arystokratom, którzy knuli przeciwko niej. Może oni maczali palce w zniknięciu Jill.

To było coś nowego.

– Myślisz, że to możliwe?

– Raczej nie – odparła Rose. – Lissa też nie robi sobie większych nadziei. Ale postanowiła sprawdzić każdą możliwość.

Cofnąłem się o krok.

– Nie będę cię odrywał od służby...

Rose się uśmiechnęła.

– Ależ nie odrywasz. Zrobiliśmy swoje na dziś. I tak muszę poczekać do jutra na powrót jednego z podejrzanych. Mam świetny pomysł. Wołaj Sydney, coś wam pokażę.

– Ona, hmmm... właśnie śpi – zełgałem.

– Śpi? Jest środek dnia.

– Dla nas – sprostowałem. – Jeszcze się nie przestawiła.

Rose była zbita z tropu.

– Naprawdę? Kiedy tu byłam ostatnio, sprawiała wrażenie doskonale przystosowanej.

– Brakuje jej słońca – wyjaśniłem.

– Wychodzi czasem?

– Nie... ale w tym rzecz. Ludzka sprawa. – Sądząc po coraz bardziej zdumionej minie Rose, nie najlepiej szło mi udawanie, więc postanowiłem zmienić strategię. – Słuchaj, może pójdziemy we dwoje, zostawię wiadomość dla Sydney. – Uznałem, że tak będzie lepiej. Rose gotowa była poczekać, aż Sydney się obudzi.

– Jasne – zgodziła się. – Wyciągniemy ją następnym razem.

Wskazałem gościowi gestem korytarz.

– Pani pierwsza.

– Nie miałaś zostawić wiadomości? – spytała.

– Racja. Zaczekaj. – Cofnąłem się do mieszkania, zostawiając Rose na korytarzu.

Postałem pół minuty, po czym otworzyłem drzwi i dołączyłem do niej. – Zrobione.

Zabrała mnie do części dworu przeznaczonej głównie dla strażników. W pobliżu znajdował się ich sztab i część zabudowań mieszkalnych. Co ważniejsze jednak – to tam odbywali treningi. Zaprowadziła mnie właśnie do jednego z takich miejsc. Zdziwiłem się, widząc, że nie czekała tam grupa dampirów, lecz... morojów.

– Szlag – mruknąłem.

Byłem pełen podziwu.

Wieki temu, w czasie gdy ludzie i moroje zawierali ze sobą małżeństwa, moroje również

walczyli we własnej obronie. Używali magii żywiołów jako broni, stawiając opór strzygom. Z czasem obowiązek ochrony morojów spadł na daimiry. Moroje przestali używać magii, która służyła im wyłącznie jako rozrywka. Ostatnio pojawiły się jednak nowe nurty w naszej polityce. Sugerowano między innymi, że moroje powinni uczyć się samoobrony, posługując się magią. I oto zobaczyłem, że przechodzą do czynu.

Na placu stało mniej więcej dwudziestu morojów podzielonych na cztery grupy, każda ubrana w inne barwy. Ćwiczyli musztrę, zupełnie jak w szkole samoobrony Malachiego, manewry obronne i walkę wręcz. Ich instruktorami było kilku strażników. Jednego z nich rozpoznałem od razu, mimo że stał odwrócony do mnie plecami. Wyróżniał go wzrost i skórzany płaszcz. Dymitr Bielikow podszedł do mnie, wyciągając rękę na powitanie.

– Adrian! – rzucił przyjaźnie. – Nie mamy jeszcze kadry obdarzonej mocą ducha. Chciałbyś ich poprowadzić? Zebrać rekrutów?

Od razu pomyślałem o Charlotte, która być może właśnie traciła zmysły na skutek nadużywania tej mocy. Myśl o szkoleniu jej do walki była mocno niepokojąca.

Nareszcie stałbyś się przywódcą – zauważyła ciotka Tatiana.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, dziękuję. Mam mnóstwo innych obowiązków.

– A gdzie Sydney? – spytał Dymitr. – Myślałem, że będzie chciała to zobaczyć.

– Śpi – wyjaśniła Rose.

Widząc zdziwienie Dymitra, dodałem szybko:

– Wciąż żyje tak jak ludzie. Ale masz rację, chciałaby to zobaczyć. Następnym razem.

– Jasne – zgodził się Dymitr. – Słuchaj, zaraz zaczną.

– Co zaczną? – spytałem.

Nieznajomy strażnik właśnie skończył ustawiać manekiny treningowe na drugim końcu pola treningowego. Potem kolejne grupy morojów prezentowały na nich umiejętności, a ja przypatrywałem się ich popisom z podziwem. Magia żywiołów może być śmiertcioną bronią. Władający wodą puszczali strumienie o niezwykłej sile, które przewracały kukły jak piórka. Ci, którzy specjalizowali się w żywiole ziemi, usuwali przeciwnikowi grunt spod nóg, używając odłamków skał i piachu jako broni. Panujący nad powietrzem wzywali do walki porywiste wiatry zdolne unieść ofiarę i porwać ze sobą. Niektórzy podnosili w powietrzu różne przedmioty, których używali w walce. Byli jeszcze władający ogniem – ci dopiero siali zniszczenie! W pewnej chwili jeden z manekinów stanął w płomieniach.

– Markujcie atak! – zawołał strażnik. – Nie chcemy się pozbywać manekinów treningowych.

– Sorki – rzucił wesoło znajomy głos.

Christian Ozero stał wśród ubranych na czerwono morojów panujących nad magią ognia. Jednym spojrzeniem zdławił płomienie.

Po pokazach mocy żywiołów wojownicy zaprezentowali połączone możliwości. Władcy powietrza zamrażali wodę przywołaną przez władców wody. Władcy ziemi wciągali manekiny w grząski grunt, podczas gdy druga grupa je podpałała. (Co niemal doprowadziło do zniszczenia kolejnego manekina, bo Christian ponownie okazał się nadgorliwy. Znowu przeprosił, ale wcale nie wyglądał na skruszony).

Trening zakończył się ćwiczeniami walki wręcz, do których wstęp oglądałem na samym początku. Moroje nie dorównują siłą fizyczną daimirom, ale widziałem, że ta grupa dużo ze sobą pracowała. Nie chciałbym zetrzeć się w walce z żadnym z nich. Wyćwiczyli ruchy, z których niejeden strażnik mógłby być dumny, potrafili też włączyć do walki swoją magię. Naprawdę był to pokaz godny podziwu.

– Co powiesz? – zagadnął Christian, który do nas podszedł po zakończeniu prezentacji.
– Robimy wrażenie?

Razem z nim zbliżyła się drobna blondynka ubrana na niebiesko. Stwierdziłem z radością – choć bez zdziwienia – że Mia Rinaldi przewodziła grupie władającej wodą.

– Imponujące – potwierdziła. – Muszą zaaprobować nasz program.

– O czym mówicie? – spytałem.

– Widziałeś ledwie rozgrzewkę – wyjaśnił Christian. – Przygotowujemy pokaz, który chcemy zaprezentować Radzie Morojów. Jeśli poprą nasz program, moglibyśmy wdrożyć go we wszystkich morojskich szkołach. Zamierzamy przeprowadzić rekrutację i szkolić więcej chętnych do walki.

Niebieskie oczy Mii roziskrzyły się.

– Chcemy też uzyskać zgodę na organizowanie polowań na strzygi.

– Będę głosował za – zapewniłem szczerze. – Odniosłem wrażenie, że strażnicy wkrótce nie będą wam potrzebni.

– Nie przesadzajmy – zażartowała Rose. – Ale masz rację, sporo osiągnęli. Teraz potrzebujemy tylko zgody rady. Lissa jest po naszej stronie.

– Oczywiście – mruknąłem. – Bo jest młoda i postępową. Pozostali... mogą być bardziej oporni wobec zmian. Nawet jeśli zaprezentujecie im to widowisko.

Rose przytaknęła mi ruchem głowy. Doskonale wiedziała, że moroje hołdują przede wszystkim tradycji.

– Miałam nadzieję, że Sydney podsunie nam kilka logicznych argumentów, które moglibyśmy przedstawić radzie.

Zachichotałem.

– Z pewnością.

– A gdzie ona jest? – zainteresował się Christian.

– Śpi – odparliśmy jednocześnie z Rose.

Morojscy wojownicy naprawdę mnie zafascynowali, ale obawiałem się, że przyjaciele zaraz zaczną mnie wypytywać o Sydney. Poza tym umówiłem się z Charlotte na spacer we śnie.

– Na mnie już czas – wymówiłem się. – Dzięki za zaproszenie.

– Proszę bardzo – odparła Rose, odprowadzając mnie przez główny dworski dziedziniec.

– Zapytaj Sydney, kiedy miałaby ochotę nas pooglądać. Powtórzmy dla niej ten pokaz w porze bardziej stosownej dla ludzi.

Zacisnąłem zęby. Nie znoszę kłamać.

– Pogadam z nią i się odezwę.

Rose odprowadziła mnie do drzwi. Nie ukrywała rozczarowania, że znów nie zaprosiłem jej do środka. Bąknąłem, że Sydney ma lekki sen, i chyba zaakceptowała to wyjaśnienie. Kiedy wreszcie sobie poszła, zorientowałem się, że emocje, jakie przeżywałem podczas prezentacji, i kolejne kłamstwa zmęczyły mnie i zdenerwowały. Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Dla wampira był to środek dnia. Charlotte twierdziła, że Olive żyje między ludźmi, więc teraz powinna spać. Męczyłem się dobre pół godziny, przewracając się z boku na bok, gdy przyszedł esemes od Charlotte. Nie mogła odnaleźć mnie we śnie.

Nie mogę zasnąć – odpisałem.

Mam tabletki od Soni, jeśli chcesz – zażartowała. *Chętnie się podzielę.*

Uśmiechnąłem się i przez chwilę pożałowałem, że nasza beztraska przyjaźń należała już do przeszłości. *Nie, dziękuję. Daj mi jeszcze trochę czasu.*

Nareszcie odprężyłem się trochę i zapadłem w sen. Dawno już żaden władający snem moroj nie wciągnął mnie w śnienie. Najczęściej robiłem to sam, zapraszając innych do snów

kreowanych przeze mnie. Wokół zmaterializowała się sielska okolica. Stałem przed pięknym białym domostwem. W pewnej odległości widziałem płot ogradzający pastwisko, gdzie konie pogryzały trawę w purpurowopomarańczowym świetle zachodzącego słońca. Ptaki wyśpiewywały wieczorne trele, a ja czułem na skórze powiew ciepłej bryzy.

– Mój ojciec ma dom w Wisconsin – odezwał się głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem Charlotte, która szła do mnie przez wysoką trawę porastającą podwórze przed domem. Wyglądała milion razy lepiej niż wtedy, gdy widziałem ją ostatnio. Długie loki związała w luźny kok. Jej szczupłą sylwetkę oplatała letnia sukienka w kolorze lawendy. Miałem nadzieję, że stan dziewczyny naprawdę się poprawił i nie była to tylko senna iluzja.

– Ładnie tu – powiedziałem szczerze. – Wymarzone miejsce dla dzieci.

Uśmiechnęła się.

– Przyjeżdżaliśmy tu latem tylko dlatego, że przyjaciele rodziny należeli do grona drobnych arystokratów i mieli strażników. Bez nich byłoby tu zbyt niebezpiecznie. To pustkowie... ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie musiała kończyć. Charlotte i Olive były przyrodnimi siostrami, miały wspólnego ojca. Ponieważ nie należał do rodziny królewskiej, nie otrzymał ochrony. Dampirzyca Olive została jego strażniczką z własnej woli, a potem napadła ją strzyga i przemieniła w bestię. Moc ducha Charlotte przywróciła ją do świata żywych. Podobnie stało się w przypadku Dymitra i Soni.

– Sprowadzimy tu Olive? – spytałem, nie chcąc, by Charlotte wspominała złe rzeczy z przeszłości.

Skrzywiła się jednak, słysząc moje pytanie.

– To nie takie proste... Sam się przekonasz. Choć może twoja obecność coś zmieni. Oby tak było.

Nie rozumiałem jeszcze, na czym polegał problem, ale postanowiłem spokojnie poczekać. Przecież jeśli Olive spała, nie było nic prostszego. Charlotte nie powinna mieć trudności ze sprowadzeniem siostry do wiejskiego domu, tak jak sprowadziła mnie. Znieruchomiała wpatrzona w padok dla koni, a ja wyczułem, że przywołuje magię, próbując nawiązać połączenie z siostrą. Jak dotąd szło dobrze.

Chwilę później obok nas zaczęła się materializować przezroczysta postać. Rozpoznałem Olive, jej ciemne włosy i skórę o barwie miedzi. Była otulona czymś, co przypominało ciemny obłok, za którym ginęła jej sylwetka, bardziej muskularna niż jej siostry. Olive zmrużyła oczy, gdy zorientowała się, co się dzieje.

– Nie, Charlotte. Proszę. Nie znowu.

Normalnie w tym momencie Olive powinna się już pojawić i stanąć obok nas. Tymczasem wiejska okolica zaczęła się zamazywać. Spojrzałem na Charlotte.

– Co robisz?

Westchnęła.

– Nic. Właśnie to próbowałam ci powiedzieć.

Piękny zielony krajobraz zniknął i zastąpiło go czarne, przysypane pyłem pustkowie najeżone skałami. Przed nami wyrastały upstrzone kamieniami strome zbocza góry, wzbijając się w niebo szarzące od burzowych chmur. Od czasu do czasu szarość przecinało światło tańczących błyskawic. Nie było śladu Olive.

– A to co?! – zawołałem. – Sceneria katastroficznego filmu?

Charlotte popatrzyła na mnie smutno.

– Jesteśmy na Hawajach.

Rozejrzałem się.

– Nie chciałem się spierać, ale kiedy myślę o Hawajach, widzę palmy i bikini.

Charlotte spojrzała na swoje stopy i po chwili jej sandały zmieniły się w trampki. Ruszyła w górę zbocza.

– To wulkan, który zwiedzałyśmy na wakacjach jako dzieci.

– Więc nie jest tak źle. – Szedłem ostrożnie jej śladem. – Tylko po co ta zmiana? Na farmie było przyjemnie.

– Nie ja to zmieniłam – odparła sfrustrowana. – To dzieło Olive.

– Ona nie włada mocą ducha – zaprotestowałem. – Może zmienić swój wygląd, ale nie scenerię snu.

– A jednak odebrała mi kontrolę nad snem. Robi to za każdym razem. Mnie pozostały drobne sztuczki. – Wskazała swoje buty. – Ale nie mogę już nas stąd zabrać ani przywołać Olive.

– Gdzie ona jest?

– Ukrywa się gdzieś. – Charlotte rozejrzała się i wskazała ciemny otwór w zboczu.

– Pewnie tam. To nie jest część prawdziwego wulkanu. Musiała ją stworzyć.

Zbliżaliśmy się do jaskini. To, co mówiła Charlotte, było niemożliwe. Olive nie mogła przejąć kontroli nad snem bez pozwolenia siostry.

– Jak? – spytałem. – Jak ona to robi? Myślisz, że to ma coś wspólnego z faktem, że była strzygą i została odmieniona? Że przelałaś w nią moc ducha?

Charlotte potrząsnęła głową.

– Nie wydaje mi się. Nie czuję, by używała ducha. Mam wrażenie, że kontroluje nas... siłą woli.

Nie rozumiałem tego, co próbowała mi przekazać. Wkrótce stanęliśmy przed wejściem do jaskini.

– I co teraz?

– Teraz – odparła Charlotte – pewnie się tam przed nami ukrywa. Jeśli to miejsce przypomina inne, do których mnie przenosiła w snach, pewnie nie zdołamy tam wejść i...

Ryk dobiegający z wnętrza groty zagłuszył jej słowa. Cofnąłem się instynktownie.

– Co to było, do diabła?

Charlotte nie wyglądała na przestraszoną, raczej zrezygnowaną.

– Nie wiem. Coś potwornego. Próbuje nas nastraszyć.

Jej słowa potwierdziły się, gdy gigantyczna, podobna do ludzkiej postać skonstruowana z czarnego kamienia wyłoniła się z jaskini. Miała czerwone płonące ślepie. Przewyższała mnie o głowę i była dwa razy cięższa. Stanęła przed nami, uderzyła się w pierś i znów zaryczała.

– Widziałeś to już wcześniej? – krzyknąłem.

– Niezupełnie to – odparła Charlotte. – Ostatnio nasłała na mnie stado nietoperzy. A jeszcze wcześniej coś w rodzaju wilkołaka.

– Przecież to twój sen – przekonywałem, cofając się, bo potwór z lawy (tak go w myślach nazwałem) postępował krok w krok za mną. – Pozbądź się go.

– Nie mogę. W każdym razie nie w myślach. Musielibyśmy to zrobić tradycyjnie.

– Poczulem, że znów wzbiera w niej magia, i po chwili zobaczyłem w rękach Charlotte maczugę. Zaatakowała bez ostrzeżenia, zamachnąwszy się bronią na potwora. Moc ducha wypełniła ją. Właściwie to ona przypuszczała ataki na bestię. Potwór ryknął z bólu i tam, gdzie trafiła maczuga, pojawiły się rysy.

– Obiecałeś mi pomóc! – wrzasnęła Charlotte z gniewem.

Obiecałem, to fakt, ale nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Zanim zgodziłem się na bezsensowną jatkę, przywołałem własną moc i spróbowałem zmienić otoczenie na bardziej

przyjazne. Nieoczekiwanie napotkałem stanowczy opór i dopiero teraz zacząłem rozumieć, o czym mówiła Charlotte. To nie moc ducha podtrzymywała ten sen... raczej czyjaś wola albo intencja.

Nie mogąc zmienić sennej rzeczywistości, poszedłem śladem Charlotte i przy użyciu niewielkiej ilości mocy stworzyłem maczugę. Nie jestem skory do przemocy, więc gdy zamachnąłem się nią na potwora z lawy – którego Charlotte już mocno poturbowała – musiałem przypomnieć sobie, że to tylko majak senny, a nie żywa istota. Trafiając w kamień, omal nie upadłem, taka była siła zderzenia. Czułem, jak grzechoczą moje kości i zęby... za to potwór wydawał się niewzruszony. Charlotte zgromiła mnie wzrokiem.

– Musisz przywołać więcej mocy przed ciosem – wyjaśniła sfrustrowana. – Tylko tak można z nim walczyć.

Sama realizowała w pełni to, o czym mówiła. Magia wypełniła ją od głowy po czubki palców, dziewczyna była niczym pochodnia płonąca mocą ducha. Przyglądałem się z podziwem. Nie była to moc zdolna odmienić strzygę albo wskrzesić umarłego, ale zaczerpnęła jej naprawdę wiele, zważywszy na konieczność utrzymywania jej przed dłuższy czas. Niechętnie przywołałem ducha – nawet nie połowę tego, co pulsowało w Charlotte – i zaatakowałem potwora maczugą. Tym razem i ja zdołałem mu zaszkodzić.

– Mocniej, mocniej! – krzyczała Charlotte.

– Nie ma takiej potrzeby – zauważyłem. – Rozwalimy go bez konieczności czerpania tak wielkiej mocy. Po prostu nieco to potrwa.

– Nie mamy czasu!

Nie zrozumiałem, co miała na myśli, do chwili, gdy wspólnym wysiłkiem ostatecznie pokonaliśmy stwora z lawy. Obrócił się w pył na naszych oczach. Charlotte rzuciła się do środka jaskini i wydawało się, że teraz panuje nad snem. Otoczenie zmieniło się i nagle okazało się, iż wbiegamy do białego wiejskiego domu w Wisconsin. Dostrzegłem zarys sylwetki Olive w zacięzionym kącie pokoju, jej ciało zakrywał ten sam kłębiący się obłok co wcześniej.

– Olive! – krzyknęła Charlotte. – Pokaż się! – Znów przywołała więcej mocy i pokój zaczął migotać.

Czułem, co ona robi, i byłem pod wrażeniem. Charlotte usiłowała przywołać we śnie prawdziwe otoczenie Olive. Nawet nie sądziłem, że to możliwe.

Ale Olive zniknęła na naszych oczach.

– Przepraszam, Charlotte, proszę, przestań mnie szukać. Tak będzie lepiej.

– Olive!

Było już jednak za późno. Olive zniknęła i otoczenie przestało migotać. Zmieniło się w pokój wiejskiej posiadłości, który niczym nie zdradzał rzeczywistego miejsca pobytu Olive. Pokonana Charlotte opadła na wiklinowy fotel. Miała łzy w oczach.

– Wybudziła się. Robi to za każdym razem. Najpierw rzuca mi jakąś przeszkodę, z którą muszę walczyć i nie mogę się zorientować, gdzie ona naprawdę jest. Kiedy już pokonuję barierę, ona się budzi i ucieka. – Charlotte spojrzała na mnie z wyrzutem. – Gdybyśmy pokonali bestię szybciej, nie miałyby czasu się obudzić! Trzeba było przywołać więcej mocy do walki!

Mimo rozżalenia Charlotte wyglądała we śnie na o wiele bardziej stabilną niż w rzeczywistości. Wiedziałem jednak, że naprawdę czuje się znacznie gorzej.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł – powiedziałem z namysłem. – Zużywanie całej tej mocy bardzo cię osłabiło.

– Gdybyś mi pomógł... tak naprawdę wystarczyłoby to zrobić raz. Gdyby udało nam się ją przyszpilić, sen ukazałby nam prawdziwe miejsce jej pobytu.

– No właśnie – mruknąłem, siadając obok. – Gdzie się tego nauczyłaś? Jak sen ma ci

pokazać, gdzie ktoś przebywa naprawdę? – Taka umiejętność byłaby niezwykle przydatna, na przykład gdybym chciał odnaleźć Sydney.

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Potrafisz sprawić, że osoba przywołana wygląda tak jak w życiu, prawda? Pewnego dnia po prostu przeprowadziłam eksperyment i przepuściłam przez Olive moc ducha w sposób, który sprawił, że otoczenie ze snu odzwierciedlało prawdziwe miejsce jej pobytu.

– Nie wiem, czy „po prostu” to odpowiednie określenie – zauważyłem. – Ten zabieg również musiał pochłonąć mnóstwo mocy. Zastanawiam się... Czy to od tego momentu zaczęła przejmować kontrolę nad twoimi snami? Czy oddałaś ją jej bezpowrotnie?

Charlotte najwyraźniej o tym nie pomyślała.

– Ja... nie mam pojęcia. Możliwe... ale jak inaczej miałam się dowiedzieć, gdzie ona jest?

– Porozmawiać z nią? – podesunąłem.

Uderzyła pięścią w wiklinową poręcz.

– Pytałam! Nie chce mnie widzieć. To jedyna droga. Coś jest nie tak i musimy się dowiedzieć co. Musimy znów spróbować. Tylko następnym razem...

– Zaraz, zaraz. Nie będzie następnego razu – zastrzegłem. – Wypalisz się. Od jak dawna to robisz codziennie?

Zapatrzyła się w dal.

– Nie wiem. Od miesięcy.

Skrzywiłem się. Nic dziwnego, że słabła w oczach.

– Dostyc tego.

Spojrzała na mnie błagalnie.

– Muszę to robić. Nie rozumiesz? Wiesz, jak to jest, nie mieć pojęcia, co się dzieje z kimś, na kim ci bardzo zależy?

„Jill” – pomyślałem z bólem. Charlotte musiała dostrzec zmianę w moim wyrazie twarzy, bo nagle się rozpromieniła.

– Więc pomóż mi! Adrian, wspólnie mamy wystarczającą moc, by ją złamać. Wtedy nie będę musiała codziennie próbować i dowiem się, co się stało. Proszę.

Sonia niepokoiła się o Charlotte. Sydney prosiła, żebym nie nadużywał mocy ducha. Musiałbym się gęsto tłumaczyć, gdyby dowiedziała się o moim wyczynie we śnie. Pokręciłem głową z namysłem.

– Nie mogę. W ogóle nie powinienem był zaczynać.

– We dwoje nie stracimy dużo mocy – błagała Charlotte. – Proszę cię o pomoc. Odwdzięczę się. Potrzebujesz czegoś? Pomóż mi odnaleźć Olive, a zrobię dla ciebie wszystko.

Już miałem odmówić, gdy coś mi przyszło na myśl.

– Nie... – powiedziałem niepewnie, bardziej do siebie niż do niej. – Nie.

Charlotte zerwała się z miejsca.

– Potrzebujesz czegoś, prawda? Powiedz.

Wahałem się. To nie była właściwa droga. A jednak jej propozycja obudziła we mnie przemożne pragnienie: być z Sydney.

– Muszę się wymknąć z dworu tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Wszyscy powinni myśleć, że wciąż mieszkam z matką.

– Zrobione – rzuciła lekko. – Potrafię to zorganizować. Łatwizna.

– Charlotte...

– Posłuchaj – powiedziała. – Mogę cię w każdej chwili wyprowadzić poza teren dworu. Wystarczy prosty czar wpływu. Potem spotkamy się we śnie i poszukamy Olive. Gdziekolwiek

będziesz.

– Miło z twojej strony – odparłem ze znużeniem. – Ale wciąż nie wiemy, jak przekonać wszystkich, że tu jestem.

Na wargach Charlotte pojawił się szelmowski uśmiezek.

– Ja wiem. Wystarczy, że twoja mama zaprosi mnie do siebie. Przekonam każdego, kto wpadnie z wizytą, że cię tam widział. Personel apartamentów dla gości będzie sądził, że wchodzisz i wychodzisz. Nikt nie będzie niczego podejrzewał. Proszę cię, Adrian. – Ścisnęła mnie za rękę. – Pomożemy sobie nawzajem.

Cofnąłem dłoń, nie chcąc przyznać, jak kusząca była dla mnie jej propozycja. Oferowała mi jedyną szansę spotkania z Sydney. Pragnąłem tego tak silnie, że gotów byłem zlekceważyć ostrzeżenia dotyczące nadużywania mocy ducha. Ale czy mogłem narażać nas oboje na działanie magii? Szczególnie Charlotte. To było samolubne.

– To zbyt niebezpieczne – oświadczyłem.

– Nie dbam o to – odparła z determinacją. – Będę próbować dalej, nawet bez twojej pomocy. Olive jest dla mnie wszystkim.

„Tak jak dla mnie Sydney” – pomyślałem.

Gorączkowo poszukiwałem w myślach fortelu, który pomógłby mi uporać się z poczuciem winy. Chciałem przyjąć pomoc Charlotte. Twierdziła, że i tak będzie ścigała Olive. Więc... jeśli pomogę jej odnaleźć siostrę, nie będzie już nadużywała mocy ducha. To chyba dobrze, prawda?

Odetchnąłem głęboko i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Jeśli podejmiemy kolejną próbę... pozwolisz, że ja wezmę na siebie ciężar ducha.

– Ale razem...

– Będziemy pracować razem – potwierdziłem. – Ograniczymy się jednak do jednej próby i to nie codziennie. Jeśli raz wezmę na siebie obciążenie, nie odczuję go tak mocno. Ty już trochę bardziej. Nie możesz się ciągle osłabiać.

Wyciągnęła do mnie rękę i po chwili ją cofnęła. Spojrzała na mnie łagodnie.

– Zależy ci na mnie, prawda? Wiedziałaś. Nawet po ślubie...

– Charlotte – przerwałem jej stanowczym tonem. – To nie tak. Zależy mi na tobie, ale kocham Sydney. I jeśli się zdecyduję cię wesprzeć, zrobimy to na moich warunkach.

Rozmarzony wyraz twarzy, jaki miała jeszcze przed chwilą, zniknął. W końcu niechętnie skinęła głową.

– Dobra, ty decydujesz – poddała się. – A ja naprawdę ci pomogę.

– Na to liczę – przyznałem. – Choć mam nadzieję, że nie będziesz musiała nadużywać w tym celu swojej mocy.

Znów kiwnęła potulnie głową.

– W porządku... – Nagle zaciekawilo ją co innego. – A ty nie obawiasz się obłąkania?

Zastanowiłem się. Gdyby była tu Sydney, powiedziałyby, że postępuję głupio, że korzystam z mocy ducha nonszalancko i bez potrzeby, za to ze szkodą dla siebie. Nie mogłem jednak zostawić tak Charlotte. Szczególnie że Olive naprawdę mogło się przydarzyć coś złego. Poza tym musiałem skorzystać z okazji, by się stąd wyrwać i pomóc Sydney oraz Jill. Miałem tylko nadzieję, że ten raz mi nie zaszkodzi. Zdobyłem się na wymuszony uśmiech.

– Jeszcze nie wykazują oznak szaleństwa – zapewniłem. – Nic mi nie będzie.

Też tak myślę – szepnęła ciotka Tatiana. Że nic ci nie będzie.

ROZDZIAŁ 6

Sydney

NIE MIELIŚMY POJĘCIA, czym jest cegła z piaskowca. Nic nie wskazywało na to, że została zaczarowana, nie wiedzieliśmy, co miała oznaczać. Jedno było pewne: mieliśmy pojechać do Ozarks, a przynajmniej do stanu Missouri. Panna Terwiliger przedłużyła wynajem samochodu i zaproponowała, żebyśmy pojechali do Saint Louis, a potem opracowali plan ataku. Poczulałam ucisk w żołądku.

– Tylko nie tam – rzuciłam błagalnie. – Alchemicy mają jedną ze swoich siedzib w Saint Louis. Nie po to uciekałam, by teraz pakować się prosto w ich ręce.

Eddie uniósł brwi.

– A może to jest część planu? Może alchemicy ukartowali wszystko, żeby wywabić cię z dworu, i nie ma to nic wspólnego z Jill?

Zabrzmiało otrzeźwiająco, zwłaszcza że panna Terwiliger zasugerowała:

– Równie dobrze to może dotyczyć Jill. Przysłali nam kosmyk jej włosów, w każdym razie tak wygląda. Czy alchemicy mogliby ją porwać, żeby dopaść ciebie?

Przez krótką chwilę uwierzyłam, że taka sytuacja była możliwa. Jill została uprowadzona zaraz po tym, jak oboje z Adrianem uciekliśmy i schroniliśmy się na morojskim dworze. Alchemicy należeli do wąskiego kręgu osób znających miejsce pobytu Jill, bez trudu mogli kogoś po nią posłać. Rozważałam przez chwilę różne rozwiązania zgodne z logiką alchemików. Na koniec potrząsnęłam głową.

– Nie sądzę – powiedziałam. – Może i mieli sposobność, ale nie motyw. Alchemicy są odpowiedzialni za wiele złych rzeczy, ale nie zależy im na pogłębieniu konfliktu w świecie morojów, a tak by przecież było po śmierci księżniczki. Nie wierzę również, by uciekli się do stosowania ludzkiej magii – nawet po to, by mnie dopaść. To stanowczo wbrew ich zasadom.

Ale jeśli nawet to nie alchemicy zastawili na mnie tę przemyślną pułapkę, nie chciałam ryzykować przypadkowego spotkania z którymś na ulicy Saint Louis podczas przerwy na lunch. Postanowiliśmy pojechać gdzie indziej. Zajęło nam to cały dzień, ale ostatecznie dotarliśmy na nocleg do Jefferson City w stanie Missouri. Saint Louis zostało daleko w tyle, a jednocześnie zbliżyliśmy się do Ozarks. Park nie leżał bezpośrednio na naszej trasie, co miało zmylić osoby ewentualnie nas oczekujące. Nie wiedzieliśmy dokładnie, dokąd zmierzamy. Park zajmował wielki obszar, a cegła jak do tej pory nie dostarczyła nam żadnej wskazówki.

Ulokowaliśmy się w hotelu i postanowiliśmy coś zjeść. Wszyscy troje byliśmy znużeni całodzienną jazdą samochodem. Zbliżała się północ, a my zrezygnowaliśmy z obiadu po drodze, żeby prędzej dotrzeć na miejsce. Byłam wykończona, jadłam jedynie po to, żeby nie opaść z sił. Panna Terwiliger siedząca naprzeciw mnie stłumiła ziewnięcie i nawet Eddie, zawsze czujny, wyglądał na zmęczonego. Na pewno chętnie by się położył. Czekając na kelnera, położyliśmy naszą cegłę na stole. Gapiliśmy się na nią, jakbyśmy chcieli ją zmusić siłą woli do udzielenia odpowiedzi.

Oderwałam wzrok od cegły i zerknęłam na ekran komórki z nadzieją, że przegapiłam dźwięk esemesa od Adriana. Przez cały dzień rzadko się do mnie odzywał. Wydawało mi się to dziwne, zwłaszcza że jeszcze wczoraj informował mnie niemal o każdym głupstwie. Nie mógł się zajmować wyłącznie pisaniami do mnie, to wiedziałam, ale ta zmiana mnie zaskoczyła. Mieliśmy

za sobą trudny miesiąc i naraz naszła mnie chora myśl, że gdy minął pierwszy szok związany z moim wyjazdem, Adrian poczuł, jak dobrze smakuje wolność.

W tej chwili nadeszła kelnerka z tacą, więc włożyłam telefon do torebki. Kiedy podawała nam talerze, zauważyłam, że zatrzymała wzrok na cegle z piaskowca.

– Ukradliście to z Ha Ha Tonka?

Patrzyliśmy na nią, jakby przemawiała w obcym języku.

– Nie mam nic przeciwko temu – dodała pospiesznie, zaniepokojona naszym milczeniem.

– To świetna miejscówka. Odwiedza ją mnóstwo ludzi. Sama chętnie skołowałabym stamtąd pamiątkę.

Panna Terwiliger ogarnęła się pierwsza.

– Mogłaby pani powtórzyć tę nazwę? Ha Ha Wonka?

– Ha Ha Tonka – poprawiła dziewczyna. Przyglądała nam się. – Naprawdę tam nie byliście? Ta cegła do złudzenia przypomina tamtejsze ruiny. Zresztą sami się przekonajcie, skoro wybieracie się do Ozarks.

Odeszła, a ja natychmiast zajrzałam do internetu w telefonie.

– Niesamowite – wykrzyknęłam. – W Missouri jest zamek!

– I sądzisz, że tam przetrzymują Jill? – Eddiemu rozświeiliły się oczy. Już widział siebie ruszającego na ratunek ukochanej zamkniętej w wysokiej wieży. Z pewnością po drodze musiałby pokonać smoka albo robota o kształtach dinozaura.

– Mało prawdopodobne. Kelnerka słusznie nazwała to „ruiną”.

Pokazałam im zdjęcie Ha Ha Tonka, który – choć pozbawiony dachu i niektórych ścian – nadal robił wrażenie. Można było eksplorować cały jego teren. Właściwie przypominał bardziej rezydencję niż zamek, a teren wokół przekształcono w park narodowy pełen szlaków spacerowych i innych naturalnych atrakcji. W którym miejscu mogli tam przetrzymywać Jill?... Kelnerka miała rację: nasza cegła wyglądała dokładnie tak jak te składające się na ruiny zamku. Zatem to tam musieliśmy się skierować.

Ożywił się i omal nie zapomnieliśmy o jedzeniu, snując nowe plany. Na stronie internetowej parku napisano, że jest czynny od godziny siódmej. Postanowiliśmy się tam dostać jak najszybciej i dokonać wstępnych oględzin. Gdyby się okazało, że czeka nas konfrontacja jak w muzeum robotów, będziemy mogli tam wrócić po godzinach otwarcia. Nasze poszukiwania przybierały tak nieoczekiwany obrót, że nie mieliśmy pojęcia, kogo lub co spotkamy za chwilę.

Obudziliśmy się nazajutrz wypoczęci, choć spaliśmy ledwie pięć godzin. Wszyscy byliśmy gotowi ruszać w drogę, by jak najszybciej odkryć tajemnice Ha Ha Tonka. Od parku dzieliła nas ledwie godzina jazdy, ale zatrzymaliśmy się na stacji, żeby uzupełnić zapas paliwa przed wjazdem na autostradę. Kiedy Eddie napełniał bak, poszłam po solidny zapas kawy dla siebie i panny Terwiliger. Tuż przed drzwiami stanęłam jak wryta, widząc w środku znajomą postać.

Mojego ojca.

Stał przy ladzie i wyjmował pieniądze z portfela. Był odwrócony bokiem, więc nie mógł mnie zobaczyć przy szklanych drzwiach. Przypomniałam sobie wczorajszą rozmowę i nagle się przestraszyłam, że alchemicy zastawili na mnie pułapkę.

Strach mnie sparaliżował. Nie czułam się dobrze na królewskim dworze, ale ostatni miesiąc był milion razy lepszy niż to, co przeżyłam w ośrodku reedukacji. Sądziłam, że uporałam się już z traumatycznymi wspomnieniami, a jednak wpatrując się w plecy mego ojca, nie dawałam rady zacerpnąć tchu. Równie dobrze pięćdziesięciu alchemików mogło rzucić się na mnie teraz ze wszystkich stron, zawlec do ciemnicy i skazać na dożywocie tortur fizycznych i psychicznych.

„Rusz się, Sydney!” – krzyczał głos w moim mózgu.

Ale nie mogłam choćby drgnąć. Myślałam tylko o jednym – alchemicy schwytali mnie poprzednim razem, mimo że miałam u boku Eddiego. Teraz byłam sama, zupełnie bez szans.

„RUSZ SIĘ – powtórzyłam w duchu. – Nie jesteś bezradna!”

To mnie otrzeźwiło. Znow zaczęłam oddychać i wycofałam się powoli, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Kiedy ojciec zniknął mi z oczu, obróciłam się na pięcie, żeby jak najszybciej znaleźć się w wozie.

I wpadłam prosto na moją siostrę Zoe.

Szła w kierunku stacji. Spanikowałam. Ona również była w szoku i nagle uświadomiłam to sobie: byłam ostatnią osobą, jaką spodziewała się tu spotkać. Nie zastawili tu na mnie pułapki. Nie spodziewali się mnie tu.

– Zoe... – pisnęłam. – Co ty tu robisz?

Wytrzeszczyła na mnie oczy, otrząsając się z osłupienia.

– Jedziemy do naszej bazy w Saint Louis. Rozpoczynam tam staż.

O ile wiedziałam, przebywała ostatnio z ojcem w Salt Lake City. Narysowałam w myślach mapę ich trasy. Nie jechali najprostszą drogą do Saint Louis.

– Czemu nie podróżujecie I-70? – spytałam podejrzliwie.

– Roboty drogowe i... – Potrząsnęła głową niemal ze złością. – A co TY tu robisz? Podobno zamknęli cię między morojami! – Ku mojemu zdumieniu chwyciła mnie za rękaw i zaczęła odciążać od stacji. – Musisz stąd zniknąć!

Nie do wiary.

– Czy ty... próbujesz mi pomóc?

Zanim odpowiedziała, dobiegł mnie głos Eddiego:

– Sydney?

W lot pojął sytuację i był gotowy do walki. Nie poruszył się, ale wyglądał tak, jakby miał przyskoczyć do Zoe jednym susem i cisnąć nią o ścianę, jeśli tylko spróbuje mnie skrzywdzić. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Chociaż mnie zdradziła, pozostała moją siostrą. Kochałam ją.

– Czy to prawda? – wyszeptwała. – Torturowali cię w ośrodku reedukacji?

Skinęłam głową, zerkając niespokojnie w stronę stacji.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, na ile sposobów.

Zbladła, ale odetchnęła głęboko.

– Więc znikaj. Prędej, zanim on wyjdzie. Uciekajcie.

Byłam oszołomiona nagłą zmianą jej postawy, ale Eddie nie tracił czasu. Chwycił mnie za ramię i niemal pociągnął do samochodu.

– Jedziemy... już! – rozkazał.

Po raz ostatni zerknęłam na Zoe, zanim Eddie wepchnął mnie do wozu, w którym czekała panna Terwiliger. Na twarzy mojej siostry malowało się tysiąc uczuć, ale zdołałam rozpoznać ledwie kilka. Smutek. Tęsknotę. Dygotałam, gdy wyjechaliśmy na drogę. Eddie prowadził, raz po raz zerkając we wsteczne lusterko.

– Nie ma pościgu – powiedział w końcu. – Chyba nie mogła widzieć, gdzie skręciliśmy.

Powoli pokręciłam głową.

– Nie... Nic mu nie powiedziała. Kryła nas.

– Sydney – Eddie odezwał się stanowczym tonem, który miał zabrzmieć łagodnie. – To ona cię wydała za pierwszym razem! To przez nią trafiłaś do tego koszmarnego ośrodka.

– Wiem, ale...

Powróciłam myślami do wyrazu twarzy Zoe. Była tak zdruzgotana faktem, że mnie

torturowano. Przypomniałam sobie również dzień, w którym dotarliśmy z Adrianem na dwór. Przyrowadzono nas przed oblicze królowej, gdzie czekała już grupa alchemików. Spodziewali się, że mnie im wydadzą. Stali tam też mój ojciec i Ian, znajomy alchemik. Opowiadali o moim karygodnym zachowaniu i przekonywali, że powinnam zostać wydalona z dworu. Zoe milczała, tkwiła jak porażona, a ja byłam zbyt wstrząśnięta sytuacją, by zastanawiać się, co czuła. Założyłam, że oburzenie odebrało jej mowę, gdy dowiedziała się, że wyszłam za mąż. Pomijam fakt, że ojciec nie pozwalał nikomu dojść do słowa.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że mogła czuć coś jeszcze: żal.

– Naprawdę myślę, że próbowała nam pomóc – upierałam się, wiedząc, że to musi brzmieć niepoważnie, zwłaszcza w uszach Eddiego. Był ze mną tej nocy, gdy zostałam zdradzona przez Zoe i uprowadzona. – Coś się w niej zmieniło.

Nie zaprotestował, ale stał się bardziej czujny niż przedtem.

– Nie wiem, czy nie powinniśmy zmienić planów na wypadek, gdyby zaczęli nas szukać.

– Nie – oznajmiłam stanowczo, coraz bardziej przekonana, że mam rację. – Zoe nas nie wyda. Jedziemy do Ha Ha Tonka, jeśli nic nie będzie wskazywało na to, że ktoś nas ściga.

Nie mogłam przestać rozmyślać o tym, że Zoe być może zrewidowała swój stosunek – jeśli nie do alchemików, to przynajmniej do mnie. Obudziło się we mnie od dawna niedoświadczane uczucie: nadzieja.

Chmury przeredziły się, gdy dojechaliśmy do Parku Stanowego Ha Ha Tonka, a poranna wysoka temperatura zapowiadała parny dzień. Zaparkowaliśmy i przystanęliśmy przed budynkiem dla zwiedzających, oglądając mapę parku. Obejmował rozległy obszar i wiele szlaków, ale my na początek wybraliśmy ruiny masywnej kamiennej budowli, którą nazywano „zamkiem”. Ostatecznie to jego dotyczyła nasza pierwsza wskazówka.

O tak wczesnej porze byliśmy tam jedynymi gośćmi. Razem z panną Terwiliger okrążyliśmy kamienne ruiny, wypatrując oznak magii i raz po raz rzucając zaklęcia wykrywające. Eddie szedł obok, obserwując teren i pozostawiając nam kwestię odnalezienia śladów. Imponujące ruiny zrobiły na mnie wrażenie i odezwało się moje zamiłowanie do sztuki i architektury. Żałowałam, że nie ma przy mnie Adriana. Nie przeżyliśmy prawdziwego miesiąca miodowego, ale często rozmawialiśmy o miejscach, które chcielibyśmy zobaczyć, gdybyśmy tylko byli wolni. Na szczycie mojej listy nadal plasowały się Włochy i Grecja. Szczerze mówiąc, wybrałabym nawet Missouri, gdyby Adrian był obok i nikt nas nie ścigał.

Po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań byliśmy przegrzani i spoceni. Eddie, wciąż nieprzekonany o dobrych intencjach Zoe, denerwował się coraz bardziej i nalegał, byśmy opuścili to miejsce. Zbliżała się pora lunchu, więc rozważaliśmy przerwę, gdy uchwyciłam coś nieoczekiwanego kątem oka. Spojrzałam w kierunku walących się zamkowych wież i dostrzegłam niewielki złoty przedmiot lśniący w południowym słońcu. Dotknęłam ramienia Eddiego i pokazałam mu to.

– Co tak błyszczy?

Przysłonił ręką oczy i je zmrużył.

– Błyszczy?

– Tam, na wieży. Tuż pod otworem okiennym.

Spojrzał ponownie i opuścił rękę.

– Nic nie wiedzę.

Przywołałam pannę Terwiliger i próbowałam pokazać jej to coś.

– Widzi to pani? Pod oknem, na najwyższej wieży.

– Wygląda na złoto – zauważyła od razu.

– O czym wy mówicie? Tam nic nie ma. – Eddie wciąż niczego nie dostrzegł.

Rozumiałam jego zdziwienie. Wzrok daimora jest bystrzejszy niż ludzki.

Panna Terwiliger przyjrzała mu się bacznie, zanim spojrziała na wieżę.

– Możliwe, że dostrzegłyśmy coś, co jest widoczne tylko dla osób parających się magią. Może właśnie tego szukamy.

– Tylko jak się tam dostaniemy? – zastanowiłam się głośno.

Wieża była nieco wyższa od kamiennego muru, ale nie miałam pewności, czy można się po niej wspiąć. Poza tym ta część zamku znajdowała się za ogrodzeniem opatrzonym tabliczką zakazującą wstępu zwiedzającym. Obok kręcili się turyści, a od czasu do czasu przechadzali się też tędy strażnicy. Nie było sposobu, żeby przeskoczyć przez płot.

Eddie zadziwił nas obie, sugerując użycie magii.

– Mogę się tam wspiąć. Zaczarujcie mnie, żebym był niewidzialny.

– To możliwe... – zaczęłam. – Ale na niewiele się zda, skoro nie widzisz tego przedmiotu. Szkoda, że ja nie mogę tam wejść... nie dam rady.

– A nie moglibyśmy oboje stać się niewidzialni? – spytał. – Ty zostaniesz na dole i będziesz mnie instruowała.

Tak też zrobiliśmy. Panna Terwiliger uczyniła Eddiego niewidzialnym, a następnie ja zaczarowałam siebie. Nie było to szczególnie silne zaklęcie i ktoś, kto by nas szukał, zapewne by nas zobaczył. Nie używałyśmy silniejszych zaklęć na wypadek, gdybyśmy potrzebowały magii do obrony. Ale zakładałyśmy, że żaden turysta czy strażnik nie spodziewa się, iż ktoś zacznie się wspinać po murach ruin.

Niewidzialni, bez trudu przeskoczyliśmy płot i zbliżyliśmy się do wieży. Stojąc tak blisko, mogłam się przyjrzeć lśniącemu przedmiotowi.

– Wygląda na cegłę – poinformowałam.

Eddie powędrował wzrokiem za moim spojrzeniem, ale wciąż niczego nie dostrzegał.

– Wierzę ci na słowo.

Mur wieży okazał się chropowaty. Miał wiele uchwyty dla rąk i puste miejsca po dawno powybijanych oknach. Nie dałabym rady się tam wspiąć, ale Eddiemu przyszło to bez trudu. Był silny, sprawny i bez trudu, choć powoli, się wspinał. Kiedy dotarł na wysokość najwyższego okna, stanął na krawędzi. Wyciągnął rękę i położył ją na pierwszej lepszej cegle.

– Co dalej?

– Trzy cegły w lewo i dwie w górę! – zawołałam.

Policzył i przesunął rękę, dotykając złotej cegły.

– To ta? Jest poluzowana. Mogę ją wyjąć.

– Tak, ta.

Denerwowałam się, gdy wyjmował cegłę z muru. Stojąc na dole, nie wyczuwałam pułapek, ale obawiałam się, że lada chwila cały zamek zawali się na nas. Eddie mocował się chwilę z cegłą, aż wreszcie ją wyjął. Oboje znieruchomieliśmy, oczekując szarzy śmiercionośnego roju fotianów albo czegoś gorszego. Nic się nie wydarzyło, więc zrzucił cegłę na ziemię tuż obok mnie i zaczął schodzić. Gdy był już bezpieczny na dole, pospiesznie opuściliśmy odgradzony teren.

Stłoczyliśmy się wokół cegły we trójkę, jakby oczekując, że wyjawi nam tajemnicę, ale nic takiego nie nastąpiło. Rzuciłyśmy kilka zaklęć. Próbowaliśmy dopasować cegłę do poprzedniej z Pittsburgha. I nic. Jeszcze raz przeszukaliśmy teren, lecz nie natknęliśmy się na żaden ślad. Spoceni i głodni postanowiliśmy zrobić przerwę, by coś zjeść. Poszliśmy do niemieckiej restauracji i ze zdumieniem stwierdziliśmy, że lokal, podobnie jak inne na terenie parku, jest zatłoczony.

– Zjechali się wędkarze – wyjaśnił kelner. – Mam nadzieję, że zarezerwowaliście hotel

zawczasu, jeśli planujecie tu zostać.

Nie zarezerwowaliśmy, chociaż rozważaliśmy nocleg w okolicy, żeby wznowić poszukiwania nazajutrz.

– Może w okolicy jest inne miasteczko – rzuciłam.

Kelner się rozpromienił.

– Mój stryjek prowadzi kemping i ma wolne miejsca. Wypożycza nawet namioty i potrzebny sprzęt. Taniej niż w hotelu.

Nie zależało nam zbytnio na niskiej cenie, lecz po krótkiej naradzie postanowiliśmy skorzystać z propozycji i pojechać na kemping, który znajdował się najbliżej parku. Wynajęliśmy wszystko, co trzeba, rozbiliśmy namiot i wróciliśmy do Ha Ha Tonka przed zamknięciem. Tym razem również nie znaleźliśmy nowych wskazówek. Powtarzaliśmy sobie, że rano spojrzymy na wszystko świeżym okiem, ale żadne z nas nie wypowiedało na głos pytania, które wszyscy sobie w duchu zadawaliśmy: co, jeśli nie zdołamy rozszyfrować tajemnicy złotej cegły?

Musiałam porozmawiać o tym z Adrianem, jednak wciąż nie mogłam się do niego dodzwonić. Z poczucia obowiązku wysłałam mu kolejny raport i zajęłam się przygotowaniami do snu, nie przyznając sama przed sobą, jak niepokoiła mnie ta cisza telefoniczna. Wyczerpana długim dniem szybko zasnęłam w wypożyczonym namiocie...

...i zostałam obudzona kilka godzin później przez Eddiego.

– Sydney! Jackie! Wstawajcie!

Poderwałam się natychmiast.

– Co się stało?

Namiot był otwarty. Eddie pokazywał coś na zewnątrz. Obie z panną Terwiliger przysunęłyśmy się do towarzysza. W świetle księżyca nad ziemią unosiło się coś, co wyglądało jak kałuża stopionego złota. Przesuwało się w naszą stronę. Pozostawiało za sobą spaloną trawę i ziemię.

– Co to jest?! – wykrzyknęłam.

– To ta cegła – wyjaśnił Eddie. – Czuwałem w namiocie, gdy nagle się rozjarzyła. Podniosłem ją i omal nie sparzyła mi ręki. Wyrzuciłem cegłę na zewnątrz, a ona stopiła się w to coś.

Panna Terwiliger wymruczała szybko inkantację, gdy kałuża zbliżyła się do namiotu. Niewidzialny powiew mocy wypchnął złotą masę parę metrów dalej. Jednak natychmiast ruszyła w naszą stronę.

– Cudownie... – mruknęłam.

Panna Terwiliger powtórzyła zaklęcie, lecz było jasne, że działa tylko przez chwilę.

– Możemy ją unieruchomić? – spytałam. – Wokół jest mnóstwo kamieni. Może ją przysypujemy?

– Przepala również kamienie na swojej drodze – mruknął Eddie ponuro.

Panna Terwiliger zrezygnowała z zaklęć siłowych i rzuciła czar zamrażający, podobny do tego, którego użyła w Muzeum Robotów. Skierowała strumień kłuszącego zimna na roztopioną kałużę. Połowa masy zaczęła tężeć, podczas gdy druga połowa pozostała płynna i ruchoma. Wiła się i szarpała, usiłując pociągnąć zamrożoną część za sobą.

– Sydney, bierz się do drugiej strony! – poleciła panna Terwiliger.

Posłuchałam pospiesznie i wybiegłam z namiotu. Stałam po drugiej stronie kałuży, która znów przybrała w całości płynną postać. Pełzła w kierunku namiotu. Panna Terwiliger uniosła rękę, żeby rzucić zaklęcie.

– Na trzy – poleciła. – Raz... dwa... trzy!

Jednocześnie rzuciłyśmy czary zamrażające, atakując roztopione złoto z przeciwnych

stron. Masa zadygotała, szamotała się chwilę w uścisku magii i powoli zaczęła tężeć. Nigdy wcześniej nie utrzymywałam zaklęcia tak długo, ale panna Terwiliger trwała przy mnie niewzruszenie. Ostatecznie złoto stężało w bryłę o nieregularnych kształtach. Wypuściłyśmy magię i ostrożnie się do niej zbliżyłyśmy. Bryła pozostawała nieruchoma.

– To było dziwne – powiedziałam. – Choć nie tak straszne jak ostatnie starcie. – Wciąż jeszcze miałam kilka blizn po ukłuciach magicznych świetlików, które napadły na nas w Pittsburghu.

– Tylko dlatego, że nas nie dopadło – trzeźwo podsumowała panna Terwiliger. – Wolę nie myśleć, co by się stało, gdybyśmy spali w tym namiocie.

Wzdrygnęłam się. Miała rację.

– Ale co to oznacza?

Nikt nie miał gotowej odpowiedzi, ale Eddie znów nas zaskoczył parę sekund później.

– Już kiedyś widziałem coś podobnego.

– Złotą cegłę, która przemienia się w śmiercionośną kałużę stopionego metalu?
– spytałam.

Uśmiechnął się blado.

– Nie. Przyjrzyj się lepiej. Czy ten kształt nie wydaje ci się znajomy?

Przekrzywiłam głowę, żeby dokładniej się przyjrzeć złotej formie leżącej przed nami. Owalna amorficzna bryła nie kojarzyła mi się z niczym. Skupiony wzrok Eddiego mówił, że on widzi co innego. Po kilku chwilach się rozpromienił. W parku był słaby zasięg, więc trochę to trwało, zanim Eddi zdołał się połączyć z internetem i znaleźć właściwą stronę.

– Spójrzcie – poprosił w końcu z triumfalną miną.

Zerknęłyśmy na ekran z panną Terwiliger i zobaczyłyśmy mapę Palm Springs. Od razu zrozumiałam, o co chodzi.

– To Salton Sea – sapnęłam. – Niezłą masz pamięć, Eddie.

Salton Sea jest słonym jeziorem leżącym w okolicy Palm Springs, a metalowa kałuża przed nami miała jego kształt. Panna Terwiliger potrząsnęła głową i parsknęła z niepokojem.

– Cudownie. Wyjechałam z Palm Springs, żeby cię ostrzec, wplątałam się w grę, której uczestnicy muszą zbierać zestaw różnych przedmiotów, a teraz po tylu staraniach mam cię po prostu zabrać do domu?

– Ale dlaczego? – spytał Eddie. – Czy Jill była tam przez cały czas? I kto pociąga za sznurki za...

– Cofnąć się! – zawołała panna Terwiliger, podnosząc ręce w obronnym geście.

Nawet Eddie nie okazał się wystarczająco szybki. Złota kałuża zatrzęsała się, jakby nagle wypełniła ją energia usiłująca się wydostać. Próbowałam rzucić zaklęcie tarczy, ale wiedziałam, że nie zdążę. Kałuża eksplodowała setką małych złotych brzytw, które natychmiast ruszyły prosto na nas... I nagle się zatrzymały. Uderzyły w niewidzialną barierę i opadły nieszkodliwie na ziemię.

Gapiałam się na nie z bijącym sercem i myślałam, jak straszną wyrządziłyby nam krzywdę, gdyby panna Terwiliger nie okazała się wystarczająco szybka. Byłam więc zaskoczona, gdy powiedziała:

– Doskonały refleks, Sydney. Ja bym nie zdążyła.

Podniosłam wzrok znad leżących brzytw.

– To nie pani zaklęcie?

Zmarszczyła czoło.

– Nie. Sądziłam, że twoje.

– To moje dzieło – powiedział ktoś za naszymi plecami.

Obróciłam się i westchnęłam z niedowierzaniem, gdy zza drzew wyłonił się Adrian. Zapominając o wstrząsającym przeżyciu, rzuciłam mu się w ramiona i pozwoliłam, by mnie podniósł.

– Jak się tu znalazłeś?! – wykrzyknęłam. – Nieważne.

Pocałowałam go namiętnie, nie zwracając uwagi na obecność Eddiego i panny Terwiliger. Kilkudniowa rozłąka z Adrianem obudziła we mnie większą tęsknotę, niż mogłabym się spodziewać, i chyba oboje nas zaskoczyło, że to on zakończył pocałunek.

– Mówiłem, że znajdę sposób, by do ciebie przyjechać – wyjaśnił z uśmiechem. Spojrzał na ostrza i spoważniał. – Zdaje się, że zdążyłem w samą porę.

Idąc za jego spojrzeniem, zerknęłam na brzytwy lśniące złowieszczo w trawie. Otrząsnęłam się.

– Już kiedyś widziałam coś takiego – powiedziałam, bezwiednie powtarzając kwestię Eddiego.

Panna Terwiliger wypuściła z drzeniem powietrze.

– To paskudne zaklęcie. Nie rzuca się go ot tak sobie.

– Wiem – odparłam miękko. – Raz to zrobiłam.

Popatrzyli na mnie zdumieni.

– Kiedy? – spytała czarownica. – I gdzie?

– W pani domu... W starym domu, zanim spłonął – uściśliłam.

Opadły mnie wspomnienia i świat nagle się zakołysał, bo kolejne fragmenty układanki ułożyły się w całość. Sądziłam, że nie znam nikogo zdolnego uprawiać ten rodzaj ludzkiej magii – w każdym razie nikogo, kto był zarazem moim wrogiem. Myliłam się. Spojrzałam na wyczekujące twarze przyjaciół.

– Tego zaklęcia użyłam, żeby zabić Alicję – wyjaśniłam.

ROZDZIAŁ 7

Adrian

ALICJA DEGRAW ŻYŁA.

To był dla mnie szok, więc mogłem sobie tylko wyobrazić, jak to odebrała Sydney. Sądziła, że zabiła Alicję. Tamta kobieta była dawniej uczennicą Weroniki, siostry Jackie, ale się zbuntowała. Sprawa wyglądała groźnie, biorąc pod uwagę fakt, że sama Weronika nie była niewiniątkiem. Miała obsesję na punkcie młodości, którą usiłowała odebrać innym czarownicom razem z ich mocą. Ofiary Weroniki zapadały w śpiączkę. Na koniec jednak Alicja zwróciła się przeciwko swojej mentorce i odebrała jej moc, a następnie zamierzała zrobić to samo z Jackie. Oboje z Sydney uczestniczyliśmy w dramatycznych wydarzeniach w jej domu, który spłonął wówczas do szczytu. Nie mieliśmy pewności, czy Alicja uszła stamtąd z życiem, dopiero teraz ostatecznie się o tym przekonaliśmy.

– Częściowo czuję ulgę, że nikogo nie zabiłam. Z drugiej strony... to nieco komplikuje sprawę – przyznała Sydney, mieszając kawę.

Opuściliśmy kamping, by przedyskutować sytuację w restauracji otwartej całą dobę. Fakt, że moja żona nie wypila od razu swojej kawy, oznaczał, że była poważnie zmartwiona. Odkąd się znaliśmy, nigdy nie przepuściła ani jednej filiżanki.

– Jesteś pewna? – spytała Jackie. – To te same ostrza?

Sydney podniosła złotą brzytwę, jedyną, którą zabrała z miejsca zdarzenia. Reszta została zniszczona.

– Całkowicie. Czegoś takiego się nie zapomina. Tej nocy, gdy z nią walczyłam, przemieniłam ruchome kulki w takie brzytwy.

– Przypominam sobie te kulki – mruknęła Jackie niemal z sentymentem. – Dostałam je w prezencie na koniec roku od dawnego ucznia. Chyba liczył na to, że podniosę mu ocenę.

Sydney jakby tego nie słyszała. Widziałem udrękę w jej oczach.

– Skierowałam te ostrza przeciwko Alicji. Zrobiłam to instynktownie. Spadła ze schodów w pani piwnicy, a ja nie mogłam zobaczyć, co się działo później. Wszystko wokół płonęło.

Położyłem ręce na jej dłoniach.

– Zrobiłaś, co do ciebie należało. Postąpiłaś słusznie. Ona była... jest... zła.

– Chyba tak – przyznała z westchnieniem Sydney. – No i mamy odpowiedź na nasze pytania. Zastanawialiśmy się, kto może się na mnie mścić, używając do tego ludzkiej magii. Alicja pasuje jak ulał.

– Skoro już wiemy, że to ona, odnajdźmy ją i uwolnijmy Jill – mruknął Eddie. Prawie przestał się golić w ciągu ostatnich dni spędzonych w podróży i najwyraźniej zaczął zapuszczać brodę. – Zostawiła nam wskazówkę: jest w Palm Springs. Zatem musimy ją unieszkodliwić raz na zawsze.

– Zgoda – zdecydowała Sydney, otrząsając się ze złych wspomnień. – Skończmy to i uwolnijmy Jill. Żadne z nas chyba nie pójdzie teraz spać. Równie dobrze możemy od razu wyruszyć do Palm Springs.

– Nie pojedziesz tam – sprzeciwiła się Jackie. – Nie pozwolę ci się nawet zbliżyć do tego miasta.

– Jak to? – obruszyła się Sydney. Była równie wzburzona jak Eddie. – Przecież to właśnie

jest kolejny etap. Alicja tak powiedziała.

– I dlatego nie pojedziemy tam od razu.

– Ale Jill... – zaczął Eddie.

Jackie potrząsnęła głową.

– Nie wiemy, jak duży ma w tym udział. Wiemy tylko, że Alicja zarzuca przynętę na Sydney i chce ją ściągnąć do Palm Springs. Na pewno przygotowała tam zasadzkę. Działa w sposób typowy dla siebie – na początek próbuje zmęczyć ofiarę. Ta gra w zbieranie przedmiotów nie służyła wyłącznie jej rozrywce. Miała osłabić magiczną moc Sydney. Jeśli od razu pojedziesz do Palm Springs po kilku dniach używania magii, dobrowolnie wchodzisz w jej pułapkę. Stracimy cię i może nigdy nie dowiemy się, co spotkało Jill.

Miałem dylemat, ścisnąłem mocniej rękę Sydney. Rozumiałem powody, dla których Jackie wolała trzymać Sydney z dala od niebezpieczeństwa. Myślałem tak samo. Ale czułem również narastające napięcie. Zagrożenie życia Jill rosło z każdym dniem. Znaleźliśmy trop, dlaczego więc mielibyśmy nie działać?

– Z drugiej strony – ciągnęła Jackie, jakby czytała w moich myślach – to nie znaczy, że chcę zostawić Jill bez pomocy. Zamierzam rozpocząć poszukiwania w Palm Springs, a konkretnie w rejonie Salton Sea. Potrzebuję tylko odpowiedniego wsparcia.

Nie od razu zrozumieliśmy z Eddiem, co miała na myśli, Sydney jak zwykle zorientowała się pierwsza.

– Stelle – mruknęła, odwołując się do kręgu czarownic, do których należała.

Jackie potwierdziła skinieniem głowy.

– I nie tylko one. Alicja nie jest wyłącznie twoim problemem, zagraża całej społeczności czarownic. I wszystkie powinny się z nią rozprawić. Zorganizuję spotkanie i rozpoczniemy wspólne poszukiwania metodami konwencjonalnymi i magią. Ty tymczasem zostaniesz w bezpiecznym miejscu – daleko stąd.

– Razem ze mną – oznajmiłem.

Zrobiło mi się rażniej na myśl, że Jill nie zostanie bez pomocy. Było mi z tym ciężko, niemal jakbym miał wybierać pomiędzy Sydney a Jill, ale wszystko wskazywało na to, że Jackie nie zamierza próżnować.

– Pojadę z tobą – Eddie zwrócił się do Jackie, a potem spojrzał na nas. – To znaczy...

– Jego niepewna mina odzwierciedlała stan mojego ducha.

– Jedź – powiedziałem. – Damy sobie radę. Nikt nie wie, że opuściliśmy dwór. Ukryjemy się gdzieś i nic nam się nie stanie.

Eddie jeszcze się wahał. Przeżywał konflikt lojalności, ale ostatecznie przystał na propozycję.

– Jeśli myślisz, że sobie poradzicie. Ale jak udało ci się wymknąć bez niczyjej wiedzy?

– Opowiem ci kiedy indziej – obiecałem.

Widziałem po minie Sydney, że ona również chciałaby to wiedzieć. Spojrzała jednak na Jackie.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie bezpiecznie. Chcę wziąć udział w poszukiwaniach Jill.

– Chyba że odnajdziemy ją w pierwszej kolejności i pokonamy Alicję – upierał się Eddie.

– Byłoby wspaniale. – Sydney uśmiechnęła się do niego z powątpiewaniem.

Przed rozstaniem jeszcze dogadaliśmy szczegóły. Eddie wciąż miał rozterki, czy zostawić nas bez ochrony. Raz po raz podsuwał rady dotyczące ukrywania się i niezwracania na siebie uwagi. Chciał sprowadzić do nas Neila, ale Sydney zaprotestowała, że we dwójkę będzie łatwiej się ukryć. Wszyscy się zgodziliśmy, że Neil przyda się w Palm Springs, gdy namierzemy Alicję,

i Eddie obiecał go wówczas sprowadzić.

– Nie martw się. – Klepnąłem go w plecy, usiłując zatamować potok dobrych rad. – Nie zrobię nic, co pozwoliłoby alchemikom lub morojom zorientować się, że opuściliśmy dwór. Rób swoje, a my o siebie zadbamy. Dajcie nam znać, kiedy będziemy mogli bezpiecznie do was dołączyć.

Jackie i Eddie nie chcieli znać naszych planów. Im mniej wiedzieli, tym dla nas lepiej. Dali nam mnóstwo sugestii dotyczących bezpiecznych kryjówek i musiałem wielokrotnie zapewniać, że sobie poradzimy.

Dostaliśmy z Sydney do dyspozycji wypożyczony samochód i mieliśmy przed sobą nieograniczone możliwości. W dodatku zostaliśmy sami po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

– Jestem nieco oszołomiona – wyznała, gdy siedzieliśmy na parkingu przed restauracją. – Jakbyśmy nagle dostali szansę na życie według jednego z naszych planów ucieczki.

– To niezupełnie tak – sprostowałem. – Jesteśmy w samym środku Stanów Zjednoczonych i mamy pięć godzin na znalezienie bezpiecznej kryjówki. Potem muszę się spotkać z Charlotte we śnie.

– Słucham?! – obruszyła się Sydney.

– Zaraz ci to wyjaśnię – westchnąłem, zapalając silnik.

Nie sądziłem, że będę musiał się z tego tłumaczyć żonie tak szybko.

Ruszyliśmy autostradą na północ i zrelacjonowałem ostatnie wydarzenia. Charlotte dotrzymała słowa i pomogła mi opuścić dwór. Wywiozła mnie swoim samochodem, używając czaru wpływu przy budce wartowniczej, żeby strażnik nie zapamiętał mojej twarzy. Odstawiła mnie na lokalne lotnisko i obiecała, że wprowadzi się do naszego mieszkania razem z moją mamą. W ciągu dwudziestu czterech godzin mojej podróży, gdy zmieniałem samoloty i jechałem do Ozarks, Charlotte i mama informowały mnie o tym, co się u nich działo. Nikt o mnie nie pytał, a Charlotte poszła do holu i użyła wpływu w rozmowie z recepcjonistką, by przekonać ją, że widzi, jak wychodzę na karmienie i wracam.

– Teraz muszę wypełnić swoje zobowiązanie – wyjaśniłem na koniec.

– Nadużywając mocy ducha, która już niszczy życie Charlotte?! – wykrzyknęła Sydney.

– Adrian, obiecałeś, że z tym skończysz!

Ona nic nie rozumie – rozłościła się ciotka Tatiana. *Robisz to dla niej!*

Ogarnęła mnie złość.

– Tylko w ten sposób mogłem opuścić dwór!

– Wcale nie musiałeś stamtąd wyjeżdżać – upierała się Sydney. – Radziliśmy sobie.

Trzeba było zostać w bezpiecznym miejscu i mnie kryć.

– Radziliście sobie? Beze mnie zginęlibyście pocięci na kawałki!

Sydney skrzyżowała ramiona na piersi i utkwiała wzrok w jakimś punkcie za oknem.

– Nie wiadomo, co by się stało. Mogłyśmy z panną Terwiliger zdążyć z zakłębieniem w ostatniej chwili. Za to ty... urządzasz sobie seanse z Charlotte! Dobrze wiemy, czym to grozi. Sam mówiłeś, że ona jest w kiepskim stanie.

– Dlatego chcę jej pomóc – odparowałem. – Zrobię to tylko raz. Nic mi nie będzie.

Sydney popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Nie! Nie zrobisz tego. Ani razu. Nie możesz. Nie pozwolę ci!

Od kiedy to ona ci mówi, co masz robić? – oburzyła się ciotka Tatiana. *Jesteście małżeństwem ledwie od miesiąca, a ona już chce kierować twoim życiem. Nie możesz się na to zgodzić. Powiedz jej. Powiedz, że nie będzie tobą rządzić!*

Byłem równie oburzony jak zjawą w mojej głowie i otworzyłem usta, żeby ostro

zaprotestować. Już odwróciłem się do Sydney i wtedy w świetle mijających nas samochodów zobaczyłem wyraz jej twarzy. Troskę i miłość. Coś złapało mnie za serce i cała moja złość wyparowała bez śladu.

Zwodzi cię – upierała się ciotka Tatiana.

Nie – sprzeciwiłem się. *Martwi się o mnie. Chce mi pomóc.*

– Dobra – zgodziłem się. – Masz rację. To nie jest dobry pomysł. Nie wejdę w ten sen. Znajdę jakiś sposób, żeby to wytłumaczyć Charlotte.

Czułem się winny, że złamię obietnicę, ale przede wszystkim obowiązywała mnie przysięga złożona Sydney. Wiedziałem, że dokonałem słusznego wyboru, gdy zobaczyłem, jak oddycha z ulgą.

Charlotte się to nie spodoba – syknęła ciotka Tatiana.

Charlotte nie jest moją żoną – odparowałem.

Sydney położyła swoją rękę na mojej dłoni.

– Dziękuję, Adrian. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe. I wiem, że chciałeś jej pomóc.

– To prawda – przyznałem, bo wciąż przeżywałem konflikt. Odczuwałem silną, instynktowną potrzebę udzielenia pomocy Charlotte. – Ale musiałbym za to sporo zapłacić. Zdrowymi zmysłami. – Uścisnąłem rękę Sydney. – I naszym związkiem.

Ostrzegalam cię, Charlotte się to nie spodoba – powtórzyła ciotka Tatiana. *Miło, że dbasz o swoje zdrowe zmysły, ale ona już dawno straciła swoje. Nie pozwoli ci teraz tak po prostu wycofać się z umowy.*

Przekonam ją.

Tymczasem zyskałem trochę czasu na bycie sam na sam z żoną i nie chcę tego zmieniać.

Oboje z Sydney nie czuliśmy się tak wolni od bardzo dawna i chociaż nie wyjechaliśmy na żadną tropikalną wyspę, mieliśmy przed sobą nieograniczone możliwości. Przeglądając mapy w internecie, zdecydowaliśmy się na Council Bluffs w stanie Iowa. Nie było to miejsce szczególnie atrakcyjne, ale o to właśnie chodziło. Przede wszystkim leżało daleko od bazy alchemików w Saint Louis i jeszcze dalej od Palm Springs, gdzie Alicja czekała na Sydney. Rozważaliśmy wybór sieciowego hotelu, ostatecznie jednak zarezerwowaliśmy pokój w małym wiejskim zajeździe poza miastem. Dotarliśmy tam późnym rankiem i ujrzelśmy szyld: WITAMY W DZIUPI CZARNEJ WIEWIÓRKI.

– O, nie – jęknęła Sydney. – Oby ten nie przypominał tamtego pensjonatu w Los Angeles. Nie zniosę kolejnego wnętrza ozdobionego obrazkami zwierzątek.

Uśmiechnąłem się na myśl o naszej ostatniej wizycie w zajeździe tandetnie udekorowanym wizerunkami królika.

– Daj spokój. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, to najmniejsze z naszych zmartwień.

W środku czekała nas jednak miła niespodzianka. Wnętrze urządzone ze smakiem, w neutralnych barwach i nowocześnie. Nie było makatek z wiewiórkami ani ich wiklinowych podobizn. Właścicielka, choć zaskoczona tak wczesnym przyjazdem gości, przywitała nas z radością i wprowadziła do pokoju.

– Skąd się wzięła nazwa zajazdu? – spytałem, płacąc za nocleg.

Gospodyni, kobieta w średnim wieku, się rozpromieniła.

– Och, nadaliśmy ją na cześć Nereczki.

– Nereczki? – zdziwiła się Sydney.

Gospodyni potwierdziła ruchem głowy.

– To czarna wiewiórka. Mieszka tutaj. Powiedziałabym, że jest domowym zwierzątkiem... ale to ktoś znacznie ważniejszy.

Zajrzałem w głąb holu.

- Mieszka tutaj w klatce?
- Ależ nie – odparła kobieta. – To byłoby okrutne. Poza tym nielegalne. Ona...
- Wzruszyła ramionami i machnęła ręką w nieokreślonym kierunku. – Gdzieś się tu kręci.
- Jak to? – zaniepokoiła się Sydney. – Na zewnątrz?
- Nie – zachnęła się gospodyni. – Biedaczka, nie wiedziałaby, co tam robić.
- Zaraz. Jeśli nie na zewnątrz, to znaczy, że... – dociekała zszokowana Sydney.
- Chodźmy do waszego pokoju – zaproponowała radośnie gospodyni. – Mam tutaj klucz.

Pokój został wyposażony w przytulny kącik do siedzenia i drzwi wychodzące na prywatną werandę oraz wielkie miękkie łóżko. Po trudach podróży z przyjemnością myślałem o drzemce. Potrzebowałem solidnego wypoczynku. Ale zanim padłem na łóżko, musiałem skontaktować się z Charlotte i powiedzieć, że zrywam umowę. Zyskałem ku temu sposobność, gdy Sydney oznajmiła, że wchodzi pod prysznic. Charlotte powinna już czekać we śnie na moją wizytę. Nie musiałem sam zasypiać, wystarczyło się odprężyć.

Usiadłem na łóżku, wyciszyłem się i zamknąłem oczy. Przywołałem tylko tyle mocy ducha, by skontaktować się z nią przez sen. I nagle z łazienki dobiegł mnie krzyk. Poderwałem się i puściłem pędem przez pokój. Otworzyłem drzwi łazienki na oścież.

– Uważaj, Adrian! – krzyknęła Sydney.

Małe puszyste stworzonko zeskoczyło z półki i wylądowało mi prosto na piersi. Instynktownie strzepnąłem je. Zeskoczyło na podłogę i zaraz odbiegło. Sydney owinięta w ręcznik wyszła i stanęła obok mnie.

– Chyba weszło pod łóżko – powiedziała.

– Lepiej, żeby na mnie już nie wskakiwało – mruknąłem, podchodząc ostrożnie do krawędzi mebla.

Miałeś do czynienia z gorszymi rzeczami – skarciła mnie ciotka Tatiana. *Przestań się wygłupiać.*

Sydney szła za mną, a gdy uniosłem łóżko za nogę, machnęła ręką, jakby rzucała zaklęcie. Poczulem od dołu lekki powiew. Po chwili wiewiórka – Nereczka, jak podejrzewałem – wypadła spod łóżka i rozpoczęła gonitwę po pokoju. Sydney, odważnie otrząsając się z pierwszego szoku, podbiegła do drzwi prowadzących na werandę i je otworzyła. Po kilku okrążeniach wiewiórka uciekła na zewnątrz. Sydney zatrasnęła za nią drzwi i przez kilka sekund staliśmy oboje w bezruchu.

– Dlaczego dla nas nic nie może być proste? – spytała w końcu.

– Spójrz na siebie – zażartowałem, podchodząc do niej. – Nieustraszona pogromczyni Nereczki, Obląkanej Wiewiórki.

– Z początku nie byłam taka znów nieustraszona – przyznała. – Kiedy wyskoczyła na mnie pod prysznicem.

Przyciągnąłem ją do siebie, bo zobaczyłem, jak skąpo jest ubrana i jak seksownie wygląda, nawet po bliskim spotkaniu z wiewiórką.

– Wykazałaś się większą odwagą niż ja. I nawet nie zgubiłaś w tej potyczce ręcznika.

Sydney uśmiechnęła się i mi się poddała. Dotknęła węzła z ręcznika na swojej piersi.

– Cała sztuka leży we właściwym zawiązaniu węzła – wyjaśniła rzeczowo. – Zrób to porządnie, a nic się nie zsunie.

– Przyjmuję wyzwanie – mruknąłem, zbliżając wargi do jej ust.

Wtuliła się we mnie, ciepła i cudownie pachnąca. Przyparłem ją do ściany i przysunąłem się jeszcze bliżej, a ona owinięta sobie nogę wokół mojego biodra. Sunąłem dłonią po doskonale gładkiej skórze jej ud i nagle dotarło do mnie, że naprawdę jesteśmy sami od bardzo, bardzo dawna. Za drzwiami nie było mojej matki. Ani całego królewskiego dworu morojów,

czyhających, aż wyściubimy nos na zewnątrz, ani drużyny alchemików tropiących nas poza murami zamku. Realizowaliśmy nasz plan ucieczki. Nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy. Mieliśmy moc znikania na życzenie.

Świadomość, że po raz pierwszy jesteśmy naprawdę wolni, rozpałała w nas silniejszą namiętność. Sydney z zapalem odwzajemniała moje pocałunki i wplotła palce w moje włosy, co przywołało wspomnienie naszych pierwszych spędzanych wspólnie chwil. Podniosłem ją lekko i zaniósłem do łóżka, zadziwiony tym, że najsilniejsza kobieta, jaką znałem, była tak lekka w moich ramionach.

Zdumiewało mnie również to, jak trudno było zerwać z niej ten ręcznik.

Zaśmiała się cicho, przesuwając palcami po moim policzku. Promienie słońca wpadające przez żaluzje sprawiały, że jej skóra wyglądała niczym zrobiona ze złota.

– Nooo – mruknęła. – Czyżbyś jednak nie sprostał wyzwaniu?

Nareszcie rozwiązałem węzeł i zdjąłem z niej ręcznik, odrzucając go jak najdalej od łóżka.

– Chyba śnisz – mruknąłem, znów zachwycony widokiem jej ciała. – Trzeba o wiele więcej, żeby mnie utrzymać na dystans. Następnym razem musisz się bardziej postarać.

– Niby czemu miałabym to robić? – zapytała, pomagając mi ściągnąć koszulę przez głowę.

Pocałowaliśmy się znowu i już po chwili nasze ciała splotły się ze sobą. Wszystkie troski i zmartwienia zniknęły. Charlotte, alchemicy, Alicja... nawet ciotka Tatiana. Nie było nikogo oprócz Sydney i mnie, a znaczenie miały tylko miłość i bliskość. Moja radość wykraczała poza fizyczne odczucie przyjemności.

Spoceni i wyczerpani już po wszystkim wtuliliśmy się w siebie. Sydney oparła głowę na mojej piersi, a ja z zadowoleniem pocałowałem ją w czoło. Stwierdziłem, że najlepsze, co mogłoby się nam przydarzyć, to telefon od Jackie z wieściami, iż rozprawiła się z Alicją i uwolniła Jill, a Sydney i ja możemy odtąd żyć długo i szczęśliwie w Council Bluffs. Zasnąłem i śniłem szczęśliwie o spełnieniu tej fantazji.

Moje szczęście okazało się jednak krótkie, bo wkrótce zostałem wciągnięty do innego snu. Natychmiast przypomniałem sobie ostrzeżenia ciotki Tatiany o tym, że Charlotte nie pozwoli tak po prostu zerwać umowy.

– Gdzieś ty był?! – wykrzyknęła. Na naszych oczach zmaterializował się wiejski dom w Wisconsin. – Miałeś mnie odszukać!

Rozglądałem się, usiłując się zorientować wobec tej nieoczekiwanej zmiany.

– Ja, mhm... przepraszam. Miałem coś do zrobienia w realu, a potem zasnąłem.

– Nie ma problemu. – Machnęła ręką. – Poprowadzę ten sen. Tylko pamiętaj, że tym razem ty użyjesz więcej mocy.

Wybałuszyłem na nią oczy.

– Nie, Charlotte, zaczekaj!

Ale ona mnie nie słuchała. Była zbyt pochłonięta misją odnalezienia Olive. Poczułem, że już przywołała magię ducha i sprowadza kolejną osobę. Chwilę później w pokoju zaczęła materializować się Olive, równie przezroczysta jak poprzednio. I tak jak przedtem wpadła w panikę, a zaraz potem zaczęła zmagać się z siostrą. Teraz wiedziałem, co się święci i czego się spodziewać.

Po naszej ostatniej próbie analizowałem to, co się wydarzyło, ale nie wyciągnąłem wielu wniosków. Nawet rozmawiałem o tym z Sonią i oboje uznaliśmy, że Olive przejęła kontrolę nad snem siłą woli. Mając odpowiednią motywację, mogła pokonać osobę władającą mocą ducha. Najwyraźniej działało się to także teraz.

Jesteś lepszy w śnieniu niż Charlotte – przypomniła ciotka Tatiana. *Najlepszy ze wszystkich.*

Wiem – odparłem.

Widząc, że senne otoczenie zaczyna się rozpraszać, podjąłem impulsywną decyzję i złamałem obietnicę daną Sydney.

– Oddaj mi ten sen – poleciłem Charlotte.

Zorientowała się, co zamierzam, i posłuchała. Byłem gotowy, duch płynął przeze mnie i przejąłem panowanie nad snem. Wiejski dom, który już się rozpadał, zaczął się materializować od nowa. Podobnie jak Olive.

– Nie! – wykrzyknęła.

Charlotte podbiegła do niej.

– Olive! Tak bardzo za tobą tęskniłam!

Twarz Olive wykrzywił strach, cofnęła się gwałtownie i owinęła ciaśniej swoim płaszczem przypominającym chmurę.

– Nie... nie. Proszę, zostawcie mnie!

I nagle poczułem, że sen wymyka mi się spod kontroli. Podtrzymywałem go całą mocą, ale to wola Olive wygrywała z moją. W drewnianych ścianach pojawiły się szczeliny. Wiklinowe meble rozsypały się w pył. Oświetlone słońcem okna pociemniały. Przywołałem więcej mocy, żeby przezwyciężyć próbę przejęcia kontroli. Czulem, jak magia płonie we mnie jasnym płomieniem, ale Olive już zdążyła zmienić scenerię. Dom zniknął i zastąpił go hotelowy parking. Migająca latarnia uliczna rzucała na nas słabe światło, podobnie jak czerwony neon w oknie hotelu. Ulice wokół dziwnie opustoszały. Panowała złowieszcza cisza, przynajmniej do chwili, gdy się odezwałem.

– Przepraszam, była szybsza – powiedziałem do Charlotte. – Gdzie jesteśmy?

Zrobiła krok w moją stronę, jej twarz była pełna lęku.

– To tutaj zostałyśmy zaatakowane razem z tatą. Kiedy Olive przemieniła się w strzygę. Było pełno bestii...

Nie dokończyła, bo dwie złowrogie postaci wyłoniły się zza ciemnej sylwetki stojącego na parkingu buicka. Ich nienaturalnie białe twarze wydawały się w bladym świetle jeszcze straszniejsze. Nie widziałem czerwonych obwódok wokół ich ślepi, ale wyraźnie czulem czyste zło. Bestie szczyrzyły kły tak podobne do moich. One jednak pragnęły zabijać.

Chwyciłem Charlotte za rękę i zacząłem się powoli wycofywać.

– Nie mogą nas zabić we śnie – powiedziałem pewnym głosem, ale zaschło mi w ustach. – Nie naprawdę.

– Ale wtedy się obudzimy – odparła. – A Olive znów zniknie.

– Nie, jeśli je najpierw unicestwimy.

Byłem przerażony, choć wiedziałem, że strzygi są tylko częścią snu. Przez całe życie uczono mnie, że powinienem się ich bać. Ale mówiłem prawdę: w magicznym śnie nie można umrzeć. Po prostu się budzisz. Wcześniej odczuwasz jednak potworny ból. „One nie są prawdziwe – powtarzałem sobie. – To sen, nad którym wciąż do pewnego stopnia panuję”.

Olive przejęła najważniejsze elementy tego snu, między innymi scenerię, ale szczegóły nadal pozostawały w mojej gestii. Umiałem posługiwać się ogniem tak sprawnie jak Christian czy Sydney. W mojej dłoni pojawiła się płonąca kula zasilana magią ducha. Czulem, że Charlotte także przywołała swoją moc, i natychmiast ją powstrzymałem.

– Nie... zostaw to mnie. – Jeśli już zostałem schwytyany w ten sen, równie dobrze mogłem zrealizować pierwotny plan i zabronić jej nadużywania własnej mocy. – Tylko mnie wspieraj. Nie szarżuj.

Cisnąłem ognistą kulą w jedną ze strzyg, ale ominęła ją o jakieś pół metra. Dobra – może nie radziłem sobie z ogniem tak sprawnie jak Christian i Sydney. Ilekroć robiła to Sydney, sądziłem, że nie ma nic prostszego pod słońcem. Tak myślałem, naśladowując jej ruchy. Teraz zorientowałem się, że tu nie chodzi wyłącznie o sprawność fizyczną. Musiałem postarać się o odpowiednią intencję. Przywołałem kolejną kulę i tym razem użyłem magii, by naprowadzić ją prosto na strzygę. Rzuciłem celnie, ale nawet we śnie strzyga okazała się szybsza. Uniknęła zderzenia z płonąca kulą, która ledwie poparzyła jej ramię. To jednak wystarczyło, by mnie zainspirować. Ponownie przywołałem moc ducha i jeszcze dwie kule, jedną, by sięgnąć celu, drugą, by w razie czego trzymać bestie na dystans.

Tym razem przewidziałem, w którą stronę uskoczy strzyga, i trafiłem ją prosto w pierś. Natychmiast stanęła w płomieniach, a wtedy wyczarowałem srebrny sztylet. Podbiegłem do wijącej się bestii i posłużyłem się magią ducha jak tarczą osłaniającą przed płomieniami, następnie zaś wbiłem sztylet w serce potwora. Trafiłem albo płomień dokończyły dzieła, ponieważ strzyga nagle znieruchomiała i po chwili rozpadła się w pył.

Druga z bestii usiłowała zaatakować Charlotte, wykorzystując fakt, że jestem zajęty walką. Dziewczyna cisnęła w nią kulą płomieni i podobnie jak ja chybiła celu. Wystarczyło jednak odciągnąć uwagę bestii, a wtedy wkroczyłem ja.

– Trzymaj dystans – upomniałem Charlotte.

Płomienna kula poleciała prosto do celu, a potem dokończyłem dzieła srebrnym sztyletem. Niedługo jednak triumfowałem, bo nagle jak spod ziemi wyrosły cztery kolejne strzygi. Pospiesznie dołączyłem do Charlotte.

– To nie problem – powiedziałem. – Zaraz je załatwimy. – Czterech przeciwników onieśmieliło mnie lekko, ale moja metoda wciąż działała bez zarzutu. Przynajmniej we śnie mogłem uchodzić za wojownika równego strażnikom.

– Nie ma czasu! – wykrzyknęła Charlotte. Duch w niej płonął. Pochłaniał ją. Przyjrzałem się jej z przestachem.

– Co ty wyprawiasz? Przeginasz!

Zignorowała mnie i przywołała jeszcze więcej mocy. Wyglądała jak balon gotów pęknąć lada moment.

– Musimy się ich stąd pozbyć i to natychmiast!

– Przestań! – wrzasnąłem. Potrząsnąłem ją za ramię, żeby rozproszyć jej uwagę. Odepchnęła mnie jednak i nadal gromadziła w sobie niebezpieczne ilości mocy.

– Nie pozwolę Olive znowu uciec! – krzyknęła.

Zobaczyłem płomień strzelający z jej palców. Nie bawiła się w formowanie niewielkich płomiennych kul. Tworzyła gigantyczne ściany ognia. Olbrzymie. Płomienie rozświetliły nocny mrok, otaczając trzy strzygi. Nie trzeba było przebijać ich sztyletem, zginęły na miejscu.

Znów nią potrząsnąłem.

– Rozluźnij się! Wypuść magię!

To, co zrobiła, żeby wytworzyć niezwykle zasoby ognia, wpłynęło także na sen. Charlotte musiała przełamać nie tylko wolę Olive, ale również moją, zmieniając strukturę snu. Pokonanie wszystkich strzyg za jednym zamachem wymagało oszałamiającego natężenia mocy ducha. Zużyła jej co najmniej dwa razy tyle, ile podczas naszego pierwszego wspólnego snu.

Ogień zgasł (znikły też spalone strzygi) i Charlotte upadła na kolana. Chwyła się dłońmi za głowę i zaczęła krzyczeć. Nie przestawała. Pogrążony w ciemności parking wokół nas przemienił się w słoneczną Getty Villa, gdy odzyskałem kontrolę nad snem. Ukłękłem przy niej i delikatnie oparłem ręce na jej barkach. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem i krzyczała.

– Charlotte, Charlotte... już dobrze. Jest dobrze.

Ale nie wiedziałem, czy tak jest rzeczywiście. Charlotte nie krzyczała ze strachu przed strzygami. Cierpiała, ponieważ nadużyła mocy. Korzystała z niej całymi tygodniami, a teraz zdobyła się na morderczy wysiłek... To była kropla, która przelała czarę. Nie miałem pojęcia, jak wielkie są rozmiary katastrofy, ale stan Charlotte wydawał się poważny. Uznałem, że muszę się obudzić i sprawdzić, co z nią w realu. Zacząłem rozpraszać sen...

– Charlotte...

Usłyszałem czyjś cichy głos. Nie zorientowałem się, że Olive jest znów z nami w Getty Villa. Kiedy Charlotte pokonała strzygi, odebrała kontrolę siostrze i tymczasowo również mnie. Teraz Olive została z niczym, nie panowała nad sytuacją ani nie mogła stąd uciec. Jej postać rozmywała się, jednak nie dlatego, że przejmowała kontrolę nad snem, to ja przenosiłem nas do świata na jawie.

Zanim wszyscy zniknęliśmy, dostrzegłem parę rzeczy. Po pierwsze, troskę w oczach Olive, gdy wpatrywała się w siostrę. Niezależnie od tego, co między nimi zaszło, Olive kochała Charlotte i nie chciała jej skrzywdzić. Po drugie, zniknął płaszcz zakrywający Olive. Skoro nie kontrolowała snu, pokazała się taka, jaka była na jawie – ubrana w stare znoszone rzeczy. Po trzecie, na jej szyi dostrzegłem mały okrągły wisiołek z drewna w zielonym obramowaniu. Nie widziałem go wcześniej i nie przychodziło mi do głowy, czy ma jakieś znaczenie.

Ostatnia rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy, była szczególnie zaskakująca...

I wtedy sen rozpadł się zupełnie. Siedziałem na łóżku w zajeździe. Mrugałem intensywnie, usiłując się skupić, a Sydney potrząsała moim ramieniem. Próbowwała mnie uspokoić.

– Adrian! – zawołała i czułem, że nie po raz pierwszy wypowiada moje imię. – Co ci jest?

– Olive jest w ciąży! – wypaliłem.

ROZDZIAŁ 8

Sydney

OLIVE? – POWTÓRZYŁAM TĘPO. Byłam nieco rozkojarzona, bo krzyki Adriana obudziły mnie z głębokiego snu. – O czym ty mówisz?

Potrząsnął głową ze skruchą.

– Przepraszam cię, Sydney. Nie chciałem. Charlotte odnalazła mnie w magicznym śnie i dałem się jej wciągnąć w poszukiwania Olive. Ale tym razem ją znaleźliśmy. Jest w ciąży.

Byłam tak wstrząśnięta informacją, iż śnił wbrew obietnicy, jaką mi złożył, że sens jego słów ledwie do mnie docierał. Wyglądał jednak na szczerze skruszonego. Uwierzyłam, że został wciągnięty do snu wbrew swojej woli.

– Nie może być w ciąży – powiedziałam w końcu. – To znaczy... Chyba może. Ale wydawało mi się, że chodzi z Neilem. Jeśli jest w ciąży, to...

Adrian przełknął głośno ślinę. Chyba powoli dochodził do siebie.

– Wiem, wiem. Jeśli jest w ciąży, to nie Neil jest ojcem.

Opera mydlana z Olive w roli głównej wobec tego, co się działo wokół, szczególnie uprowadzenia Jill, nie wydawała mi się szczególnie dramatyczna. Mimo wszystko byłam zaskoczona. Olive i Neil sprawiali wrażenie zakochanych.

– Jesteś pewien?

Adrian kiwnął głową.

– Przełamaliśmy z Charlotte obronę Olive i ujrzałem ją taką, jaka jest na jawie. Nie mam wątpliwości co do jej ciąży. Pewnie dlatego próbowała się ukrywać w snach. – Przerwał, żeby się zastanowić. – I dlatego ukrywa się na jawie.

– Zrozumiałabym, że unika Neila... – zaczęłam, zastanawiając się nad powodami jej zachowania. Olive była wampirzycą, więc mogła zajść w ciążę wyłącznie z morojem. No, może również z człowiekiem, ale rzadko kto w świecie morojów decydował się na to, co Adrian i ja. – Ale Charlotte? Były sobie bardzo bliskie. Chyba że... Och. – Poczułam ściskanie w żołądku.

– Może... coś się stało wbrew jej woli.

Adrian nie zrozumiał od razu, ale po chwili po jego twarzy przemknął cień gniewu.

– Jeśli któryś z morojów ją zgwałcił, dlaczego nie powiedziała o tym Charlotte? Wszystkim?

Splotłam jego palce ze swoimi.

– Ponieważ niestety nie wszystkie dziewczyny tak reagują. Spójrz na moją siostrę Carly. Keith ją zgwałcił, a ona myślała, że to jej wina. Przerazała ją myśl, że ktoś się dowie i będzie ją osądzał.

– Charlotte nigdy nie potępiłaby Olive – rzucił z przekonaniem Adrian. – Olive musiała o tym wiedzieć. Charlotte jest może szalona, ale...

Na twarzy Adriana pojawiło się przerażenie.

– O co chodzi?

– O Charlotte. – Sięgnął po swoją komórkę. Wystukał numer i przyłożył ją do ucha. Usłyszałam słaby sygnał, a później komunikat poczty głosowej. – Charlotte, to ja. Zadzwoń do mnie natychmiast. – Rozłączył się i spojrzał na mnie z westchnieniem. – To, co zrobiliśmy... udało nam się przełamać opór Olive, ale Charlotte poważnie na tym ucierpiała. Przejęła ode mnie

kontrolę nad snem i wzięła na siebie całe brzemienie ducha. Nie jestem pewien, co się z nią stało, ale czuję, że to coś złego. Chyba została ranna. – Spojrzał na telefon, jakby samym patrzeniem mógł przywołać dziewczynę.

– Może śpi – podsunęłam. Nie chciałam powiedzieć tego głośno – i miałam nadzieję, że nie stało się nic złego – ale po części czułam ulgę, że Adrian nie wziął na siebie całego brzemienia mocy ducha. – Pewnie obudzi się pokrzepiona. A ty będziesz miał jej sporo do powiedzenia.

Adrian westchnął.

– Nie jestem pewien. To znaczy mógłbym powiedzieć o ciąży. Ale o innych rzeczach? Wciąż nie wiem, gdzie jest Olive. Tak dziwnie była ubrana... – Wstał, znalazł długopis i kartki z nadrukiem hotelowym. Wykonał kilka szybkich ruchów i zaprezentował mi rysunek koła wypełnionego abstrakcyjnymi wzorami. – Czy to ci coś mówi?

Przyjrzałam się szkicowi, marszcząc czoło.

– Nie. A powinno?

– Olive nosi taki wisiołek. Pomyślałam, że to jakiś znak. – Usiadł obok mnie i stłumił ziewnięcie. – Mam nadzieję, że nasz wysiłek nie był nadaremny i że znajdziemy sposób, aby pomóc Olive. Bo jeśli nie poznamy odpowiedzi, obawiam się, że Charlotte będzie kontynuowała poszukiwania. – Rzucił kolejne niespokojne spojrzenie na komórkę, ale ta wciąż milczała.

Objęłam go ramieniem i przyciągnęłam do siebie.

– Myśl pozytywnie. Może Charlotte rozpozna ten symbol. Poczekaj cierpliwie, aż się odezwie.

Staralam się mówić lekkim tonem i nie okazywać lęku. Nie bałam się o Charlotte. Obawiałam się, że Adrian znów zechce jej pomagać, przedkładając potrzeby obu siostr nad własne i nie licząc się z ryzykiem. Serce mi się ścisnęło na tę myśl. Byłam rozdarta. Z jednej strony podziwiałam Adriana za to, że im pomaga. Z drugiej zwyczajnie go kochałam i chciałam chronić.

Ponownie spróbował skontaktować się z Charlotte, ale ostatecznie posłuchał mojej prośby. Uważałam, że powinniśmy odpoczywać, póki to możliwe. Przykro było widzieć go tak zmartwionego i wyczerpanego. Zdołał jednak odsunąć na bok troski i nieco się odprężyć. Zasnęliśmy przytuleni do siebie. Kilka godzin później obudził nas dźwięk telefonu. Adrian złapał komórkę, omal nie spadając z łóżka, i spochmurniał wpatrując się w ekran.

– Szlag! Bateria mi padła. Zapomniałem naładować.

– To mój dzwonił – mruknęłam, szukając komórki w torebce. Błyskawicznie otrząsnęłam się ze snu, obawiając się, że to panna Terwiliger ma dla nas wieści. Zdziwiłam się, widząc na wyświetlaczu imię Soni.

– Halo?

– Cześć, Sydney – zabrzmiał znajomy głos. – Ufam, że u ciebie wszystko w porządku.

– Tak – odparłam ostrożnie, zaskoczona, że odezwała się do mnie. Lubiliśmy się, ale najczęściej kontaktowała się z Adrianem. – A co u ciebie?

– Wszystko dobrze, choć nie mogę powiedzieć tego samego o Charlotte Sinclair – powiedziała, a ja zamarłam. – Dzwoniłam do Adriana, lecz odzywa się poczta głosowa.

– Padł mu telefon – wyjaśniłam. – Co się stało Charlotte?

Słyszając to, Adrian poderwał czujnie głowę.

– Myślałam, że wiecie. Znalaziono ją w waszym mieszkaniu.

– Akurat wyszliśmy – odparłam wymijająco. – Jak to: znaleziono? – Takich słów używa się, gdy ktoś nie żyje.

– Charlotte żyje – Sonia odgadła moje myśli. – Zabrali ją do szpitala, ale jest w śpiączce.

Ocknęła się na krótko, wybełkotała jakieś niezrozumiałe słowa i ponownie straciła przytomność. Od tej pory lekarze nie mogą jej obudzić. Może ją odwiedzić?

– Uhm, porozmawiam z Adrianem i zobaczymy, kiedy...

– Daruj sobie te wykręty, Sydney. – W głosie Soni pobrzmiwało znużenie i lekka irytacja. – Wiemy, że was tu nie ma.

– No, tak, mówiłam, że wyszliśmy...

– Wiemy, że nie ma was na dworze – przerwała mi. – Szukaliśmy was po wypadku Charlotte. Daniella Iwaszkow przyznała w końcu, że wyjechaliście. Nie chce nam jednak powiedzieć dokąd. Próbuje nas wprowadzić w błąd, powtarzając jakieś fantastyczne historie o twojej przemianie w kota.

Naprawdę nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Wiele osób chciałoby z wami porozmawiać – ciągnęła Sonia. – Z obojgiem. Pewnie nie macie możliwości nawiązać połączenia wideo?

Zerknęłam na laptop Adriana.

– Mamy... – Szczerze mówiąc, obawiałam się skutków tej konferencji. Widziałam jednak, że Adrian powstrzymywał się przed wyrwaniem mi telefonu, by zapytać Sonię o Charlotte. Rozmowa grupowa mogła być najlepszym rozwiązaniem. Już nie musieliśmy niczego ukrywać. Oczywiście mogli nas namierzyć, ale nie bałam się morojów, raczej alchemików.

Okazało się, że miałam rację. Adrian także chciał porozmawiać z Sonią i resztą. Zamartwiał się, nie wiedząc, co się stało z dziewczyną. Byliśmy nadzy, więc zaczęliśmy się pospiesznie ubierać.

Adrian popatrzył na mnie z żalem, widząc, że szukam bluzki.

– Moglibyśmy usiąść tak, żeby widzieli tylko nasze głowy. Nikt by się nie zorientował.

Skarciłam go wzrokiem. Wydał serię dramatycznych westchnień, ale w końcu on także się ubrał.

Zostaliśmy jednak w łóżku i otworzyliśmy laptopa. Ustawiliśmy program, nawiązaliśmy połączenie i już po chwili zobaczyliśmy zaniepokojoną twarz Soni. Zanim Adrian zdążył zapytać ją o Charlotte, dziewczyna odsunęła się i na ekranie pojawiła się inna twarz.

– Serio, Adrian?! – wykrzyknęła Lissa szczerze oburzona. – Jak mogliście mi to zrobić?! Błagałam o ochronę! Ryzykowałam, że mój lud zwróci się przeciwko mnie, a alchemicy zabiorą was stąd siłą, i tak mi się odwdzięczacie?

Była naprawdę sfrustrowana. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, ile problemów narobiliśmy na dworze. Czasami zapominałam, w jak trudnej sytuacji jest Lissa, od której każdy oczekiwał czegoś innego i która na próżno starała się wszystkich zadowolić. Zrobiliśmy z Adrianem to, co uznaliśmy za słuszne, nie zastanawiając się nad konsekwencjami naszego postępowania.

– Zrobiliśmy to dla Jill – odparł rezolutnie Adrian. – Musimy ją odnaleźć.

Lissa potrząsnęła głową ze złością.

– A ja ci powiedziałam, o ile w ogóle cię to obchodzi, że wasza misja jest zbędna. Wysłaliśmy już ekipę poszukiwawczą.

– Nie, nie... To nie tak – zaprotestował Adrian. – To nie była impulsywna decyzja. Sydney wpadła na prawdziwy trop.

Zielone oczy Lissy patrzyły na mnie wyczekująco. Zaczęłam opowiadać wszystko, czego się dowiedziałam do tej pory, o udziale Alicji w zniknięciu Jill i o tym, że moje źródła w Palm Springs już szukają śladów. Mówiłam, a twarz Lissy wyrażała coraz większe niedowierzanie.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? Powinniście byli mnie natychmiast o tym

powiadomić!

– Na początku nie znaleźliśmy wszystkich faktów – wyjaśnił Adrian. Mimo jego pozornej pewności siebie widziałam, że on również miał wiele wątpliwości. – Nadal nie znamy. Ale Jackie Terwiliger jest świetna. Znajdzie coś. – Zawahał się. – Kto wie o naszym wyjeździe?

– Alchemicy nie wiedzą, jeśli to cię martwi – powiedziała Lissa. – Do tej pory wie tylko garstka osób na dworze i oby tak zostało. Alchemicy dali mi jasno do zrozumienia, że jeśli złapią Sydney, już nam jej nie oddadzą.

Przestraszyły mnie te słowa.

– Wystarczy, Liss. – Rose utorowała sobie drogę do ekranu i usiadła obok swojej przyjaciółki, jakby ta nie była władczynią świata morojów. – Zrozumieli, że postąpili źle.

– Wcale nie – upierał się Adrian. – Odnalezienie Jill to najważniejsze, co możemy teraz zrobić.

Lissa nieco złagodniała.

– To prawda. I mnie na tym zależy. Ale dlaczego nie powiadomiliście mnie, kiedy tylko dostaliście to pudełko?

Adrian wzruszył ramionami.

– Jak dotąd ustaliliśmy tylko, że zniknięcie Jill jakoś się łączy z osobą Alicji, a sporo się nad tym natrudziliśmy. Wtedy to w ogóle nie było pewne i w dodatku nie wiedzieliśmy, czy pozwolisz nam jechać. Uważaliśmy, że musimy przede wszystkim wywieźć Sydney poza teren dworu, żeby mogła ruszyć tym tropem. Nie od razu postanowiłem do niej dołączyć.

Lissa pokiwała z aprobatą głową, czym nietęgo nas zaskoczyła.

– Masz rację. Prawdopodobnie zażądałabym więcej dowodów, gdybyście mieli tylko pudełko ze zdjęciem Jill. Nasza ekipa nie dotarła tak daleko jak ty, Sydney.

Ta wypowiedź nie do końca zabrzmiała jak przeprosiny, ale Adrian tak ją potraktował.

– Dziękuję – powiedział.

– Jednak powinienś być mnie później powiadomić – skarciła go Lissa.

– Albo mnie – wtrąciła Rose.

– Dobra, wysłuchałem kazania – rzucił Adrian. – Czy teraz ktoś może powiedzieć mi coś więcej o Charlotte?

– Oni cię wprowadzą w szczegóły. – Władczyni wskazała stojących obok. – A ja muszę zadbać o to, żeby wasza ucieczka pozostała tajemnicą. Chyba że chcecie wrócić i pozwolicie Eddiemu i tej kobiecie, waszej przyjaciółce, zająć się poszukiwaniem samodzielnie? Jeszcze nie jest za późno.

Popatrzyliśmy na siebie z Adrianem, a potem zwróciliśmy się do Lissy i zgodnie zaprzeczyliśmy.

– Tak myślałam. – Lissa się roześmiała. – Postaram się, żeby o was nie rozmawiano. Tymczasem, proszę, nie dajcie się złapać.

Odeszła od ekranu, a chwilę potem obok Rose usiadła Sonia.

– Nie mam więcej do dodania. Lepiej ty powiedz, co jej się przytrafiło.

– To skutek używania mocy ducha – odpowiedział Adrian, rzucając mi przepraszające spojrzenie. – Dołączyłem do niej we śnie i pomogłem zburzyć bariery, którymi otoczyła się Olive.

– Tak podejrzewałam. – Sonia spochmurniała.

– Nie wiesz, kiedy Charlotte się obudzi? – indagował Adrian. – Dojdzie do siebie?

– To zależy, co przez to rozumiesz – odparła Sonia. – Doktor myśli, że śpi, ponieważ jest wyczerpana. Mam nadzieję, że się ocknie, gdy jej organizm odzyska siły. Ale w jakim będzie stanie...?

– Wyczerpanie wyjaśnia, dlaczego mówiła bez sensu – odpowiedział pospiesznie Adrian. Widziałam, że bardzo chce w to wierzyć. – Powinnaś mnie widzieć po takich ekscesach. W porównaniu ze mną Charlotte była całkowicie przytomna.

Soni nie rozbawił ten żart.

– To możliwe... ale nie sądzę, by było tak proste. Widziałam jej aurę. To osobna historia i wcale nie jest wesoła. Poza tym spędziłam sporo czasu z Avery Lazar, Adrian. Widziałam, co jej zrobił duch... Teraz mam podobne wrażenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam, odnotowując ze zdziwieniem, że ścisła mnie w gardle.

Nie znałam dobrze Charlotte, ale było coś przerażającego w tych ponurych prognozach. Może dlatego, że bałam się, iż kiedyś będziemy tak rozmawiać o Adrianie.

Sonia nagle wydała się zmęczona, jakby to ona zużyła zbyt wiele mocy i energii i musiała się wyspać.

– Chcę powiedzieć, że kiedy Charlotte się obudzi, może nie być taka jak przedtem. Co się stało? Miała ją chronić przed nadużywaniem mocy.

– Próbowałam. Naprawdę. – Adrian oparł się o mnie, a ja położyłam rękę na jego plecach. – Prowadziłem ten sen. Odwaliłem większość roboty, gdy kontrolę przejęła Olive. Potem Charlotte straciła cierpliwość i odebrała ją nam. Niszczyła wszystko, zanim zdołałem ją powstrzymać.

Sonia skinęła głową ze znużeniem.

– Udało ci się w końcu porozmawiać z Olive?

– Niezupełnie – odparłam ostrożnie. Zachowywałam wyuczoną obojętność, żeby nie zdradzić się, że Adrian nie mówi całej prawdy. Podniosłam kartkę, na której wykonał dla mnie rysunek. – Czy to ci coś mówi?

– Nie, przykro mi. – Sonia zerknęła w dół i się skrzywiła. – Właśnie przyszła wiadomość od lekarza, który monitoruje stan Charlotte. Chce mi zadać więcej pytań. Skontaktuję się z wami, jeśli będę wiedziała coś więcej.

Adrian skinął jej głową, a ja ścisnęłam męża za rękę. Wiedziałam, że czuł się podle, jakby był osobiście odpowiedzialny za stan Charlotte. Sonia odeszła i zostaliśmy z zaniepokojoną Rose.

– Cieszę się, że trafiliście na ślad Jill – powiedziała. – Musicie naprawdę być ostrożniejsi...

– Co pokazaliście Soni?

Do Rose nieoczekiwanie dołączył Dymitr. Spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Spokojnie, towarzyszu. Będziesz miał swoją szansę, żeby wygłosić im kazanie.

– Jeezu – mruknął Adrian. – Ciekawe, kto tam jeszcze się czai z boku ekranu.

– Co jej pokazywałaś? – Dymitr powtórzył z poważną miną.

Onieśmielał mnie nawet na ekranie.

Adrian pokazał mu kartkę.

– O to pytasz? – Przysunął ją do kamery. – Wiesz, co to jest?

– Tak, to... – Dymitr urwał i zerknął na Rose, a potem znów przeniósł wzrok na rysunek.

– Znak noszony przez kobiety mieszkające w, mhm... komunach dampirów.

Rose łatwiej przyszło nazwanie tego, co on tak delikatnie przemilczał.

– Mówisz o dziwkach krwi? – Wytrzeszczyła oczy i nagle rozżościła się niemal równie mocno jak wcześniej Lissa. – Adrianie Iwaszkow! Powinieneś się wstydić. Odwiedzasz takie miejsca, a jesteś żonaty...

Adrian prychnął.

– Uspokójcie się. Nigdy nie postawiłem stopy w takim przybytku i nie zamierzam.
– Spojrzał na Dymitra. – Jaki to znak?

Widziałam po minie Dymitra, że nie chciał o tym mówić i, szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwiłam. Społeczeństwo morojów nie zawsze obchodziło się dobrze z kobietami dampirami. Mogły mieć dzieci tylko z morojami, którzy często traktowali je jak zabawki. Dampirzyca, która rodziła dziecko, zwykle oddawała je wcześniej do jednej ze szkół w rodzaju Świętego Władimira, a sama wracała na służbę. Wiele z nich nie chciało jednak tego robić. Pragnęły wychowywać swoje dzieci. Część wyjeżdżała i osiedlała się między ludźmi, chociaż było to ryzykowne. Wprawdzie dampirey wyglądają zupełnie jak ludzie, ale wykazują się nadzwyczajną sprawnością fizyczną, co często zwraca na nie uwagę. Nie mając innego wyjścia, kobiety dampirey często wybierają mieszkanie w „komunach”, w bardziej lub mniej cywilizowanych miejscach. Niektóre z nich utrzymują się, wykonując całkiem zwyczajne prace, inne... wybierają bardziej ryzykowne rozwiązania, i o tym mówił Dymitr.

– Mieszkancki tych komun noszą znaki symbolizujące piastowane przez nie role społeczne – wyjaśnił. – Część to rezydentki, część jest tylko gośćmi. Niektóre z nich oddają się mężczyznom, sprzedają swoje ciała.

– Ohyda. – Rose się wzdrygnęła.

Spojrzałam na szkic Adriana i naszła mnie przerażająca myśl. Czyżby Olive była aż tak zdesperowana?

– Wiesz, jaka to rola? – spytałam.

Dymitr pokręcił głową.

– Brakuje kolorów. Te znaki określają przynależność do danej komuny. Pozycję osoby definiuje najczęściej kolor.

– Był zielony – poinformował Adrian.

– Zieleń to status gościa – odparł Dymitr. Odetchnęliśmy z Adrianem z ulgą. – To osoba mieszkająca w komunie tymczasowo. Może odwiedza krewnych. Albo szuka schronienia.

– Więc nie jest to kobieta sprzedająca swoje ciało? – chciałam to uściślić. Nie mogłam znieść myśli, do jakiej ostateczności mogła być doprowadzona ta biedaczka.

– Nie – powtórzył Dymitr, przyglądając nam się z zaciekawieniem.

Rose także się zainteresowała.

– O kogo tu chodzi? – spytała.

Adrian nie odpowiedział od razu. Jeszcze raz podniósł kartkę, żeby mogli dobrze przyjrzeć się rysunkowi.

– Czy wiecie, którą komunę symbolizuje ten znak? I gdzie ona się znajduje?

Dymitr oglądał go przez chwilę, lecz potrząsnął głową.

– Nie... ale mógłbym się tego dowiedzieć. Dlaczego pytasz?

Adrian znów się zawahał.

– Czy Lissa jeszcze tam jest? Albo ktokolwiek inny?

– Nie – odparła Rose. – Zostaliśmy tylko my. Dlaczego pytasz?

Adrian spojrzał na mnie, od razu zorientowałam się, o czym myśli.

– Mieliśmy się nie wychylać. I trzymać z dala od kłopotów.

– To Olive może mieć prawdziwe kłopoty. Jeśli nie zechce o nich opowiedzieć we śnie, musimy ją odwiedzić osobiście. To jedyne wyjście – skwitował Adrian. – Poza tym, skoro nie możemy pomóc Jackie, spróbujmy pomóc komuś innemu...

I znów przeżywałam dylemat. Logika nakazywała zostać tam, gdzie byliśmy bezpieczni. Ale serce – gdy przestraszyłam się, że Olive mogła zostać zgwałcona jak Carly – pragnęło przyjść jej z pomocą.

– Nie wiemy, w co się pakujemy – rzuciłam. – Z tego, co słyszałam, pobyt w niektórych komunach dampirów przypomina życie na Dzikim Zachodzie.

Adrian się uśmiechnął.

– Na szczęście mamy swojego kowboja.

– Hej, wy tam – odezwała się Rose z poirytowaną miną, bo została wyeliminowana z rozmowy. – Zamierzacie nam wyjaśnić, o czym mowa?

Adrian podniósł głowę i spojrzał na nią i Dymitra.

– Wybierzcie się z nami na wycieczkę?

ROZDZIAŁ 9

Adrian

WIĘC TO JEST KANADA – mruknąłem, wyglądając przez okno samochodu.

– Powtarzam po raz ostatni, to nie jest Kanada – odparła Sydney, przewracając oczami.
– To północna część stanu Michigan.

Rozglądałem się, ale nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie widziałem nic oprócz wysokich drzew. Mimo że było późne sierpniowe popołudnie, temperatura wskazywała raczej na jesień. Wyciągając szyję, zobaczyłem skrawek szarej powierzchni wody za drzewami po mojej prawej stronie. Zgodnie z tym, co napisano na mapie, było to Jezioro Górne.

– Może to nie jest Kanada – ustąpiłem. – Ale właśnie tak zawsze ją sobie wyobrażałem. Spodziewałem się tylko więcej boisk do hokeja.

Sydney uśmiechnęła się pobłażliwie. Wysiadła i stanęła obok mnie.

– Zupełnie inaczej niż w Iowa.

– To fakt – przyznałem, obejmując ją ramieniem. Razem podziwialiśmy okolicę.

Kręciło mi się w głowie na myśl o tym, jak daleką drogę przebyliśmy zaledwie w ciągu doby. Po tym, jak przekonaliśmy Rose i Dymitra, by wybrali się z nami do komuny dampirów, musieliśmy poczekać na informację, skąd pochodzi medalion Olive. Dymitr uzyskał ją całkiem szybko. Dowiedzieliśmy się, że taki symbol noszą mieszkanki komuny mieszczącej się w górnej części półwyspu Michigan. Oboje z Rose wyruszyli w długą drogę, raz po raz zmieniając samoloty. Sydney i ja wybraliśmy prostszy wariant. Wsiadliśmy do samochodu i jechaliśmy nim dwanaście godzin. Byliśmy wykończeni, bo niewiele spaliśmy po drodze, chociaż staraliśmy się zmieniać za kółkiem. Nie mieliśmy też okazji porozmawiać o naszych sprawach. Nie wiedziałem już, czy to dobrze, czy źle.

– Chodźcie – rzuciła Rose, zeskakując z siedzenia pasażera SUV-a. – Tu powinno być wejście.

Umówiliśmy się z nią i Dymitrem w Houghton, a następnie podjechaliśmy ich lepiej wyposażonym wynajętym wozem na tutejszy parking. Obok nas parkowało kilkanaście innych wozów z tablicami rejestracyjnymi stanu Michigan. Większość to były duże samochody terenowe, lepiej przystosowane do jazdy po bezdrożach. Znajdowaliśmy się ledwie godzinę drogi od Houghton. Mijaliśmy sklepy spożywcze, szpital, Starbucksa, nawet uniwersytet – ale nie nazwałbym tego miejsca zaludnionym. Po wyjeździe z miasta niemal natychmiast znaleźliśmy się na powrót w lesie. Tylko tyle zarejestrowałem i nie od razu dostrzegłem wejście na szlak, o którym mówiła Rose.

– Wąsko – zauważyłem, gdy podążyliśmy z Sydney za nią i Dymitrem. Szlak wydawał się prosty i wygodny, ale wokół ciągnął się nieprzebyty, gęsty las.

– To celowy zabieg – mruknął Dymitr, maszerując pewnym krokiem, jakby całe życie wędrował takimi ścieżkami. Pewnie właśnie tak wyglądała jego droga do szkoły na Syberii.

– W ten sposób strzygi nie mogą się tędy łatwo przedostać.

– Założę się, że zimą nie da się sforsować tej trasy – dodałem i zakląłem, gdy jakaś niska gałąź szarpnęła mnie za płaszcz.

Ostrożnie – napomniała mnie ciotka Tatiana. *To włoska skóra.*

– Nie zdziwiłbym się, gdyby większość miejscowych wyjeżdżała stąd zimą – powiedział

Dymitr. – To idealne miejsce na lato – dobra szerokość geograficzna. Pośrodku lata zmrok zapada na nie więcej niż pięć godzin na dobę. To, plus czujne warty, zapewniają im względne bezpieczeństwo, szczególnie że mówimy o grupie kobiet dampirów. Potrafią się bronić.

Wierzyłem mu i milczałem, koncentrując się na marszu i starając się nie połknąć jakiegoś komara. Miałem zeszytniałe mięśnie po długiej jeździe samochodem i z przyjemnością się ruszałem. Kiedy Dymitr oznajmił, że symbol medalionu wiązał się z miejscem o nazwie Wspólnota Celów Dzika Sosna, nie miałem pojęcia, w co się pakujemy. Najwyraźniej „wspólnota celów” była współczesnym określeniem komuny. Więc nadal tworzone podobne miejsca. Dowiedziałem się również – dzięki szerokiej wiedzy Sydney – że wiele z tych komun nie przypominało miłosnych gniazdek hippisowskich z lat sześćdziesiątych. Spora część wiązała się z nowoczesnym, ekologicznym stylem życia. Niektóre były zaledwie obozowiskami. Dymitr powiedział nam w Houghton, że ta komuna dampirów stanowiła pomost między miejscem tradycyjnym a nowoczesnym. Życzyłem sobie, by okazała się bardziej nowoczesna, i przypominała na przykład leśne SPA. Ujrzałem w wyobraźni obrazy wioski Ewoków z *Powrotu Jedi*.

– Mam tylko nadzieję, że przeprowadzili kanalizację – mruknęła Rose. – Jej brak był dla mnie wyzwaniem podczas pobytu u stróżów.

– Mnie to nie przeszkadzało – odezwała się nieoczekiwanie Sydney. – Miałam tylko problem z mięsem, nie wiedziałam, skąd pochodziło.

– A nie z kanalizacją? – zdziwiłem się głośno. Nawet nie umiałem sobie wyobrazić, jak można funkcjonować bez niej.

– Lepiej się oswoić z taką myślą – zażartowała Rose, zerkając na mnie. – Lissa może zakazać wam powrotu na dwór. I kiedy będzie po wszystkim, wyładujecie właśnie pośród stróżów.

– Na pewno znajdziemy jakieś inne rozwiązanie – rzuciłem pewnie, nie chcąc przyznać, jak bardzo byłem niespokojny o naszą przyszłość.

Dymitr, w przeciwieństwie do Rose, nie miał ochoty na żarty.

– Jeśli alchemicy wciąż jej szukają, to jestem pewien, że Lissa przyjmie was z powrotem.

Ale będzie fajnie – prychnęła ciotka Tatiana. *Znowu ciasne mieszkanko z mamusią za ścianą. Nie będziecie chcieli go opuszczać, by nie spotkać innych morojów.*

– To nie jest prawdziwe życie – mruknałem, myśląc o tym, że oboje z Sydney czuliśmy się tam jak w pułapce.

Nie uświadamiałem sobie tego w pełni, dopóki stamtąd nie wyjechaliśmy i nie zaczęliśmy swobodniej oddychać. Nawet kłótnie na wolności miały w sobie więcej życia. Spojrzałem na Sydney w oczy i wiedziałem, że zadaje sobie te same pytania o naszą przyszłość. Niestety, jeszcze długo mieliśmy nie poznać na nie odpowiedzi. Na razie przyzywały nas ważniejsze sprawy. Jill. Olive.

Dymitr zatrzymał się i wskazał pobliskie drzewa.

– Patrzcie. Pierwsza czujka.

Spojrzałem w tę stronę i dostrzegłem w krzakach srebrny błysk. Magiczny srebrny sztylet. Dampiry z komuny powtykały srebrne ostrza wokół osady, tworząc niewidzialną barierę. Nieumarli nie mogą przekroczyć zaczarowanego kręgu, ale trzeba go nieustannie odnawiać. Gdyby zakęcie osłabło albo ktoś zabrał jeden sztylet, mogłaby się wtedy wśliznąć strzyga. Z takim samym problemem borykały się wszystkie społeczności morojów i dampirów. Tarcze ochronne wokół dworu sprawdzano kilka razy dziennie.

Minęliśmy sztylet, gdy nagle wyłoniła się z lasu jakaś postać. Stała twarzą w twarz z Dymitrem, który odruchowo przyjął postawę obronną. Rozluźnił się dopiero, widząc, że ma do

czynienia z dampirzycą. Kobieta wyglądała jak wojowniczką i miała surową minę. Za pasek zatknęła pistolet i srebrny sztylet. Medalion na jej szyi był identyczny jak wisiorek Olive – z tą różnicą, że otoczono go niebieską ramówką, nie zieloną. Jej twarz złagodniała nieco na widok Dymitra i Rose, ale stężała znowu, gdy ujrzała mnie.

– Witam – odezwała się. – Szukacie Dzikiej Sosny?

Rose wcisnęła się obok Dymitra, co nie było proste na wąskiej ścieżce.

– Szukamy naszej przyjaciółki – wyjaśniła. – Sądzymy, że zatrzymała się u was.

Zmierzywszy wzrokiem Rose i Dymitra, dampirzyca skinęła głową na Sydney i zmierzyła mnie niechętnym wzrokiem.

– A ten? Po co on tu?

– Ta dziewczyna, której szukamy, jest również moją przyjaciółką – odparłem zaskoczony jej nieprzychylnością. – Obiecałem jej siostrze, że ją odnajdę.

Dziewczyna chyba mi nie uwierzyła i zastanawiałem się dlaczego. Mógłbym pomyśleć, że rozmawia tylko z dampirami, ale wyraźnie nie miała nic przeciwko Sydney. Może dostrzegła jej tatuaż w kształcie lilii i uznała, że przybyła z rutynową wizytą jako alchemiczka. Wciąż jednak nie tłumaczyło to jej dystansu wobec mnie.

– Jak się nazywa twoja przyjaciółka? – spytała.

– Olive Sinclair – odparłem.

Teraz patrzyła już na mnie z wyraźnym obrzydzeniem.

– Więc to ty wpakowałeś ją w kłopoty.

– Słuch... – Nagle zrozumiałem i zaczerwieniłem się chyba po raz drugi w życiu. – Co takiego? Nie! Oczywiście, że to nie ja. Nawet gdybym, to nigdy... to znaczy... nie należę do takich...

– Nie – rzucił krótko Dymitr. – On nie jest winny. Przyjechał tu w szlachetnych intencjach. Ręczę za niego. Nazywam się Dymitr Bielikow. A to są Rose Hathaway i Sydney Iwaszkow.

Człowiek noszący nazwisko morojskie normalnie wzbudziłby podejrzenia, ale dziewczyna zupełnie się nami nie zainteresowała. Znała za to nazwiska Rose i Dymitra. Zobaczyłem to w jej oczach: ten sam podziw i oddanie, jakie widywałem już na wielu twarzach w podobnych sytuacjach. W jednej chwili gorliwa obrończyni obozowiska zmieniła się w omdlewającą fankę.

– O rany – sapnęła. – Wyglądaliście mi znajomo! Widziałam wasze zdjęcia! Powinam była rozpoznać. Tak mi głupio. Chodźcie, chodźcie. Jestem Mallory. Nie stójmy tak w lesie! Na pewno przebyliście szmat drogi. Odpocznijcie. Musicie coś zjeść. O rany!

Szliśmy za nią wąską ścieżką, która doprowadziła nas na dużą leśną polanę. Dzika Sosna wyglądała jak połączenie biwaku i ośrodka wypoczynkowego. Właściwie przypominała miasteczko z Dzikiego Zachodu. Mogłem sobie łatwo wyobrazić pojedynek w takim miejscu. Ładne domki stały schludnie w szeregach. Osiedle zostało podzielone na część prywatną i publiczną. Dampiry, niemal wyłącznie kobiety i dzieci, zajmowały się swoimi sprawami, od czasu do czasu przystając, żeby obrzucić przybyszy zaciekawionym spojrzeniem. Mallory rażno prowadziła nas do dużego domu stojącego pomiędzy strefą oficjalną i mieszkalną.

Weszliśmy chyba do czyjegoś biura i zauważyłem, że mieli tam elektryczność. Pomyślałem z nadzieją, że może jest też kanalizacja. Starsza kobieta, dampirzyca o blond włosach poprzetykanych srebrnymi nitkami, siedziała za biurkiem i stukwała w klawiaturę komputera. Ona także nosiła na szyi medalion w niebieskiej otoczce. Na nasz widok podniosła się i zatknęła kciuki za pasek dżinsów. Oparła się o ścianę, prezentując długie kowbojskie buty, które idealnie pasowały do mojego stereotypu mieszkanki Dzikiego Zachodu.

– Kogóż to znalazłaś w lesie, Mallory? – spytała z uśmiechem.
– Lana, nie uwierzysz, kto to jest! – wykrzyknęła Mallory. – To...
– ...Rose Hathaway i Dymitr Bielikow – dokończyła Lana. Zaraz potem przeniosła wzrok na Sydney i na mnie, i uniosła brew. – Oraz Adrian Iwaszkow i jego niesławna żona. Bywam na dworze. Znam tamtejsze osobistości.

– Żadne z nas osobistości – zapewniłem, obejmując Sydney i wskazując głową Rose i Dymitra. – W przeciwieństwie do tych dwojga.

Wokół oczu Lany zbiegły się zmarszczki, gdy się do nas uśmiechnęła.

– Czyżby? Wasz ślub wzbudził sporo zamieszania.

– Więc jesteśmy raczej obiektami plotek niż celebrytami.

Z drugiej strony właściwie nie było żadnej różnicy.

– Cóż, jest mi bardzo miło was poznać. Wszystkich. – Lana podeszła i uścisnęła nam dłonie. – Olive opowiadała mi, że udało się panu stworzyć szczepionkę przeciwko strygom, lordzie Iwaszkow.

Chciałem sprostować, że nasz sukces był raczej wątpliwy, ale co innego zwróciło moją uwagę.

– Więc znasz Olive.

– Oczywiście – potwierdziła Lana. – Znam tu wszystkich.

– Lana nami dowodzi – wyjaśniła Mallory.

Lana parsknęła śmiechem.

– Raczej administruję. Rozumiem, że chcecie zobaczyć się z Olive?

– Jeśli się zgodzisz – przytaknął grzecznie Dymitr. – Będziemy wdzięczni za wszelką pomoc.

– To nie zależy ode mnie. Niech zdecyduje Olive. – Lana przyglądała nam się bacznie dłuższą chwilę, jakby coś rozważała. Na koniec kiwnęła głową. – Zaprowadzę was do niej osobiście. Ale najpierw zjedzcie coś i odpocznijcie. Wiem, że niełatwo tu dotrzeć.

Podziękowaliśmy jej za gościnność, lecz nie mogliśmy się odprężyć, wiedząc, że Olive jest w pobliżu. Opowiedziałem Rose i Dymitrowi całą jej historię, gdy spotkaliśmy się w Houghton – w każdym razie wszystko, co na ten temat wiedziałem. Przejęli się równie mocno jak ja. Wszyscy czuliśmy, że musiało wydarzyć się coś bardzo złego, skoro dziewczyna próbowała ukryć ciążę za wszelką cenę. Jeśli została wykorzystana, Dymitr dowie się, kto był winowajcą, i wyciągnie konsekwencje.

Na obiad podano nam kanapki z sałatką z kurczaka; zaskakująco zwyczajne danie jak na ośrodek położony w dziczy i zamieszany przez półwampiry. Sydney od razu zabrała się do jedzenia. Lana tymczasem dała mi jasno do zrozumienia, że nie trzymają tu karmicieli i nie powinienem nawet myśleć o skosztowaniu krwi którejs z tutejszych dampirzyc. Była jednak w jej głosie jakaś nuta, która w połączeniu z tym, co słyszałem o podobnych komunach, pozwoliła mi myśleć, że niektóre dampirzyce sprzedają swoją krew morojom równie łatwo, jak oddają im swoje ciała. To była mroczna strona takich miejsc, która przysparzała im złej reputacji. Z całą pewnością nie wszystkie mieszkanki tak postępowały, ale część na pewno.

Lana dotrzymała słowa i po obiedzie zabrała nas na przechadzkę, objaśniając szczegóły życia w komunie. Tak jak podejrzewałem, w części budynków mieściły się różne warsztaty.

– Jeździmy regularnie na zakupy do Houghton – tłumaczyła. – Staramy się jednak być możliwie samowystarczalne. Produkujemy żywność i szyjemy sobie ubrania. – Wskazała głową domek, w którym na ganku siedziały dwie dampirzyce i z igłami ślęczały nad czymś w świetle latarni, bo o tej porze zmrok zapadał szybko. Pomachały do nas. Lana pokazywała nam również inne zabudowania. – To warsztat Jody, potrafi naprawić wszystko. A tam mamy przychodnię.

Kieruje nią April, ale właśnie pojechała do miasta po niezbędne zakupy. Środki medyczne nieco trudniej wyprodukować. Dalej mieści się szkoła Briany.

– Widzę, że zainstalowałyście panele słoneczne – zauważyła Sydney. – Sprytnie.

Lana pojaśniała z dumy.

– To był pomysł Talii. Mamy dostęp do elektryczności, ale uważała, że powinniśmy zastosować odnawialne źródła energii.

Rejestrowałem imiona tych kobiet i zauważyłem, że jedynymi przedstawicielami rodzaju męskiego były tam dzieci. Przeżyłem więc szok na widok moroja idącego pomiędzy domkami stojącymi w pewnym oddaleniu od pozostałych. Widząc moje zdziwienie, Lana nachmurzyła się i westchnęła z rezygnacją.

– Tak. Tam mieszkają dziewczęta, które „zabawiają” swoich męskich gości.

– Dlaczego ich stąd nie odprawicie? – spytał Dymitr z pochmurną miną.

– Robiłyby to wszędzie. Wymykałyby się z obozu albo przenosiły tam, gdzie jest niebezpiecznie. Wolę mieć nad nimi pieczę. Niektórzy z tych mężczyzn chcą się tylko rozerwać. Są też dziewczęta, które się na to zgadzają, nie oczekując nic więcej... – Mówiąc to, Lana obserwowała tamtego moroja. Na jego ramieniu zawisła dampirzyca. Minęli nas roześmiani, pogrążeni w intymnej rozmowie. Zdaje się, że dziewczyna odprowadzała go do bramy. Zauważyłem, że jej medalion miał czerwoną obwódkę. Lana zwróciła się do nas, gdy zniknęli nam z oczu. – Są jednak i tacy, którzy stwarzają problemy. Muszę mieć na nich oko. Czasem jestem zmuszona wyrzucać ich stąd siłą.

– Nie wiesz, z kim zadała się Olive? – spytałem.

Lana znów ruszyła przed siebie, prowadząc nas do sektora innych domków, stojących z dala od tych, przy których widzieliśmy moroja.

– Nie. To jej sprawa, nie wypytywałam. Jedno wiem, nie umawiała się tu z nikim. I chyba nie jest zbyt kochliwa.

– Pewien bardzo porządny dampir jest nią poważnie zainteresowany – powiedziałem.

– Ale Olive zerwała z nim kontakt. Podobnie jak z nami wszystkimi.

– Wielka szkoda – westchnęła Lana. Zatrzymaliśmy się przed ślicznym domkiem z zielonymi okiennicami. – Ale nie mnie to oceniać. Każdy z nas toczy swoją bitwę najlepiej, jak potrafi.

Całkiem mądre jak na leśną szeryfkę – mruknęła ciotka Tatiana.

Rozważałem słowa Lany, gdy ta zapukała do drzwi domku. Otworzyła jej dampirzyca z burzą loków na głowie i się uśmiechnęła.

– Cześć, mamó.

– Witaj, Diano. – Lana pocałowała ją w policzek. – Jest Olive?

Diana obrzuciła nas czujnym spojrzeniem, najdłużej zatrzymując wzrok na mnie. Nie mogłem znieść, że wszyscy od razu mnie podejrzewali o najgorsze. Nawet alchemiczka nie budziła większych obiekcji niż ja, moroj.

– Jest – odparła. – Zawołam ją.

Diana zniknęła wewnątrz domku. Zorientowałem się, że wstrzymuję oddech, czekając na to, co za chwilę się wydarzy. Wyczuwając mój niepokój, Sydney ścisnęła mnie za rękę.

– Nie mogę uwierzyć, że zaraz ją zobaczymy, po tym wszystkim, co się stało. Żadnych potworów z lawy, żadnych bitew mocą ducha. – Musiałem przerwać, bo głos mi się załamał.

– Czuję, że jeśli uda mi się pomóc Olive tu i teraz, nie zawiodę Charlotte...

Sydney mocniej ścisnęła moją dłoń.

– Nie zawiodłeś jej, Adrian. Sama dokonała wyboru.

Może gdybyś okazał się silniejszy, użył więcej mocy ducha we śnie... Ciotka Tatiana

przerwała, pozwalając mi zastanowić się nad tą myślą. *Cóż, może Charlotte nie znalazłaby się w takim stanie.*

Milcz – skarciłem w myślach głos. Sydney ma rację. To nie moja wina. Charlotte sama dokonała wyboru.

Skoro tak twierdzisz – wycofała się ciotka.

W tej chwili na ganek wyszła Olive w szytym ręcznie ubraniu, w którym widziałem ją we śnie. Była w ciąży. Uśmiechnęła się na widok Lany i nagle zamarła, gdy zobaczyła nas.

– Nie – powiedziała, cofając się. – Nie, nie, nie.

Rose podskoczyła do niej.

– Zaczekaj, Olive. Proszę. Chcemy z tobą porozmawiać. Chcemy ci pomóc.

Olive gwałtownie potrząsała głową i Lana objęła ją ramieniem.

– Skarbie, naprawdę powinnaś z nimi pogadać.

– Nie chcę! – wykrzyknęła. Patrzyła na nas jak zwierzę w pułapce. Otoczyliśmy ją kołem i zrobiło mi się jej żal. Kiedy zerknęła na Sydney, przeżyła szok. – Alchemiczka!

– Już do nich nie należę – odparła Sydney. – Jestem tu, żeby ci pomóc, tak jak pozostali.

– Znasz Sydney – przypomniałem Olive. – Możesz jej zaufać.

Olive nadal wyglądała na przerażoną, ale przynajmniej odwróciła wzrok od Sydney.

– Nie mam wam nic do powiedzenia!

– To nic nie mów – rzuciłem. – Posłuchaj tylko. Przejdźmy się. Tylko my dwoje. Opowiem ci, co u Charlotte. Tylko ja będę mówił.

Imię siostry przyciągnęło uwagę Olive, która zamierzała na powrót ukryć się w domku. Odgarnęła z twarzy długie czarne loki i zerknęła na mnie przez łyż.

– Charlotte. Wszystko u niej w porządku? W tym śnie...

Pokazałem jej drogę za swoimi plecami.

– Chodźmy na spacer. Wszystko ci opowiem.

Po chwili wahania Olive kiwnęła głową na zgodę i zeszła z ganku. Sydney zrozumiała, co chciałem osiągnąć, i odeszła na bok. Rose wyraźnie próbowała do nas dołączyć, ale pospiesznie pokręciłem głową. Dymitr zatrzymał ją, kładąc rękę na ramieniu. Wiedziałem, że Olive lubi Rose i Dymitra, a oni z pewnością mieli dobre intencje, lecz w tej chwili wprowadzali dodatkowe zamieszanie. Olive nie chciała być przesłuchiwana, tym bardziej przez większą grupę, dlatego ukrywała się w lesie. Uśmiechnąłem się do niej zachęcająco i omal nie uległem pokusie, by dodać odrobiny czaru wpływu, żeby ją uspokoić. Zrezygnowałem z tego w ostatniej chwili. Olive wychowała się u boku siostry używającej mocy ducha. Mogła się zorientować, co robię, i pomyśleć, że chcę ją wykorzystać.

– Ładne miejsce – zauważyłem, gdy ruszyliśmy ścieżką pomiędzy domkami.

Drzewa tworzyły nad naszymi głowami dach z liści, a ptaki śpiewały w gałęziach. Słońce właśnie chyliło się ku zachodowi.

– Opowiedz, co u Charlotte – odezwała się Olive, nie tracąc czasu na wstępny. – Wszystko dobrze?

Zawahałem się.

– W pewnym w sensie. To, co zrobiła w ostatnim śnie... wymagało od niej nadużycia własnej mocy. Poważnego nadużycia. – Szukałem łagodnego sposobu przekazania Olive złych wieści. Nie chciałem powiedzieć, że Charlotte się wypaliła albo że postradała zmysły. – Skorzystanie z takiej ilości ducha nie pozostaje bez konsekwencji. Mówią, że Charlotte teraz dużo śpi i nie można się z nią porozumieć. Ale to się może zmienić. Dojdzie do siebie, choć to wymaga czasu.

Olive patrzyła tępo przed siebie.

– Dlaczego nie chciała mnie zostawić w spokoju? Czemu tak się upierała, żeby mnie odszukać? Nie powinna była ryzykować!

– Kocha cię – odparłem. – Myślę, że Neil również.

Oczy Olive wypełniły się łzami.

– Och, Neil. Jak mam mu powiedzieć, co się stało?

Przystanąłem i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Cokolwiek się stało, on zrozumie. Nie powstrzyma go to, co ci zrobił ten facet. To znaczy zapewne będzie chciał cię pomścić... ale nie odsunie się od ciebie z tego powodu. Szaleje za tobą. Pomoże ci i będzie cię wspierał. Tak jak my wszyscy.

Olive mnie nie rozumiała.

– O jakim facecie mówisz?

Spojrzałem na jej zaokrąglony brzuch.

– Z pewnością o jakimś moroju. A jeśli zrobił to wbrew twojej woli, musisz nam o tym powiedzieć. Stanie przed sądem.

W tym miasteczku rodem z Dzikiego Zachodu słowa o postawieniu kogoś przed sądem musiały zabrzmieć co najmniej śmiesznie, ale Olive była poważna.

– Nie, nie. Nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz.

– Więc wyjaśnij mi – poprosiłem, chwytając ją za ręce. – Pomóż mi zrozumieć, żebym ja mógł pomóc tobie. Obiecałem to Charlotte.

– Adrian? Czy to ty?

Ten głos niezupełnie brzmiał znajomo. Odwróciłem się niespiesznie, żeby zobaczyć, kto mnie woła. Szliśmy z Olive po prostu przed siebie, a miejsce, w którym przystanęliśmy, wyglądało jak typowa dzielnica czerwonych latarni. Zobaczyłem innego moroja, który widocznie opuścił któryś domek. Szedł chwiejnym krokiem, musiał się dobrze bawić w tutejszym lesie.

– To ty! – wykrzyknął, klepiąc się po udzie z zadowoleniem. – Wiedziałem.

Rozpoznałem go dopiero po kilku sekundach.

– Stryjek Rand? – spytałem z niedowierzaniem.

Stanął przed nami uśmiechnięty.

– Ten sam.

Nie wierzyłem własnym oczom. Przywykłem już do najdziwniejszych, najbardziej fantastycznych sytuacji, których doświadczałem niemal codziennie. Bitwy na moc ducha? Nie ma problemu. Moja żona przemieniona w kota? Jasne, czemu nie. Nie rozumiałem więc, dlaczego tak bardzo zaskoczyło mnie spotkanie z krewnym, o którym nie myślałem latami. Rand Iwaszkow to starszy brat mojego ojca. Nie widziałem go od czasu, gdy byłem dzieckiem. Rand nie został wydziedziczony – w każdym razie nie oficjalnie – ale, jak sięgam pamięcią, wszyscy cieszyli się z jego nieobecności. Mój ojciec przejął jego obowiązki na dworze, wysłał Randa za granicę i powierzył mu prowadzenie spraw, których nie dało się zepsuć. Kiedyś, gdy narobiłem sobie kłopotów jako nastolatek na jakiejś imprezie, mama upominała ojca, żeby nie karał mnie zbyt surowo. „Ostatecznie – powiedziała – nie jest tak zły jak twój brat”.

To oferta – szepnęła ciotka Tatiana. Niechlubny krewniak. Bardziej interesują go kobiety i wino niż honor rodziny.

Podobnie jak mnie – przyznałem.

Żachnęła się.

Niezupełnie. Twoja rodzina nie wyrzekła się ciebie i nie skazała cię na banicję.

O ile wiedziałem, Rand przebywał gdzieś w Europie. Zupełnie nie spodziewałem się spotkania z nim w północnym Michigan.

– Co ty tu robisz? – spytałem.

– To samo co ty – odparł, mrużąc oko.

Miał takie same ciemnozielone tęczy jak ja i chociaż w jego brązowej czuprynie błyszcząły srebrne nitki, wyglądał dużo młodziej niż mój ojciec. Widocznie korzystanie z uroków życia było mniej stresujące niż los szanowanego doradcy dworskiego. Rand był wysoki, nawet jak na moroja, i musiał się pochylić, żeby przyjrzeć się Olive, która instynktownie schowała się za moimi plecami.

– Ładniutka – przyznał. – Widzę, że zakładasz rodzinę na boku, he? Sam mam ich parę. Te małe dampirzyce są płodne jak...

– To nie tak. – Nie chciałem się tłumaczyć. – Nie jestem... To znaczy Olive jest tylko moją koleżanką. Wpadłem z wizytą.

Stryj Rand się ożywił.

– Więc jest do wzięcia? Nie widziałem jej tu do tej pory...

– Nie – wycedziłem przez zęby. – Nie jest do wzięcia. Słuchaj, miło było i w ogóle, ale to nie czas ani miejsce. Mam sporo do załatwienia.

Zamierzałem się obrócić i pokazać Olive, że powinniśmy wracać do domku Diany. Rand jednak chwycił mnie za ramię i obrócił do siebie. Poczulem odór wódki, od którego zakręciło mi się w głowie.

– Nie bądź taki! – rzucił zapalczywie. – Nie bądź snobem jak reszta twojej rodziny. Twój tatuś i jego świętoszkowata żona zawsze traktowali mnie tak, jakbym nie zasługiwał na wasze towarzystwo. A spójrz na siebie. Odwiedzasz to miejsce, nie jesteś lepszy ode mnie. Poza tym sporo się o tobie nasłuchałem i co? Czy cię osądzam? Mamy ze sobą wiele wspólnego.

Wyrwałem mu się. – Nie sądzę.

– Jesteś taki sam jak oni!

Rzucił się na mnie, ale zawiodły go nogi. Nie wiem, czy chciał mnie uderzyć, czy tylko przytrzymać. I nie dowiedziałem się tego, ponieważ nagle wyrosła pomiędzy nami wysoka postać i wymierzyła Randowi cios, po którym upadł. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, jak z wyrazem obrzydzenia pochyła się nad moim stryjem Dymitr. Rand leżał jak długi. Rose, Sydney i Lana biegły w naszą stronę.

– Co tu się dzieje, u diabła?! – wykrzyknęła Rose.

– Dzięki – zwróciłem się do Dymitra. – Choć nie potrzebowaliśmy chyba aż takiej pomocy. Dałbym sobie radę.

– To zwierzę – warknął Dymitr. – Nie ma prawa tu być.

– Cóż, sądzę... – przerwałem, bo dotarło do mnie znaczenie słów Dymitra. – Czyżbyś go znał?

Dymitr zmierzył mnie wzrokiem.

– Tak. A ty?

– Też – odparłem. – To mój stryj. Rand Iwaszkow.

– Tak? – Dymitr wciąż miał nieprzejednaną minę. – To mój ojciec.

ROZDZIAŁ 10

Sydney

NAGLE CIAŻA OLIVE SINCLAIR przestała być zaskakującą wiadomością numer jeden. A przynajmniej zyskała solidną konkurencję.

Staliśmy oszołomieni na leśnej ścieżce, a wokół wesoło ćwierkały ptaki, czyniąc tę nieoczekiwaną sytuację jeszcze bardziej groteskową. Nawet Rose, której rzadko brakowało słów, się nie odezwała.

Moroj – Rand Iwaszkow – mrugał, wpatrując się w Dymitra, jakby zobaczył ducha. Nagle cała pewność siebie opadła z niego. Zrobił krok w tył.

– A niech mnie! To ty, Dimka. – Zwilżył wargi i spróbował się uśmiechnąć. – Dobrze wyglądasz jak na kogoś, kto był nieumarły. – Popatrzył na nas, najwyraźniej oczekując wybuchu śmiechu.

Milczeliśmy. Dymitr zwrócił się do Lany.

– Czy on wam sprawia kłopoty? – spytał ją uprzejmie. – Masz jakieś trudności z usunięciem go? Bardzo chętnie się tym zajmę.

– Radzimy sobie – ucięła.

Jakby na wezwanie na ścieżce za jej plecami pojawiły się Mallory i inna kobieta, najwyraźniej strażniczka. Mallory nie przypominała już fanki. Prezentowała się poważnie jak każdy znany mi strażnik.

Rand zdążył się opanować.

– Widzisz? Pośpiech jest złym doradcą.

Lana spojrzała na niego surowo.

– To nie znaczy, że jesteś tu mile widziany – dodała.

– Hej – zaprotestował śmiało. – Mam prawo tu być. Przyjechałem z wizytą do Elaine, rezydentki. Wolno jej przyjmować gości.

– Za moim pozwoleniem – sprostowała Lana, opierając dłonie na biodrach. – Ostrzegałam, że nie będę tolerowała alkoholu.

Rand uniósł ręce w geście, który zapewne miał wyglądać pojednawczo.

– W porządku, nie wypiję już ani kropelki. Słowo. Ale nie możesz mnie teraz wyrzucić, zwłaszcza że są tutaj mój syn i bratanek. Toż to niemal zjazd rodzinny!

Rose nareszcie odzyskała głos i zwróciła się do Dymitra.

– Serio? Ten gość? Jesteś tego pewien?

Ja też nie wierzyłam, że to możliwe.

Dymitr nawet nie mrugnął, patrząc obojętnie na stryja Adriana.

– Jestem pewien. Myślałem jednak, że włóczy się gdzieś po Europie.

Rand pokręcił głową.

– Od lat tam nie byłem. Firma, w której umieścił mnie Nate, nie potrzebuje już moich usług konsultingowych. Jak się miewa Olena?

– Nigdy więcej nie wymawiaj przy mnie imienia mojej matki – warknął Dymitr.

– Serio? – powtórzyła Rose. – To on?

Adrian otworzył usta, gdy nagle uświadomił sobie następstwa tych rodzinnych rewelacji.

– Czy my... czy to znaczy... że jesteśmy kuzynami?! – wykrzyknął, zwracając się do

Dymitra.

Rose otworzyła oczy jeszcze szerzej.

Olive przestąpiła z nogi na nogę i z grymasem bólu rozmasowała kark. Biorąc pod uwagę to, co działo się ostatnio w jej życiu, te rodzinne dramaty pewnie w ogóle jej nie obeszły.

Dymitr błyskawicznie podszedł i objął ją ramieniem.

– Jesteś zmęczona. Nie musisz tu stać i tego wysłuchiwać. Odprowadzę cię. – Ruszył z Olive w stronę domku Diany, ale w pewnej chwili przystanął i spojrzał na Lanę. – Twoja sprawa, co z nim zrobisz, ale z przyjemnością go stąd wyprowadzę.

– Poradzimy sobie – odparła.

Dymitr skinął jej głową i poszedł za Olive niczym rycerz z baśni. Rose wyraźnie nie umiała zdecydować, czy ruszyć w ich ślady, czy zostać, ostatecznie jednak podążyła za nimi.

Lana zmierzyła Adriana wzrokiem.

– Możesz za niego ręczyć, jeśli pozwolę mu zostać? – zapytała.

– Za stryja? – upewnił się Adrian. – Nie, do diabła. Nie widziałem go od lat. Nic o nim nie wiem.

– Daj spokój – zawołał Rand. – Jesteśmy rodziną. Nie możesz mnie odprawić, Lano. Słońce już zachodzi. Słyszałem, że w okolicy w tym tygodniu pojawiły się strzygi.

Zastanawiałam się, czy tego nie wymyślił, żeby zapewnić sobie nocleg, ale wyraz twarzy Lany sugerował co innego.

– Dobrze. Możesz zostać na noc w naszych kwaterach dla gości, oficjalnie.

Rand wskazał prywatne domki.

– Nie rób sobie kłopotu. Elaine...

– Kwatera dla gości. – Lana lekko podniosła głos. – Albo wyjeżdżasz od razu.

Rand westchnął wymownie, jakby został narażony na straszliwe niewygody.

– W porządku. Mógłbyś mnie tam przynajmniej odprowadzić, Adrian? Potem sobie wrócisz do tej dampirzycy, która z tobą zaciążyła.

Adrian spojrzał na niego spode łba, ale nic nie powiedział. Lana oddaliła się już, nie pozostawiając Adrianowi i mnie innego wyjścia niż odprowadzić Randa. Zauważyłam jednak, że trzy jej strażniczki podążały za nami w stosownej odległości. Lana nie zostawiała Randa bez nadzoru.

– Co słyhać u twego ojca? – zagadnął lekko Rand. – I u mamy?

– Nie mieszkają razem – odparł Adrian. – Sądziłem, że wiesz.

– Nate już ze mną nie gada. Podobnie jak reszta. Wszelkie informacje mam teraz jedynie z plotek – powiedział z goryczą.

Ten moroj z pewnością głównie użalał się nad sobą.

– Może powinieneś się nad tym zastanowić – zauważył Adrian. – Skoro nikt z tobą nie „gada”, zapewne to nie oni są problemem, tylko ty sam.

Rand spojrzał na niego krzywo.

– Nie rób takiej wyniosłej miny. Jak mówiłem, wiele o tobie słyszałem. O tobie i o twojej... ludzkiej żonie. – Nagle stanął jak wryty, bo dopiero teraz zorientował się w sytuacji. Zerknął na mnie i przeniósł wzrok na Adriana. – Zaraz... To ona? Ta alchemiczka? Paradujesz z nią publicznie? Nie wstyd ci?

Adrian zachowywał godny podziwu spokój.

– Ona ma na imię Sydney. I nie mamy się czego wstydzić. Ludzie i moroje zawierali niegdyś małżeństwa. Wciąż to robią pośród stróżów. Kochamy się z Sydney. Tylko to się liczy.

Rand pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Cóż, wobec tego witaj w rodzinie, Sydney. Dzięki wam nie jestem już największą

czarną owcą. – Znów spojrział na Adriana. – Choć powiem ci, że nasza ciotunia przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, co zmalował.

– Sądzę, że nie miałyby nic przeciwko temu. Znam ją dobrze – odparował Adrian i dopiero po chwili zorientował się, co powiedział. – To jest: znałem ją. – Przyglądałam mu się uważnie, usiłując ocenić, czy naprawdę tylko się przejęzyczył. Od kiedy wyznał mi, że słyszy w głowie głos ciotki Tatiany, nie chciał doprecyzować, jak często się do niego odzywa. Adrian patrzył na stryja nieprzejednanym wzrokiem. – Dlaczego nie byłeś na jej pogrzebie?

Rand wzruszył ramionami i zwolnił kroku. Po chwili zatrzymaliśmy się przed budynkiem opatrzonym szyldem „Goście”.

– Nie lubię pogrzebów. Poza tym nie zdążyłbym przyjechać, za późno się dowiedziałem. Byłem w Europie, kiedy to się stało.

– W Rosji? – spytałam. Spędziłam tam sporo czasu i z pewnością zapamiętałabym kogoś tak obmierzłego jak Rand Iwaszkow w kręgach tamtejszych morojów.

– We Francji – wyjaśnił. – Dawno nie bawiłem w Rosji.

– Dawniej musiałeś tam bywać częściej – zauważył Adrian. – Jeśli Dymitr jest naprawdę twoim synem.

Rand wyprostował się.

– Bywałem tam mnóstwo razy. Ale rodzina nigdy mnie nie zaakceptowała i w końcu przestałem przyjeżdżać.

Adrian nie wyglądał na przekonanego.

– Serio? To cała historia? Mimo zgrywania twardziela Dymitr ma gołębie serce. Potrafi wybaczać, dzięki czemu wciąż daje radę po przemianie w strzygę. Na ciebie jednak jest wyraźnie wściekły.

Rand próbował wymigać się od odpowiedzi.

– Przestało nam się układać z jego matką. Chłopcy są przewrażliwieni na tym punkcie.

– Zaczął wdrapywać się po schodach na ganek. – Wejdziecie? Lepiej zarezerwujcie sobie pokój, zanim zjawią się inni goście.

– Nie zostaniemy tutaj – odparł Adrian.

Rand pokazał ciemniejące niebo.

– Musicie zostać na noc, a to jedyna kwatery dla gości. Gdzie niby mielibyście nocować?

Wymieniliśmy pospieszne spojrzenia. Nie zamierzaliśmy zostawać w tym miejscu.

– Nie tutaj – odparł stanowczo. – Nie z tobą.

– Możesz o mnie myśleć, co chcesz, ale ugrałem tyle, ile było możliwe – rzucił ze złością

Rand. – Nigdy do nich nie pasowałem, nie żyłem według ich reguł i odrzucili mnie ostatecznie, jeden po drugim. Ciebie czeka ten sam los. Cena za poślubienie jej. Straciłeś wszystko, co mogłeś mieć i czym mogłeś się stać jako Iwaszkow. Wkrótce się przekonasz, jak to jest żyć bez korzeni.

– Przyjaciele na nas czekają – oznajmił Adrian i pociągnął mnie za ramię. – Miło było cię spotkać.

– Jesteś beznadziejnym kłamcą, chłopcze! – zawołał za nami Rand.

– Czy on miał rację? – spytałam cicho, gdy się nieco oddaliliśmy.

– Że nie umiem kłamać? Skąd! Potrafię łąć jak z nut.

Przystanęłam, zmuszając go, by zrobił to samo. Było już ciemno i jedyne światło padało z latarni starannie rozmieszczonych wzdłuż głównej ścieżki obozowiska.

– Mam na myśli to, co powiedział o nas... Czy naprawdę wszystko straciłeś? Często rozmawiamy o tym, czego ja zostałam pozbawiona, a przecież ty zrezygnowałeś z życia arystokraty na rzecz...

– Sydney – przerwał, ujmując moją twarz w dłonie. – Nigdy tak nie myśl. Nie żałuję tego, co razem przeżyliśmy. Nie wyobrażam sobie niczego cudowniejszego. Decyzja o poślubieniu ciebie była najlepsza w moim życiu. Przeszedłbym przez to wszystko jeszcze raz, żeby być przy tobie. Nigdy w to nie wątp. Nie wolno ci zwątpić w moje uczucia.

– Och, Adrian – westchnęłam, pozwalając, by mnie objął.

Zaskoczyło mnie to, jak bardzo mnie wzruszył.

Przygarnął mnie mocno.

– Kocham cię. I wciąż nie mogę uwierzyć, że porzuciłaś wszystko, aby być ze mną. Zmieniłaś dla mnie całe swoje życie.

– Moje życie nawet się nie zaczęło, zanim poznałam ciebie – rzuciłam z przekonaniem.

Adrian odsunął mnie lekko i przyjrzał mi się z powagą.

– Denerwujesz się, gdy widzisz kogoś takiego jak stryj Rand? Boisz się, że stanę się taki sam?

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Nie – zaprzeczyłam stanowczo. – W niczym go nie przypominasz.

Widziałam po minie Adriana, że nie był tego pewien. Bałam się, że lada moment popadnie w to swoje straszliwe przygnębienie. Fakt, że ostatnio nadużywał mocy ducha, mocno go osłabił. Choć nasze wzajemne uczucia nie pozostawiały żadnych wątpliwości, wizja życia poza społecznościami morojów i ludzi była jak najbardziej realna. Przerazała mnie ta perspektywa, jego również. Widziałam, że Adrian usilnie stara się odegnać od siebie mroczne myśli.

– Cóż, przynajmniej zyskałam nowego członka rodziny.

Prawie zapominałam o tej rewelacji dotyczącej pokrewieństwa jego i Dymitra.

– Myślisz, że to prawda? Możliwe, że o tym nie wiedziałeś?

Adrian pokręcił głową w zamyśleniu, przyspieszając kroku.

– Z tego co wiem na temat „aktywności” stryja Randa, może mieć dziesiątki nieślubnych dzieci rozsianych po całym świecie.

– Dziwię się, że Dymitr nigdy o tym nie wspomniał – zauważyłam.

– Też mnie to zaskoczyło – przyznał Adrian. Ujrzeliśmy z daleka domek Diany.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie zastanawiałem się nad tym, kim jest ojciec Dymitra. On jest z tych, o których myślisz, że urodzili się już dorośli. Gdybym próbował sobie wyobrazić jego ojca, pewnie wyglądałby zupełnie jak on, nosiłby kowbojski płaszcz, tylko miał siwe włosy.

Parsknęłam śmiechem i weszłam za nim na ganek. Zapukaliśmy i ktoś krzyknął, żebyśmy weszli do środka. W maleńkim saloniku siedzieli Dymitr i Rose. Diana najwyraźniej gdzieś wyszła. Olive leżała na sofie, bardzo blada.

– Wyjechał? – spytał Dymitr tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, kogo ma na myśli.

Usiedliśmy z Adrianem na drewnianej ławie.

– Nie – odparłam. – Przenocuje w kwaterze dla gości. Myślał, że będziemy mu towarzyszyć.

– Wolabym się poddać najwymyślniejszym torturom, żeby nie nocować z nim pod jednym dachem – odparł Dymitr ze śmiertelną powagą.

– Z pewnością nie będziesz musiał – powiedział Adrian.

– Olive mówi, że możemy spać tutaj – poinformowała Rose. – O ile nie macie nic przeciwko posłaniu sobie na podłozie.

– Biorąc pod uwagę alternatywę? Nie mamy. – Adrian patrzył na Dymitra. – Kiedy zamierzałeś mi wyznać, że stanowimy wielką szczęśliwą rodzinę?

Dymitr się zasępił.

– Naprawdę o tym nie wiedziałem.

Adrian wyrzucił ręce w górę.

– Daj spokój. Masz dwie, trzy siostry? Facet musiał spędzać u was sporo czasu. Nie przyszło ci do głowy, że Rand Iwaszkow może być spokrewniony z innym znanym ci Iwaszkowem?

W oczach Dymitra zabłysnął gniew.

– Nie podał nam swojego nazwiska. Przedstawiał się jako Randall. Wiedzieliśmy, że jest amerykańskim arystokratą, który prowadzi u nas interesy. Nie pytaliśmy go o nic. Mama go lubiła... przez jakiś czas.

– Wspominał, że przestało im się układać – wtrąciłam. – Żalił się, że go u was nie doceniają.

Błysk w oku Dymitra rozpalił się w płomień gniewu.

– Nie doceniają?! Odreagowywał na mojej matce, kiedy sobie wypił i coś szło nie po jego myśli.

Te słowa zrobiły wrażenie na Adrianie.

– Więc co takiego się stało? – spytał łagodnie.

Dymitr milczał, ale Rose odpowiedziała za niego.

– Dymitr odpłacił mu pięknym za nadobne.

Zapadła cisza. Sofa zaskrzypiała głośno. Siedząca na niej Olive słuchała w milczeniu, choć wyraźnie było jej tam niewygodnie.

Adrian przyjrzał się jej tym charakterystycznym, zarazem skupionym i rozproszonym, wzrokiem. Znaczyło to, że bada aurę. Z początku sobie z tego żartowałam, lecz potem przestałam. Przychodziło mu to naturalnie, prawie bezwiednie. I nie nadużywał przy tym magii ducha. Tak przynajmniej twierdziła Sonia, więc nie zaprotestowałam.

– Dobrze się czujesz? – Adrian zwrócił się do Olive z troską.

– Nie – odparła. Dotknęła ręką podbrzusza. – Boli mnie tu. Właściwie tak jest przez całą ciążę.

– Twoje barwy są rozedrgane. Inne niż do tej pory. Niemal jakby zmieszały się aury dwóch osób. – Adrian uniósł brwi. – Zaczynasz rodzić?

Zaciekawiła się... ale i przestraszyła.

– Nie... nie jestem pewna. Ból się nasila, z pewnością jest inny niż przed miesiącem...

Naraz usłyszeliśmy głęboki ton wielkiego żelaznego dzwonu. Rose i Dymitr błyskawicznie zerwali się z miejsc.

– Co to jest? – spytała Rose.

Dymitr wyciągnął zza pasa srebrny sztylet.

– Ostrzeżenie przed strzygami. Mieliśmy ten sam system w Baja. – Podbiegł do drzwi, a Rose deptała mu po piętach. Przed wyjściem wskazał nam kominek. – Rozpalcie ogień. Jeśli pojawi się strzyga, wrzucie ją tam.

Nie wyjaśnił, jak niby mielibyśmy się do tego zabrać – używając siły czy magii. Wybiegli, zanim zdążyłam ich o to zapytać. Spojrzeliśmy na siebie z Adrianem, zaniepokojeni nieoczekiwanym zagrożeniem. Rzuciłam drobne zaklęcie i w kominku zapłonął ogień. Stanowił naszą najlepszą broń przeciwko strzygom i choć mogłam go wyczarować w każdej chwili, wołałam, by palenisko było gotowe.

Płomienie skoczyły w górę. Nagle Olive krzyknęła. Obróciłam się w jej stronę. Krzywiła się z bólu, trzymając za brzuch.

– Dobrze się czujesz?

– Myślę, że... poród chyba jednak się zaczął – wydyszała.
Adrian zbladł.

– Mówiąc „zaczął”, masz na myśli, że urodzisz za chwilę czy w bliskiej przyszłości?
To pytanie było tak idiotyczne, że dziewczyna na chwilę zapomniała o bólu.

– Nie wiem! Nigdy tego nie robiłam!
Adrian przeniósł wzrok na mnie.

– Rozumiem, że to potrafisz? Przyjąć poród?
– Co takiego? – spytałam w panice. – Niby skąd?
– Ty jesteś dobra we wszystkim – odparł. – A ja oglądałem takie sceny tylko w filmach.
No wiesz: „Zagotuj wodę, podrzyj prześcieradła”.

Jak zwykle starałam się myśleć logicznie, żeby się uspokoić.

– Gotowana woda jest dla higieny. Ale prześcieradła? To nie jest...
Moją paplaninę przerwał krzyk dobiegający z zewnątrz. Adrian instynktownie zasłonił sobą Olive, a ja przywołałam kulę ognia. Wpatrywaliśmy się w milczeniu w ciemne okno, nie mając pojęcia, co się dzieje. Słyszeliśmy wrzaski i zaczęłam sobie wyobrażać najgorsze scenariusze.

– Szkoda, że Neila tu nie ma – wyszeptała Olive.
– O tak – powiedziałam, myśląc, że czułabym się znacznie lepiej, gdyby on stał przy drzwiach ze srebrnym sztyletem w dłoni.
Adrian ścisnął Olive za rękę.

– Poradzisz sobie. Sydney i ja cię ochronimy. Nie wpuszczymy tu żadnych niechcianych gości.
W tej samej chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich Rand Iwaszkow. Był przerażony.

– Co się tam dzieje?! – zawołałam.
Zatrzasnął za sobą drzwi i opadł ciężko na fotel.

– Strzygi. Dymitr kazał mi do was przyjść. – Zerknął niepewnie na Olive. – Na wypadek gdybyście potrzebowali pomocy.
– Nie potrzebujemy, chyba że w tajemnicy przed rodziną skończyłeś medycynę – warknął Adrian.

– Ile jest strzyg? – spytałam.
Rand pokręcił głową.

– Nie jestem pewien. Zdaje się, że kilka, w przeciwnym razie już bylibyśmy martwi. Ale nawet kilka może narobić wiele szkód.
Olive krzyknęła cicho z bólu i wszyscy zwróciliśmy się w jej stronę.

– Kolejny skurcz – odnotowałam.
– Następują co kilka minut. Może maluch zaczeka, aż będzie po wszystkim – zastanawiała się Olive.

– Maluch? Wiesz, że to chłopiec? – zaciekał się Adrian.
– Nie wiem na pewno – przyznała. – Tylko przeczuwam.
– Wierzę w przeczucia – zapewnił ją Adrian.

Znów usłyszeliśmy krzyk na zewnątrz. Musiałam zająć czymś Olive. Nie znam się na porodach, ale wiedziałam, że rodzica nie powinna przeżywać dodatkowych stresów.

– Jak mu dasz na imię? – zapytałam.
Adrian podchwycił moją myśl.

– Adrian Sinclair brzmi naprawdę dobrze – wtrącił.
Olive wciąż wpatrywała się ze strachem w okno i drzwi, ale kąci jej ust uniosły się w uśmiechu.

- Declan.
- Ładne irlandzkie imię – zauważyłam.
- Nadal pasuje – nie ustępował Adrian. – Declan Adrian Sinclair.
- Declan Neil – poprawiła go.

Nie wiedziałam, jak zareagowałby Neil na wieść o tym, że cudze dziecko nosi jego imię. Od chwili naszego przyjazdu tak wiele się działo, że nie miałam okazji pogadać z Olive o powodach jej pobytu w komunie. W obecnej sytuacji także nic nie wskazywało na to, że będzie na to czas. Rozmowa się urwała. Mogliśmy tylko obserwować i czekać. Krzyki na zewnątrz w końcu ucichły, ale nie wiedziałam, czy to dobry znak. Równie niepokojący był stan Olive, skurcze pojawiały się teraz znacznie częściej. Pomyślałam w pewnej chwili, że może jednak powinniśmy zagotować wodę.

I znów ktoś otworzył drzwi, a ja niemal cisnęłam ognistą kulą. Na szczęście w porę zorientowałam się, że to Rose. Miała brudną twarz, umazaną krwią.

– Załatwiliśmy ich – powiedziała. – Nikt z naszych nie zginął, ale mamy wielu rannych. Adrian, lekarz przyjedzie dużo później, więc zastanawialiśmy się, czy nie mógłbyś...

Nie dokończyła, ale wiedziałam, o co jej chodzi. Adrian także. Spojrzał na mnie z bólem.

– Sydney...

– Powiedziała, że nikt nie zginął – przerwałam mu.

– Ale ktoś może być bliski śmierci – przekonywał. – Szczególnie że lekarz jest daleko.

Zerknęłam na Rose.

– Czy są poważnie ranni?

Zawahała się.

– Nie wiem. Kilka osób jest w kiepskim stanie. Położono je w tutejszej izbie chorych.

Widziałam tam mnóstwo krwi.

Adrian ruszył do wyjścia.

– Pomogę im. – Przystanął i popatrzył na Olive. – Ona też potrzebuje pomocy. Natychmiast. Zaczęła rodzić. Sydney...

– Nie, idę z tobą. Przeszłam kurs pierwszej pomocy – oznajmiłam, choć w rzeczywistości wolałam mieć na niego oko. – Rose, pomożesz Olive? Albo wezwiesz do niej kogoś?

Mina Rose świadczyła o tym, że moja prośba kompletnie ją zaskoczyła, ale szybko kiwnęła głową.

– Poszukam kobiety, która się na tym zna. Z pewnością wiele z nich tutaj asystowało wcześniej przy porodach. Na pewno chcesz tam iść, Sydney? Jedzie już do nas alchemik, który usunie ciała.

– Alchemik? – sapnęła Olive.

Zamarłam i nagle poczułam, że ogarnia mnie panika.

– Jedzie tu?

– Trochę mu się zejdzie – wyjaśniła Rose. – Zdaje się, że ma na imię Brad albo Brett. Pracuje w okolicach Marquette.

– Nie ryzykuj – upomniał mnie Adrian. – Zostań w środku.

Wahałam się, choć czułam, że to rozsądne wyjście. Po tym wszystkim, przez co przeszłam, uciekając przed alchemikami, byłabym szalona, pokazując się jednemu z nich. Potrząsnęłam głową.

– Brad czy też Brett jeszcze tu nie dotarł. Zniknę, kiedy przyjedzie.

Widziałam, że Adrian nie aprobuje mojej decyzji, ale pierwsza odezwała się Olive.

– Czy on jest taki jak ty? – spytała nerwowo, co mnie zdziwiło. – To były alchemik?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Mało prawdopodobne. Sądę, że to typowy przedstawiciel chłodno analizujących wszystko alchemików, który uważa wampiry za wybryk natury.

Olive przestraszyła się jeszcze bardziej. Przypomniałam sobie jej lęk, gdy zobaczyła mnie po raz pierwszy. Rose uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

– Wiem, że alchemicy nie są naszymi przyjaciółmi, ale ten pomoże nam posprzątać. Nie bój się. Będzie dobrze. Tymczasem przyślę kogoś, kto będzie asystował przy porodzie. – Utkwiła surowy wzrok w Randzie. – Czekaj tu z nią, aż ktoś przyjdzie. A my idziemy.

Wyszliśmy za nią z Adrianem. Na dworze zapadał mrok i poczułam ciarki na plecach. Nie bałam się już tak bardzo, jak podczas ataku strzyg, ale to miejsce wyglądało naprawdę złowieszczo w świetle latarni rozstawionych wzdłuż ścieżki. Nie widzieliśmy po drodze wielu śladów zakończonej walki. Dopiero w domku Lany leżało ponad dziesięć rannych kobiet. Miały tu dobrą opiekę. Był z nimi Dymitr, który od razu do nas podszedł.

– Dziękuję, że zechciałeś nam pomóc – powiedział. – Wiem, że to trudne.

– Wcale nie – zaprotestował Adrian.

– Adrian – rzuciłam ostrzegawczo. – Bądź rozsądny. Zajmij się tylko najbardziej poszkodowanymi.

Rozejrzał się po rannych ułożonych na prowizorycznych łózkach. Rose miała rację. Było tam mnóstwo krwi. Kobiety jęczały z bólu.

– Jak mam zdecydować, która z nich najbardziej potrzebuje uzdrowienia? – spytał cicho.

– Wszystkie walczyły w naszej obronie.

– Pomogę ci to ocenić – zaoferowałam.

Dymitr wskazał odległy kąt pokoju.

– Tam leżą najbardziej poszkodowane. Przyda im się każda pomoc. Muszę wyjść. Jedna ze strzyg zdołała się wymknąć i teraz czai się w lesie. Urządzamy pościg.

– Idę z tobą – oświadczyła Rose.

Dymitr dotknął jej policzka.

– Powinnaś zostać. Pomóc Sydney i Adrianowi.

– Później – wtrąciłam. – Najpierw zorganizuj asystę dla Olive.

Rose uniosła brwi i natychmiast pobiegła szukać Lany. Adrian i ja podeszliśmy do najciężej rannych. Próbowałam go upominać, żeby nie nadużywał mocy, ale to nie było łatwe. Cierpiących było wielu. Zajął się uzdrawianiem, szczerze rozdzielając swoją moc. Zaczął od rannych w stanie krytycznym, które wskazał mu Dymitr. Ja zaś robiłam, co mogłam, w nadziei, że Adrian nie będzie musiał pomagać wszystkim. Podawałam wodę i opatrywałam skaleczenia. Próbowałam pocieszać. Większość kobiet była przytomna, więc starałam się dodawać im otuchy, zapewniając, że wkrótce dojdą do siebie. Co jakiś czas odrywałam się od pomocy, żeby zerknąć na Adriana.

Mallory również została ranna. Ona i druga strażniczka poważnie ucierpiały i straciły sporo krwi. Adrian wyczytał z aury Mallory, że ma ona pęknięte żebra oraz obrażenia wewnętrzne. Strzyga ugryzła ją w miejscu połączenia barku i szyi i ta rana wciąż broczyła krwią. Nie pomogło bandażowanie. Dziewczyna leżała nieprzytomna. Nie mogłam uwierzyć, że jeszcze parę godzin wcześniej wpatrywała się z zachwytem w Rose i Dymitra. Adrian zajął się nią w pierwszej kolejności i niemal całkowicie uzdrowił. Ucieszyłam się, a jednocześnie zmartwiłam, wiedząc, jak wiele mocy musiał na to oddać. Bez słowa przeszedł do kolejnej pacjentki.

W połowie pracy przybiegła do mnie Rose.

– Wysłałam kogoś do Olive. A teraz musisz pójść ze mną na górę. Za chwilę zjawi się tu alchemik.

Dokończyłam bandażowanie i po raz ostatni nakazałam Adrianowi ostrożność. Kiwnął głową na znak zgody, lecz nie byłam pewna, czy mnie w ogóle słyszał. Nie miałam czasu tego sprawdzić.

Z bijącym sercem poszłam za Rose na pięterko domu Lany. Na górze odetchnęłam z ulgą. Miałam przeczekać na strychu, ukryta przed niepożądanym wzrokiem. Niestety, nie widziałam stąd, co się działo na dole.

– Rose – zaczęłam, gdy odchodziła. – Zadbaj o to, żeby Adrian nie...

Nieoczekiwanie w drzwiach pojawiła się jakaś dampirzyca i przywołała Rose ruchem ręki. Przyglądałam się, jak nerwowo o czymś szepczą. Rose wyglądała na wzburzoną. Zerknęła na mnie, a potem zeszła za tamtą po schodach. Zostałam sama na prawie godzinę, nie mając nic innego do roboty, jak spacerować w tę i z powrotem i rozmyślać o tym, co się stało. W końcu zajrzała do mnie Diana i poinformowała, że alchemik przeniósł się do innej części obozowiska. Mogłam więc zejść, bo nie wróci już do izby chorych.

Nie traciłam ani chwili i po sekundzie byłam na dole. Niemal wszystkie poszkodowane kobiety już wstały i wyglądały na całkowicie zdrowe. Adrian kończył pracę. Stałam oniemiała, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– Adrian... coś ty zrobił?

Nie odwrócił się do mnie od razu. A kiedy to zrobił, przeraziłam się jego stanem. Wyglądał tak źle, jak wcześniej te kobiety – był blady, spocony, miał rozgorączkowane oczy. Chwyciłam go za ramię w obawie, że zemdleje z wycieńczenia.

– Ile osób uzdrowiłeś? – spytałam szeptem.

Przełknął ślinę, rozglądając się wokół pustym wzrokiem.

– Nie... nie wiem. Ile zdołałem...

Ścisnęłam go za rękę, walcząc z gniewem i ze strachem.

– Adrian! Nie powinieneś być! – Rozglądając się, zobaczyłam, że pomógł też dziewczynom, które zostały tylko lekko ranne. Ich obrażenia znikły bez śladu. Spojrzałam na Adriana z wyrzutem. – Zmarnowałeś energię! Większość sama doszłaby do siebie!

Adrian nieco się ożywił.

– Mogłem im pomóc, więc... czemu nie? Kiedy już zacząłem, trudno było przerwać... Nic się przecież nie stało.

Nie dotarło do mnie jeszcze, co mówił, gdy zbliżyła się do nas Rose.

– Słuchajcie... Muszę wam o czymś powiedzieć. Olive odeszła.

Byłam tak skoncentrowana na Adrianie, że w pierwszej chwili pomyślałam, iż się przesłyszałam.

– Jak to: odeszła?

– Pozbawiła Randa przytomności. Potem uciekła, zanim Lana dotarła do niej z pomocą.

Adrian, choć oszołomiony, zrozumiał, że wydarzyło się coś niemożliwego.

– Olive... zaatakowała... w trakcie porodu? Jak?

– Nie mam pojęcia – westchnęła Rose. – W każdym razie zniknęła... Pewnie uciekła do lasu.

– Do lasu... – powtórzył Adrian. Przestraszył się i to go otrzeźwiło. – Rodzi tam teraz w ciemności. Czy ta zbiegła strzyga wciąż tam jest?

Wyraz twarzy Rose mówił sam za siebie. Adrian rzucił się do wyjścia, a ja pobiegłam za nim.

– Prędej! – zawołał. – Musimy ją natychmiast odnaleźć!

Rose próbowała nas zatrzymać.

– Adrian, to niebezpieczne...

Nagle do środka wpadł Dymitr.

– Znaleźliśmy ją. Nareszcie. Musisz tam pójść, Adrian. Natychmiast.

Pobiegliśmy za nim, nie zadając pytań. Usiłowałam dotrzymać im kroku, co nie było łatwe. Rose nam towarzyszyła.

– Znaleźliście tę strzygę? – spytała, gdy mijaliśmy centralny punkt obozowiska.

– Tak. Jest tam. – Dymitr wskazał na dwie dampirzyce wlekące za sobą ciało martwej strzygi. Przyciągnęły je tam, gdzie leżały już trzy inne truchła jedno na drugim. Klęczał przy nich jakiś człowiek i polewał martwe strzygi zawartością niewielkiej fiołki. „Alchemik” – pomyślałam. Schowałam się za Rose. Mężczyzna na szczęście był pochłonięty pracą.

– Co tam się stało? – spytała Rose.

– Strzyga najpierw dopadła Olive – wyjaśnił Dymitr – która urodziła dziecko w lesie. Tam je ukryła. Noworodka także odnaleźliśmy. Wszystko z nim w porządku. Jest drobniutki, ale zdrowy.

Oboje z Adrianem byliśmy tak wstrząśnięci przebiegiem wydarzeń, że nie mogliśmy wydobyć z siebie słowa, ale Rose miała mnóstwo pytań.

– Dlaczego do niej idziemy? Czemu nie sprowadziliście jej tutaj?

Dymitr wyprowadził nas do lasu poza obszar obozowiska.

– Wołałem jej nie ruszać. Uznałem, że najlepiej będzie zostawić Olive na miejscu i ściągnąć Adriana, żeby ją uzdrowił.

Mój mąż się zaniepokoił.

– Słuchajcie... nie wiem, czy zostało mi choć trochę mocy. Jeśli możecie ją ustabilizować do czasu, gdy odzyskam siły... Albo jeśli nie jest z nią tak źle...

Dymitr nie odpowiedział, wchodziliśmy coraz głębiej w las. Wyraz jego twarzy sugerował, że z Olive nie było dobrze. Poczułam ściskanie w dołku, domyślając się, co to mogło oznaczać.

Nareszcie wyszliśmy na polanę, na której stały już Lana i dwie dampirzyce. Trzymały w rękach latarnie. Podbiegliśmy do nich i zobaczyliśmy Olive opartą o drzewo, z małym zawiniątkiem, które przyciskała do siebie jedną ręką. Przyjrzaawszy jej się bliżej, zrozumiałam, dlaczego obawiali się ją przenieść. Była tak blada, że mogłaby uchodzić za strzygę. Jej ramię – nie to, którym przytulała dziecko – zostało niemal wyrwane z barku. Miała mocno poranioną głowę. Wszędzie wokół widziałam krew. Olive oddychała płytko, zamknawszy oczy.

Adrian od razu spróbował się skoncentrować na jej stanie, ale po chwili zrezygnowany potrząsnął głową.

– Nie dam rady – mruknął, niemal dławiąc się tymi słowami. – Nie widzę nawet jej aury. Wypaliłem się... Nie mam mocy.

Olive zamrugwała lekko na dźwięk jego głosu.

– Czy... to ty, Adrian?

Ukląkł przy niej.

– Ćśśś, oszczędzaj siły. Musisz odpoczywać, a ja zregeneruję siły i cię uzdrowię.

Wydała z siebie krótki, chrapliwy śmiech, a z jej ust wypłynęła strużka krwi.

– Nie pomoże mi żadna moc, nawet twoja magia.

– Nieprawda. Zaraz ją odzyskam.

– Za późno – wychrypiała. – Ale muszę... z tobą porozmawiać. Na osobności.

– Powinnaś odpoczywać, Olive – nalegał Adrian, choć bez przekonania. Oboje wiedzieliśmy, że Olive ma rację. Wykrwawiała się przy nas na śmierć.

Noworodek w jej ramionach zaczął płakać.

– Odsuńcie się – Dymitr rozkazał pozostałym i zwrócił się do Adriana i do mnie:

– Postarajcie się ją ukoić.

Skinęłam lekko głową, ale skupiałam się głównie na tym, żeby się nie rozplakać.

– Weź go – poleciła Olive, gdy wszyscy odeszli. Podała dziecko Adrianowi.

Nigdy wcześniej nie trzymał tak małej istoty w ramionach, ale gdy przytulił maleństwo, natychmiast przestało płakać. Nachyliłam się, żeby mu się przyjrzeć. Dziecko było tak drobne, że wydawało się niemal nierzeczywiste. Ciemny puszek włosów pokrywał jego główkę. Ktoś podał kurtkę, by owinać w nią noworodka. Adrian próbował go niezdarnie kołysać.

– Ćśśś, już dobrze. Już dobrze, Declan. Declanie Neilu Sinclair.

– Raymond – sprostowała nieoczekiwanie Olive. Przerwała i zanosła się kaszlem, wypluwając krew. – To Declan Neil Raymond.

– To nazwisko Neila – powiedziałam.

– Zabierzcie go do Neila – poprosiła. – Kiedy ja odejdę.

– Nie mów tak. – Adrian miał zdławiony głos, jakby z trudem powstrzymywał łkanie.

Zdrową ręką Olive chwyciła go za rękaw.

– Nie rozumiesz. To dziecko Neila. Neil jest jego ojcem.

Zważywszy na sytuację, nie było sensu zagłębiać się w zawłości genetyczne. Olive traciła przytomność i mogła mylić fakty. Zresztą, pewnie mówiła w sensie symbolicznym. Zauważyłam podczas pobytu na dworze, że Neil był w niej zakochany. Pewnie i tak zaadoptowałby dziecko.

– Oczywiście – powiedziałam łagodnie, pragnąc ją uspokoić.

Gasła, ale w jej oczach na chwilę rozbłysnął gniew.

– Mówię, jak jest. To dziecko Neila. Nie byłam z nikim innym.

– Olive – wtrącił stanowczo Adrian. – To niemożliwe.

– Tak było – powtórzyła. Zamknęła oczy, a ja przestraszyłam się, że przyszło najgorsze.

Ale ona ponownie rozwarła powieki. – Byłam tylko z Neilem. Raz. A kiedy dowiedziałam się... Bardzo się przestraszyłam. Nie wiem, jak do tego doszło... To musi mieć coś wspólnego z moją przemianą. Zostałam napełniona mocą ducha. Bałam się, że jeśli ktokolwiek się dowie, moroje albo alchemicy, odbierze mi dziecko. Że będą na nim eksperymentować tak, jak to robi Sonia. Więc się ukryłam. Przed nimi wszystkimi. Nawet przed Ch... Charlotte. – Zająknęła się przy imieniu siostry i przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza.

Oddychała z coraz większym trudem.

To, co mówiła, było niemożliwe. Dwoje dampirów nie może spłodzić dambira. Sprzeciwia się to fundamentalnym zasadom świata. Mimo to, skoro wierzyła, że... Nagle przypomniałam sobie jej przerażenie na wieść o przyjeździe kolejnego alchemika.

– To dlatego uciekłaś – powiedziałam. – Z lęku przed tym alchemikiem.

Skinęła lekko głową i otworzyła oczy.

– Znasz ich. Nie wiem, jak zaszłam w ciążę, ale oni z pewnością chcieliby się tego dowiedzieć. Odebraliby mi dziecko. Proszę, Adrian, Sydney, nie pozwólcie im na to. Ani im, ani władzom morojów. Ukryjcie je, a potem oddajcie Neilowi. On się nim zaopiekuje. Obiecujcie mi... – Przymknęła oczy i głowa opadła jej na bok. – Obiecujcie mi... że Declan... będzie bezpieczny.

Walczyłam ze łzami.

– Zostań z nami! – zawołał Adrian. – Jeszcze chwilę. Zaraz odzyskam moc. Wiem to!

Declan poruszył się w jego ramionach i znów zaczął płakać. Olive lekko rozwarła oczy i się uśmiechnęła.

– Jest taki słodki... – szepnęła miękko. Powieki jej opadły, a z ciała jakby uszło całe napięcie. Bezwładnie pochyliła się do przodu.

– Mam! – sapnął Adrian. – To ledwie iskra ducha... ale wystarczy, by zobaczyć aurę...
Ścisnęłam go za ramię, czułam, jak po policzkach płyną mi łzy.

– Adrian...

– To dziecko jest takie promienne – powiedział. On również płakał. – Jak gwiazda. Ale w niej... nie ma nic. Nie widzę już aury...

ROZDZIAŁ 11

Adrian

STALIŚMY POŚRODKU LASU, a ja trzymałem Declana w ramionach. Na szczęście zasnął, rozkosznie nieświadomy tego, jak skomplikowany i żałośnie smutny jest świat, na który przyszedł. Sydney przywarła do mnie. Objąłem ją jedną ręką, drugą wciąż przytulając Declana. Rose i Dymitr stali w pobliżu. Byli wyraźnie poruszeni, gdy zabierano Olive.

– Musimy działać szybko – powiedziałem, ścisząc głos. – Jeśli zamierzamy spełnić jej ostatnie życzenie.

Sydney spojrzała na mnie i zamrugła, ocierając łzy.

– Nie sądzisz chyba... Nie uwierzyłeś, że ojcem jest Neil?

Nie odpowiedziałem od razu.

– Widziałem ich na dworze. Ty także. Nie mogłem uwierzyć, że Olive znalazła sobie kogoś innego. Teraz rozumiem. I kiedy na niego patrzę... na Declana... trudno to wytłumaczyć, ale widzę w nim coś szczególnego. To coś jest w jego aurze. Jakby otaczała go ochronna powłoka ducha, taka jaką usiłowaliśmy wytworzyć wspólnie z Sonią. A on się z nią urodził.

Sydney wstrzymała oddech.

– Jeśli to prawda, nie zostawię go w spokoju.

– Nikt nie może się o nim dowiedzieć – oznajmiłem twardo. – Uszanuję wolę Olive. Nie wydam go. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić, skoro ją zawiodłem...

– Adrian...

Nie pozwoliłem jej dokończyć.

– Musimy go ukryć. Pomożesz mi?

Widziałem po jej minie, że się o mnie martwi, ale nie wahała się ani chwili.

– Nie musisz przecież pytać.

Pocałowałem ją w czoło.

– Będziemy potrzebowali pomocy. – Pomachałem do Rose i Dymitra, żeby się do nas zbliżyli.

Rose przełknęła głośno ślinę, w jej ciemnych oczach lśniły łzy.

– Tak mi przykro, Adrian. Nie mogliśmy temu zapobiec.

Cóż – odezwała się ciotka Tatiana – *ty mogłeś, gdybyś tak nonszalancko nie nadużywał mocy ducha.*

– Nie ma czasu na żale – rzuciłem rażno. – Potrzebuję waszej pomocy. Co teraz będzie z Declanem? Znasz inne komuny, Dymitr. Co się dzieje z dzieckiem po śmierci matki? Muszę wiedzieć, czy pozwolą nam go stąd zabrać.

– Kim jest Declan? – spytała Rose.

Wskazałem niemowlę w moich ramionach, wciąż owinięte czyjąś kurtką.

Dymitr miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Gdyby Olive miała tu rodzinę, dziecko trafiłoby do niej. Oczywiście możemy również skontaktować się z jej krewnymi poza obozowiskiem. Zgodnie z tradycją...

– Tak? – podchwyciłem.

Dymitr popatrzył niepewnie na dziecko.

– Dampiry mają taką starą tradycję, szczególnie te żyjące w niebezpiecznych miejscach

i niepewnych okolicznościach. Ten, komu matka powierza dziecko, staje się jego opiekunem. Jak mówiłem, to stary zwyczaj, ale zgaduję, że Olive właśnie po to wezwała ciebie. Lana do tej pory nie odebrała ci malca. Jestem pewien, że kiedy jej powiesz...

– Nie – przerwałem mu. – Tak jest doskonale.

– Więc... chcesz wziąć to dziecko? – spytała Rose, nawet nie próbując ukrywać, jak niedorzeczny wydał jej się ten pomysł.

– Chcę je stąd wywieźć – odparłem. – Najlepiej, gdyby nikt więcej się o nim nie dowiedział. Ani o tym, że zamierzam je stąd zabrać.

Zastanawiałem się, kto kręcił się w pobliżu. Lana i dwie dampirzyce wojowniczkę. Nie byłem pewien, czy ktoś jeszcze dotarł na miejsce, gdzie znaleziono Olive.

– Moglibyście pogadać z Laną? Powiedzieć jej, że oddamy dziecko rodzinie Olive, ale chcemy to zrobić bez rozgłosu? I niech nie wspomina nikomu o moim udziale w akcji. Jeśli nie będziemy poruszać tej kwestii, większość uzna, że oddaliśmy dziecko najbliższej rodzinie. Zależy mi, żeby jak najszybciej o nim zapomniano. Nikt więcej nie powinien już go zobaczyć ani zastanawiać się, co się z nim stało.

Rose i Dymitr wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Co ty knujesz, Adrian? – chciał wiedzieć Dymitr.

Potrząsnąłem głową.

– Nie mogę powiedzieć. Przynajmniej na razie. Ale wiercie mi, że życie tego dziecka może zależeć od tego, co teraz zrobimy. Pomożecie nam?

Trudno było im się przeciwstawić takiej argumentacji, a przecież nie kłamałem. W drodze powrotnej do obozowiska poczułem, że wraca mi moc. Ilekroć podłączałem się do aury Declana, dostrzegałem niezwykle przepełnienie duchem. Było to zjawisko raczej niedostrzegalne dla innych.

Zacząłem rozumieć, czego obawiała się Olive. Dlaczego odwróciła się od najbliższych i zaszła się na tym pustkowiu. Ta istota, którą trzymałem w ramionach, nie miała prawa istnieć. Dwoje dampirów nie może spłodzić dziecka. To wbrew prawom biologii naszego świata. A jednak dokonało się niemożliwe.

To dziecko było cudem.

Olive miała rację, że znajdą się tacy, którzy zechcą zamknąć Declana w laboratorium i przeprowadzać na nim eksperymenty. Nie chciałem, by jego życie było serią niekończących się badań i obserwacji. Wystarczy, że nie miał już matki.

Dymitr porozmawiał z Laną w cztery oczy i nie wiem, czy zawdzięczaliśmy to tradycji dampirów, czy jego własnej reputacji (może jednemu i drugiemu), ale przystała na wszystkie nasze prośby. Oddała nam do dyspozycji wolny domek, w którym mogliśmy przeczekać do świtu. Gdy poprosiliśmy o prowiant, przesłała nam go przez Rose i Dymitra, żeby Declan nie został przez nikogo zauważony. Wszyscy mieli o nim zapomnieć.

Oznaczało to, rzecz jasna, że oboje z Sydney staliśmy się tej nocy odpowiedzialni za bezpieczeństwo dziecka. W ciągu tych paru godzin nauczyłem się o niemowlętach więcej, niż mógłbym się spodziewać. Sydney uzyskała niezbędną wiedzę dzięki internetowi w smartfonie. Logika i fakty jak zwykle ją uspokajały. Mieliśmy jednak słaby zasięg i momentami wydawało się, że łatwiej jest działać intuicyjnie, niż czekać na połączenie. Na szczęście Declan okazał się wyrozumiały. Cierpliwie czekał, gdy Sydney i ja usiłowaliśmy odczytać instrukcje na puszcze mleka przysłanej przez Lanę. Nie narzekał nawet, gdy pierwszą pieluszkę włożyłem mu tyłem naprzód. Gdy się znowu zmęczył i zaczął płakać, nie wiedziałem, co robić. Spojrzałem na Sydney, ale tylko bezradnie wzruszyła ramionami. Spacerowałem więc z nim po pokoju, nucąc klasyczne rockowe kawałki, aż zasnął i mogłem go położyć.

Rose, która przy nas czuwała, przyglądała mi się z podziwem. Wydawała się bardziej przerażona widokiem niemowlęcia niż strzygi.

– Niezły jesteś – zauważyła. – Adrian Iwaszkow, zaklinacz dzieci.

Spojrzałem na śpiące maleństwo.

– Improvizuję.

– Możesz nam teraz powiedzieć, o co chodzi? – poprosiła, poważniejąc. – Wiesz, że chcemy tylko pomóc.

– Jeszcze nie powinienem. Ale jeśli będziemy mogli wyjechać, kiedy wróci Dymitr, będzie...

W tej chwili zaćwierkała komórka Sydney. Dostała wiadomość. Zdziwiła się, że ktoś się do niej odzywa, i zerknęła na ekran.

– To panna Terwiliger. Zgromadziła czarownice z Palm Springs. Są gotowe rozpocząć poszukiwania.

Rose wstała.

– Jill?

– Oficjalnie Alicji, ale również Jill – odparła Sydney. – Pisze, że możemy do nich dołączyć... – Popatrzyła na mnie niepewnie. Wiedziałem, o czym myśli. Wybraliśmy się do Michigan, bo mieliśmy czas, czekaliśmy na wiadomości z Palm Springs. Nie planowaliśmy brać pod opiekę noworodka.

Sydney, Jill, teraz Declan – wtrąciła ciotka Tatiana. *Tyle osób na ciebie liczy. Możesz ich wszystkich zawieść, jeśli nawalisz.*

– Mam nadzieję, że uwzględniłaś mnie – rzuciła zapalczywie Rose. – Jestem gotowa sprowadzić Jill do domu.

– Palm Springs – mruknąłem, kołyszając Declana. – To może być doskonała kryjówka.

– Nie możemy zabierać dziecka na polowanie na czarownicę – zauważyła Sydney.

Zgodziłem się z nią.

– Proszę, weź go. Śpi.

Sydney delikatnie wyjęła Declana z moich ramion i spojrzała na mnie pytająco. Sięgnąłem po komórkę. U mnie także był słaby zasięg, ale wystarczający, by zadzwonić do mamy.

– Adrian? – usłyszałem jej przestraszony głos. – Gdzie ty jesteś? Tak się martwiłam, od kiedy ta Charlotte oszalała. Wszystko w porządku?

– Tak... to znaczy nie. To skomplikowane. Ale muszę się z tobą jak najszybciej spotkać w Palm Springs. Wkrótce się tam wybieram. Możesz przyjechać?

– Tak... – zaczęła z wahaniem. – Ale...

– Nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi – wtrąciłem pospiesznie. – Jeszcze nie teraz.

– Wiem, skarbie. Nie o to chciałam spytać. Zastanawiałam się, co zrobić z kotem i smokiem w czasie mojej nieobecności.

Dobre pytanie.

– Och. Zapytaj Sonię, czy może się nimi zaopiekować.

Rozłączyłem się i zobaczyłem, że przyszedł Dymitr.

– Jedziemy do Palm Springs? – spytał.

– Pora poszukać Jill – oznajmiła Rose.

– Jeśli chcesz – dodałem.

Dymitr pokazał nam fotelik samochodowy, unosząc go niemal komicznym gestem.

– Możemy jechać, kiedy będziecie gotowi. Prezent od Lany, przysięga, że łatwo go zainstalować.

Rose parsknęła śmiechem.

– Muszę to zobaczyć, towarzyszu. Dymitr Bielikow, twardziel i bożyszczce wszystkich, instaluje w samochodzie dziecięcy fotelik!

Uśmiechnął się pocziwie, a my zaczęliśmy się zbierać. Sydney musiała zadzwonić do Jackie, a ponieważ miałem zajęte ręce, oddała Declana przerażonej Rose.

– Tylko go kołysz – poradziłem, widząc przestrach strażniczki.

Zrobiła, co doradziłem, i tym razem to Dymitr się roześmiał.

– W Rose Hathaway, osławionej buntownicze, budzi się instynkt macierzyński!

Pokazała mu język.

– Ciesz się tym widokiem, póki możesz, towarzyszu. Masz ostatnią szansę zobaczyć coś podobnego.

I wtedy coś sobie uświadomiłem! Olive twierdziła, że była z Neilem, zanim podaliśmy mu zastrzyk z mocą ducha. Narodziny Declana musiały więc być efektem przywrócenia jej do życia po tym, jak została przemieniona w strzygę. Czy to samo mogło spotkać Dymitra? A może działało wyłącznie w wypadku kobiet? Rose i Dymitr żartowali, bo wiedzieli, że nie będą mogli mieć dzieci... Czy przyszło im do głowy, że to nie jest przesądzone? I czy chcieliby, żeby było inaczej?

Masz nad nimi wielką moc – szepnęła ciotka Tatiana. Możesz ich uszczęśliwić albo zniszczyć ich szczęście w przyszłości.

– Adrian? – Rose dostrzegła moje zakłopotanie. – Wszystko w porządku?

– Tak – powoli zacząłem się zbierać. – Próbuję się odnaleźć w nowej sytuacji.

Kiedy wreszcie opuściliśmy domek i niosłem Declana w ramionach, nie zdołaliśmy uniknąć zainteresowania. Mieszkanki obozowiska próbowały dojść do siebie po niespodziewanej napaści strzyg. Większość zajmowała się swoimi sprawami, ale kilka z nich zauważyło mnie i chciało wyrazić wdzięczność za uzdrowienie.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powtarzała strażniczka Mallory, podbiegając i chwytając mnie za ramię. – Dziewczyny powiedziały, że było ze mną marnie. Gdyby nie ty, mogłam już nie żyć!

„Czy Olive przeżyłaby, gdybym im nie pomagał?” – zadałem sobie pytanie.

Uśmiechnąłem się jednak, bąknąłem, że bardzo się cieszę, iż Mallory doszła do siebie. Gdy zawołała swoje koleżanki, które również zostały ranne w walce, szybko podałem Declana Sydney.

– Postaraj się zejść im z oczu – szepnąłem.

Noworodek i była alchemiczka stanowili niecodzienny widok. Lepiej, by nikt nie zapamiętał takiej sceny.

Sydney posłuchała i pospiesznie się oddaliła. Dymitr ją osłaniał.

– Spotkamy się w samochodzie! – krzyknął.

Kiwnąłem głową i ponownie zwróciłem się do tych, które uzdrowiłem. Cały czas nie mogłem pozbyć się myśli, że Olive powinna być między nimi. Kilka kobiet wspominało ją, mówiły, jak bardzo jest im smutno, ale żadna nie spytała o dziecko. Kiedy wreszcie się rozeszły i uznałem, że jestem wolny, wtedy ktoś zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się i ujrzałem Lanę. Szła w moją stronę.

– Cholerna szkoda, że tak się to skończyło – powiedziała ze smutkiem. Odniosłem wrażenie, że w ciągu tego dnia postarzała się o lata. – Żałuję.

– Ja również – odparłem.

– Dymitr nie powiedział, o co chodzi, ale szanuję jego prośbę... twoją także. Nie wiem, dlaczego zależy wam na utrzymaniu tego w tajemnicy, ale patrzyłam na Olive, gdy z tobą

rozmawiała, tuż przed śmiercią. – Lana umilkła i otarła ręką oczy. – Coś ją dręczyło, to oczywiste, i powierzyła ci swój sekret oraz dziecko. To mi wystarczy. Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Postarajcie się zapomnieć, że tu byliśmy – poprosiłem cicho. – My i dziecko.

– Jasne – ucieła Lana i odchrząknęła. – Mam jednak pewne trudne pytanie.

Tylko jedno? – naigrawała się ciotka Tatiana.

– Co mamy zrobić z ciałem?

Zaskoczyła mnie. Nie zastanawiałem się nad tym. Olive odeszła. Widziałem, jak zgasło światło jej aury. Nie przeszło mi przez głowę, że ktoś mnie o to zapyta.

– A co normalnie robicie w takich sytuacjach?

Lana wzruszyła ramionami.

– Przekazujemy ciało rodzinie, która może je pogrzebać albo skremować. Jeśli czas nagli, wysyłamy je do Houghton. Ten alchemik zostawił trochę mikstury chemicznej. Tej, która rozpuszcza zwłoki. Powiedział, że możemy jej użyć w razie potrzeby.

Poczułem ściskanie w dołku. Myśl o tym, że ciało Olive miałyby zostać zniszczone w ten sam sposób co truchło strzyg, przyprowadziła mnie o mdłości. Szczególnie po tym, co przeszła, żeby się wyzwolić po przemianie w bestię. A jednak... widziałem, co potrafi ta mikstura. Zniszczy wszystko, co zostało z Olive, najmniejszy ślad tego, że urodziła dziecko. Zamknąłem oczy i poczułem, że świat wokół mnie wiruje.

– Adrian? – odezwała się Lana. – Dobrze się czujesz?

Spojrzałem na nią.

– Użyj tej mikstury. Ona by tego chciała.

Lana uniosła brew, ale nie mogłem jej w tej chwili niczego wyjaśnić. Powiedzieć, że Olive nie ryzykowałaby, iż jej ciało trafi do zakładu pogrzebowego albo zostanie odesłane rodzinie – wtedy ktoś dowie się, że urodziła dziecko, i zacznie zadawać pytania. Olive zginęła, aby nikt nie poznał prawdy o Declanie. To dziedzictwo miało również mroczną stronę.

– Dobrze – zgodziła się Lana. – Dotrzymam słowa, zatuszuję całą sprawę. Nikt z nas nie będzie rozpowiadał o tym, co się stało. Moje towarzyszki potrafią dochować tajemnicy.

– Dziękuję za wszystko. – Zamierzałem już odejść, gdy chwyciła mnie za ramię.

– Co mam powiedzieć twojemu stryjowi? Pytał o ciebie.

Nie miałem ochoty z nim rozmawiać, szczególnie że nie potrafił trzymać języka za zębami. Nie chciałem, żeby wypytywał mnie o Olive albo o losy jej dziecka.

– Nic mu nie mów – zdecydowałem. – Powiedz tylko, że wyjechałem.

Znów spędziliśmy kolejny długi dzień w drodze. Tym razem trudniejszy ze względu na dziecko, które wymagało karmienia co dwie godziny. Nie udało się znaleźć lotu z Houghton, więc Dymitr zawiózł nas do Minneapolis, robiąc po drodze częste przerwy. Ostatecznie urządziliśmy krótki piknik na lotnisku i w ostatniej chwili złapaliśmy lot do Los Angeles. Przez cały ten czas oboje z Sydney na przemian zajmowaliśmy się Declanem i kontaktowaliśmy ze znajomymi w Palm Springs. Upewniłem się, że Neil już tam dotarł, ale jeszcze nie powiedziałem mu ani słowa na temat Olive czy Declana. Nie mogłem wtajemniczyć również Rose ani Dymitra, choć było mi przykro z tego powodu. Uznałem jednak, że Neil ma prawo dowiedzieć się pierwszy.

– To wasze pierwsze?

– Słucham?

Samolot podchodził do lądowania w Los Angeles, a ja się starałem ukołysać niespokojnego Declana, siedząc z zapiętym pasem. Z braku prawdziwych zabawek Sydney próbowała odwrócić jego uwagę, potrząsając pękiem kluczy. A wcześniej twierdziła, że

przebrała w jakimś artykule, iż noworodki nie widzą z większej odległości. Pytanie wypowiedziała drobna starsza pani siedząca w pobliżu. Wskazała głową Declana.

– Pierwsze dziecko? – uściśliła.

Sydney i ja spojrzeliśmy na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Mhm, tak – odparłem.

Starsza pani się rozpromieniła.

– Tak myślałam. Jesteście tacy troskliwi i przejęci! Ale nie martwcie się. To nie takie trudne, jak się wydaje. Przywykniecie. Wyglądacie na kochających rodziców. Założę się, że nie poprzestaniecie na jednym! – Zachichotała, gdy samolot dotknął ziemi.

Kiedy dotarliśmy do Palm Springs, z naszej grupy w najlepszej formie był Declan. Żadne z nas nie spało dobrze od wielu dni, ale staraliśmy się trzymać fason. Dymitr znów podjął się prowadzenia samochodu i dowiózł nas do posiadłości Clarence’a Donahue. Dom stanowił stosunkowo bezpieczne schronienie, a jednocześnie mogłem tam liczyć na potrzebne już bardzo źródło krwi. Clarence Donahue był starym samotnym morojem, który pomógł nam w przeszłości, a teraz powitał z radością, gdy jego gospodyni wprowadziła nas do salonu. Ucieszyłem się na widok mojej matki, która już tam siedziała.

– Mamo... – westchnąłem, chwytając ją w objęcia.

– Wielkie nieba – zdziwiła się, bo nie chciałem jej puścić. – Nie widzieliśmy się ledwie kilka dni!

– Wiele się wydarzyło w tym czasie – odparłem szczerze, myśląc o nowym życiu i o śmierci. – I wiele się wydarzy, kiedy Sydney skontaktuje się ze znajomymi. Będziemy bardzo zajęci, a ja będę potrzebował twojej pomocy.

Odsunąłem się na bok i odsłoniłem Sydney niosącą śpiącego Declana w foteliku samochodowym.

Mama wpatrywała się w malca nierozumiejącym wzrokiem, a potem spojrzała na mnie w osłupieniu.

– Adrian! – wykrzyknęła. – To nie... to znaczy, jak to możliwe, że...

– Nie jest mój – wyjaśniłem. – Ma na imię Declan, opiekuję się nim na prośbę przyjaciółki. Chciałem cię prosić, żebyś się nim zajęła, gdy wyjadę na poszukiwanie Jill. Nikomu innemu nie mogę zaufać.

Jakby znał swoje imię, Declan otworzył oczy i spojrzał na nas z powagą. Naprawdę nie wiedziałem, czy moja matka się zgodzi. Traktowała daimiry jak służbę i spanikowała, gdy po raz pierwszy przyprowadziłem do domu Rose jako swoją dziewczynę. Kiedy zaakceptowała mój związek z Sydney, wspominałem, że będzie musiała pogodzić się z myślą o wnukach daimirach. Usiłowała mnie wówczas zbyć, mówiąc, że oczywiście to rozumie, ale podejrzewałem, iż po prostu nie chciała się tym martwić zawczasu. Jak zareaguje teraz na prośbę o zajęcie się dzieckiem daimirem?

Ostrożnie wyjąłem Declana z fotelika i zdziwiłem się, gdy matka od razu go ode mnie wzięła.

– Proszę, proszę – zagruchała, kołysząc go w ramionach. – Jaki śliczny chłopczyk. Najślicniejszy.

Pamiętam, jak ty byłeś jej najśliczniejszym chłopczykiem – wtrąciła ciotka Tatiana.

Matka oderwała wzrok od malca.

– Powinieneś go przebrać – oznajmiła. – Te śpioszki są za grube na tutejszy klimat.

– Nie mamy innych – odparłem. Pokazałem torbę na zakupy, którą przyniosła Rose.

– Cały jego ziemski dobytek mieści się tutaj.

– A gdzie będzie spał? – spytała mama.

– Do tej pory podróżował w foteliku samochodowym.

Westchnęła głośno.

– Och, Adrian. Przypomina mi się sytuacja, jak przyniosłeś do domu szczeniaka od sąsiadów i bardzo się dziwiłeś, że wymaga codziennego karmienia.

– Hej – zachnąłem się. – Tego malca karmiliśmy już mnóstwo razy.

– Sydney, moja droga – ciągnęła matka. – Przypuszczałam, że wykażesz się większym rozsądkiem niż Adrian. Przecież wiesz, ile potrzebuje małe dziecko.

Sydney osłupiała. Nie dziwiłem się jej. Matka jeszcze nigdy nie nazwała jej „moją drogą” i Sydney nie wiedziała, czy powinna potraktować to jako komplement, czy poczuć się urażona z powodu swego rzekomego braku rozsądku.

– Otóż to, pani Iwaszkow – odezwała się w końcu. – Dlatego właśnie poprosiliśmy panią o pomoc. Wiemy, że potrafi pani o niego doskonale zadbać.

– Ty jesteś teraz panią Iwaszkow – poprawiła ją mama. – Mów do mnie Daniello.

To była kolejna niespodzianka dla Sydney, którą szczęśliwie wybawił dzwonek telefonu.

– Panna Terwiliger – poinformowała i odebrała, wychodząc z pokoju. Wróciła parę minut później, bardzo przejęta.

– Lokalne czarownice rozpoczynają poszukiwania jutro o świcie – powiedziała. – Podają mi adres miejsca spotkania. Eddie i N... Neil do nas dołączą. Do tej pory nie wychylamy się.

Zająknęła się, mówiąc o Neilu, i mimowolnie spojrzała na Declana. Rozumiałem, co czuła. Kiedy sytuacja się unormuje, Neil dowie się, że został ojcem. Na samą myśl o tym kręciło mi się w głowie. Można by pomyśleć, że po tym wszystkim, czego doświadczyliśmy – przywracanie strzyg do życia, wskrzeszanie zmarłych – dwoje dampirów mających dziecko nie będzie dla mnie żadną rewelacją. A jednak. To było zbyt dziwne, całkowicie sprzeczne z moim rozumieniem świata.

Matka oddała mi Declana.

– Skoro zostajecie w domu, pojedę na zakupy, zanim zamkną wszystkie sklepy. Muszę o niego zadbać.

Poczułem się lekko urażony. W ciągu ostatniej doby dbałem o Declana najlepiej, jak umiałem. Może i miał tylko parę śpioszków, ale czystych, a ja zdążyłem się już nauczyć zmieniać pieluszki. Poza tym Declan dostawał jeść na życzenie. Jak na kogoś, kto przez większość swego dorosłego życia obawiał się, że jego dziewczyny zajdą w ciążę, pełniłem swoje nieoczekiwane ojcowskie obowiązki zaskakująco dobrze.

Wiedziałem jednak, co mama miała na myśli. Między innymi dlatego przecież poprosiłem, by przyjechała. W przeciwieństwie do mnie wychowała już jedno dziecko.

– Nie zostało mi wiele na koncie – powiedziałem. Obojgu nam ojciec ograniczył fundusze. – Dam ci moją kartę kredytową. Możesz wydać tyle, na ile pozwoli debet.

– Chętnie was wesprę – zaoferował Clarence, podnosząc się z miejsca. Wsparty na lasce zakończonej główką węża, dokuśtykał do ozdobnej drewnianej szkatułki stojącej na półce. Widziałem ją setki razy, gdy tu bywałem. Nie spodziewałem się jednak tego, co zobaczyłem po jej otwarciu – stosu banknotów studolarowych. Clarence wręczył mojej matce co najmniej tysiąc dolarów.

– Czy to wystarczy dla młodego panicza, lady Iwaszkow?

Moja matka przyjęła dar bez mrugnięcia okiem.

– Na początek – oznajmiła łaskawie. Potem zwróciła się do Rose i Dymitra. – Które z was mnie podwiezie?

Nieoczekiwanie zgłosiła się Rose. Choć czuła się niezręcznie w kontakcie z dziećmi, lubiła kupować im różne rzeczy. Sydney wyglądała na rozczarowaną, że nie może pojechać

z nimi, ale się nie sprzeciwiała. Biorąc pod uwagę, że w Palm Springs przebywała Alicja i alchemicy, lepiej dla niej było pozostać w bezpiecznej kryjówce. Zaraz potem zaszła się w pokoju dla gości i zajęła przygotowaniem zakłęk przydatnych w jutrzejszym poszukiwaniu Alicji. Dymitrowi i mnie pozostała opieka nad dzieckiem, co mogło być niezłą bazą scenariusza jakiegoś serialu komediowego.

– Jest niesamowity, prawda? – Dymitr, wpatrzony w Declana śpiącego w moich ramionach, się zamyślił. – Ktoś tak maleńki... i obdarzony zarazem tak wielkim potencjałem. Dobry, zły. Wielki, mały. Jaki będzie? Kim się stanie?

Nie potrafiłbym odpowiedzieć na to pytanie, gdyby dotyczyło kogokolwiek, a co dopiero noworodka, którego matkę tajemnicze siły przywróciły do życia po tym, jak stała się nieumarła. W oczach Dymitra ujrzałem żal. Mogli sobie żartować z Rose na temat dzieci, ale w głębi duszy on pragnął obdarzyć miłością własne. Zdałem sobie sprawę, że mógłbym odmienić całe jego życie, gdybym powiedział mu prawdę o Declanie. Dymitr był w stanie mieć syna lub córkę. Być może tylko przypadek sprawił, że Rose jeszcze nie zaszła w ciążę. Powinni się o tym dowiedzieć.

Stanie się twoim dłużnikiem – mruknęła ciotka Tatiana. *Od kiedy się znacie, na próżno starałeś się mu dorównać. Dostał Rose. Dokonał wielkich wyczynów. Ale gdybyś powiedział mu, że może mieć z nią dziecko, padłby na kolana i zaskakał u twoich stóp.*

Miałem w rękach władzę i pokusa powiedzenia mu była niemal nie do przeczyżenia... Ale ugryzłem się w język. Neil powinien dowiedzieć się pierwszy.

Kiedy matka i Rose wróciły, zdumiałem się, widząc, jak szybko się zaprzyjaźniły. Równie zaskakująca była ilość rzeczy, jakie udało im się kupić w tak krótkim czasie. Łóżeczko, milion ubranek, zabawki i całe mnóstwo produktów dla dzieci, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Sydney obejrzała to wszystko krytycznym okiem i natychmiast zaczęła sprawdzać jakość każdego zakupu w telefonie.

– To mu na razie wystarczy – obieściła mama. – Oczywiście wkrótce będzie potrzebował prawdziwej kołyski. I chociaż teraz wykorzystamy ten fotelik samochodowy, widziałyśmy kilka, które będą się lepiej nadawały.

– Oglądałyśmy takie z uchwytnymi na kubeczki i osłonami przeciwsłonecznymi – dodała Rose.

Sydney kiwnęła głową z aprobatą.

– To drugie z pewnością mu się przyda.

Wiedziałem, że nie ma sensu im tłumaczyć, iż Declan nie będzie jeździł naszym samochodem, gdy podrośnie na tyle, by pić z kubeczka. Co do silnych kobiet w moim życiu – odkryłem, że czasem lepiej przyznać im rację bez wdawania się w dyskusję. Poza wszystkim, Declan chyba naprawdę miał szansę wyspać się tej nocy porządnie w prawdziwym łóżeczku, a gdy zasnął, zebraliśmy się wokół, żeby go podziwiać.

– Najśłodsze maleństwo na świecie – westchnęła moja matka.

– Chciałaś powiedzieć: drugie w kolejności, prawda? – upomniałem się.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo matka zaangażowała się w opiekę nad Declanem. Choć może nie powinno mnie to dziwić. Jej życie wywróciło się ostatnio do góry nogami. Odeszła od ojca i oficjalnie wspierała mój nietypowy związek. Declan dawał jej zajęcie, któremu mogła się całkowicie poświęcić – coś ważniejszego niż haftowanie i normalniejszego niż opieka nad smokiem czy kotem czarownicy.

Co było jednak dla nas ważniejsze tej nocy, matka zaofiarowała się karmić Declana. Częściowo dlatego, że jeszcze nie przestawiła się z nocnego trybu życia obowiązującego na dworze. Poza tym widziała, iż jesteśmy zmęczeni i konieczność wstawania co parę godzin nie wyjdzie nam na dobre przed ewentualną konfrontacją z Alicją. Szczególnie że nasza

przeciwniczka obrała wcześniej strategię wyczerpania przeciwnika przed starciem.

– Mam nadzieję, że ją znajdziemy – westchnęła Sydney, kładąc się do łóżka.
– Wyobrażasz sobie? Jutro o tej porze może być po wszystkim. Odnajdziemy Alicję. Odnajdziemy Jill. Wszystko wróci do normy – cokolwiek to dla nas znaczy.

Wśliznąłem się do łóżka i z przyjemnością wyciągnąłem po ostatniej drzemce w samolotowym fotelu. Miło było mieć obok Sydney i cieszyć się względną prywatnością. Dom Clarenca był bardzo przestronny, otrzymaliśmy jedyny pokój w korytarzu. Nie umywały się do niego ciasne kwatery w skrzydle dla gości na królewskim dworze. Sydney ubrana w krótkie spodenki i obcisłą koszulkę zwinęła się w kłębek tuż przy mnie. Westchnąłem z ulgą. Nareszcie zyskaliśmy chwilę spokoju.

– Adrian – powiedziała. – Musimy porozmawiać o tym, co się wydarzyło w komunie. Zesztywniałem.

– Wiele się tam wydarzyło.

– Wiem, wiem i oczywiście najważniejszy jest nadal Declan. Ale chciałam z tobą porozmawiać o czymś innym... O uzdrawianiu.

Obwinia cię! – syknęła ciotka Tatiana. *Wini cię za śmierć Olive!*

– Uważasz, że jestem odpowiedzialny za to, że Olive umarła? – spytałem wprost.

– Co takiego? – zdziwiła się. – Nie. Nie. Oczywiście, że nie. Ty... się chyba nie obwiniasz? To strzyga ją zabiła. Nie mogłeś nic zrobić.

– To dlaczego tak mnie dręczysz rozmową o uzdrawianiu? – spytałem.

Odetchnęła głęboko.

– Martwię się tym, jak wiele cię to kosztowało. Obiecywałeś, że nie będziesz tak często korzystał z mocy ducha.

– Właściwie – wtrąciłem – nie przypominam sobie, żebym coś takiego powiedział. To ty zdecydowałaś i wymusiłaś to na mnie.

Miły ton głosu Sydney nagle stwardniał.

– Wymusiłam? Próbuję ci pomóc. Wiesz, co się przydarzyło Charlotte, gdy nadużyła mocy. Nie chcę cię oglądać pogrążonego w śpiączce!

– Daleko mi do Charlotte – odparowałem.

– Wyczerpałeś całą moc! To o czymś świadczy.

– Cóż – mruknąłem ze złością. – Całkiem spora grupa dampirzyc z komuny pewnie by się z tobą nie zgodziła. Są mi wdzięczne za to, co zrobiłem.

Ale nie Olive – szepnęła ciotka Tatiana. *Ona nie może już nic powiedzieć.*

Sydney starała się zachować spokój.

– Nie wątpię, że są ci wdzięczne, ale wiesz, o czym mówię. Musisz znów zacząć brać leki. Nie ocalisz wszystkich. Nie możesz bezkarnie korzystać z ducha i lekceważyć skutków ubocznych. Narażasz własne życie.

– A jakie byłoby to życie? Kim byłbym, posiadając dostęp do magii i pozwalając innym cierpieć? Nie mogę, Sydney. Jeśli widzę kogoś, komu mogę pomóc, robię to. Nie potrafię siedzieć obojętnie!

– A ja nie mogę obojętnie patrzeć, jak robisz sobie krzywdę – zawołała wytrącona z równowagi.

– Przepraszam – wymamrotałem i przewróciłem się na bok. – Nie umiem się zmienić.

Minęła dłuższa chwila, zanim Sydney również położyła się na boku, plecami do mnie. Zapadło lodowate milczenie. Na tym skończyła się nasza spokojna, romantyczna noc.

Ona tego nie rozumie – powiedziała ciotka Tatiana. *Nigdy nie zrozumie.*

Musi – odpowiedziałem w myślach. *Potrzebuję jej zrozumienia i wsparcia. Bez niej będę*

zgubiony.

Zawsze masz mnie – padła odpowiedź.

Owinąłem się szczelniej prześcieradłem, myśląc z przerażeniem o zjawach, jakie zaczęły mnie kiedyś nękać. Gdybym znów zaczął zażywać leki, ciotka Tatiana by zniknęła... Ale razem z nią zniknąłby duch. Czy byłem na to gotowy? Bez mojej mocy nie zdołałbym uzdrowić tych kobiet. Nie mógłbym pomóc w poszukiwaniach Jill. Kim byłbym bez magii?

Moc ducha nie zdołała ocalić Olive – zauważyła ciotka Tatiana. *Jest przereklamowana.*

– Milcz – mruknąłem.

Sydney poruszyła się za moimi plecami.

– Mówiłeś coś?

Przewróciłem się na drugi bok i pocałowałem ją w ramię.

– Powiedziałem przepraszam. Kocham cię.

ROZDZIAŁ 12

Sydney

POŁOŻYŁAM SIĘ OGARNIĘTA NIEPOKOJEM. Adrian podejrzanie szybko się poddał, bym mogła uwierzyć, że naprawdę go przekonałam. Rankiem nie mieliśmy jednak okazji, by o tym porozmawiać. Musieliśmy się zatroszczyć o Declana, a zaraz potem wyruszyliśmy na poszukiwanie Alicji. Zanim przyłączyliśmy się do czarownic, oboje z Adrianem nareszcie spotkaliśmy się z przyjaciółmi.

Razem z Rose i Dymitrem pojechaliśmy do dawnego mieszkania Adriana. Ogarnęła mnie nostalgia na wspomnienie chwil, które tu spędziłam. Długie popołudnia w ramionach Adriana, jeszcze przed ślubem, zanim zaczęto nas ścigać... Wówczas myślałam, że balansujemy na krawędzi, lecz w porównaniu z tym, co przeżywaliśmy obecnie, tamto życie było znacznie prostsze.

Trey Juarez stał w drzwiach z typowym dla siebie uśmiechem, który stał się większy, gdy mnie zobaczył.

– Kopę lat, Melbourne. Czy powinienem powiedzieć: Iwaszkow?

Odwzajemniłam jego serdeczny uścisk. Kiedy Adrian opuścił Palm Springs, by zamieszkać na dworze, zostawił swoje mieszkanie Treyowi.

– Niezmiennie proszę, żebyś zwracał się do mnie Sydney – odparłam.

Przedstawiłam mu Rose i Dymitra, a potem rozejrzałam się po mieszkaniu. Ściany wciąż miały słoneczną żółtą barwę, tak jak pomalował je Adrian. W środku czekali już na nas Eddie i Neil. Ich także uściskałam.

– A gdzie Angeline?

– W Amberwood. Ma letni kurs.

– Serio? – zdziwiłam się. – Nie wiedziałam. Sądziłam, że spędza lato w internacie.

– Tak było – przytaknął Trey z błyskiem w oku. – Ale przekonałem ją, że dodatkowe zajęcia ułatwią jej zaliczenie semestru zimowego.

– Zimowego? – Usiadłam na sofie, próbując nie myśleć o tym, jak leżeliśmy na niej z Adrianem. – Myślałam, że wraca do stróżów.

– Powinnaś znać ją lepiej – wtrącił cierpko Neil. – Królowa zgodziła się sfinansować jej edukację w podziękowaniu za opiekę nad Jill. – Z trudem nadążałam za tym, co mówił. Patrząc na Neila, myślałam o Declanie, który pozostał w domu Calrence'a. Oboje z Adrianem uzgodniliśmy, że nie od razu powiemy o wszystkim Neilowi, ale sekret nam ciążył.

– Angeline omal nie odmówiła – dodał Trey. – Uważa, że na to nie zasługuje, ponieważ pozwoliła, by Jill jej się wymknęła. Przekonałem ją jednak, że Jill chciałaby mieć wykształconą strażniczkę, gdy już ją odnajdziemy, a Amberwood leży niedaleko od UCLA.

Uśmiechnęłam się, choć ukłuła mnie zazdrość. Trey wkrótce wybierał się do college'u. Mnie pozbawiono możliwości studiowania, ponieważ należałam do alchemików. Teraz, gdy nieustannie mnie ścigali, dalsza nauka nadal wydawała się mrzonką.

– Proszę, proszę, dajesz innym dobry przykład – drażniłam się z nim.

– Mówię poważnie – zachnął się Trey. – Naprawdę odnajdziemy Jill. Podobno masz nowy trop. Eddie wspominał coś o dziewczynie, z którą kiedyś się starłaś?

Nastrój bez troski ulotnił się bez śladu, gdy zaczęliśmy rozmawiać, co nas czeka.

– Nazywa się Alicja DeGraw – zaczęłam, sięgając po telefon. – Nie wiemy, gdzie przetrzymuje Jill, ale wydaje się jasne, że chce się na mnie w ten sposób odegrać. Ostatnia wskazówka, którą nam zostawiła, prowadziła do Salton Sea, i właśnie tam przyjaciółki panny Terwiliger rozpoczynają dziś poszukiwania.

Pokazałam mu zdjęcie porywaczki podarowane pannie Terwiliger przez koleżankę, która poznała Alicję, gdy ta była jeszcze uczennicą Weroniki. Fotografii wykonano parę lat wcześniej, ale Alicja niewiele się zmieniła. Miała na sobie te same hipsterskie okulary, zbyt wiele ozdób i krótką jasnoblond fryzurę.

Trey wybałuszył oczy.

– Znam tę dziewczynę. – Widząc nasze zdumienie, pospiesznie wyjaśnił. – To znaczy widziałem ją. Przyszła tu, szukała ciebie i Adriana. Opowiadałem wam o tym... Nie przedstawiła się wtedy.

Przypomniałam sobie jak przez mgłę, że rzeczywiście wspominał o jakiejś dziewczynie, która o nas pytała, w czasie gdy więzili mnie alchemicy. Byliśmy wówczas tak zaprzątnięci innymi sprawami – choćby ratowaniem życia i ucieczką – że zapomnieliśmy o tej sprawie.

– Była tutaj? – wykrzyknął Eddie.

– Tylko pytała o Sydney i Adriana – wyjaśnił Trey. – I skorzystała z łazienki.

Nagle mnie oświeciło.

– Założę się, że zostawiłam tu grzebień albo szczotkę. Stąd miała moje włosy, których użyła w zaklęciu.

Opowiedziałam ze szczegółami o odkryciach w sprawie porwania Jill. Kiedy skończyłam, Eddie był wściekły.

– To jakiś absurd. Jestem tutaj, prawdopodobnie blisko niej, a nic nie mogę zrobić – warknął. – Panna Terwiliger nalega, byśmy czekali na pomoc czarownic.

– Czekać, mogłeś się chociaż ogolić – zasugerował życzliwie Adrian.

– Rozumiem cię – zwróciłam się do Eddiego, ignorując Adriana. – I mnie nie odpowiada to, że czekamy, ale dzięki czarownicom będziemy mieć dodatkową ochronę przed Alicją. Nie wiadomo, jakie magiczne pułapki dla nas przyszykowała.

– Jesteś pewna, że chce cię zwabić do Salton Sea? – spytał Dymitr. – Że tę wskazówkę należy rozumieć dosłownie?

– Wcześniejsze ślady prowadziły do konkretnych miejsc – przytaknęłam. – Myślę, że taki był jej pierwotny plan... Ale zwlekaliśmy z przyjazdem kilka dni. Może zmieniła zamiar. To dobrze i źle. Dobrze, bo została wyprowadzona z równowagi... źle, bo nie możemy przewidzieć jej planów. Cała nadzieja w tym, że odnajdziemy dziś w Salton jakąś nową wskazówkę, dzięki której podejmiemy trop.

– Nie znam tej dziewczyny, a już jej nie lubię – zauważyła Rose.

Zerknęłam na zegarek.

– Jeśli ją znajdziemy, będziesz mogła jej to powiedzieć osobiście. Ruszajmy.

Na spotkanie z panną Terwiliger i czarownicami w parku stanowym Salton Sea pojechaliśmy dwoma samochodami. Niebo zachmurzyło się, zapowiadając deszczowy dzień – co było rzadkie latem w tych okolicach. Na widok grupki zebranej przez panną Terwiliger stanęłam jak wryta. Składała się z ponad dwudziestu czarownic.

– Mam wyrzuty sumienia – mruknęłam do panny Terwiliger, odciągając ją na bok. – Tyle osób zaangażowałyśmy.

Panna Terwiliger uniosła okulary i uśmiechnęła się do mnie.

– Mówiłam ci w Ozarks: ten problem dotyczy całej społeczności magów. Nie miej wyrzutów sumienia. To Alicja jest winna.

Westchnęłam.

– Mam tylko nadzieję, że się nie spóźniłyśmy.

– Czy lepiej by było, gdybyś przyjechała wcześniej, osłabiona praktykowaniem czarów, tak jak ona tego chciała? Nie, Sydney. Podałabyś jej siebie na tacy. Nawet jeśli Alicji dziś nie odnajdziemy, przynajmniej miałaś okazję odpocząć i przygotować się do działania.

Skinęłam tylko głową, bo nie zamierzałam opowiadać, jak mało wypoczęłam w ciągu ostatnich dni. Nie byłam osłabiona czarami, ale wyczerpana psychicznie. Miałam nadzieję, że to mi nie przeszkodzi w polowaniu na Alicję.

Uczestniczki sabatu, które poznałam podczas mojej inicjacji, stały się co do jednej. Porzuciły swoje zajęcia, żeby nam pomóc. Były tam Maude, Trina, Alison i inne, których imiona zapomniałam przez ostatnie miesiące. Zdziwiła mnie także obecność członkiń innych sabatów. Panna Terwiliger miała rację. Problem dotyczył całej magicznej społeczności.

– Przecież nie zostawiłybyśmy tak skomplikowanej sprawy w rękach nowicjuszek – warknęła Inez Garcia, podchodząc do mnie, gdy skończyłam rozmowę z panną Terwiliger.

Obecność Inez zdumiała mnie najbardziej. Była szacowną starą czarownicą słynącą z posiadania niezwyklej mocy i niechętną organizowaniu sabatów. To do niej zwróciła się panna Terwiliger, by wyjaśnić zagadkę drewnianej szkatułki. Inez była także znana ze zgryźliwości, choć mnie traktowała raczej ulgowo (co równie dobrze mogło świadczyć o sympatii do mnie). Parsknęła śmiechem na widok Rose i Dymitra, którzy rozmawiali właśnie z Treyem.

– Nic dziwnego, że sprowadziłaś dąmpiry. A co się stało z młodym morojem, z którym tu byłaś ostatnio? Tym o wysokich kościach policzkowych?

– Tam stoi – odparłam, lekko się rumieniąc. – Wysłałam za niego za męża.

Inez uniosła wyskubane brwi.

– Och, gratulacje.

Maude, jedna z najstarszych czarownic, poprosiła o uwagę. Zebraliśmy się w wielkim kręgu, a ona rzuciła zaklęcie i na ziemi przed nami utworzyła się miniaturowa mapa Salton Sea. Plan był prosty – głównie dlatego, że nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Poczynając od adeptek magii wezwanych przez panną Terwiliger, a na „mięśniakach” sprowadzonych przeze mnie, czyli Treyu i dąmpirach, kończąc, stanowiliśmy prawie trzydziestoosobową grupę. Zamierzaliśmy się podzielić na mniejsze oddziały, by przeszukać jak największy obszar wybrzeża. Znajdowały się tam również miejsca niedostępne, ale tego dnia postanowiliśmy prowadzić poszukiwania wyłącznie w obszarach otwartych dla zwiedzających. Zakładaliśmy, że Alicja również miałaby kłopot, by przedostać się w głąb. W każdej grupie miała znaleźć się osoba, która potrafiła wykrywać magię oraz rzucać zaklęcia odnajdujące zamaskowane czary. Dąmpiry przydzielono do różnych grup na wypadek, gdyby trzeba było posłużyć się siłą fizyczną. Mieliśmy z Adrianem działać z panną Terwiliger, która sobie tego życzyła, a Eddie uparł się nam towarzyszyć. Czuł się odpowiedzialny również za nas, choć przybył tu głównie z myślą o Jill.

Wszystko wskazywało na to, że panna Terwiliger miała rację, i skoro nie chwyciłam przynęty od razu, Alicja zrezygnowała ze swego pierwotnego planu. Jeśli zastawiła na mnie magiczną pułapkę w tej okolicy, doskonale udało jej się to ukryć. Nasze ekipy badawcze przeszukały cały obszar, jaki sobie wyznaczyliśmy, nawet dwukrotnie, i nic nie znalazły.

Niezrażeni, urządziliśmy krótką przerwę na lunch, po czym zabraliśmy się do przeszukiwania trudniej dostępnych terenów wokół jeziora. Już samo dotarcie do nich wymagało użycia magii – głównie czaru niewidzialności – musieliśmy więc skoordynować nasze działania. Nadszedł wieczór, a poszukiwania okazały się równie bezowocne jak przedpołudniowy spacer. Żadnych oznak śladu Alicji ani magicznych pułapek.

Maude i panna Terwiliger podziękowały czarownicom za pomoc i pozwoliły im wrócić na noc do domów.

– Mamy jeszcze z Maude parę spraw do załatwienia. Musimy zdobyć kilka składników do zaklęć, tak na wszelki wypadek – poinformowała mnie panna Terwiliger. – Chciałabym zabezpieczyć miejsce, w którym nocujecie. Chyba że wolicie z Adrianem zatrzymać się u mnie?

Uśmiechnęłam się, myśląc o Declanie.

– Mamy nieco skomplikowaną sytuację. Powinam zostać u Clarence’a.

– Jak sobie życzysz – skwitowała. – Na szczęście masz obok siebie dampiry. Ale zapewnię ci dodatkową ochronę na wypadek, gdyby Alicja szykowała jakąś niespodziankę. Właściwie... Mam dla ciebie pewną propozycję. Wpadnijcie po drodze do Malachiego. Pamiętasz, gdzie mieszka?

– Malachi Wolfe? – spytałam, jakby mogła mówić o jakimś innym Malachim.

Potwierdziła ruchem głowy.

– Już z nim rozmawiałam. Pożycz ci broń, na wszelki wypadek. Wiem, że potrafisz chronić się magią, ale dodatkowe środki bezpieczeństwa zawsze się przydadzą.

Nie podobał mi się pomysł noszenia broni, lecz panna Terwiliger miała rację. Z Alicją nie było żartów. Zerknęłam na przyjaciół.

– Nie musimy jechać tam wszyscy, szczególnie że jedno z nas powinno zajrzeć do twojej mamy, Adrian.

Widziałam po jego minie, że się ze mną zgadza. Już najwyższy czas, by zajrzeć do Declana.

– Marzę o spotkaniu z Wolfem, ale lepiej, żebyś to ty go odwiedziła, na wypadek gdyby chciał przeprowadzić jakiś test strzelniczy – mruknął Adrian. – Pojadę od razu do mamy. A wy...

– Obejrzał się na dampiry.

– Pojadę z Sydney – zaproponował Eddie. – Chciałbym wreszcie poznać tego gościa.

– Eddie był przygnębiony bezowocnymi poszukiwaniami tego dnia. Zdziwiłam się, że tak chętnie zaoferował mi towarzystwo.

Malachi Wolfe stał się już legendą wśród moich przyjaciół. Większość nie znała go osobiście, słyszała tylko nasze opowieści o tym, jak zapisaliśmy się z Adrianem do jego szkoły samoobrony. Myny Treya i Neila mówiły, że oni również chcieliby pojechać z Eddiem i ze mną, ale Trey miał odebrać Angeline, a przyjechał do Salton Sea wypożyczonym wozem Neila. Obaj zdecydowali, że muszą pozatwierać swoje sprawy. Adrian miał wracać w towarzystwie Rose i Dymitra. Zostaliśmy więc z Eddiem sami i pożegnawszy się z przyjaciółmi, ruszyliśmy w kierunku domostwa Malachiego znajdującego się na przedmieściach Palm Springs.

– Te jego pieski chihuahua są naprawdę szkolone do ataku? – spytał Eddie.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Tak twierdzi Wolfe. Ale nigdy nie widzieliśmy ich w akcji.

– Chciałbym też zobaczyć to jego nunczako.

– Tylko go nie dotykaj – ostrzegłam. – W ogóle żadnej broni. Najpierw pytaj o pozwolenie. Jeśli cię zaakceptuje, tobie też może coś pożyczycy.

Eddie nieco przygasł.

– Nie podoba mi się to, że musisz wypożyczać broń. W ogóle nie podoba mi się ta sytuacja. – Westchnął ciężko. – Panna Terwiliger ostrzegła, że Alicja może zmienić plany, ale miałem nadzieję, że ją dziś wytropimy.

– Sama też na to czekałam – przyznałam z żalem. – Jednak jeśli nagle zmieniła plany, może zachowywać się nieostrożnie. A wtedy zyskamy nad nią przewagę i być może uprzedzimy jej kolejny ruch.

– Każdy dzień zwłoki oznacza kolejny dzień Bóg-wie-czego dla Jill.

Rozpacz w jego głosie ścisnęła mnie za serce.

– Wiem – powtórzyłam ze smutkiem. – Wiem.

Domostwo Malachiego składało się z kilku budynków przypominających hale przemysłowe, stojących na wielkim pozbawionym trawy placu z dala od autostrady. Wjechaliśmy na długi żwirowy podjazd. Eddie odzyskiwał dobry humor. Słońce dotykało już horyzontu, cienie wydłużały się, nadając otoczeniu złowieszczy charakter. Uśmiechnęłam się do siebie, wspominając naszą pierwszą wizytę w tym miejscu. Oboje z Adrianem nie byliśmy pewni, czy to miejsce szkoleń, czy może kaźni.

Zapukałam do drzwi głównego budynku i nie zdziwiłam się, słysząc pospieszny tupot małych łapek chihuahua, któremu towarzyszył przeraźliwy jazgot.

– Szlag – sapnął Eddie. – Ma chyba całą sforę.

Widziałam, jak mój przyjaciel bez lęku rzucał się na stado strzyg, ale szczekanie psów kazało mu się cofnąć od drzwi.

Uśmiechnęłam się i postąpiłam krok naprzód, czekając, aż Malachi Wolfe mi otworzy. Lekko niezrównoważony i bardzo nieortodoksyjny Wolfe był jednak dobrym przyjacielem Adriana i moim – a także kimś więcej niż przyjacielem dla panny Terwiliger. Co nadal było dla mnie zaskakujące, ale po tym wszystkim, co przeszliśmy z Adrianem, nabrałam przekonania, że każdy potrzebuje kogoś kochać – nawet roztargnione czarownice i instruktorzy samoobrony z opaską na oku.

Nie otwierał, więc zapukałam raz jeszcze. Psy ujadły teraz jak szalone, ale Wolfe wciąż się nie pokazywał.

– Dziwne – mruknęłam.

– Uprzedziłaś go esemesem? – spytał Eddie.

– Zrobiła to panna Terwiliger – wyjaśniłam. Omiotłam spojrzeniem pozostałe zabudowania, wypatrując jakiegoś ruchu. – Twierdził, że znalazł jakąś broń odpowiednią dla mnie. Może teraz po nią poszedł. – Zeszłam po stopniach i skierowałam się do miejsca, w którym Wolfe urządził arsenał. – Oby nie przyszło mu do głowy znowu strzelać z dmuchawki.

Eddie rozpromienił się, idąc za mną przez piaszczyste podwórze.

– Dmuchawka? Poważnie...?

Nie usłyszałam jego dalszych słów, bo obok nas nagle eksplodowała skrzynka na listy. W ułamku sekundy Eddie pchnął mnie na ziemię i pociągnął za sobą w bok, jak najdalej od płomieni. Drobiniki żwiru i grudki ziemi pokaleczyły mi skórę, ale nie ucierpiałam w wybuchu. Eddie starał się mnie osłaniać własnym ciałem. Oboje podnieśliśmy ostrożnie głowy i rozglądaliśmy się wokół, oceniając rozmiar zniszczeń.

– Co, do diabła?! – spytał Eddie.

W następnej chwili tuż obok nas nastąpił kolejny wybuch. Tym razem nie było płomieni, ale kamienie poderwane z ziemi zadziały niczym szrapnele. Wrzasnęłam, gdy jeden z nich wbił mi się w ramię. Pokazałam palcem najbliższy budynek.

– Tam!

Zanim zdążył mnie powstrzymać, puściłam się biegiem w tamtą stronę, rzucając po drodze zakłęcie niewidzialnej siły, którą rozbiłam okno. Odezwał się ogłuszający alarm. Wiedziałam, że Wolfe zainstalował w budynku system bezpieczeństwa. Pytanie, czy był on monitorowany przez policję.

Eddie wskoczył za mną przez okno do środka i dopiero teraz odkryłam, że znaleźliśmy się w sali treningowej, w której odbywały się ćwiczenia samoobrony. Pomieszczenie było bardzo przestronne, na ścianach zainstalowano lustra i wszędzie stały skrzynie z bronią. Poszukałam

wzrokiem czegoś, za czym mogliśmy się schować. Eddie od razu podbiegł do jednej ze skrzyń. Po krótkim wahaniu między bola a kastetem zdecydował się na bola. Wymachując nią z wprawą, cofał się, nie spuszczać wzroku z rozbitego okna. Wypowiedziałam zaklęcie przywołujące kulę ognia.

– To sprawka Alicji? – krzyknął Eddie, żebym usłyszała go mimo ogłuszającego alarmu.

– Myślę, że tak! – odkrzyknęłam.

Wyczuwałam, iż eksplozje były dziełem ludzkiej magii i jeśli nie ściagała mnie jakaś inna czarownica, zakładałam, że musiała je spowodować Alicja. Wolną ręką napisałam wiadomość do osoby, z którą ostatnio kontaktowałam się telefonicznie: do panny Terwiliger. Zdołałam wystukać jedno słowo w nadziei, że przekona ją ono o powadze sytuacji: ratunku.

Powinłam była przewidzieć, że Alicja nie skorzysta z wejścia, którym dostaliśmy się do środka. Główne drzwi eksplodowały gradem drewnianych drzazg i iskier. Zaraz potem w przejściu pojawiła się czyjaś sylwetka. Nawet nie próbowałam jej się przyjrzeć, od razu cisnęłam w nią kulą ognia. Postać wyciągnęła przed siebie rękę i kula rozbiła się o niewidzialną barierę. Po chwili ruszyła w naszą stronę i nareszcie stanęłam twarzą w twarz z Alicją. Uśmiechnęła się chłodno.

– Miło cię znowu widzieć, Sydney. Nie dziwisz się, że żyję?

Przywołałam kolejną kulę.

– Nigdy nie chciałam cię zabić. – Mówiąc te słowa, zdawałam sobie sprawę, jak fałszywie zabrzmiały po wszystkim, co jej zrobiłam.

Zaśmiała się chrapliwie.

– Czyżby? A co innego chciałaś osiągnąć, zostawiając mnie w płonącym domu?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Eddie rzucił się na nią, wymachując bolą w powietrzu. Jednym ruchem nadgarstka rozbiła ścianę luster tuż obok niego. Przeczynałam, że tak robi, ale niedostatecznie szybko odrzuciłam kulę, żeby osłonić Eddiego tarczą. Udało mi się uchronić go przed poważnym zranieniem, ale kilka odłamków szkła wbiło mu się w ciało, szczególnie w obnażone ramię. Widziałam, jak skrzywił się z bólu, lecz to go nie powstrzymało. Alicja rozbiła kolejne lustro i tym razem roztoczyłam wokół Eddiego niewidzialną tarczę. Dampir zamachnął się bola – choć doskonale wymierzył i był naprawdę szybki, ona to przewidziała i odrzuciła broń falą niewidzialnej siły.

– Gdzie jest Jill?! – krzyknęłam do Alicji.

Okrutny uśmiech wykrzywił jej twarz.

– Bardzo chciałabyś wiedzieć, prawda?

Eddie podniósł odłamek szkła i puścił się biegiem prosto na nią, trzymając go jak nóż.

– Przysięgam, że jeśli ją skrzywdziłaś...

– Daj spokój. Nie mam czasu na takie drobiazgi. – Alicja wyjęła z kieszeni szczyptę proszku i sypnęła nim w Eddiego, wypowiadając inkantację, której nie znałam.

Nie zdołałam zareagować w porę i Eddie został unieruchomiony. Zastygł w miejscu w pół kroku, zaciskając palce na odłamku szkła.

– Co mu zrobiłaś?! – wrzasnęłam.

– Wyluzuj, Sydney – odparła. – Żyje. Tak jak twoja mała morojska przyjaciółka.

Tymczasem.

– Zabierz mnie do niej! – zażądałam.

Alicja się roześmiała.

– Przykro mi, Sydney. Już nigdy jej nie zobaczysz. Będzie musiała trochę pocierpieć, słuchając psalmów... A ty? Pocierpisz teraz...

Podłoga pod moimi stopami się wybrzuszyła. Straciłam równowagę i upadłam na kolana,

ale przedtem udało mi się cisnąć ognistą kulę prosto w Alicję. Trafiłam, lecz ona szybko uniosła rękę, by ochronić się magiczną tarczą. Wypowiedziała grecką inkantację, której również nigdy nie słyszałam. Płomienie zatrzymały się na kolejnej niewidzialnej ścianie, ale zamiast zgasnąć, odbiły się od niej i skierowały prosto na mnie. Krzyknęłam i zdołałam się odsunąć w ostatniej chwili. Nie poparzyłam się, jednak ogień natychmiast objął stojącą w pobliżu szafkę. Płomienie szybko się rozprzestrzeniały. Ciekawe, jakim lakierem Wolfe pomalował to drewno. Tymczasem ogłuszający alarm nareszcie ucichł.

– Zakłęcie lustrzane – wyjaśniła pogodnie Alicja. – Wielce użyteczne. Uważaj, jakie czary rzucasz.

Kpiła ze mnie w żywe oczy, ale skorzystałam z tej rady i rozważałam kolejne posunięcie. Zwlekałam zbyt długo, bo Alicja zdążyła rzucić nowy czar, ten sam, którym unieruchomiła Eddiego. Był zbyt skomplikowany, nie umiałabym go powtórzyć, lecz zdążyłam zrobić unik i go zablokować. Jednocześnie spróbowałam rzucić zakłęcie zamrażające, wysyłając w stronę Alicji mroźny podmuch. Nie była to tak śmiertelna broń jak ognista kula, ale zdławiła rozprzestrzeniające się płomienie. Alicja zrewanżowała mi się zaklęciem lustra, ale znów zdołałam się uchylić w porę i lodowaty podmuch objął część sali, w której szalał ogień. Nie ugasił go jednak, sprawił tylko, że gryzący dym zaczął gęstnieć.

– Musisz być zmęczona – zadrwiła.

Miała rację. Czulałam w sobie jeszcze dużą moc, ale ta walka była wyczerpująca. Przypomniałam sobie, co mówiła panna Terwiliger, że zależy jej na łatwej wygranej. Próbowała mnie osłabić, by potem rzucić jedno zakłęcie, którym ostatecznie mnie pokona. Wiedziała, że dzięki życiu i mocy, które wykradała innym, sama nie wyczerpie się tak szybko jak ja.

– Nie musimy ze sobą walczyć, Alicjo – powiedziałam pojednawczo. – Proszę, dajmy sobie z tym spokój i wyjdźmy stąd, zanim dom spłonie. Powiedz mi, gdzie jest Jill, uwolnij Eddiego i się pożegnamy.

– Mam odpuścić? Po tym, jak próbowałaś mnie zabić?

– Ja tylko...

Nie zważając na rozprzestrzeniające się płomienie, Alicja cisnęła we mnie kolejną kulą ognia. Kusiło mnie, żeby odpowiedzieć jej zaklęciem lustrzanym, ale stała zbyt blisko Eddiego.

– Jesteś zbyt niebezpieczna, Sydney – powiedziała, gdy zneutralizowałam kulę zaklęciem wody. – Nie mogę pozwolić ci odejść. Spłoniesz w tym budynku, tak jak ja miałam spłonąć w tamtym.

I znów podłoga wyrzuciła się pod moimi stopami, i znów padłam na kolana. Alicja rozpoczęła skomplikowaną inkantację. Zorientowałam się, że to zakłęcie, którym unieruchomiła Eddiego. To był jej plan – zrobić ze mnie żywy posąg i zostawić w płonącym budynku. Odpłacić pięknym za nadobne. Jakimś cudem udało mi się wstać. Musiałam usunąć się z trajektorii zaklęcia. Kiedy skończyła je wypowiadać, ujrzałam niespodziewany widok: w drzwiach płonącej sali stał Malachi Wolfe. Opaskę założył na prawe oko (przekładał ją codziennie). Wokół stóp i nadgarstków miał resztki liny.

Nie umiałam powtórzyć zaklęcia unieruchamiającego, ale na tyle wyraźnie usłyszałam słowa zaklęcia lustrzanego, by je powtórzyć. Zrobiłam to i poczułam, jak wzbiera we mnie magia. Alicja wydawała się zaskoczona, jednak już po chwili usiłowała uskoczyć z drogi zwracającego zaklęcia. Nie dostrzegła, że razem z Wolfem do środka wpadła sfora chihuahua. Mężczyzna powiedział coś psom, wskazując na czarownicę, a one natychmiast dopadły jej nóg. Alicja zachwiała się, lecz nie zdołała uskoczyć. W następnej sekundzie znalazła się w mocy zaklęcia i znieruchomiała tak jak Eddie, choć w o wiele mniej wdzięcznej pozycji. On wyglądał niczym szlachetny wojownik przymierzający się do zadania ciosu. Ona zastygła, padając na

ziemię, wpatrzona z niedowierzaniem w jazgotliwą bandę chihuahua wijącą się wokół jej stóp.

– Byłbym wcześniej! – ryknął Wolfe, odwołując zwierzęta jednym gestem. – Ale ta suka mnie związała. Musiałem poczekać, aż psy przegryzą sznury.

– Szybko! – zawołałam, biegnąc do Eddiego. – Pomóż mi go stąd wynieść. – Kaszląc i krztusząc się gęstniejącym dymem, zerknęłam na Alicję. Jej ładna twarz zastygła w grymasie przerażenia. – Wyniesiemy oboje.

Udało nam się wytaszczyć oba posągi, zanim budynek ostatecznie się zawalił. Zaciągnęliśmy je do domu Wolfe'a, gdzie wkrótce zjawili się Adrian, Trey, panna Terwiliger i kilka czarownic znad jeziora. Adrian mocno mnie przytulił.

– Nic ci nie jest? – spytał. – Kiedy Jackie do mnie zadzwoniła, nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Oparłam głowę na piersi męża, czerpiąc otuchę z jego bliskości.

– W porządku. Miałam szczęście. Naprawdę. Ale Eddie...

Jedna z czarownic, której nie znałam, wyczarowała zeschnięte kwiaty i rozsypała je nad głowę Eddiego, wyśpiewując łacińskie zaklęcie. Chwilę później dampir ożył, wciąż gotów do skoku. Wyprostował się i rozejrzał ze zdziwieniem, bo nieoczekiwanie znalazł się w innym miejscu. Oboje z Adrianem wprawiliśmy go w jeszcze większe zdumienie, rzucając mu się na szyję.

– Trzeba będzie ożywić również Alicję – powiedziałam z niepokojem. – Musimy odnaleźć Jill.

Panna Terwiliger zmarszczyła brwi.

– Wielka szkoda. Mamy doskonałą okazję rozprawić się z nią raz na zawsze. Nie zasugerowała, gdzie ją przetrzymuje?

Wypuściłam z objęć Eddiego i pokręciłam głową.

– Nie. Przyznała, że Jill jakoś się trzyma, ale nie zdradziła nic więcej. – Usiłowałam przypomnieć sobie każde jej słowo. Wiadomość, że księżniczka żyje, była pocieszająca, ale to wiedziałam już wcześniej dzięki czarom. – Dodała też, że Jill słucha psalmów.

Panna Terwiliger nie zrozumiała z tego więcej niż ja. Westchnęła głęboko, wymieniając spojrzenia z innymi czarownicami. One również nie były skore do uwolnienia Alicji.

– Cóż, kiedy straż pożarna skończy pracę, utworzymy bezpieczny krąg i uwolnimy ją, żeby uzyskać odpowiedzi.

Trey, który trzymał się na uboczu, nagle chrząknął.

– Może nie będzie trzeba. Chyba wiem, gdzie ona jest, a w każdym razie kto ją więzi. – Wszystkie pary oczu zwróciły się na niego zdumione. – Sądzę, że przetrzymują ją wojownicy światła.

ROZDZIAŁ 13

Adrian

CO JAKAŚ SALMA MA WSPÓLNEGO z wojownikami? – spytałem.

Sydney spojrzała na mnie krzywo.

– Była mowa o psalmach. I nie wiem, co mają z nimi wspólnego. – Zwróciła wyczekujący wzrok na Treya. – To coś w rodzaju poezji religijnej, prawda? Z Biblii?

Trey potwierdził skinieniem głowy.

– Tak. Chociaż te, które wojownicy tak lubią cytować, nie pochodzą z Biblii. Oni sami je napisali i deklamują podczas oficjalnych uroczystości, zgromadzeń... i takich tam. Jeśli Alicja powiedziała, że Jill ich słucha, zapewne wojownicy ją gdzieś ukryli. Możecie mi wierzyć – nic nie uszczęśliwiłoby ich bardziej niż morojski więzień.

Eddie spojrzał na Jackie z niedowierzaniem i pokazał palcem Alicję.

– Uwolnij ją tak jak mnie! Potrzebujemy odpowiedzi i to natychmiast! Za chwilę może być za późno dla Jill!

Nigdy nie widziałem, by był tak wzburzony, i przez chwilę rozważałem, czy nie uspokoić go magią wpływu. Jackie pozostała jednak niewzruszona.

– Z całą pewnością nie uwolnię jej tutaj. Jeśli to zrobimy, to w asyście kilkunastu czarownic, które będą ją trzymać. Poza tym nie ma gwarancji, że uzyskamy od niej odpowiedź.

– Fakt – przyznała powoli Sydney. – Nawet jeśli uwolnimy Alicję, nie wiadomo, czy cokolwiek nam wyzna.

Sydney z pewnością nie ucieszyła ta myśl, ale ciotka Tatiana w mojej głowie nie posiadała się z radości.

Tak! Tak! Zmusimy ją magią wpływu, żeby powiedziała nam rzeczy, o jakich jej się nie śniło!

– Są zaklęcia chroniące przed działaniem wpływu magii. Alicja jest wystarczająco sprytna, by się zabezpieczyć. – Jackie zerknęła na jedną ze swoich przyjaciółek. – Jak myślisz? Ile potrzeba czasu, żeby osłabła?

Czarownica przyjrzała się Alicji krytycznym okiem.

– Serio, zostawiłabym ją na tydzień. Ale skoro wam się spieszy... – Zerknęła na Eddiego. – Powiem: czterdzieści osiem godzin.

– Czterdzieści osiem godzin! – wykrzyknął Eddie. – Jill może nie mieć tyle czasu, jeśli to wojownicy ją przetrzymują! Już teraz mogli rozpocząć rytualną egzekucję!

Jackie pozostała niewzruszona.

– Stan zamrożenia pozbawia energii. Po dwóch dniach Alicja wypali się fizycznie i magicznie. Dużo łatwiej będzie ją wówczas przesłuchiwać. Ale i tak nie zdecyduję się jej uwolnić, jeśli nie znajdziemy absolutnie bezpiecznego miejsca i dodatkowego wsparcia. Jest nieprzewidywalna.

– Dwa dni to za długo – upierał się Eddie. Podzielałem jego niepokój. Sydney przysłuchiwała się im w zamyśleniu.

– Po dwóch dniach Alicja będzie mniej groźna i łatwiej z niej wyciągniemy informacje – powiedziała z namysłem. – Tymczasem możemy uzyskać odpowiedzi od samych wojowników.

– Jak? – spyaliśmy jednocześnie z Treyem.

– Przez Marcusa – odparła Sydney. – Ma wśród nich swoje źródło, dziewczynę, która oficjalnie jest wojowniczką. Może uda jej się czegoś dowiedzieć, zanim przyciśniemy Alicję. Pogadam z Marcusem. Jeśli nie odezwą się do nas w ciągu doby, czarownice uwolnią Alicję spod działania zaklęcia.

Nikomemu nie podobał się ten kompromis, ale wszyscy się zgodzili. Później się rozstaliśmy. Eddie został u Treya, a my z Sydney wróciliśmy do domu Clarence'a. Po drodze Sydney zadzwoniła do Marcusa. Opowiedziała mu o wszystkim, a on obiecał się odezwać, kiedy tylko czegoś się dowie. Kiedy zjawiliśmy się u Clarence'a, Rose i Dymitr od razu chcieli usłyszeć, co się wydarzyło. Zostawiłem z nimi Sydney, a sam poszedłem do mamy i Declana. Pojawił się w moim życiu ledwie przed kilkoma dniami, a już za nim tęskniłem, choć głównie spał. Po męczącym dniu – i ataku paniki na wieść o tym, że Sydney w pojedynkę skonfrontowała się z Alicją – widok Declana działał na mnie kojąco.

Marcus oddzwonił do Sydney kilka godzin później. Podobno miał dla nas jakieś wiadomości i zamierzał przyjechać do Palm Springs, żeby je osobiście przekazać. Marcus, podobnie jak Sydney, był poszukiwanym zbiegiem, zaaranżował więc nasze spotkanie nazajutrz w bezpiecznym miejscu, poza domem Clarence'a i mieszkaniem Treya.

Była to mongolska restauracja za miastem. Rose i Dymitr po długich namowach zgodzili się wreszcie poczekać u Clarence'a, nie chcieliśmy się tam stawiać całą gromadą. Umówiliśmy się jednak z Treyem i Eddiem, ponieważ Trey dobrze znał wojowników, a z kolei Eddiego żadna siła na ziemi nie zdołałaby powstrzymać przed udziałem w rozmowie na temat Jill. Kiedy weszliśmy do restauracji, Sydney odetchnęła z ulgą.

– Świetnie. Przywiózł ze sobą Sabrinę.

Spotkałem ją kiedyś, ale nie znaliśmy się dobrze. Była mniej więcej w moim wieku i od lat pracowała jako szpieg Marcusa w drużynie wojowników światła. Kiedy po raz pierwszy zetknęła się z Sydney, zagroziła jej bronią, co nie budziło we mnie przyjaznych uczuć wobec Sabriny, choć wiedziałem, że starała się jedynie chronić Marcusa. Z czasem nabraliśmy do niej szacunku, wykonywała naprawdę ważne zadanie. Nie zgadzała się z filozofią wojowników, a jednak pozostawała między nimi i wydobywała cenne informacje. Żywiłem nadzieję, że dziś także miała nam coś do powiedzenia.

– Przynosimy dobre i złe wieści – oznajmił Marcus, choć nie takiego początku się spodziewałem. – Dobre są takie, że wojownicy na pewno mają Jill. Złe, że nie wiemy dokładnie, gdzie ją przetrzymują.

Eddie skrzyżował ręce na piersi i rzekł:

– Pora uwolnić Alicję i wydusić z niej odpowiedź.

– Niekoniecznie – wtrąciła Sabrina. Tego dnia upięła jasne włosy wysoko w koński ogon i wyglądała jak zwyczajna dziewczyna, a nie jak członek fanatycznej grupy tępiącej wampiry. – Zgaduję, że Alicja również tego nie wie. Najprawdopodobniej porwała Jill i oddała wojownikom, nakazując im ją ukryć. Powęszyłam trochę i dowiedziałam się, że mają „wysoko postawioną morojkę”, lecz nie ujawniają miejsca jej pobytu. Zdarza im się współpracować z osobami pokroju Alicji, ale nie darzą ich zaufaniem.

Te wiadomości nie przyniosły mi ulgi, a Eddie podzielał moją frustrację.

– To co zrobimy, skoro twoi ludzie nie wiedzą, gdzie jej szukać? – spytał.

– Cóż – odparła Sabrina. – Ktoś musi to wiedzieć. Ktoś wyżej postawiony niż ja.

Marcus potwierdził ruchem głowy, przełykając kęs potrawki, która na moje oko zawierała wyłącznie mięso, bez warzyw.

Prymityw – prychnęła ciotka Tatiana.

Zejdź z niego – upomniałem ją. *Bycie rebeliantem i zbiegiem na pewno wymaga diety*

wysokobiałkowej.

– Mamy kilka pomysłów, jak do tego kogoś dotrzeć – powiedział Marcus. – Po pierwsze, należałoby poprosić o to alchemików. Wiemy, że mają powiązania z wojownikami.

– Współpracują ze sobą – potwierdził Eddie. – W każdym razie tak było.

– W niektórych kwestiach – odezwała się Sydney z namysłem. – Ale nie w tej. Nie chcą ryzykować, by w świecie morojów zapanował chaos. Im także zależy na odnalezieniu Jill. Nie zgodziliby się na jej uwięzienie.

– Racja – przyznał Marcus i spojrzał na mnie. – Poza tym mogliby interweniować, bo nie lubią, gdy wojownicy wkraczają na ich teren. Cała ich siła tkwi w sprawowaniu kontroli. Nie spodobałaby im się współpraca wojowników z czarownicą przeciwko morojom. Ktoś musi ich powiadomić, że wojownicy mają Jill.

– To nie musicie być wy – wtrącił Eddie, jakby odpowiadając na niewypowiedzianą prośbę moją i Marcusa. – Sam to zrobię.

– Mogą ci nie uwierzyć. – Uśmiechnąłem się, widząc jego determinację. – Mogliby nie uwierzyć nawet mnie.

– Istnieje ryzyko, że wojownicy zaprzeczą, gdy alchemicy zapytają ich wprost o Jill. Oni także mają obsesję na punkcie kontroli. Trudno się z nimi dogadać – zabrał w końcu głos Trey.

– Masz rację – potwierdziła Sabrina. – Dlatego pozostaje nam jeszcze jedno rozwiązanie.

W jej głosie zabrzmiało coś niepokojącego.

– Czyli? – zapytałem ostrożnie.

Wymieniła spojrzenia z Marcusem i potem zwróciła się do Sydney.

– W przyszłym tygodniu wojownicy będą przyjmowali w szeregi nowych członków. Mogłabyś tam pojechać i spróbować przeniknąć do wyższych rangą, dowiedzieć się czegoś o Jill.

– Mam przystąpić do wojowników? – zdumiała się Sydney.

– Nie – zaprotestowaliśmy jednocześnie z Eddiem.

– Wzięłabyś tylko udział w rekrutacji – wyjaśniła uspokajająco Sabrina. – Żeby rozeznąć się w sytuacji.

– Pomóc sprawie – dorzucił Marcus, ale wcale nie zmniejszyło to naszych obaw.

Trey kręcił głową z niepokojem.

– Wiem, o czym mówicie, i uważam, że to szaleństwo. – Zwrócił się do nas. – Umawiają grupę potencjalnych rekrutów, sprowadzają ich potajemnie do siedziby wojowników i każą współzawodniczyć w przeróżnych turniejach, żeby dowiedli swojej wartości. Pamiętasz, jak musiałem walczyć z moim kuzynem?

Wojownicy uwięzili kiedyś Sonię i wykorzystali ją w ceremonii będącej „próbą” dla młodych adeptów. Trey nie dość, że musiał się zmierzyć z kuzynem, to jeszcze miał zabić Sonię. Nie zamierzał tego zrobić, zresztą cały plan udaremnił oddział strażników, którzy wtargnęli do środka, żeby odbić Sonię. Sydney także narobiła wówczas sporo zamieszania i wojownicy za nią nie przepadali.

– Wiedzą, jak Sydney wygląda – przypomniał Eddie. – Nie może tam pojechać. Poślijcie mnie. Z przyjemnością porzucę ich tam po kątach. Mam w tym sporą praktykę.

– Fakt – przytaknął Marcus. – Za to Sydney ma większą praktykę we włamaniach i wykradaniu danych. Poza tym twoją twarz także już znają.

Sydney zmarszczyła brwi.

– A nie moglibyśmy pojechać tam we dwoje? Przydałoby mi się wsparcie, a potrafię zmienić nasz wygląd za pomocą paru sztuczek.

Zamierzasz pozwolić im na to szaleństwo? – spytała ciotka Tatiana.

Spojrzałem na Sydney ze zdziwieniem.

– Naprawdę rozważasz taką opcję? Wiesz, że lubię szalone plany, ale ten nawet mnie przerasta.

Sabrina się zamyśliła.

– Każdy z wojowników zwykle sponsoruje tylko jedną osobę, ale widywałam też przyjeżdżające pary. Jeśli potraficie zmienić swój wygląd, mogę wprowadzić was oboje.

– W takim razie jadę z Sydney – powiedziałam.

– Wykluczone – zaperzył się Eddie. – Mam większe szanse w walce z nimi. Bez urazy, Adrian.

Chciałem powiedzieć, że potrafię obronić żonę mocą ducha, ale wiedziałem, iż to się jej nie spodoba.

– Powinieneś zostać, Adrian – Sydney zgodziła się z Eddiem. – Możesz wykorzystać magię podczas przesłuchania Alicji, kiedy czarownice ją „odmrożą”. Tylko ty to potrafisz.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale nagle zabrakło mi argumentów. Sydney trafiła w sedno i o tym wiedziała. Chciałem ją chronić, lecz nie poradziłbym sobie w walce z wojownikami. Miała też rację co do przesłuchania Alicji.

Mogliśmy dać czarownicom dwa dni, o które prosiły, podczas gdy Sydney pojawiłaby się zamaskowana wśród wojowników. W tym czasie zaklęcia, którymi Alicja z pewnością się zabezpieczyła, stracą swoją siłę.

– Zachęcasz mnie do korzystania z mocy ducha? – spytałem zdumiony.

– Nie – przyznała. – Mam nadzieję, że uda się uzyskać od niej odpowiedzi innymi metodami. Jednak jeśli zawiodą, jestem pewna, że i tak użyjesz czaru wpływu.

– Jesteś nad wyraz roztrofną kobietą – stwierdziłem.

Sydney w odpowiedzi się uśmiechnęła, ale widziałem, że nie popiera tego pomysłu. Westchnęła i zwróciła się do Sabriny.

– Będziesz miała duże kłopoty? W końcu wprowadzisz dwoje szpiegów. Bo przecież nie zostaniemy z wojownikami.

Trafiła w punkt. Oboje z Eddiem mieli na ochotnika zbadać szczegóły ich barbarzyńskiego rytuału inicjacji. To było niebezpieczne, ale Sabrina również sporo ryzykowała. Igrała z ludźmi o wybuchowym usposobieniu.

– To zależy, czy was przejrzą. – Sabrina uśmiechnęła się lekko. – Po prostu nie dajcie się złapać, dobrze?

Trey pochmurniał w miarę ustalania szczegółów naszego planu.

– Zrobicie to, tylko jeśli nie przekonacie alchemików, że wojownicy przetrzymują Jill. Bo jeśli to wam się uda, sami załatwią sprawę i nie będziecie musieli brnąć w to szaleństwo.

– Oby tak było – zgodził się Marcus. – Mimo wszystko Sydney i Eddie powinni być przygotowani na wypadek, gdyby jednak przyszło im jechać z Sabriną.

Sabrina wprowadziła nas pokrótce w plan przesznurowania Sydney i Eddiego do kwatery wojowników. Z każdym słowem brzmiało to coraz gorzej i już chciałem poprosić Sydney, żeby zrezygnowała. Pragnąłem ją chronić, tak jak ona pragnęła chronić mnie przed nadużywaniem mocy ducha. Oboje ryzykowaliśmy... Czy mogliśmy jednak zachować się inaczej, skoro stawką było życie Jill?

Nie ma właściwej decyzji – oznajmiła ponuro ciotka Tatiana. *Inic dobrego z tego nie wyniknie.*

Przy lunchu doprecyzowaliśmy nasz plan. Sydney postanowiła poprosić którąś z czarownic, żeby pomogła jej odmienić wygląd. Sabrina została wezwana do siedziby wojowników wcześniej, niż się spodziewała. Skrzywiła się.

– Wkrótce się odezwę, kiedy tylko dowiem się więcej na temat rekrutacji – oznajmiła,

wstając. – Czy ktoś z was może podrzucić Marcusa do jego kryjówki?

– My – odparła Sydney, uprzedzając Eddiego i Treya. – Porozmawiamy jeszcze później.

I tak się rozstaliśmy. Oboje z Sydney poszliśmy z Marcusem do wypożyczonego wozu, którego używaliśmy od powrotu do Palm Springs. Był to kabriolet – bonus od firmy, choć wcale o niego nie prosiliśmy.

– Ładny wózek – stwierdził Marcus. – W taką pogodę można podnieść dach. – Potem zerknął na mnie. – Może lepiej nie – dodał.

Po pochmurnym dniu w Palm Springs znów panował letni skwar, na który z pewnością nie zamierzałem się wystawiać. Światło słoneczne nie zabija morojów tak jak strzygi, ale jest dla nas nieprzyjemne, jeśli przebywamy na nim zbyt długo. W chwilach takich jak ta uświadamiałem sobie różnice dzielące mnie z Sydney. Kochała słońce, a życie ze mną pozbawiało ją tego widoku.

– Możesz otworzyć dach, jeśli chcesz – powiedział lekkim tonem, rzucając Sydney kluczyki.

Uśmiechnęła się nieznacznie, odgadując moje myśli.

– Nie, wolę klimatyzację.

Odwzajemniłem uśmiech, wiedząc, że kłamie. Czasem, leżąc w łóżku, planowaliśmy wystrój naszego wymarzonego domu. Chcieliśmy wybudować dużą werandę otwartą na tyle, bym mógł cieszyć się ciepłem, ale też zacienioną, żeby uchronić mnie przed palącym słońcem. Żartowałem, że będę jej tam serwował lemoniadę. To byłoby idealne miejsce dla nas – połączenie dwóch światów. W tej chwili jednak trudno było mi sobie wyobrazić taką przyszłość.

Marcus podał Sydney swój adres. Zatrzymał się w kompleksie apartamentowców niedaleko od miejsca, gdzie chodziłem do szkoły, w Carlton, po drugiej stronie miasta. Kiedy Sydney skręciła na autostradę, wystukałem numer, z którego miało przywilej korzystać niewielu morojów. Byłem zdziwiony, że odebrała po pierwszym sygnale.

– Witaj, Adrian – powiedziała Lissa.

– Czekaaś przy telefonie? – zażartowałem.

– Czekałam na telefon od Christiana. Ale jeszcze chętniej posłucham, co ty chcesz powiedzieć, zwłaszcza jeśli usłyszę, że macie Jill.

– Niestety – zaprzeczyłem z żalem. – Chciałem ci jednak przekazać kilka ważnych informacji. Na przykład dowody na to, że Jill przetrzymują wojownicy światła.

Tego się nie spodziewała.

– Co takiego?! Sądziłam, że więzi ją czarownica pałająca nienawiścią do Sydney. Jeśli Jill mają wojownicy, nie chodzi o zemstę. Ci ludzie zabijają wampiry dla zabawy.

– Wygląda na to, że Alicja oddała im Jill. Sydney usiłuje się dowiedzieć, gdzie ją przetrzymują, ale gdyby alchemicy zwrócili się z tym do wojowników, oszczędziliby nam sporo zachodu – ciągnąłem. – Problem w tym, że Sydney nie może do nich zadzwonić z prośbą o przysługę.

– Za to ja mogę – domyśliła się Lissa.

– Jesteś urocza i bardzo przekonująca – potwierdziłem. – Poza tym nieco bardziej wpływowa niż my.

– Zobaczą, co da się zrobić – odparła i zabrzmiało to tak, jakby męczyła ją sama myśl o tym. Nie dziwiłem jej się. Sam bym się zniechęcił, szczególnie gdybym miał do czynienia z taką bandą dupków jak alchemicy. – Na pewno zażądam dowodów.

Zawahałem się, myśląc o Sabrinie.

– Nie możemy wyjawić naszego źródła. Powiedz im, że to wiadomość od anonimowego informatora, i poproś, by ją sprawdzili.

- Spróbuję – oświadczyła Lissa. – Ale wiesz, jacy oni są.
- Wiem – przytaknąłem. – Aż za dobrze. Powodzenia. I dzięki.
- Nie masz mi za co dziękować. Jill jest moją siostrą.

Rozłączyłem się w samą porę, bo Sydney właśnie przejechała obok apartamentów wskazanych przez Marcusa.

- Hej! – zawołałem, bo rozpoznałem właściwe miejsce. – Zagapiłaś się. Sydney spochmurniała.

– Dostrzegłam kilku gości w garniturach kręcących się wokół budynku. – Zerknęła w lusterko wsteczne i westchnęła. – Plus czarny samochód, który właśnie opuścił parking i jedzie za nami.

– Szlag! – zaklął Marcus. – Dowiedzieli się, że jestem w mieście. A myślałem, że to bezpieczna kryjówka.

Obróciłem się, by zobaczyć to, co widziała Sydney. Rzeczywiście, czarny escalade ostro manewrował, żeby zjechać na nasz pas. Sydney skręciła gwałtownie, aż musiałem przytrzymać się drzwi, ale czarne auto trzymało się tuż za nami. Cenne, kruche poczucie wolności, jakim pozwoliłem sobie cieszyć się, od kiedy opuściłem dwór, rozwiało się jak dym na wietrze.

– Przykro mi – powiedział Marcus. – Musieli mnie zauważyć dziś rano, gdy tu przyjechałem.

Sydney znów gwałtownie skręciła, a kiedy escalade podążył jej śladem, odezwały się klaksony. Widziałem, że jest spięta i bardzo się stara zachować spokój. Oto spełniał się koszmar, którym żyła tak długo: alchemicy znów ją odnaleźli.

– To nie twoja wina – zwróciła się do Marcusa. – Po ostatnich wydarzeniach w Palm Springs z pewnością regularnie patrolują cały obszar. O ile nam wiadomo, nikt cię nie widział. Mogli za to zobaczyć gdzieś Eddiego i wysłali za nim dodatkowe patrole. Nim także się interesują.

Pokręciła głową.

– Musimy ich jakoś zgubić.

– Wyjedź na autostradę i skreć w pierwszy zjazd do miasta – poradził Marcus.

Nie ma sensu wracać na teren objęty inwigilacją – syknęła ciotka Tatiana. *Znowu złapią Sydney!*

– Nie lepiej wyjechać poza miasto i spróbować im uciec? – spytałem.

– Nie uda nam się – odparł. – Poza tym pewnie ściągną posiłki i będziemy mieli na ogonie kilka wozów.

Sydney skręciła do centrum, tak jak jej poradził Marcus. Jezdnie były zatłoczone, wąskie uliczki zapchane samochodami, a chodniki mnóstwem pieszych i stolikami lokalnych kawiarni.

– Zgaduję, że chcesz wykorzystać fakt, iż alchemicy nie lubią się pokazywać publicznie – mruknęła Sydney. – Pamiętaj jednak, że już nas ścigali, i to całkiem otwarcie, na deptaku w Las Vegas.

Sydney była wówczas w sukni ślubnej, przez co jeszcze bardziej rzucaliśmy się w oczy.

– Zrobią, co będą musieli – dodała.

Marcus potwierdził ruchem głowy.

– Wiem. Mimo wszystko będą się starali nie robić widowiska. A szczerze mówiąc, moim głównym celem jest dostać się do wozu ucieczkowego.

– Wozu ucieczkowego? – Patrzyłem na niego osłupiały. – Masz jakiś wóz ucieczkowy?

Posłał mi olśniewający uśmiech.

– Jestem Marcusem Finchem. Oczywiście, że mam. Stoi w tunelu wychodzącym z Taquerii Miguela.

– Podziemny tunel. – Sydney pokręciła głową. – A zresztą. To sześć ulic dalej, a my za chwilę utkniemy w korku. – Samochody stojące przed nami zatrzymywały się jeden za drugim na czerwonym świetle.

– Poprawka – rzucił Marcus, nagle odpinając pas. – To oni utkną w korku. Wysiadamy. – W jednej chwili zrozumiałem, co zamierza. Potwierdził moje domysły, chwytając za rączkę drzwi. – Macie wprawę w ucieczkach. Spotkamy się u Miguela, tylko upewnijcie się, że was nie ścigają.

Zniknął w mgnieniu oka, a my ruszyliśmy jego śladem parę sekund później, gdy Sydney zatrzymała samochód. Marcus popędził ulicą, niknąc w tłumie turystów i ludzi, którzy wyszli z pracy na lunch. Nie oglądał się za siebie. Ktoś mógłby pomyśleć, że nas zostawił. On jednak ufał, że wiemy, jak się zachować w takich sytuacjach. Bądź nieprzewidywalny. Ukryj się w tłumie. Spotkamy się, gdy zgubimy pościg.

Zakładając, rzecz jasna, że alchemicy w ogóle będą nas ścigać. Dzieliły nas od nich dwa auta, więc istniała szansa, że nie widzieli, jak wysiadaliśmy. Kiedy zapali się zielone światło, a samochody nie ruszą, zorientują się, że coś jest nie tak. Pytanie, jak daleko stąd będziemy wówczas z Sydney i za kim pobiegną: za Marcusem czy za nami?

Oczywiście pobiegli za nami.

– Prędej – ponagliłem Sydney, ściskając ją za rękę.

Pędziliśmy przed siebie chodnikiem. Seria klaksonów poinformowała mnie, że zapaliło się zielone i rozzłoszczeni kierowcy nie mogą ominąć porzuconego wozu. Okrzyki za naszymi plecami sugerowały, że dzieje się coś więcej. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem mężczyznę i kobietę w beżowych garniturach. Biegli za nami, nie zważając na przechodniów. Tyle o unikaniu widowiska.

Na chodniku przed nami panował prawdziwy ścisk. Ludzie tłoczyli się wokół czegoś. Świetnie, nie ma co. Nie mogliśmy teraz zwolnić. Ponownie zerknąłem za siebie i zobaczyłem alchemika. Dorównywał mi wzrostem. Zbliżając się do grupki osób na trotuarze, zobaczyłem, że ludzie podziwiają ubrania wystawione przed sklepem. Wywieszono sukienki, tiulowe szale i inne części garderoby zestawione tak barwnie, że każdy przystawał, by im się przyjrzeć. Precisnęliśmy się nerwowo do grupki kobiet zachwycających się fioletową jedwabną sukienką, gdy zorientowałem się, że alchemicy są pół metra ode mnie.

Sydney rozejrzała się i nieoczekiwanie uśmiechnęła. Wypowiedziała zaklęcie. Jej słowa zginęły w ulicznym zgiełku, ale moc, którą przywołały, przyniosła efekt. W jednej chwili wszystkie piękne stroje przemieniły się w tęczowe płachty materiału. Uleciały w górę i zawisły wokół nas jak zasłona deszczu, zakrywając przed niepożądanym wzrokiem. Zrobiło się zamieszanie, przechodnie coś wykrzykiwali, niepewni, czy to atak, czy chwyt reklamowy.

– Chodźmy! – rzuciła Sydney, przyspieszając kroku.

Kiedy stamtąd odbiegaliśmy, usłyszałem szczególnie głośny krzyk jednej osoby. Rozpoznałem głos Lii DiStefano. Zrozumiałem, że to był jej sklep, co wyjaśniało chytry uśmiech Sydney. Z jednej strony zrobiło mi się głupio... a z drugiej się ucieszyłem. Lia uszyła kiedyś dla Sydney fantastyczną sukienkę, czerwoną, inspirowaną stylem starożytnej Grecji. Sydney wyglądała w niej pięknie, jak sen. Musiałem przyznać Lii, że wykonała fantastyczną robotę. Z drugiej strony potajemnie wykorzystała zdjęcie przedstawiające Jill w reklamie w magazynie – tej, którą Alicja umieściła w pudełku ze wskazówkami. Bez wątplenia ta reklama naraziła Jill na niebezpieczeństwo.

– Przykro mi, Lia – wymruczałem, przebiegając obok jej sklepu. – Następnym razem pomyśl dwa razy, zanim wybierzesz modelkę.

Ulicę dalej znajdowała się kwaciarnia, w której kiedyś kupowałem wiązanke. Nie

oglądając się za siebie, wpadliśmy do środka przez otwarte drzwi, wpuszczające ciepłe popołudniowe powietrze. Owionął nas oszałamiający aromat róż i lilii. Wokół stały bukiety we wszystkich kolorach, ale ja wypatrywałem tylnych drzwi, które zapamiętałem z poprzedniej wizyty. Kwaciarnia miała dwa wejścia: jedno wychodzące na deptak i drugie na parking w bocznej alejce. Skinąłem głową z uśmiechem zaskoczonej ekspedientce i oboje z Sydney wyszliśmy pospiesznie na drugą stronę, jakby to było całkiem naturalne.

W alejce przystanąłem i odważyłem się zajrzeć do środka przez okno w drzwiach. Ponieważ nie pojawił się tam żaden z alchemików, miałem nadzieję, że narobiliśmy wystarczającego zamieszania przed sklepem Lii, by zyskać dość czasu na ucieczkę. Pobiegliśmy z Sydney alejką, mijając po drodze wejścia do innych sklepików oraz domów prywatnych. W końcu dotarliśmy do tylnych drzwi Taquerii Miguela. Widniał na nich napis: TYLKO DLA DOSTAWCÓW. Zapukałem mimo wszystko, zastanawiając się, co powiem, kiedy mi otworzą.

Gość, który stanął w drzwiach, nie wydawał się jednak zdziwiony naszym widokiem. Zaprosił nas gestem do środka.

– Musicie być przyjaciółmi Marcusa.

Znaleźliśmy się w przejściu prowadzącym do kuchni, z której dochodziły niebiańskie zapachy. Kucharz, który właśnie podrzucał quesadillę, skinął nam głową na powitanie, jakby nasza obecność tam była całkowicie naturalna, a następnie powrócił do pracy. Przewodnik tymczasem wskazał spiżarnię tuż obok, w której ustawiono na półkach mnóstwo jedzenia. Zobaczyłem właz w podłodze. Mężczyzna podniósł go, a w dole pokazał się Marcus. Trzymał w ręku latarkę i machał do nas.

– Skąd się znacie z Marcusem? – spytałem, schodząc po szczeblach drabiny.

Przewodnik wzruszył ramionami.

– Kiedyś wyświadczył mi przysługę.

To pasowało do Marcusa. Podziękowaliśmy mężczyźnie i zeszliśmy na dół. Zgodnie z tym, co powiedział nasz przyjaciel, znajdował się tam tunel. Ruszyliśmy przed siebie, niewiele mówiąc, i wyszliśmy na zewnątrz przez szopę stojącą w parku kilka ulic dalej. Ani w tunelu, ani na górze nikt nas nie ścigał, a Marcus poczuł się wystarczająco bezpiecznie, by usiąść za kierownicą zaparkowanego w pobliżu niebieskiego chevroleta. Wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwiczki.

Odezwał się jednak dopiero, gdy wyjechaliśmy na drogę.

– Cóż – zaczął. – Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że nie musicie przekonywać alchemików o swoim pobycie na dworze. A zła – alchemicy wiedzą, że już was tam nie ma.

ROZDZIAŁ 14

Adrian... znowu

KIEDY SIĘ UPEWNIŁEM, że alchemicy tymczasem nam nie zagrażają, musiałem zadbać o bezpieczeństwo Declana i mojej mamy.

– Gdzie jesteście? – spytałem, gdy odebrała telefon.

Siedziałem z tyłu, podczas gdy Marcus wiózł nas do bezpiecznego domu. W każdym razie tak się zarzekał. Sydney zajęła miejsce pasażera i wysyłała esemesy do wszystkich naszych znajomych.

– U Clarence’a – odparła moja matka. – A gdzie mielibyśmy być?

Odetchnąłem z ulgą.

– To dobrze. Zostań tam przez jakiś czas. Nigdzie nie wychodź. Wystarczy ci zapasów dla Declana? – Z początku myślałem, że przesadziła z zakupami dla niego, ale teraz byłem jej wdzięczny.

– Chyba tak, chociaż nie za bardzo lubi grzechotki, które mu kupiłam. Powinnam poszukać czegoś innego...

– Nie wychodź – powtórzyłem. – Dom jest prawie na pewno obserwowany. Alchemicy wiedzą, że tu jesteśmy.

Moja matka doceniła powagę sytuacji.

– Nic ci nie jest?

– Z nami wszystko w porządku. Uciekliśmy im. Ale będą obserwować wszystkie znane nam miejsca. Dowiedzą się, że nie wróciliśmy do Clarence’a, i tak będzie dobrze. Zakładam, że nie zdają sobie sprawy z obecności twojej i Declana, i niech tak zostanie. Nie wychodźcie.

Mama milczała dłuższą chwilę.

– Adrian... Declan jest w pewien sposób niezwykle, prawda?

– Szczególny – sprostowałem. – Bardzo szczególny. Dlatego alchemicy nie powinni dowiedzieć się o jego istnieniu. Mogą sobie ścigać Sydney i mnie. Ale on powinien pozostać dla nich niewidzialny.

– Rozumiem – powiedziała. – Jeśli będziemy czegoś potrzebowali, zamówię to przez kuriera albo pošlę Rose i Dymitra na zakupy. Bo oni mogą wychodzić?

Zawahałem się.

– Tak. Alchemicy się nimi nie interesują. Mogą być zaciekawieni powodem ich pobytu w mieście, ale nie wtargną do domu Clarence’a, żeby się tego dowiedzieć. Musielibyście ich jakoś sprowokować. Wcześniej także zatrzymywali się u niego moroje i dampirey. Czy mogę porozmawiać z jednym z nich?

Usłyszałem szuranie, a potem odezwała się Rose.

– Widzę po minie twojej mamy, że wydarzyło się coś złego.

– Alchemicy dowiedzieli się, że jesteśmy tu z Sydney – wyjaśniłem. – Namierzyli Marcusa, kiedy przyjechał do miasta, i przypadkiem natknęli się również na nas.

Nie mógłbym przysiąc, ale wydawało mi się, że Rose zaklęła po rosyjsku.

– Więc jaki jest plan?

– Jedziemy do rzekomo bezpiecznego miejsca – powiedziałem. – Stamtąd Sydney ruszy na inwigilację wojowników, a ja ostatecznie przesłucham Alicję.

– Chcę przy tym być – wtrąciła natychmiast Rose.

– Wiem, ale naprawdę zależy mi, żebyście zostali z moją mamą i Declanem. Właśnie jej powiedziałem, że nie może wychodzić z domu. Nie sądzę, by alchemicy wiedzieli o jej obecności w mieście, i mam nadzieję, że tak pozostanie. Jeśli jednak wydarzy się coś dziwnego, proszę, byście ich chronili.

– Jak to „dziwnego”? Dlaczego ktoś miałby się nimi zainteresować? – Rose, podobnie jak moja matka, zaczynała podejrzewać, że działo się coś niezwykłego.

– Nie mogę powiedzieć – odparłem. – Ale zaufaj mi, to ważne. Przynajmniej jedno z was musi być przy nich przez cały czas. Jeśli znajdzie się sposób, żebyśmy się bezpiecznie spotkali podczas przesłuchania Alicji, na pewno to zrobimy. Tymczasem obiecaj mi, proszę, że się nimi zaopiekujesz.

Zapadła długa cisza. Rozumiałem Rose. Tak jak my wszyscy chciała odnaleźć Jill. Pojawiło się tyle nowych tropów... Z pewnością wołałaby podjąć któryś, zamiast niańczyć dziecko. Ale w końcu się poddała.

– Dobra. Będziemy na nich uważać. Jeśli jednak będę mogła zrobić cokolwiek dla Jill...

– Dam ci znać – obiecałem. Rozłączyłem się i rozejrzałem. – To tutaj?

Opuściliśmy zabudowania miejskie Palm Springs i wyjechaliśmy na pustynię, do miejsca, przy którym domostwo Wolfe'a wyglądało jak najnowsza zdobycz cywilizacji. Mały samotny domek stał na tle krzewiastego krajobrazu. Kiedy skręcaliśmy w jego kierunku na piaszczystej drodze, opony wzbily w górę tumany kurzu.

– Tak – potwierdził Marcus.

– Raczej odludne miejsce – zauważyła Sydney. – Ale czy bezpieczne?

– Na tyle, na ile to możliwe – zapewnił nas Marcus, parkując przed domkiem. – Nikt za nami nie jechał. Nikt nie wie, że znam tych ludzi.

Wysiedliśmy i podeszliśmy za Marcusem do drzwi. Musiał zapukać trzykrotnie – za każdym razem coraz głośniej – zanim w końcu się otworzyły. Mężczyzna koło pięćdziesiątki z rozczochraną czupryną, w okrągłych okularach spojrzął na nas, zadzierając głowę i mrużąc oczy w słońcu niczym moroj. Nagle się rozpromienił, rozpoznając gościa.

– Marcus, kopę lat!

– Dobrze cię widzieć, Howie – odparł Marcus. – Musimy się gdzieś zadekować z przyjaciółmi. Moglibyśmy u was?

– Jasna sprawa. – Howie odsunął się na bok, pozwalając nam wejść.

– Zapraszamy.

– Howie i jego żona, Patty, hodują i sprzedają rozmaite zioła – wyjaśnił Marcus.

Wciągnąłem głęboko powietrze, przechadzając się po pokoju, w którym panował styl z roku 1971.

– Szczególnie jedno ziele – mruknąłem.

– Spokojnie. – Marcus wykrzywił usta w uśmiechu. – To dobrzy ludzie.

Sydney zmarszczyła nos.

– Nic nam nie przyjdzie z takiej kryjówki, jeśli aresztują nas za handel narkotykami.

Marcus zupełnie się tym nie przejął.

– To nasze najmniejsze zmartwienie. Dali nam dach nad głową. A ich spiżarnia jest zawsze dobrze zaopatrzona.

Przynajmniej w tym punkcie miał rację. Jeśli dalibyśmy radę żywić się śmieciowym jedzeniem, widmo głodu nie groziło nam przez długi czas. W całym swoim życiu nie widziałem tylu pudełek biszkoptów z kremem. Patty, równie miła i przyjacielska jak jej mąż, prosiła, byśmy czuli się jak w domu i zostali tak długo, jak sobie życzymy. Oboje spędzali chyba większość

czasu w piwnicy albo w ogrodzie. Hodowali różne rośliny, a potem zjadali je lub sprzedawali. Zniknęli na dole, kiedy tylko się rozlokowaliśmy, pozwalając nam opracować plan. Dowiedziałem się, że podczas gdy rozmawiałem z Rose i mamą, Marcus i Sydney gromadzili inne informacje.

– Sabrina skontaktowała się z Marcusem. Zabierze mnie z Eddiem do wojowników jeszcze dziś późnym wieczorem – powiedziała Sydney. – Bardzo późnym. Zdaje się, że mamy się tam stawić o świcie. Panna Terwiliger wpadnie wcześniej z Eddiem, żeby nas przygotować i obdarować kilkoma zaklęciami.

– Nie muszę chyba pytać, czy Eddie będzie ostrożny po drodze – wtrącił Marcus.
– Alchemicy na pewno obserwują już wszystkich waszych znajomych w okolicy.

– Będzie ostrożny – zapewniła go Sydney. – I potrafi zgubić ogon. – Zwróciła się do mnie: – Panna Terwiliger przyjedzie po ciebie później, kiedy czarownice uwolnią Alicję. Obiecuj mi, że będziesz ostrożny, Adrian. Nie szarżuj z nią. Używaj tyle magii wpływu, ile trzeba. Pamiętaj, że ona może nie wiedzieć, gdzie wojownicy przetrzymują Jill.

Nie szarżuj? Wiedziałem, że Sydney się o mnie boi, ale chyba zapomniała, o czym mówi! Miałem lekko potraktować kobietę, która uprowadziła Jill? To z jej powodu księżniczka trafiła w ręce tych pomyślników. Sonia była w kiepskim stanie, gdy została w końcu uwolniona, a wojownicy więzili ją przecież znacznie krócej.

Alicja za to zapłaci – odgrażała się ciotka Tatiana w mojej głowie.

Spojrzałem na Sydney.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Odezwał się mój telefon, więc zerknąłem na ekran i się uśmiechnąłem. Niewiele osób może się pochwalić, że rozmawia z królową morojów dwa razy dziennie.

– Halo?

– Adrian? – usłyszałem głos Lissy. – Coś ty narobił?

– Dlaczego uważasz, że w ogóle coś zrobiłem? – spytałem.

Lissa westchnęła.

– Właśnie zadzwonił rozzłoszczony alchemik służbista. Donosi, że oboje z Sydney chodźcie wolno po Palm Springs! Powiedzieli nam jasno, że za wszelką cenę będą chcieli ją ująć. Sądziłam, że się ukrywacie.

– Bo tak było – powiedziałem. – Zdarzył się mały wypadek. Ale tymczasem jesteśmy bezpieczni.

– Oby tak zostało. Jest też dobra wiadomość. Rozmawiałam z kimś, kto może skłonić alchemików, by wypytali wojowników w wiadomej sprawie.

Może jednak była dla nas nadzieja. Dzięki temu Sydney nie musiałyby wkradać się w łaski wojowników, a ja – przesłuchiwać Alicji. Alchemicy mogli uwolnić Jill.

– I? – spytałem.

– Tak jak się obawiałam. Żądają dowodów. Człowiek, z którym rozmawiałam, mówił coś niejasno o „badaniu gruntu”, ale odniosłam wrażenie, że nie potraktował mnie poważnie. Pewnie pomyślał, że wyciągnęłam sprawę Jill, by odwrócić uwagę od ciebie i Sydney.

Nadzieja zgasła. Spojrzałem na żonę siedzącą w przeciwległym końcu pokoju. Usiłowała umościć się wygodnie na wypchanym worku z fasolą. Zrobiło mi się słabo na myśl, że będzie musiała wejść między wojowników. Mogła się wypuszczać z Eddiem i panną Terwiliger, ale pakować się prosto w ręce wroga? A jeśli ją rozpoznają? Zechcą spróbować odnowić przyjaźń z alchemikami, wydając im Sydney. Albo pokazowo ukarać kobietę, która poślubiła wampira.

Nic dobrego z tego nie wyniknie – mruknęła ciotka Tatiana.

– Popracuję jeszcze nad nimi – ciągnęła Lissa nieświadoma moich ponurych myśli.

– Rozumiem, że nadal poszukujecie informacji?

– Na to wygląda – przytaknąłem.

– Daj mi znać, jeśli będę mogła wam w czymś pomóc. Rozmawiałam wcześniej z Rose. Wygląda na to, że wyznaczycie jej już jakieś zadanie. Możecie też korzystać z pomocy Dymitra i Neila, jeśli to pozwoli nam odzyskać Jill.

Lissa najwyraźniej nie wiedziała nic więcej. Rose nie powiedziała o Declanie nawet najlepszej przyjaciółce. Byłem jej wdzięczny, lecz jednocześnie uświadomiłem sobie, jak bardzo zagrożone jest to dziecko. Kiedy Lissa wspomniała o Neilu, pomyślałem, że nie mieliśmy jeszcze okazji wyjaśnić mu wszystkiego. Sprawy komplikowały się coraz bardziej.

Resztę dnia spędziliśmy, czekając na Jackie i Eddiego. Marcus, który uciekał przez większą część swojego życia, był całkowicie spokojny i odpoczywał w małym saloniku. Sydney i ja, przyzwyczajeni już do wolności, nie umieliśmy się tak łatwo odprężyć. Omówiliśmy z przyjaciółmi przez telefon, co się dało, a potem staraliśmy się jakoś zabijać czas. Mimo że znajdowaliśmy się na odludziu, woleliśmy nie wychodzić na zewnątrz. Jedyne telewizor w domku znajdował się w piwnicy, ale pomieszczenie było zbyt zadymione jak na nasz gust. Pozostała nam sterta starych numerów „Reader’s Digest” jako jedyna rozrywka.

– Jedzie tu jakiś samochód – oznajmił Marcus później tego wieczoru. Stał przy oknie i od czasu do czasu wyglądał przez szparę w zaciągniętych zasłonach. Zmarszczył brwi. – Nie widzę Jackie ani Eddiego.

Sydney zerwała się z miejsca i stanęła przy nim. Po paru sekundach się odprężyła.

– W porządku. Znam je.

Marcus otworzył drzwi i do środka weszły dwie znajome mi kobiety. Jedną z nich była Maude, starsza uczestniczka sabatu Sydney, która pomagała nam nad jeziorem. Drugą okazała się zadziorna stara Inez. Mrugnęła do mnie, przechodząc przez próg. Maude przylgnęła do drzwi. Nie zamknęła ich od razu, jakby spodziewała się kogoś jeszcze. Nikt jednak się nie pojawił i po kilku sekundach kobieta dała Marcusowi znak, żeby je zatrzasnął. Sydney opowiadała mi wystarczająco dużo o czarach, bym zdołał się zorientować, że do środka wszedł ktoś niewidzialny. Kiedy zrozumiałem, kto to był, zaklęcie przestało działać.

– Eddie! – wykrzyknęła Sydney i podbiegła, by go uściskać.

Uśmiechnął się do niej.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparłem. – Robimy zapasy węglowodanów i czekamy na kolejny etap szaleństwa.

– Na pewno nikt was nie śledził? – spytał Marcus, zaciągając ciaśniej zasłony w oknach od frontu.

– Na pewno – odparł Eddie. – Spotkaliśmy się w miejscu publicznym i alchemicy posłani za mną nawet nie zauważyli, że odjechałem z tymi dwiema.

Inez rozglądała się krytycznie. Raczej nie była pod wrażeniem.

– Jaclyn wysłała nas, bo nie mogła się pozbyć twoich przyjaciół. Obserwują jej dom.

– Alchemicy nie są moimi przyjaciółmi – sprostowała Sydney.

– Kimkolwiek są, to upierdliwi ludzie – skwitowała Inez. – Obiecałyśmy jej, że wam pomożemy, więc jesteśmy.

– Dziękuję pani – powiedziała Sydney, jak zawsze z rozbijającą uprzejmością. – Wiem, że to dla pań duży kłopot.

Maude uśmiechnęła się do niej zyczliwie.

– Nie tak duży, jak niektórzy by chcieli, abyś myślała. – Postawiła dwie spore torby wypchane po brzegi tajemniczymi składnikami. – Tak. Rozumiem, że mamy dodać ci siły.

– Czyżby? – zdumiała się Sydney.
Inez podkasała rękawy sukienki w różowe wzorki i zajrzała do jednej z sakiew.
– Tak mówiła Jaclyn. Podobno macie z kimś walczyć czy coś równie głupiego.
– No tak, ale zamierzałam raczej stosować uniki, których nauczył mnie Wolfe.
– Wolfe? – prychnęła pogardliwie Inez. – Ten hippis, z którym spotyka się Jaclyn? Wierz mi, nie mam nic przeciwko trikom i unikom, ale jeśli możesz się zmienić w prawdziwą twardzielkę, nawet się nie zastanawiaj.

Że też nazwała Wolfe'a – człowieka posiadającego największy zbiór broni, jaki w życiu widziałem – hippisem!

Inez ostrożnie wyjęła z torby niewinnie wyglądającą manierkę.

– Co to jest? – spytałem.

– Bardzo szczególna mikstura – odparła Maude. – Pracowało dziś nad nią kilkanaście czarownic przez większą część dnia.

Dopiero teraz zauważyłem jej podkrążone oczy i wychwyciłem znużenie w głosie. Sydney również je dostrzegła.

– Nie musiałyście tego robić... – powiedziała.

– Owszem, musiałyśmy – odparła po prostu Maude. – Mamy obowiązek posprzątać po Alicji. A jeśli to oznacza przygotowanie ciebie na jakąś dziwną i brutalną walkę, pomożemy ci.

– Co jest w środku? – spytałem. Możliwości ludzkiej magii wciąż robiły na mnie wrażenie. Dodatkowe pytania pozwalały nie myśleć o Sydney i „dziwacznej i brutalnej walce”.

– Lepiej nie wiedzieć – ucięła Maude. – Musimy teraz dokończyć zaklęcie, bo...

Usłyszeliśmy odgłos otwierających się drzwi. Chwilę później zasłona z paciorków oddzielająca salonik od kuchni zabrzęczała i do środka wszedł Howie. Chyba zdziwił się na widok nowych gości i zamrugał kilka razy, jakby upewniał się, że wszyscy są realni, że nie są wytworem jego halucynacji. Ktoś taki jak on musiał często zadawać sobie to pytanie. Cóż, biorąc pod uwagę moje rozmowy z ciotką Tatianą, powinienem robić to samo.

– Słuchaj, Marcus, bracie – zaczął, poprawiając okulary. – Nie miałem pojęcia, że zaprosiłeś więcej gości. Szukamy doritos. Nie widziałeś gdzieś?

Marcus pokazał stolik przy kanapie. Howie rozpromienił się, podnosząc torebkę doritos, i natychmiast zgasł, zorientowawszy się, że jest prawie pusta.

– Siedzieliście tu i pogryzaliście je w czasie lunchu – przypomniał mu Marcus.

Howie spojrzał na niego z uroczą bezradnością.

– Doprawdy?

– Tak – potwierdziłem. – Mówiłeś, że oglądaliście jakiś film o rekinach mutantach.

– Trey też oglądał ten film – dorzucił Eddie podejrzenie lekkim tonem, który nasunął mi przypuszczenie, że nie tylko Trey go widział.

– Czy to nie była przeróbka *Gadobota na wolności*? – spytała drwiąco Sydney.

Howie uniósł palec w ostrzegawczym geście.

– To nie są bajki. Prawdziwe życie jest dziwniejsze niż fikcja, bracie. Rząd wiele przed nami ukrywa.

– Absolutnie – potwierdził Marcus, prowadząc Howiego za zasłonę z paciorków.

– Zabierz na dół trochę ciasteczek. Chyba widziałem w kuchni herbatniki maślane.

Marcus zajął się naszym gospodarzem, a potem odesłał go z powrotem do piwnicy. Nie odzywaliśmy się, dopóki nie usłyszeliśmy, że drzwi się za nim zamknęły.

– Prawdziwe życie jest dziwniejsze niż fikcja – zauważył Eddie.

– Jakbym nie wiedziała – rzuciła Sydney i spojrzała na manierkę. – Co mam zrobić?

– Wypij to – poleciła Inez. – Dosypałyśmy oranżady w proszku, żeby nieco poprawić smak. Z akcentem na „nieco”.

– Najpierw dokończmy zaklęcie – zasugerowała Maude.

Obie z Inez chwyciły się za ręce, tworząc kółko wokół stolika, na którym stała manierka. Dostatecznie często słyszałem, jak Sydney recytowała zaklęcia, by rozpoznać tekst po łacinie. Wiedziałem też dość, by się orientować, że większość stosowanych przez nią zaklęć była prosta i przynosiła natychmiastowe efekty. Teraz czarownice użyły bardziej skomplikowanego czaru, wymagającego udziału większej liczby osób. Potwierdzał to pełen podziwu wyraz twarzy Sydney. Kiedy skończyły intonować pieśń, Maude z rumieńcem na twarzy podała manierkę Sydney.

– Do dna – rozkazała.

Sydney odkręciła wieczko i skrzywiła się na widok zawartości. Stałem obok i podzielałem jej obrzydzenie. Mikstura śmierdziała jak mokra lina... I oranżada w proszku.

– Im szybciej to wypijesz, tym lepiej – poradziła Inez. – Możesz zatkać nos.

Sydney posłuchała obu rad, ale i tak się zakrztusiła.

– Obyś nie zwymiotowała – rzuciła ostrzegawczo Inez. – Więcej nie mamy.

Sydney skrzywiła się i potrząsnęła głową, oddając im manierkę.

– Nie zwymiotuję. Co teraz? Naprawdę jestem już silniejsza? Czuję tylko, że chciałabym umyć zęby.

Nie urosły jej nagle mięśnie ani nie miała potrzeby kompulsywnie zginać żelaza.

– O ile silniejsza? – niecierpliwił się Eddie. – Potrafiłabyś podnieść samochód?

Maude się uśmiechnęła.

– Z przykrością muszę was rozczarować. Taka siła zwracałaby na nią uwagę, a tego nie chcemy. Poza tym nasza moc jest ograniczona. Nie umiemy produkować herosów. Powiedziałabym... – Popatrzyła z namysłem na Eddiego i Sydney i uśmiechnęła się szeroko. – Że jesteś wystarczająco silna, by zmierzyć się zampirem na ręce.

– Chciałbym to zobaczyć – przyznałem.

Sądząc po minie Eddiego, on także chciał.

Sydney jęknęła.

– Poważnie? To barbarzyństwo.

Eddie nachylił się nad stołem i oparł na nim łokieć.

– No dalej, pani Iwaszkow. Zróbmy to. Jeśli nie chcesz siłować się na rękę, jak zamierzasz walczyć twarzą w twarz z wojownikami?

Miał rację, usłyszeliśmy wiele w tej kwestii od Sabriny. Sydney stanęła naprzeciw niego za stołem i identycznie oparła łokieć. Chwycili się za ręce i Marcus zaczął odliczać, równie przejęty jak Eddie. Ku memu zdumieniu Eddie nie od razu pokonał Sydney. Zaskoczony otworzył szeroko oczy i się uśmiechnął. Naprężył się mocniej i tym razem odgiął lekko jej rękę. Zaciskając zęby, wyrównała pozycję i – niesłychane! – wkrótce osiągnęła przewagę.

– Jakie to dziwne – mruknęła. – Czuję w sobie siłę... jakby była częścią mnie i zarazem nie była. Jakbym ją na siebie nałożyła. Niby ubranie.

Ostatecznie Eddie zdobył się na największy wysiłek i pokonał Sydney, ale musiał się bardzo postarać. Uniosłem triumfalnie jej rękę, jak zwycięzcy meczu bokserskiego.

– Moja żona, panie i panowie. Uroda, umysł i teraz jeszcze krzepa.

– Niesamowite – zachwycił się Eddie jak rzadko. – Jak długo to się utrzyma?

– Cztery dni – odparła Maude z przepaszającą miną. – Jak powiedziałam, nie produkujemy herosów.

– Cztery dni – powtórzyła Sydney. – Sabrina zabiera nas dziś wieczorem. Mamy więc

trzy i pół dnia, by się dowiedzieć, gdzie wojownicy przetrzymują Jill.

– Mogłabyś skopać im tyłki zaraz pierwszego dnia, żeby do końca dali ci spokój – podsunął Marcus.

Zerknąłem na drugą torbę przyniesioną przez czarownice.

– Co tam jeszcze macie poza supermocą? – spytałem.

Maude zabrała się do jej rozpakowywania.

– Jackie twierdzi, że powinniśmy zmienić również twój wygląd.

– Znam odpowiednie zaklęcia – poinformowała je Sydney. – Nie musicie tego dla mnie robić.

– Milcz, dziewczyno – warknęła Inez. – Zachowaj siły na to szaleństwo, w jakie się pakujesz. Podtrzymywanie czaru przemiany nie jest łatwym zadaniem. Robiłaś to kiedyś przez cały tydzień? – Spojrzała na Eddiego. – U dwojga?

– Nie, proszę pani – przyznała Sydney.

Maude rzuciła Sydney dwa opakowania farby do włosów o barwie „połyskliwego orzecha włoskiego”.

– Po jednej dla każdego – wyjaśniła. – Możecie się przefarbować po naszym wyjeździe. Im mniej zmian będzie natury magicznej, tym lepiej.

Eddie niechętnie wziął do ręki opakowanie, lecz nie protestował. Inny facet powiedziałby, co sądzi o farbowaniu włosów, ale nie on. Jeśli ktoś na co dzień zabija nieumarłe potwory, drobny zabieg kosmetyczny nie ujmie mu męskości.

Poza tym w torbie znajdowały się standardowe składniki magiczne: zioła, kryształy, proszki. Maude i Inez zaczęły konstruować na stole magiczny krąg. Uświadomiłem sobie, że znów oglądam skomplikowany rytuał, który wymagał udziału większej liczby osób i składników. Sydney także zdawała sobie z tego sprawę.

– Tak bardzo mi pomagają – mruknęła do mnie.

– Zasługujesz na to – odparłem, ściskając jej rękę. – Jill także.

Kiedy wszystko było gotowe, Inez położyła pośrodku stołu dwa srebrne pierścienie.

Maude kiwnęła głową i z różdżką w dłoni podeszła do Sydney. Odsunąłem się niechętnie.

– Dlaczego ty nigdy nie machasz różdżką? – spytałem.

Sydney uśmiechnęła się do mnie.

– Wiem, że to stereotypowy atrybut czarownicy, ale w rzeczywistości rzadko go używamy. Różdżki są niezbędne do pracy nad detalami konkretnych zaklęć albo gdy zawierają żywiol wzmacniający magię. – Spojrzała na kryształy przymocowane do różdżki, którą Maude podniosła do twarzy. – W tej ogniskują się tutaj.

– Zgadza się – potwierdziła Maude. – A teraz stój spokojnie i zamknij oczy. – Wyrecytowała wers po grecku i różdżka rozjarzyła się bladym światłem. Chwilę później Maude dotknęła nią czubka nosa Sydney. Powoli, ostrożnie Maude przesuwiała różdżką nad jej twarzą, dotykając powiek, kości policzkowych i podbródka. Każde dotknięcie różdżki, niczym pociągnięcie pędzla na płótnie, zmieniało rysy twarzy Sydney. Jej kości policzkowe zaokrągliły się lekko, a twarz wyszczuplała. Zmiany były niewielkie, bardzo subtelne, ale razem wzięte całkowicie ją odmieniły. Wątpię, by ktokolwiek ją rozpoznał, nawet gdyby zachowała swój kolor włosów. Wkrótce zniknął także tatuaż Sydney. Największy szok przeżyłem, gdy Maude poprosiła, by Sydney otworzyła oczy. Brązowe tęczówki były teraz tak intensywnie niebieskie jak u Marcusa.

Wciągnąłem głośno powietrze i Sydney zwróciła się do mnie z nieśmiałym uśmiechem.

– Poznajesz mnie jeszcze?

– Poznałbym cię wszędzie – oświadczyłem szarmancko.

– A ja nie – przyznał Eddie.
Maude natychmiast obróciła się do niego.

– Twoja kolej. Zamknij oczy.

Kiedy to zrobił, ponownie wypowiedziała zakłęcie. I znów przyglądałem się zadziwiony, jak jego twarz się zmienia wszędzie tam, gdzie dotknęła jej różdżka. Kiedy czarownica skończyła, Eddie nie wyglądał już jak Eddie, którego znałem, ale jak ktoś, kto mógł być spokrewniony z obecną Sydney.

– Mogę się zobaczyć? – spytał z przejęciem.

– Za chwilę – odparła Inez, biorąc różdżkę od Maude. – Musimy działać szybko, żeby utrzymać zakłęcie. – Machnęła różdżką nad pierścieniami i zaintonowała znów coś po grecku. Między różdżką a pierścieniami zaiskrzyło. Kiedy skończyła, dała jeden pierścień Sydney, drugi Eddiemu. Wsunęli je na palce i Sydney wstrzymała oddech.

– Dziwne – wymruczała. – Czuję, jakby coś wskoczyło na swoje miejsce.

– Pierścienie podtrzymują zakłęcie – wyjaśniła Maude. – Kiedy je zdejmiecie, znów będziecie wyglądali jak zawsze. Zmieniony wygląd utrzyma się mniej więcej tydzień.

– Nie dłużej – wtrąciła ostrzegawczo Inez. – Utratę sił możesz jakoś ukryć, ale swojej prawdziwej twarzy już nie.

Stara czarownica, zadziorna i kpiąca jak zwykle, wyglądała teraz na bardzo zmęczoną. Obejrzałem jej aurę. Obie zużyły dużo magicznej siły, przecież wcześniej tego dnia przygotowywały dla nas zakłęcia. Sydney zwróciła się do nich.

– Nie wiem, jak wam dziękować za to, co zrobiliście. Naprawdę. To dla mnie dużo znaczy i...

– Dobra, dobra – przerwała jej Inez. – Wiemy, że jesteś wdzięczna, i dobrze. Teraz udowodnij, że na to zasłużyłaś, i napraw to, co zepsuła Alicja. Uratuj swoją przyjaciółkę.

Sydney się wyprostowała.

– Tak, proszę pani.

Czarownice udzieliły nam jeszcze ostatnich wskazówek – również mnie, bo zamierzałem dołączyć do nich, gdy uwolnią Alicję – i odjechały. Eddie i Sydney na przemian przeglądali się w lustrze, głośno wyrażając zachwyt nad swoim nowym wyglądem. Już wcześniej brano ich za bliźniacze rodzeństwo; teraz również wyglądali niemal identycznie. Mieli takie same niebieskie oczy, a Maude świetnie się spisała, nadając im miłą, zwyczajną powierzchowność. Miałem nadzieję, że nikt nie zechce im się baczej przyglądać.

Właśnie kończyłem pomagać im w farbowaniu włosów na odcień połyskliwego orzecha – ciemnobrązowy ze słabą nutą czerwieni – gdy przyjechała Sabrina. Przywykła do różnych niezwykłych zjawisk, ale z ludzką magią nie miała wiele do czynienia.

– Niesamowite... – wymruczała, spoglądając to na Sydney, to na Eddiego. – Nigdy bym was nie rozpoznała. Moglibyście spokojnie wejść w tłum alchemików.

Marcus, który obserwował tę scenę z rozbawieniem, założył ręce na piersi i rozparł się wygodnie na pluszowej sofie Howiego.

– Może twoje przyjaciółki mogłyby zaczarować i mnie. Wiele bym zdziałał *incognito*.

– Wspomnę im o tym – obiecała Sydney. Pokazała Sabrinie rękę ze srebrnym pierścieniem. – Czy mają tam jakieś przepisy dotyczące biżuterii? Pozwolą nam je nosić?

– Raczej tak – odparła dziewczyna. – Odbierają zwykle rekrutom broń albo inne przedmioty budzące wątpliwości. Telefony komórkowe także, bo nie chcą, by ktoś was namierzył. Przy okazji, będę musiała wam po drodze zawiązać oczy.

– Pamiętam to z ostatniej wizyty u wojowników – rzekła Sydney. Zdjęła pierścionek zaręczynowy, obrączkę i podeszła do mnie. – Nie chcę ich stracić.

Ująłem jej dłonie w swoje ręce.

– Obrączka to drobiazg. Martwię się o ciebie.

Uśmiechnęła się blado i mimo jej odmienionej twarzy odnalazłem w tym uśmiechu moją Sydney.

– Poradzę sobie... Przechowaj je do mojego powrotu.

– Zgoda – powiedziałem tak cicho, że tylko ona mnie słyszała. – Ale to ja ci je włożę z powrotem.

– Dobrze – obiecała.

– I zrobię to na kolanach – dodałem.

– Dobrze.

– I oboje będziemy wtedy nadz...

– Adrian – rzuciła ostrzegawczo.

– Później omówimy warunki. – Mrugnąłem do niej.

Kiedy puściłem jej ręce i zacisnąłem w dłoni obrączkę, poczułem ukłucie w sercu. Nie mogłem znieść myśli, że tak bardzo ryzykowała. Może i wyglądała inaczej, ale jej aura jaśniała jak żadna inna – wielką odwagą mimo czekających ją niebezpieczeństw. Tak bardzo pragnąłem jej towarzyszyć, wiedziałem jednak, że to niemożliwe. Mogłem pomóc Sydney, wspierając czarownicę po uwolnieniu Alicji.

– Zjedzmy coś szybko i ruszajmy w drogę – rzuciła Sabrina.

– Mam nadzieję, że lubisz oreo i serowe kulki – odparł Eddie.

Zjedliśmy dziwny posiłek złożony z niezdrowych produktów, podczas gdy Sabrina informowała nas o dodatkowych szczegółach.

– Jedziemy do Calexico, tuż przy granicy – mówiła. – Ale nie powinniście tego wiedzieć. Musimy zachowywać pozory. Kiedy wejdziemy do środka, pewnie nas rozdzieli. Mnie pozwolą zatrzymać telefon, więc będę informować o wszystkim Marcusa.

– A ty przekażesz wszystko mnie, prawda? – upewniłem się.

Marcus uśmiechnął się lekko.

– Tak. Spokojnie. Sabrina się nimi zaopiekuje.

To były puste słowa. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że pobyt w siedzibie wojowników jest bardzo ryzykowny i że Sabrina będzie miała niewielki wpływ na rozwój wypadków. Sydney jak zwykle bardziej martwiła się o mnie.

– Uważaj na siebie, Adrian. Ja też chcę odnaleźć Jill, ale nie twoim kosztem.

– Będę się kontrolował – obiecałem. – Poza tym to ty wchodzisz do gniazda szerszeni.

– Takie mamy zadania – odparła po prostu. – Ty swoje, a ja swoje.

Wspięła się na palce, żeby pocałować mnie lekko w policzek. To mi nie wystarczyło. Chwyciłem Sydney w ramiona i pocałowałem długo i namiętnie, nie bacząc na świadków. Kiedy odsunęła się ode mnie, jej twarz, choć nowa, zaróżowiła się w znajomy sposób.

– Mogłam się tego po tobie spodziewać – przyznała.

– No widzisz – mruknąłem. – Lada moment odzyskamy Jill. Kiedy to się stanie, zadbamy o własną wolność i odtąd będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Niby jak zamierzasz to osiągnąć? – spytała ciotka Tatiana. Wracając na dwór? A może przeniesiecie się do stróżów w Michigan?

Miałem uczucie, że Sydney także stawia sobie te pytania, ale nie wypowiada ich głośno. Popatrzyła na mnie z miłością i nadzieją, całując na pożegnanie raz jeszcze. A za chwilę Sabrina usadziła Sydney i Eddiego w wozie i rozpoczęli tę dziwną przygodę. Stałem w drzwiach z Marcusem i patrzyłem w noc długo po ich odjeździe.

– Mam nadzieję, że to dobry plan – powiedziałem ze ściśniętym sercem.

Marcus westchnął, tym razem jego optymistyczny nastrój nieco przygasł, ustępując znużeniu. Musiało być mu ciężko nieustannie przekonywać ludzi, że każdy jego ryzykowny pomysł był wart realizacji.

– Nie patrz na to w ten sposób – powiedział. – To po prostu nasz jedyny plan.

ROZDZIAŁ 15

Sydney

OD CALEXICO DZIELIŁY NAS PRAWIE DWIE GODZINY DROGI, mieliśmy więc przed sobą długą i dziwną podróż. Mniej więcej w połowie Sabrina zatrzymała się, żeby – zgodnie z protokołem wojowników – zawiązać nam oczy. Do końca powtarzała informacje, których nauczyliśmy się już na pamięć, a które były niezbędne, by to niezwykle przedsięwzięcie się powiodło. Udało mi się medytować, koncentrując się wyłącznie na Jill i na moim celu, bez emocji. Staralam się zwłaszcza nie zamartwiać o Adriana. Wiedziałam, że to by mnie osłabiło. Zastosowałam się do rady Sabriny i skupiłam na czekającym mnie zadaniu. Dzięki temu mogłam nabrać dystansu.

A potem dotarliśmy do siedziby wojowników.

Sabrina ostrzegła nas, że dojeżdżamy, gdy samochód zwolnił przed bramą. Usłyszałam, że otwiera się okno samochodu.

– Sabrina Woods – powiedziała. – Wiozę dwoje potencjalnych rekrutów.

– Aż dwoje? – zaszeleścił głos, jakby jego właściciel był ubawiony, nie zaniepokojony.

Sabrina zdobyła się na absolutny spokój.

– W zeszłym roku nie przywiozłam żadnego. Nadrabiam zaległości.

– Zabierz ich do pomieszczenia socjalnego – padła odpowiedź.

Okno się zamknęło i Sabrina powoli ruszyła. Westchnęła z ulgą; musiała się bardzo denerwować przed tą pierwszą próbą. Usłyszeliśmy pisk opon szorujących po żwirze i chwilę później samochód się zatrzymał. Sabrina zgasiła silnik i otworzyła drzwi od swojej strony.

– Wsiadka – oznajmiła.

Poprowadziła nas w stronę, z której dobiegały odgłosy rozmów. Nareszcie zdjęto nam przepaski z oczu. Wokół rozciągał się pustynny krajobraz – naga ziemia upstrzona gdzieniegdzie kępami zarośli. W pobliżu stało kilka baraków. Przypominało to nieco posiadłość Wolfe'a, tyle że w znacznie gorszym stanie. Dwóch mięśniaków z bronią gawędziło przyjaźnie przed wejściem do dużego budynku, dopóki nas nie zobaczyli. Sabrina powtórzyła to, co powiedziała przy wjeździe, i dodała:

– Są rodzeństwem.

Jednemu z mięśniaków to się chyba spodobało.

– Ostatecznie to organizacja rodzinna.

Nigdy bym tak nie pomyślała o wojownikach, ale posłałam mu uśmiech, który, miałam nadzieję, wyglądał dziarsko i swobodnie zarazem. Strażnicy przeszukali nas, sprawdzając, czy nie mamy broni lub lokalizatorów. Zrobili to szybko i na szczęście z zachowaniem zasad przyzwoitości. Oboje z Eddiem zostawiliśmy komórki u Howiego, więc nie znalazłszy nic podejrzanego, mężczyźni machnęli, byśmy weszli do środka. Sabrina chciała pójść z nami, ale jeden ze strażników pokręcił głową.

– Idą sami – powiedział. – Ty możesz wejść drzwiami dla widzów z drugiej strony.

Sabrina uprzedziła, że w którymś momencie nas rozdzieli, więc starałam się nie okazać strachu, gdy rzuciła zdawkowe słowa pożegnania i życzyła powodzenia. Wyszliśmy z Eddiem przez drzwi na otwartą piaszczystą arenę przypominającą miejsce, w którym kiedyś wojownicy przetrzymywali Sonię. Odniosłam wrażenie, że pierwotnie było to boisko do gry w koszykówkę

albo siatkówkę, ale coś mi mówiło, iż tego dnia zmieni swoje przeznaczenie.

Na placu znajdowało się kilkadziesiąt osób. Część stała w grupach, inni ostentacyjnie trzymali się na uboczu, wypatrując potencjalnych przeciwników. Jedni wyglądali zwyczajnie, jak ludzie, których spotyka się w centrach handlowych. Inni zaś jakby mieli wypisane na czole: „Tak, chcę dołączyć do fanatycznej grupy nienawidzącej wampirów”. Wszyscy mogli być naszymi rówieśnikami. Tyle samo dziewczyn i chłopaków, z lekką przewagą tych drugich. Na trybunach powoli zajmowali miejsce widzowie. Dostrzegłam Sabrinę i skinęłam jej pospiesznie głową, a potem obróciłam się do Eddiego.

– Miało się zacząć o świcie – zauważyłam. Niebo po wschodniej stronie zabarwiło się na pomarańczowo, a wyżej roztaczała się jasnopurpurowa poświata. – Czyli lada moment.

– Nie wiemy tylko, CO właściwie się zacznie – mruknął Eddie, jednocześnie rejestrując szczegóły otoczenia. Jako dampir wypatrywał potencjalnych zagrożeń w każdej sytuacji. Teraz nie opuszczał gardy nawet na chwilę.

– Mam tylko nadzieję, że uda nam się...

Moje słowa zagłuszył dźwięk trąbki. Wszyscy zwróciliśmy się w jedną stronę i ujrzelśmy trzech mężczyzn ubranych w żółte szaty i złote hełmy. Zdrętwiałam, a Eddie zerknął na mnie z niepokojem.

– Co jest? – spytał szeptem.

– Znam dwóch z nich. To mistrzowie Angeletti i Ortega. Byli na ostatnim zgromadzeniu.

– Pamiętaj, że nie mogą cię rozpoznać.

Kiwnęłam głową, ale widok znajomych twarzy mocno mnie poruszył. Czekałam na moment, w którym jeden z nich mnie wskaże i oświadczy, że jestem wrogiem, a wówczas cała banda rekrutów rzuci się na mnie.

Ale mistrzowie nie poświęcili mi więcej uwagi niż pozostałym. Kiedy trzeci z nich – trębacz – skończył grać, przemówił Mistrz Angeletti. Miał niski głos i wiecznie zmierzwioną siwą brodę.

– Widzicie? – spytał, unosząc ręce do wschodzącego słońca. – Dlatego tu jesteśmy, to daje nam życie. Słońce. Światło. Urodziliśmy się do światła, do dobra. Przypomina mi to mój ulubiony psalm:

*Ludzkość zrodziła się w świetle
By lśnić dobrocią, lśnić jasnością
Tylko zło czai się nocą
Wygnałmy je poza nasz krąg.*

Omam nie zakrztusiłam się od śmiechu, słysząc przykład poezji, jaką mogłabym stworzyć sama w wieku dziesięciu lat. Ale twarz Mistrza Angelettiego wyrażała uniesienie, podobnie jak innych wojowników, którzy gorliwie mu przytakiwali, jakby cytował sonet Szekspira.

– Tak chciała natura – mówił dalej. – Ci, którzy czają się w mroku, nie zostali uwzględnieni w boskim planie. Są źli i zwyrodniali, a zadaniem naszej armii jest ich wyeliminować i ocalić rodzaj ludzki.

Teraz głos zabrał Mistrz Ortega.

– Przybyliście tutaj, ponieważ pragniecie unicestwić ten mrok i wasi sponsorzy uważają, że zasługujecie, by do nas dołączyć. Nie popełnicie jednak błędu: to my zdecydujemy, kto z was naprawdę jest tego wart. Nie będzie to łatwe. Zostaniecie poddani testom i ocenie. Zbadamy wasze dusze. Jeśli ktoś się boi albo wie, że nie wytrzyma konfrontacji, może odejść teraz.

Zapadła cisza. Mistrz rozglądał się wyczekująco. Kilko rekrutów przestąpiło z nogi na

nogę, ale nikt nie ruszył do wyjścia.

– Bardzo dobrze – zagrział Mistrz Ortega. – Zaczniemy więc próby!

Jeśli kiedykolwiek zastanawiałam się, czym w istocie różnią się alchemicy od wojowników, odpowiedź przyszła teraz. Niezależnie od swoich wad alchemicy niemal zawsze trzymali się zasady: najpierw myśl, potem działaj. A wojownicy? Niekoniecznie.

Po oficjalnym rozpoczęciu Mistrz Ortega przekazał prowadzenie osobie odpowiedzialnej za przebieg prób, którą ku memu zdumieniu okazał się Chris Juarez, kuzyn Treya. Nie widziałam go od czasu, gdy wojownicy schwytali Sonię, a Trey przestał opowiadać o swojej rodzinie, gdy ta go wykłęła. Trey upokorzył ich, spotykając się z dampirzycą. Za to Chris musiał wykazać się posłuszeństwem i karnością, skoro zdobył tak wysoką pozycję. Wyszedł na środek dumnym krokiem, ubrany zwyczajnie – w dżinsy i obcisłą koszulkę podkreślającą zgrabną umięśnioną sylwetkę.

– Nie byłoby was tutaj, gdybyście nie pragnęli oczyścić świata ze zła – zaczął. – Wkrótce ocenimy, jak bardzo tego pragniecie. Ale najpierw chcemy się przekonać, czy potraficie stanąć twarzą w twarz ze złem. Czy boicie się bólu? Zbrukania? Czy boicie się postąpić, tak jak trzeba, by ludzkość nadal żyła w światłości? – z każdym pytaniem mówił coraz głośniejszym głosem. Wykrzykiwał kolejne słowa, pobudzając publiczność i rekrutów, którzy coraz bardziej się gorączkowali.

Niektórzy ludzie stojący obok nas wołali coś do niego w odpowiedzi. Jakiś chłopak wydał z siebie pierwotny okrzyk wojenny, czym wzbudził aplauz na trybunach. Co do mnie, bardzo starałam się wyglądać na podnieconą i zainteresowaną i nie okazać szoku i obrzydzenia, które odczuwałam w rzeczywistości.

Podczas przemowy Chrisa wojownicy ustawiali na arenie dziwaczne przedmioty: drewniane skrzynie, blaszane puszki, wiadra i pustaki. Przyszło mi na myśl, że aranżują nietypowy tor przeszkód. Kiedy skończyli, podchodzili do każdego z nas, wręczając drewniane serca na sznurku. Na moim wypisano imię i nazwisko, które przyjąłam – Fiona Gray. Eddie dostał swoje jako Fred Gray.

– Symbolizują one wasze serca, wasze życie – objaśniał Chris. – Chcemy się teraz dowiedzieć, kto ich pragnie najmocniej. Kto jest gotów zrobić wszystko, by zostać zwycięzcą. Panie, odsuńcie się i zajmijcie wskazane miejsca. – Pokazał nam trybuny. – Panowie siadają tam, gdzie zechcą.

Na krótką chwilę mój wzrok powędrował w stronę Eddiego.

– Powodzenia – szepnęłam, odchodząc.

– Nie będzie mi potrzebne w tej zgrai – odparł.

Uśmiechnęłam się i usiadłam obok dziewczyny sprawiającej wrażenie gburowatej. Była wyższa ode mnie o głowę i umięśniona niemal tak samo jak Chris. Męska część rekrutów liczyła około trzydziestu osób. Rozproszyli się na arenie. Niektórzy stawali na skrzynkach, inni sięgali po przedmioty, które mogłyby posłużyć jako broń, na przykład pustaki. Eddie ustawił się strategicznie w stosunku do pozostałych, wybierając wokół wolną przestrzeń i dobry widok.

– Macie godzinę – ciągnął Chris – żeby zebrać jak najwięcej serc waszych przeciwników, używając w tym celu dowolnych środków. Każdy sposób jest dobry. Dozwolona jest każda taktyka – choć prosimy, byście się nawzajem nie pozabijali. Sześcioro zawodników, którzy zgromadzą największą liczbę serc, przechodzi do następnego etapu. Jeśli w dowolnym momencie poczujecie, że chcecie zrezygnować, odejdźcie na ławkę. – Pokazał miejsce na trybunach, gdzie stał mężczyzna w czerwonym kapeluszu. – I opuśćcie dłonie. Zostaniecie zwolnieni z udziału w turnieju, a Bart udzieli wam w razie potrzeby pierwszej pomocy.

Bart w koszuli w kratę i podartych dżinsach nie wyglądał na medyka, ale przecież pozory często mylą.

Ścisnęło mnie w dołku, gdy Chris chciał wiedzieć jeszcze, czy ktoś ma jakieś pytania i czy wszyscy są gotowi. Sabrina ostrzegała nas, że rekrutacja będzie mieć formułę turnieju, ale nie podała szczegółów. Zasady zmieniały się każdego roku, by żaden z wprowadzających nie mógł uprzedzić rekrutów. Wojownicy pokazywali, że chcą grać uczciwie, co zakrawało na ironię, biorąc pod uwagę, że Sonię otumanili narkotykami i zamierzali ją zabić, gdy była wyczerpana.

Chris podniósł rękę na znak, że turniej się rozpoczyna, i w powietrzu zapadła pełna napięcia cisza. Eddie pochylił się do przodu. Miał czujne spojrzenie i postawę wyrażającą gotowość do walki.

– Start! – wrzasnął Chris, opuszczając rękę.

Potem zapanował chaos.

Chłopcy rzucali się na siebie jak sfora psów walczących o ochłap mięsa. Niektórzy atakowali całym ciałem, próbując obalić przeciwnika na ziemię i wykraść mu serce. Inni zachowywali się dziko – ciskali wokół pustakami i innymi ciężkimi przedmiotami. Koncentrowałam się na Eddiem, który zachowywał się spokojnie, czekając na napastników. Jego siła nie rzucała się w oczy i wielu sądziło, że będzie łatwym łupem. Wkrótce jednak ich błąd okazał się oczywisty, gdyż Eddie unieszkodliwiał jednego po drugim, nokautując ich precyzyjnymi ciosami rąk i nóg, a następnie zbierał ich serca. Utrata serca nie oznaczała jednak, że ktoś wypadła z gry. Jeśli udało mu się je odzyskać – lub zgromadzić większość po godzinie – przechodził dalej. Część tych, którym Eddie odebrał serca, próbowała je odzyskać. Inni atakowali na pozór słabszych przeciwników.

Moje prawdziwe serce – to w piersi – waliło jak młot, gdy na to patrzyłam. Życzyłam Eddiemu, żeby się utrzymał. Sama musiałam zrobić to samo. Do tej pory nie widziałam powodu do obaw. Dampir był szybszy i silniejszy niż większość przeciwników, a poza tym miał zaprawę i doświadczenie, co pozwalało mu wykorzystać te atuty. Innym, choć także odznaczali się siłą, brakowało umiejętności. Atakowali brutalnie, co chwilami bywało skuteczne. Zauważyłam, że jeden z chłopców rozbił drewnianą deskę na kolanie drugiego, który zwinął się z bólu i krzyczał, upadając. Napastnik odebrał mu serce i odbiegł, nie zważając na prośby poszkodowanego, by pomógł mu dojść do punktu pierwszej pomocy. Eddie, który akurat przechodził tamtędy, odprowadził chłopaka na ławkę.

Inny – ten, który na początku wydał z siebie pierwotny okrzyk – również świetnie sobie radził, eliminując jednego przeciwnika po drugim. Miał groteskowo ukształtowane mięśnie. Zastanawiałam się, czy brał sterydy, czy może mieszkał na siłowni. Najwyraźniej zyskał też fanów na trybunach, bo wykrzykiwali jego imię wraz z każdym zdobytym przez niego sercem.

– Caleb! Caleb! Dalej, Caleb!

Caleb właśnie posłał zwycięski uśmiech swoim kibicom i ruszył biegiem przez arenę, wypatrując kolejnej zdobyczy. Choć był wystarczająco silny fizycznie, by stanąć do walki wręcz, to zabrał po drodze pustak. Nie ja jedna jęknęłam, gdy roztrzaskał nim głowę jakiegoś chłopaka, który osunął się na ziemię. Caleb wyrwał mu trzy wywalzone serca i ruszył dalej. Tym razem to Bart odciągnął leżącego w bezpieczne miejsce na trybunach, a ja odważyłam się odetchnąć dopiero, gdy dostrzegłam, że biedak poruszył ręką.

Oprócz Eddiego i mnie na arenie pojawiła się jeszcze jedna para. Dwaj chłopcy usiłowali walczyć ramię w ramię i dzielić się zdobytymi sercami. To była sprytna strategia i żałowałam, że sami nie możemy jej wykorzystać. Wojownicy traktowali kwestie płci dość konwencjonalnie, choć mieli w swoich szeregach kobiety. Sabrina wyjaśniła, że są one trzymane z dala od głównej linii zagrożenia i przeznacza im się pomniejsze zadania. Nie byłam pewna, czy powinnam pochwalić wojowników za ten przejaw troski, czy poczuć się urażona faktem, iż ich zdaniem kobiety nie dorównują mężczyznom pod względem brutalności.

Mijały kolejne minuty i połowa zawodników odpadła z gry, odchodząc na miejsce, gdzie Bart udzielał im pierwszej pomocy. Prym wyraźnie wodziło kilku chłopaków: Eddie, Caleb i dwaj walczący pospołu. Pozostali atakowali się nawzajem albo obierali za cel któregoś z liderów. Chris krzyknął, że do końca pozostało jeszcze pięć minut, i jeden z chłopaków, który uświadomił sobie z rozpaczą, iż lada moment odpadnie z gry, przypuścił szaleńczy atak na Caleba. Miał nadzieję, że w ten sposób zapewni sobie wystarczającą do zwycięstwa liczbę serc. Caleb jednak znokautował szaleńca, a gdy chłopak leżał już na ziemi, szczerze go skopał. Nie reagował, gdy tamten błagał o litość.

– Weź je sobie! Weź! – Chłopak usiłował ściągnąć wszystkie serca przez głowę i oddać Calebowi, który wciąż nie przestawał. Poczułam mdłości, które narastały do chwili, gdy Caleb zostawił wreszcie nieszczęśnika w spokoju. Odszedł, kierując wzrok na Eddiego, ale na szczęście w tej chwili Chris ogłosił koniec. Wszyscy wyciągali szyje, by jak najprędzej poznać wyniki.

Jak można było się spodziewać, Caleb i Eddie zgromadzili najwięcej serc, a oprócz nich jeszcze trzech innych chłopaków, na których wcześniej nie zwróciłam uwagi. Dwóch walczących w parze uplasowało się na szóstym miejscu. Zastanawiałam się, czy wojownicy uznają siedmiu zwycięzców, ale po radzie z mistrzami Chris wybrał tylko jednego. Pogratulował drugiemu i zachęcił, by spróbował za rok. Nie widziałam, by ten, który zwyciężył – Wayne – wykazał się bardziej. Był za to wyższy i lepiej zbudowany. Coś mi mówiło, że wojownicy kładą duży nacisk na wygląd fizyczny, zakładając zapewne, że ten kto wygląda na najsilniejszego, musi być najsilniejszy.

Nie wróżyło to dla mnie dobrze. Gdy na arenę wezwano dziewczyny – było nas trzynaście – okazało się, że jestem najniższa i najdrobniejszej budowy. Chris ogłosił, iż tylko dwie dziewczyny przejdą do kolejnego etapu, o czym zadecyduje liczba zebranych serc. Spojrzeliśmy na siebie z Eddiem z przeciwnych stron areny. Dwie dziewczyny? Zrobiło się groźnie, zwłaszcza że przenikając w szeregi wojowników, mogłam dowiedzieć się więcej o miejscu przetrzymywania Jill. Eddie uśmiechnął się blado i kiwnął zachęcająco głową, jakby mówił:

– Cóż, w takim razie musisz zebrać największą liczbę.

Jasne. Drobiazg.

Obejrzałyśmy walkę mężczyzn, więc miałyśmy pewne pojęcie o tym, jaką najlepiej przyjąć strategię. Zajęłyśmy pozycje na arenie i część dziewczyn od razu sięgnęła po potencjalną broń. Widziałam, że kilka mierzyło mnie wzrokiem. Byłam najmniejsza, więc przygotowałam się do obrony. Z jednej strony uznałam to za korzystne, bo ćwiczyłam z Wolfem głównie samoobronę. Z drugiej – w ten sposób nie zdobyłabym wielu serc. Nie mam skłonności do przemocy. Eddie to urodzony napastnik, łatwiej było mu wejść w tę rolę.

Chris dał znak i na arenie znów zapanował chaos. Dwie dziewczyny natychmiast ruszyły w moją stronę. Czułam w uszach pulsowanie krwi, chłodno nakazałam sobie w myślach skoncentrować się na naukach Wolfe'a. Miałam przed sobą cel i musiałam go zrealizować. Trzymałam dystans, metodycznie stosowałam uniki i uchylałam się zwinnie przed ich często niezgrabnymi próbami obezwładnienia mnie. Moje przeciwniczki szybko się tym zmęczyły i, skoro okazałam się nie tak łatwym łupem, rzuciły się na siebie nawzajem. Upadły na ziemię, okładając się na oślep i szarpiąc za włosy. Ta, która zwyciężyła i zabrała drugiej drewniane serce, znów zwróciła się przeciwko mnie. Tym razem podjęłam walkę i zaskoczyłam ją ciosem, po którym mocno się zachwiała. Włożyłam w ten atak swoją magiczną moc. I znów pojawiło się we mnie dziwne wrażenie, że ta siła należy do mnie i nie do mnie zarazem. Wkrótce jednak przestałam na to zwracać uwagę. Po kilku nieudanych atakach dziewczyna uległa i oddała mi swoje serca.

Rozejrzałam się wokół, nie wiedząc, co robić dalej. Czułam, że powinnam zaatakować następną przeciwniczkę, ale wciąż było to dla mnie trudne psychicznie. „To twoja rola, Sydney – powiedziała sobie. – Graj. I nie miej wyrzutów sumienia. Pamiętaj, kim są ci ludzie. Co mogą zrobić Jill”.

Na szczęście nie musiałam wybierać ofiary, bo kolejna z dziewczyn uznała, że moje zwycięstwo było zrzędzeniem przypadku. Odegrałyśmy scenę podobną do poprzedniej, bo najpierw długo ograniczałam się do samoobrony. „Najlepsza walka to ta, której możesz uniknąć” – powtarzał Wolfe.

Pozwoliłam przeciwniczce zmęczyć się szarżą, a kiedy straciła cierpliwość i rzuciła się na mnie, podciąłam jej nogę i przygwoździłam do ziemi. Upadając, skręciła kostkę, i odebrałam jej serce bez trudu. Było jasne, że wypadła z turnieju; pomyślałam z ulgą, że kontuzja nie wymaga poważnej interwencji medycznej. Biorąc pod uwagę jęki wokół nas, pozostałe dziewczyny nie miały tyle szczęścia.

Zdobyłam już trzy serca i byłam z tego dumna. Szybkie spojrzenie na Eddiego siedzącego w gronie zwycięzców przywołało mnie jednak do porządku. Machał do mnie gorączkowo, co wyraźnie znaczyło, że muszę się pospieszyć. Inne dziewczyny zdążyły już zebrać więcej serc. Zanim zdecydowałam się na zmianę strategii, ktoś inny postanowił za mnie.

Dziewczyna siedząca wcześniej obok, ta duża i umięśniona, natarła na mnie z całą siłą. Zderzyłyśmy się i upadłyśmy na ziemię. Zaciśnęła pięść wokół sznurków na mojej szyi i szarpnęła, o mało mnie nie dusząc. Jej agresja obudziła we mnie magiczną moc. Odepchnęłam przeciwniczkę jednym ruchem. Zrzuciłam ją z siebie i poderwałam się z ziemi. Ona także się podniosła i spojrzała na mnie przytomnie, najwyraźniej zaskoczona moją nieoczekiwaną siłą. Chris ogłosił pięć minut do końca. Przygotowałam się na kolejną szarżę olbrzymki, ale ta wzruszyła tylko ramionami, obróciła się na pięcie i skierowała w inną stronę. Po chwili zrozumiałam. Miała najwięcej serc. Skoro czas dobiegał końca, nie chciała ryzykować ich utraty na rzecz najmniej przewidywalnej rywalki. Wołała grać bezpiecznie do końca. Kilka pozostałych dziewczyn tymczasem gorączkowo walczyło o drugie miejsce.

A ja? Miałam szansę na trzecie – tyle że trzeciego nie przewidywano.

Znów zerknęłam na Eddiego i zobaczyłam, że jest poważnie zaniepokojony. I wtedy mój wzrok padł na kogoś, kto siedział tuż obok niego: na Caleba, pewnego siebie próżnego osiłka. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, podbiegłam i podniosłam go z miejsca za koszulę. Magiczna moc płonęła we mnie, czułam, że jestem mu równa siłą. Zaskoczenie działało na moją korzyść. Wymierzyłam Calebowi cios, po którym Wolfe byłby ze mnie dumny, i kopnęłam go w kolano. Nie złamałam mu kości, ale chłopak zachwiał się i upadł. Błyskawicznie zerwałam z szyi mięśniaka serca i odskoczyłam, zanim, rycząc ze wściekłości, spróbował uderzyć mnie pięścią. Eddie zerwał się z miejsca gotów mnie bronić, ale w tej samej chwili Chris ogłosił koniec turnieju.

Podbiegł do nas z gniewnym grymasem.

– Co ty wyprawiasz, do diabła?! – krzyknął.

– Zwyciężam – odparłam. Podniosłam w górę zdobyte wcześniej trzy serca oraz pęk odebranych Calebowi. – Powiedziałeś, że zwyciężczyniami zostaną te, które zdobędą po godzinie najwięcej serc. To ja.

Chris zaczerwienił się, bo trafiłam w sedno.

– Tak, ale...

– Powiedziałeś również, że każda taktyka jest dopuszczalna.

– Ale...

– Oraz – ciągnęłam triumfalnie – pytałeś, czy jesteśmy gotowi na wszystko w walce ze

złem. Ja jestem. Nawet jeśli to oznacza konfrontację z kimś większym i silniejszym ode mnie, a takie z pewnością są wampiryczne demony. – Machnęłam lekceważąco ręką w kierunku pozostałych dziewczyn, które gapiły się na mnie z otwartymi ustami. – Miałam walczyć z nimi?

Zapadła cisza. Wśród zebranych zapanowała konsternacja. A potem usłyszałam śmiech. Mistrz Angeletti torował sobie drogę przez trybuny, uważając, by nie przydeptać złotej szaty. Był szczerze rozbawiony.

– Ona ma rację, Juarez. Przechytrzyła cię, a skoro to jej się udało i pokonała najsilniejszego z męskich zawodników, zasłużyła na zwycięstwo.

Caleb był czerwony jak burak.

– Nie bronilem się jak należy. Przecież to tylko dziewczyna.

Mistrz Angeletti uspokoił go machnięciem ręki.

– Spokojnie. Ty też zostajesz. Ta dziewczyna... Jak masz na imię?

– Fiona, proszę pana. Fiona Gray.

– Fiona Gray dostanie miejsce kobiece. Na drugiej pozycji plasuje się ta młoda dama.

– Mistrz skinął głową wysokiej zawodniczce, która ostrożnie grała na zwłokę. Miała na imię Tara. Chociaż nie była zachwycona moim pierwszym miejscem, nie skarżyła się, skoro pozwolono jej zostać. Za to dziewczyna, która straciła drugą pozycję, obrzuciła mnie stekiem wyzwisk. Najwyraźniej rozbawiła tym zwierzchników, ale nie zmienili zdania. Ona i pozostałe pokonane zostały odprawione z kwitkiem.

Dla nas, zwycięzców, urządzono bankiet w pomieszczeniu służącym za jadalnię. Siedmioro z nas usadzono przy jednym stole, podczas gdy wojownicy zajęli pozostałe. Wolałabym wziąć w tym czasie prysznic, ale cieszyłam się, że mogę usiąść obok Eddiego. Uśmiechnęliśmy się do siebie nad talerzami pełnymi żeberek, podczas gdy pozostali wciąż przeżywali turniej i snuli plany, jak „totalnie” rozłożymy prawdziwe wampiry. Większość była pod wrażeniem mojego sprytu i miała z tego niezły ubaw. Sam Caleb nie wydawał się rozbawiony. Podczas posiłku raz po raz rzucał mi złe spojrzenia i miałam nadzieję, że nie będę żałować tego, co zrobiłam.

Po lunchu wojownicy uznali, że skoro przetestowali już naszą gotowość do brutalnej walki – przynajmniej na razie – pora przekonać się, kim jesteśmy. Wzywano nas kolejno na rozmowy z wielkimi mistrzami oraz wybraną grupą wojowników, by wy badać nasze intencje. Wywoływano nas w porządku alfabetycznym, co oznaczało, że wejść przed Eddiem i nie będę mogła w razie czego go ostrzec. Ten zwyczaj nie zmienił się od lat i Sabrina uprzedziła, jak powinniśmy się zachować: mieliśmy powtarzać, jak bardzo nienawidzimy wampirów.

Nie spodziewałam się, że to przesłuchanie tak bardzo będzie mi przypominało rozmowy prowadzone w ośrodku reedukacji.

Posadzono mnie naprzeciw mistrzów i męskiej rady i pokazano duży ekran zawieszony na ścianie. Pojawiło się na nim zdjęcie uśmiechniętego moroja.

– Co widzisz? – spytał Mistrz Angeletti.

Serce uwięzło mi w krtani i nagle powróciło wspomnienie chwil spędzonych w podziemnym więzieniu, gdy siedziałam przywiązana do krzesła, patrząc w ładną, acz okrutną twarz Sheridan.

– *Co widzisz, Sydney?*

– *Morjów, proszę pani.*

– *Źle. Widzisz stwory ciemności.*

– *Tego nie wiem. Może nimi są. Musiałabym wiedzieć coś więcej na temat tych konkretnych morjów.*

A potem zaczęły się tortury. Wpychała moją rękę do kwasu i czułam, jak wypala mi on

ciało. Zmuszała mnie do znoszenia bólu tak długo, aż wreszcie się z nią zgodzę i powtórzę, że moroje są stworami ciemności. Wspomnienie o tym było tak intensywne, tak żywe, że poczułam gęsią skórę. Pokój, w którym siedziałam naprzeciwko rady wojowników, zdawał się kurczyć. Stawał się więzieniem ośrodka reedukacji. Przestraszyłam się, że lada chwila zemdleję.

– Fiona? – Mistrz Angeletti przyglądał mi się z ukosa. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, lecz w jego głosie usłyszałam pobłażanie. Pewnie sądził, że onieśmiela mnie jego obecność. – Co widzisz?

Przełknęłam ślinę, paraliżowana lękami z przeszłości. Ponieważ milczałam, inni wojownicy także zaczęli patrzeć na mnie z zaciekawieniem. „To jest gra, Sydney! – powtarzałam w myślach gorączkowo. – Już raz w nią zagrałaś, możesz zrobić to znowu. Nie jesteś w ośrodku reedukacji. Nie jesteś w pułapce, lecz walczysz o życie Jill”.

Jill.

Jej imię i wspomnienie niewinnej twarzy przywołało mnie do porządku. Zamrugałam i na powrót skupiłam się na ekranie.

– Zło – odparłam. – Widzę zło, które nie należy do naturalnego porządku.

Zaczęło się. Odpowiadałam tak, jak uczyła nas Sabrina, choć właściwie nie potrzebowałam jej wskazówek. Wystarczyło, że mówiłam to, czego oczekiwano ode mnie w ośrodku reedukacji. Recytowałam wyuczoną historię o tym, jak z bratem Fredem zostaliśmy napadnięci przez strzygi i ledwie uszliśmy z życiem. Jak na próżno żądaliśmy jakiegokolwiek reakcji władz i nikt nam nie wierzył. Przekonani, że to, co widzieliśmy, było prawdziwe, szukaliśmy pomocy przez kilka długich lat, aż wreszcie poznaliśmy Sabrinę, która opowiedziała nam o misji wojowników.

Pod koniec rozmowy członkowie rady uśmiechali się do mnie zachęcająco, najwyraźniej usatysfakcjonowani odpowiedzią. Odwzajemniałam uśmiechy, ale w głębi duszy czułam się rozbita. Ledwo powstrzymywałam drżenie wywołane wspomnieniami pobytu w ośrodku. Skinęłam uspokajająco głową Eddiemu, kiedy wyszłam do poczekalni, i usiadłam zadowolona, że nikt nie chce ze mną rozmawiać. Zyskałam czas, by uspokoić oddech i otrząsnąć się ze wspomnień. Eddie wrócił po dłuższej chwili, rozdrażniony pytaniami, ale ogólnie odprężony.

– To psychole – mruknął cicho, uśmiechając się na użytek zawodników czekających w pomieszczeniu. – Trzymałem się naszej wersji. Chyba to łyknęli.

– Podobnie było ze mną – odparłam, choć zazdrościłam Eddiemu, że nie musiał walczyć z przykrymi wspomnieniami.

Kiedy rozmowy się skończyły, nadszedł czas na obiad i kolejny bankiet w sali jadalnej. Podczas posiłku Mistrz Ortega zadekłamał psalm i wygłosił długie kazanie o chwale ludzkości, światłości i o tym, że wszyscy doskonale się spisaliśmy podczas walki. Podobne kazania słyszałam u alchemików, jeszcze zanim trafiłam do ośrodka reedukacji. Czy kiedykolwiek uwolnię się od ludzi, którzy będą usiłovali wpoić mi swoje przekonania?

Na szczęście dano nam czas wolny i mieliśmy okazję zamienić kilka słów z Sabriną. Inni sponsorzy także rozmawiali ze swoimi rekrutami, więc nie budziliśmy podejrzeń.

– Radzicie sobie jakoś? – spytała cicho. Kiwnęliśmy potakująco głowami. Uśmiechnęła się do mnie szelmowsko. – Śmiało sobie poczynałaś z Calebem.

– Pomyślałam, że potrafią docenić brawurę – odparłam.

– Tak i nie – mruknęła. – Dzięki takiej szarzy łatwo zapunktować, ale niektórzy nie lubią łamania zasad.

– Skądś to znam. – Pomyślałam o alchemikach.

– Co będzie dalej? – chciał wiedzieć Eddie.

Sabrina rozejrzała się i wzruszyła ramionami.

– Dziś już niewiele. Mają tu osobne dormitoria dla dziewczyn i chłopaków. Wkrótce pójdziemy spać. Będiesz miała okazję trochę powęszyć, Sydney. Zajrzałam tu i ówdzie, i nie znalazłam wielu zamkniętych drzwi. Mówiłaś, że one byłyby największym problemem?

– Tak – potwierdziłam. Zakłęcie niewidzialności mogło mi pomóc, ale nie zdałoby się na nic, gdyby ktoś zobaczył samoczynnie otwierające się drzwi. – I monitoring.

Sabrina potrząsnęła głową.

– W ośrodku nie ma kamer. Zainstalowano je przy ogrodzeniu. Wojownikom zależy, żebyśmy pozostali na miejscu i by nikt z zewnątrz nie dostał się do środka. Jeśli staniesz się niewidzialna, możesz bez przeszkód obejść cały budynek. Przed wejściem do chronionych pomieszczeń ustawiono wartowników, ale mam nadzieję, że zdołasz przejść obok nich.

– Oby. – Nie przywykłam jeszcze do myśli, że uzbrojeni strażnicy nie są dla mnie wielką przeszkodą. – Problem w tym, że nie wiem, gdzie szukać.

– Ale ja wiem – odparła Sabrina. – Natrafiłam dziś na pewne miejsce. Jeśli wyrzysz przez okno za moimi plecami, zobaczysz duży szary budynek. To dormitorium dla dziewczyn. Po prawej jest dla chłopaków, a dalej budynek będący kwaterą mistrzów. Tam znajdziesz odpowiedź.

Wyjrzelśmy z Eddiem przez okno. Dampir zmarszczył brwi.

– Nie podoba mi się, że cała odpowiedzialność spada na ciebie. Czuję się niepotrzebny.

Dotknęłam jego ramienia.

– Jesteś moim wsparciem – zapewniłam. – Czuję się raźniej, wiedząc, że tu jesteś.

– Poza tym możemy potrzebować twojej pomocy, kiedy trzeba będzie stąd umykać – dodała Sabrina.

Zorientowałam się, że mówi w liczbie mnogiej.

– Uciekniesz z nami? – spytałam.

– Kiedy się stąd ulotnicie, będę miała nieprzyjemności, że sprowadziłam fałszywych rekrutów. Nawet jeśli nie oskarżą mnie o spiskowanie, to uznają, iż popełniłam rażąco błęd. Nie chcę za to odpowiadać. Poza tym – westchnęła – mam już po dziurki w nosie tej roboty. Chętnie pomogę Marcusowi w inny sposób.

Czas wolny dobiegł końca i wszyscy zostali odesłani do dormitoriów. Chris radził rekrutom, żeby od razu szli spać, bo jutro czeka nas „wielki dzień”. Starłam się nie skrzywić. Byłam obolała po dzisiejszej walce, a miałam jeszcze zadanie do wykonania.

Wchodząc do dormitorium dla dziewczyn, przekonałam się, że Sabrina mówiła prawdę. Przejścia między pokojami i korytarzami były otwarte. Wiele okien również. W drzwiach wisiały zasłony mające zapewnić poczucie prywatności, ale nie sięgały nawet podłogi. Idealna sytuacja dla szpiega, szczególnie że przy tak niewielkiej liczbie dziewczyn dormitorium było pustawe.

Niestety, nie dostałam osobnego pokoju. Ktoś wpadł na błyskotliwy pomysł zakwaterowania mnie z Tarą. Zerkała na mnie spode łba, gdy ścieliłyśmy łóżka, pomrukując, że udowodni wszystkim, iż jest lepsza ode mnie. Nie podejrzewałam, by zamierzała napaść mnie we śnie, miałam jednak inny problem. Mogła obudzić się w środku nocy i zobaczyć, że mnie nie ma. Doniosłaby na mnie, musiałam więc rzucić na nią zakłęcie usypiające, chociaż jeszcze nigdy tego nie robiłam.

Czekałam do chwili, aż zasnęła, a potem stanęłam w ciemnym pokoju. Zasłona wisząca w naszych drzwiach sięgała dwóch trzecich wysokości i wpuszczała nieco światła z korytarza. Przyglądałam się śpiącej Tarze, w duchu przygotowując się do rzucenia zaklęcia. Ten czar nie wymagał dużo siły, raczej skomplikowanych obliczeń. Działał podobnie jak narkotyk. Ilość potrzebnej magii zależała od rozmiarów delikwenta. Usiłowałam odgadnąć, ile dziewczyna może ważyć. Osiemdziesiąt kilogramów? Gdyby zakłęcie okazało się zbyt słabe, mogła obudzić się wcześniej, a na to nie mogłam sobie pozwolić. Wolałam się zabezpieczyć i rzuciłam zakłęcie

potrzebne, by uśpić osobę o wadze stu kilogramów.

Razem z czarem, który na nią spłynął, Tara zaczęła głębiej oddychać, a jej twarz wyraźnie się odprężyła. Może właśnie wyświadczyła jej przysługę. Głęboki sen tej nocy zapewne pomoże jej w jutrzejszym turnieju. Nie miała pojęcia, że wkrótce zostanie sama na placu boju. Cofnęłam się, rzucając zaklęcie na siebie, i stałam się niewidzialna. Włożyłam w ten czar tyle magii, na ile mnie było stać. Musiał utrzymać się wystarczająco długo i nie dać się łatwo rozproszyć.

Następnie uklękłam i na czworakach przeczołgałam się na korytarz pod zasłoną, starając się jej nie potrącić. Zobaczyłam strażnika z bronią. Stłumił ziewnięcie. Najwyraźniej nie spodziewał się żadnych zakłóceń tej nocy. Bez trudu przeszłam obok niego i wydostałam się na zewnątrz przez otwarte okno, by zbadać tajemnice siedziby wojowników.

ROZDZIAŁ 16

Adrian

NIE MOGŁEM ZASNAĆ po wyjeździe Sydney. Nie potrafiłem odsunąć od siebie lęku przed ryzykiem, jakiemu musiała stawić czoło. Nie mogłem jej chronić. Fakt, że była odważna, mądra i kompetentna, nie miał dla mnie znaczenia. Czułem, że powinienem się nią opiekować.

Drugim powodem mojej bezsenności było łóżko zrobione z worka fasoli.

– Na pewno nie chcesz spać na kanapie? – spytał Marcus.

Potrząsnąłem głową i kilkoma uderzeniami pięści próbowałem nadać workowi odpowiedni kształt.

– Ty się tam połów – powiedziałem. – Nie sądzę, żebym dzisiaj w ogóle zasnął.

Marcus się uśmiechnął.

– Howie z pewnością mógłby ci dać coś na sen.

– Nie, dziękuję – prychnąłem.

Marcus pogasił światła i zwinął się w kłębek na sofie koloru musztardy. Zapadła cisza, przerywana jedynie słabymi dźwiękami *Mr Tambourine Man* dobiegającymi raz po raz z piwnicy. Przewracałem się z boku na bok, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, ale bez skutku. Starłem się nie myśleć o Sydney i skupić się na dniu jutrzejszym. Miałem pomóc czarownicom w przesłuchaniu Alicji. Myśl o tym nie uspokajała, ale przynajmniej pozwoliła mi na chwilę odsunąć niepokój. Maude poinformowała przed wyjazdem, że ktoś przyjedzie po mnie wieczorem i zabierze do miejsca, w którym trzymały Alicję. Czarownice zapewne sporo się natrudziły, by znaleźć odpowiednie lokum i sposób na przewiezienie tam również panny Terwiliger, którą szpiegowali alchemicy.

Mimo nawału myśli jakimś cudem jednak zasnąłem. I ktoś wciągnął mnie do snu wywołanego mocą ducha. Gdy wokół powoli materializował się fantastyczny tropikalny ogród, domyśliłem się, kto jest jego twórcą.

– Witaj, Soniu – powiedziałem.

Wyłoniła się zza krzewu kapryfolium w swoim zwykłym stroju ogrodniczki, z rudymi włosami upiętymi w stylowy kok.

– Hej, Adrian! – rzuciła na powitanie. – Ostatnio trudno cię złapać podczas snu. Nie wiem, w jakich porach teraz funkcjonujesz.

– Nie da się określić – przyznałem. – Nie spałem od dawna. Jestem bardzo zajęty.

– Zorientowałam się. Chodzą pogłoski, że alchemicy już wiedzą o waszym wyjeździe z dworu.

– Obawiam się, że to prawda. – Oparłem się o drzewo palmowe. – Mogłaś zwyczajnie zadzwonić.

Skinęła głową.

– Wiem. Chciałam jednak pogadać z tobą twarzą w twarz. Jest też coś, co możesz zobaczyć tylko we śnie. Właściwie ktoś.

Nie od razu zrozumiałem, o kim mówi.

– Charlotte?

Sonia posmutniała.

– Tak. Jej stan niewiele się poprawił. Niby wyszła ze śpiączki, lecz nie reaguje dobrze na

bodźce. Jeśli postawisz przed nią posiłek, zje. Jeśli włączysz prysznic, stanie pod strumieniem wody. Ale właściwie nie podejmuje samodzielnych działań. I nie rozmawia z nikim.

Poczułem, jak kręci mi się w głowie. Użyłem magii, żeby wyczarować ławkę i na niej usiąść.

– Jakie są rokowania? – spytałem.

– Nie wiem. – Sonia usiadła obok mnie. – Błagam o poprawę jej stanu. Nigdy nie powiem, że nie ma nadziei. Ale to przeciążenie... Nie była na nie gotowa. Od dawna nadużywała mocy, więc zaburzyła jej równowagę, i nie poradziła sobie z tą ilością, którą przywołała. Bardzo ucierpiała.

Serce mi się ścisnęło.

– Powinienem był ją jakoś powstrzymać.

– Nie sądzę, by to było możliwe, Adrian. Charlotte zrobiłaby wszystko, żeby odnaleźć siostrę.

Zawahałem się, czy wypowiedzieć następne słowa.

– Odnalazłem ją. Znalazłem Olive i dowiedziałem się, dlaczego uciekała. Ale... ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia.

Sonia nie wypytywała mnie o szczegóły.

– Chyba więc jej tego nie powiem.

– Niby jak miałybyś to zrobić? – spytałem.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Ponieważ Charlotte nie reagowała na mnie na jawie, spróbowałam dotrzeć do niej w magicznych snach. Z początku to także nie przynosiło rezultatów. Potem udało mi się jednak... w pewnym sensie. Pokażę ci.

Umilkła i zapatrzyła się w jasny punkt pośrodku ogrodu. Po chwili jej intensywnego skupienia pojawił się tam wielki prostokątny blok z kamienia. W środku był wydrążony niewielki otwór, ale chroniły go kraty. Podszedłem i zajrzałem do środka. Nie mogłem powstrzymać cichego okrzyku. W małej kamiennej celi siedziała Charlotte, na podłodze, spowita w cieniu.

– Charlotte! – zawołałem.

Patrzyła na kamienną ścianę nieporuszona.

– Charlotte! Słyszysz mnie?

Sonia stanęła obok.

– Myślę, że cię słyszy, tylko nie jest w stanie odpowiedzieć.

Pokazałem przenośne kamienne więzienie.

– Skąd to się wzięło?

– To wytwór jej umysłu – odparła Sonia. – W taki sposób widzi swój stan: znajduje się w pułapce. Ale fakt, że w ogóle pojawia się we śnie, jest obiecujący. Wcześniej nie mogłam w ogóle nawiązać z nią kontaktu. Mam nadzieję, że z czasem stan Charlotte poprawi się na tyle, że uda mi się z nią porozmawiać na jawie albo chociaż we śnie. Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, na wypadek gdybyś i ty próbował ją odwiedzać.

– Będę – bąknąłem tylko. Nie mogłem dojść do siebie, patrząc na stan Charlotte.

Sydney, nawet więziona i torturowana, pozostała wystarczająco silna, bym mógł kontaktować się z nią w snach wywołanych mocą ducha. Co musiało się stać z umysłem Charlotte, skoro popadła w takie odrętwienie? Czy to samo niebezpieczeństwo zagrażało mnie, gdybym dalej igrał z mocą?

– Byłoby dobrze, gdyby różne osoby próbowały nawiązać z nią kontakt – powiedziała po namyśle Sonia. – Choć pewnych tematów lepiej tymczasem unikać. Na przykład niezbyt szczęśliwych zakończeń.

Nie musiała dodawać więcej, bym zrozumiał. Wiadomość o śmierci Olive nie pomoże

Charlotte dojsć do siebie. Skinąłem głową i ponownie zająrzałem przez kamienne okno.

– Miło cię widzieć, Charlotte. Tak wiele mam ci do powiedzenia. Głównie o Olive. Mam dla ciebie prawdziwe rewelacje. – Uśmiechnąłem się na myśl o Declanie. – Z pewnością będziesz zachwycona, więc wróć do nas jak najszybciej, dobrze?

Jej twarz nawet nie drgnęła na wzmiankę o Olive.

– Potrzeba czasu. – Sonia delikatnie dotknęła mojego ramienia. – Ale to wszystko działa.

– Dziękuję, że mi o niej powiedziałaś.

Nagle dotarło do mnie, że Sonia również ucieszyłaby się, słysząc o Delanie. Podejrzywałem, że moc ducha przesycająca to dziecko była dokładnie tym efektem, który usiłowała osiągnąć dzięki szczepionce. Gdyby mogła zobaczyć Declana, poczyniłaby ogromne postępy w badaniach. Ale z drugiej strony właśnie przed tym Olive chciała chronić swojego synka. Dlatego zginęła.

– O co chodzi? – spytała Sonia, widząc, że się zamyśliłem.

Uśmiechnąłem się blado.

– O nic. Po prostu dużo się dzieje.

– Wyobrażam sobie i nie będę cię zatrzymywać. Chciałam cię tylko powiadomić o postępach Charlotte i sprawdzić, czy zdołasz z nią nawiązać kontakt.

– Dzięki – powtórzyłem i przytuliłem ją. – Będę do niej zaglądał. Daj mi znać, kiedy się ocknie w realnym świecie.

Sen się rozwiął, a ja zasnąłem naprawdę i obudziłem się dopiero w południe w domu Howiego.

Znów jedliśmy niezdrowe żarcie. Nigdy w życiu tak nie tęskniłem za sałatką. Dowiedziałem się od Marcusa, że Sabrina przysłała mu raport z siedziby wojowników. Wszyscy byli bezpieczni i nikt ich nie rozpoznał.

Ta wiadomość pomogła mi przetrwać dzień. Pod wieczór przed naszą kryjówką zaparkował nieznany wóz. Widziałem, że Marcus się zaniepokoił, lecz po chwili rozpoznałem za kierownicą Neila.

– Przysłała mnie Jackie Terwiliger – wyjaśnił. – Pomogłem jej się wydostać z domu tak, by obserwujący go alchemicy niczego nie zauważyli. Przygotowuje się teraz do wybudzenia Alicji.

Wspomniawszy o Alicji, spochmurniał. Ta kobieta wpędzała innych w przygnębienie.

– Jestem zaskoczony, że będę uczestniczył w jej przesłuchaniu – dodał. – Skoro jednak Eddie wyjechał na misję, a Rose i Dymitr pilnują sekretu u Clarence'a, pozostałem jedynym wolnym strażnikiem w okolicy.

– Rozmawiałeś z Rose i Dymitrem? – spytałem lekkim tonem.

– Widziałem się z nimi – odparł Neil. – Z twoją mamą również. Wpadłem do nich dziś rano. Daniella opiekuje się ślicznym niemowlakiem. Czy to z jego powodu mieszkają tam Rose i Dymitr? Odniosłem wrażenie, że Rose najchętniej wyrwałaby się ze mną.

Zawahałem się, czy powiedzieć mu o wszystkim. Neil nadal nie miał pojęcia, że został ojcem ani że jego ukochana zginęła. Zasługiwał na to, by poznać prawdę, ale nie była to właściwa pora. Z pewnością nie zamierzałem tego robić w obecności Marcusa ani „po drodze” na przesłuchanie Alicji.

– To długa historia – skwitowałem w końcu. – Opowiem ci ją później.

– Jasne – zgodził się Neil.

Strażnicy są przyzwyczajeni do tajemnic i do tego, że otrzymują tylko niezbędne informacje. Poza tym Neil nie zdawał sobie sprawy, że ten sekret dotyczy go osobiście.

Poleciłem Marcusowi, żeby mnie informował na bieżąco o wszystkim, co dotyczyło

sytuacji Sydney i Eddiego znajdujących się w siedzibie wojowników. Przegryźliśmy coś w kuchni Howiego – choć szczerze mówiąc, robiło mi się już niedobrze od tego jedzenia – i ruszyliśmy do cywilizowanego świata w Palm Springs. Neil wspomniał po drodze, że słyszał o chorobie Charlotte, a ja starannie doбираłem słowa, by nie zdradzić swojego zaangażowania w jej historię. Neil pytał oczywiście, czy dowiedziałem się czegoś o Olive, szczególnie w kontekście złego stanu jej siostry. Odpowiadałem wymijająco, iż nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu. Było mi przykro, że muszę okłamywać Neila. Widziałem jego rozczarowanie. Uświadomiłem sobie też jedno – wkrótce będę musiał powiedzieć mu trudną prawdę, tę o Olive.

Dowiedziałem się, że jedziemy do domu Maude. Alchemicy jej nie obserwowali, a poza tym w podziemiach znajdował się prawdziwy loch. Przynajmniej tak powiedziała nam Inez, gdy się tam już zjawiliśmy.

Maude, słysząc rozmowę, wzniosła oczy ku niebu.

– To nie jest loch, Inez! To piwniczka z winem.

Staliśmy w salonie, czekając na przybycie pozostałych czarownic. Inez prychnęła pogardliwie.

– To loch o kamiennych ścianach – odparowała. – I nie ma w nim półek na wino.

– Bo ich jeszcze nie zainstalowałam – broniła się Maude.

– Mówię, co widzę – odparła stara czarownica.

W tej chwili podeszła do nas Jackie.

– Nieważne, czy to loch, czy piwniczka na wino, bardzo nam się to miejsce przyda. Podziemne pomieszczenia są idealne do magicznych praktyk. Możemy tam utworzyć krąg, by powstrzymać Alicję przed jakimś nikczemnym czynem, a ty będziesz mógł użyć swojej magii, Adrianie. O, jesteśmy już wszystkie.

Do pokoju weszło kilka czarownic. W sumie było ich teraz czternaście. Według Jackie, aby najlepiej zabezpieczyć się przed mactwami Alicji, potrzeba było kręgu złożonego z trzynastu czarownic oraz kogoś, kto będzie rzucał inne zaklęcia. Po dwóch dniach zamrożenia Alicja zapewne osłabła. Jednak zaskakiwała już tyle razy, że nikt nie chciał ryzykować.

Wszyscy przybyli i przenieśliśmy się do piwnicy. Zobaczyłem tam Alicję w tej samej pozie, w jakiej widziałem ją ostatnio u Wolfe'a.

– To naprawdę wygląda jak loch – mruknąłem do Inez. – Kto używa tak ciemnych kamieni do zbudowania piwniczki na wino? Spodziewałbym się raczej czegoś bardziej w stylu tokańskim.

– A nie mówiłam – szepnęła.

Trzynaście czarownic wzięło się za ręce i utworzyło wokół Alicji krąg ochronny, wyśpiewując zaklęcia, które zapewne miały zablokować jej ludzką magię. Maude, stojąca poza kręgiem, użyła ziół i inkantacji, którymi wcześniej uwolniła Eddiego w domu Wolfe'a. Patrząc na Alicję uwięzioną w dziwacznej pozycji obronnej, w której unieruchomiła ją Sydney, poczułem, że wolałbym, aby jej nie ożywiono. Usiłowała zabić Sydney, próbowała wykraść moc Jackie i skrzywdziła jej siostrę. Porwała też Jill i oddała ją w ręce wojowników tylko po to, by się odegrać na Sydney. Z pewnością Alicja zasługiwała na to, by pozostać pomnikiem na wieki.

Ale wówczas nie uzyskalibyśmy od niej ważnych odpowiedzi.

Maude dokończyła zaklęcie i już była poza kręgiem, zajęła miejsce obok mnie i Neila. Przyglądaliśmy się przebudzeniu Alicji. Nogi się pod nią ugięły, bo mięśnie przez te dni odwykły od pracy. Upadła i w tej samej chwili prychnęła; uniosła dłoń, by cisnąć w nas strumieniem światła. Ten jednak rozprysł się na niewidzialnej ścianie utworzonej przez trzynaście kobiet i stracił swoją moc.

– Nie możecie mnie wiecznie więzić! – wrzasnęła. – A kiedy znów będę wolna,

zapłacicie mi za to!

Nachyliłem się do Maude i ściszyłem głos.

– Trafiała w sedno. Co z nią zrobicie?

– Spokojnie – odparła cicho. – Wy, moroje, macie swoje więzienia, my mamy swoje.

– Odchrząknęła i wystąpiła naprzód. Nadal pozostawała poza kręgiem, ale Alicja mogła ją widzieć. – Twój los zależy od tego, czy zgodzisz się z nami współpracować, Alicjo. Możemy oddać cię w ręce sprawiedliwości w sposób komfortowy lub bardzo nieprzyjemny.

Alicja wyraziła, co na ten temat myśli, ciskając w Maude kulą ognia. Ta również odbiła się nieszkodliwie od ściany, a ja pomyślałem, że czarownice zachowały się przyzwoicie, nie zwracając przeciwko Alicji jej własnych zaklęć.

Maude skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła spokojnie na Alicję.

– Wiemy, że miałas udział w zniknięciu pewnej morojskiej dziewczyny. Powiedz, dokąd ją zabrałaś.

Przez krótką chwilę Alicja sprawiała wrażenie zaskoczonej pytaniem, ale zobaczyła, że stoję z boku. Zachichotała.

– A gdzie Sydney? Czyżby obawiała się konfrontacji?

Nie pozwól jej tak o niej mówić! – oburzyła się ciotka Tatiana.

Posłużyłem się mocą ducha i sprawiłem, że ręce Alicji gwałtownie opadły wzdłuż ciała, jakby założono jej kaftan bezpieczeństwa. Wybałuszyła na mnie oczy, gdy zorientowała się, że nie może ich podnieść.

– Sydney potrafi więcej i jest uczciwsza niż ty – odparłem. – Masz szczęście, że jej tu dzisiaj nie ma. Powiedz, dokąd zabrałaś Jill. Wiemy, że oddałaś ją wojownikom. Zdradź miejsce.

– Powiedz, a zapewnimy ci proces i będziemy dobrze traktować jako więźniarkę – dodała Maude. – Jeśli nie powiesz, unieruchomimy cię znowu.

– Wasze groźby i gierki to za mało, żeby mnie zmusić do mówienia. – Alicja uśmiechnęła się do mnie złowieszczco. – Złapaliście mnie, ale tej bitwy Sydney nie wygra. Już nigdy nie zobaczycie tej morojki.

Jeśli skrzywdzi Jill... – ciotka Tatiana nie dokończyła swojej groźby, nie musiała. Gniew – podsycony jej wściekłością – wezbrał we mnie i musiałem nakazać sobie spokój. Nie wolno było mi się angażować emocjonalnie.

– Dość tego – powiedziałem. Uwolniłem jej ręce i spróbowałem czaru wpływu. – Powiedz nam, gdzie jest Jill.

Oczy Alicji zaczęły zachodzić mgłą, rozluźniła szczękę... i nagle otrząsnęła się z czaru ze zdumiewającą siłą. Jej rysy znów stwardniały.

– Niełatwo mną manipulować – oznajmiła.

– Mogła się wzmocnić czarodziejskimi miksturami – szepnęła Maude. Jackie również sugerowała, że Alicja zapewniła sobie przedtem silną ochronę magiczną, żeby nie ulec wpływom. – Ale ten stan nie potrwa długo. Jeszcze kilka dni i się rozwieje.

Zacisnąłem zęby i wezwałem na pomoc ducha.

– Nie. Musimy dostać odpowiedź jeszcze dziś. – Ponownie skupiłem się na Alicji. – Mów, gdzie jest Jill.

Tak jak poprzednio wydawało się, że mi ulega, tym razem było jej trudniej przezwyciężyć ten stan.

– Jest... u wojowników.

– To wiemy – odparłem. – Ale gdzie? Gdzie ją uwięzili?

Próba wpłynięcia na nią przypominała sytuację, jakbym starał się otworzyć drzwi, które ktoś pchał z drugiej strony. Alicja miała silną wolę i zabezpieczyła się odpowiednią miksturą, ale

wierzyłem, że moja moc jest potężniejsza. Przywołałem więcej magii, wiedząc, że osoba obdarzona przeciętną siłą woli już dawno by mi się poddała. Słyszałem w myślach echa ostrzeżeń Sydney, że bym nie szalał z używaniem ducha, ale parłem naprzód. Potrzebowaliśmy odpowiedzi.

– Gdzie ją przetrzymują? – spytałem rozkazująco.

Alicja z trudem walczyła przeciwko mojej mocy.

– W... w Utah – wypaliła na koniec. – W mieście Saint George. Mają tam swoją siedzibę. Ale nigdy się do niej nie zbliżycie! Nie uda wam się!

– Dlaczego? – spytałem, dociskając ją. – Dlaczego?

– Za... dużo... przeszkód – wyjąkała blada i drżąca.

– Powiedz jakich – zażądałem.

Nadal się opierała, a ja byłem gotów złamać ten opór. Jedna fala mocy ducha i upadłaby na kolana, błagając, bym ją wysłuchał.

Zrób to! – gorączkowała się ciotka Tatiana. *Niech zapłaci! Zrób z niej swoją niewolnicę!*

Już miałem jej ulec, gdy powrócił do mnie obraz nocnego spotkania z Sonią we śnie. A właściwie obraz Charlotte w swoim więzieniu. Przypomniałem sobie, co mówiła Sonia o ranach powstałych po nadużywaniu mocy. Obiecałem żonie, że będę nad sobą panował.

Sydney nie mogła przewidzieć tej sytuacji – nalegała ciotka Tatiana. *Jesteś silniejszy niż Charlotte. Nie czeka cię taki sam koniec.*

Nie – sprzeciwiłem się zjawie. *Nie będę ryzykował. Dotrzymam słowa danego Sydney.*

Niechętnie zwoleńm czar wpływu i kontrolę nad Alicją. Upadła na ziemię, tym razem z wyczerpania.

– To powinno nam wystarczyć – powiedziałem. – Znajdziemy to miejsce w Saint George. Dobrze byłoby dowiedzieć się więcej o tych „przeszkodach”, lecz nie chciałem się wypalić. Alicja zapewne miała na myśli obłęd wojowników i broń, jaką dysponowali. Z tym zaś poradzą sobie strażnicy. Już tak bywało.

– Potrzebujesz od niej jeszcze czegoś, zanim znów ją unieruchomimy? – spytała Maude.

Alicja wytrzeszczyła oczy.

– Powiedziałaś, że nic mi nie zrobicie, jeśli będę współpracować!

– Nie nazwałabym tego współpracą – odparła chłodno Maude.

Potrząsnąłem głową.

– To mi wystarczy. Dam wam znać, jeśli pojawią się nowe pytania.

– Nie! – krzyknęła Alicja. W jej dłoniach formowały się kule ognia, którymi bezskutecznie ciskała w niewidzialną barierę. – Nie chcę się znów znaleźć w tym stanie! Nie zgadzam się! Nie możecie...

Ale Maude robiła już swoje i minutę później Alicja ponownie znieruchomiała w jeszcze bardziej absurdalnej pozycji niż poprzednio. Czarownice przerwały krąg. Jackie podeszła, żeby ze mną porozmawiać.

– Jesteś pewien, że uzyskałeś od niej wszystkie informacje? Czułam, że chciałeś zapytać o coś jeszcze.

– To prawda – przyznałem. – Ale za silnie się broniła. Przekażę informacje o Saint George moim źródłom. Zobaczymy, czego się dowiedzą.

Jackie kiwnęła głową.

– Dobrze. Rozmawiałam z Maude. Jeśli chcesz, możesz zatrzymać się u niej, dopóki nie zdecydujesz o kolejnym ruchu. Będiesz bliżej wydarzeń, a z tego, co wiem, dom Maude jest przestronniejszy od twojego tymczasowego lokum.

– Pewnie też wygodniejszy – dodałem i obejrzałem się na Neila. – Ty jesteś fachowcem od bezpieczeństwa. Mogę się przenieść?

– Myślę, że tak – odparł po chwili zastanowienia. – Nikt za nami nie jechał. Jeśli Maude się zgodzi, chętnie będę miał na ciebie oko.

Podziękowaliśmy Maude za gościnność i usunęliśmy się, żeby czarownicy mogły zrobić porządek. Alicja miała zostać przewieziona na proces i potem do więzienia, ale tymczasem uznano, iż pozostanie w piwniczce na wino czy też w lochu. Obaj z Neilem dostaliśmy pokoje gościnne na piętrze. Wysłałem Marcusowi informację o Saint George. Zdawałem sobie sprawę, że na wieści musimy jakiś czas poczekać. Pomyślałem więc, że pora poważnie porozmawiać z Neilem.

– Neil... – zacząłem, kiedy byliśmy sami w jego pokoju. – Musimy pogadać.

– Jasne – zgodził się lekko. – Chodzi o Jill?

– To nie ma z nią nic wspólnego. – Wskazałem mu łóżko. – Chyba powinienesz usiąść.

Neil zmarszczył czoło, zaniepokojony tonem mojego głosu.

– Postoję, dziękuję. Powiedz, co się dzieje.

Skrzyżowałem ręce na piersi, jakbym chciał się obronić przed całym bólem i cierpieniem. Do tej chwili nie uświadamiałem sobie, jak bardzo starałem się trzymać go z daleka od prawdy.

– Neil, nie potrafię tego powiedzieć w łagodniejszy sposób... I bardzo mi przykro, że ja muszę to zrobić... Olive zmarła przed dwoma dniami.

Neil nie wydał najmniejszego dźwięku, lecz jego twarz pobladła tak bardzo, że przestraszyłem się, iż zemdleje.

– Nie – powiedział w końcu, po długiej chwili milczenia. – To niemożliwe. – Pokręcił głową. – Nie.

– Zabiła ją strzyga – podjąłem. Z trudem znajdowałem słowa, ale nagle zaczęły ze mnie wypływać i nie mogłem ich zatrzymać. – Mieszkała w komunie dampirzyc. W Michigan. Napadła je niewielka sfora strzyg, jakoś udało im się przełamać tarcze. Sądzymy, że strzygi zatrudniły człowieka, by powymyślał sztylety ochronne. Tak czy owak, wdarty się do środka i jedna z nich dopadła Olive, gdy ta uciekała...

– Zaraz... – przerwał mi Neil. W mgnieniu oka szok ustąpił miejsca czujności. – Olive nie uciekałaby przed walką. Z pewnością nie przed sforą strzyg. Walczyłaby.

To było nie do zniesienia.

– Uciekała, żeby chronić swoje dziecko, Declana. To niemowlę, którym opiekuje się moja matka.

W pokoju zapadła cisza tak gęsta, że słowa ciągle w niej wybrzmiewały. Żałowałem, że nie zaczekałem na Sydney. Ona potrafiłaby to lepiej wyjaśnić.

– I nie uciekała jedynie przed strzygą – podjąłem, bo Neil nadal patrzył na mnie wstrząśnięty tym, co powiedziałem. – Neil, to dziecko, Declan, jest twoje. To twój syn. Jesteś jego ojcem.

Twój przyjaciel wyrażał niedowierzenie.

– Obaj wiemy, że to niemożliwe – powiedział. – Czy... to dlatego uciekła? Myślała, że ją potępię? Nie miała wobec mnie żadnych zobowiązań. Szalałem za nią, to prawda, ale to było tylko...

– ...raz, wiem – dokończyłem. – I to wystarczyło. Po tym, jak została przywrócona do życia po przemianie w strzygę, coś się zmieniło i zaszła z tobą w ciążę. Sam w to nie wierzyłem, dopóki nie przyjrzałem się aurze dziecka. Jest w niej coś uduchowionego, nie potrafię tego nazwać. To szaleństwo, wiem. Ale Declan jest twoim synem.

Neil siedział na łóżku tak nieporuszenie, że mógłby uchodzić za posąg. Rozumiałem jego smutek. Usiadłem obok.

– Tak mi przykro, Neil.

– Olive nie żyje – powiedział tępo. Spojrzał na mnie i zamrugął, żeby strząsnąć łzy.
– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą... Jeśli jakimś cudem, za pomocą magii, urodziła moje dziecko, to dlaczego mi o tym nie powiedziała? Dlaczego uciekła?

– Ponieważ bała się tej magii – odparłem. – Nie wiedziała, jak zareagują moroje i alchemicy. Ukryła synka, żeby go chronić. Nie chciała, by Declana traktowano jak wybryk natury, a ja obiecałem, że pomogę jej go ukryć.

Neil patrzył przed siebie dłuższą chwilę, a potem chyba dotarło do niego słowo „chronić”.

– Kto wie? Kto wie o D... Declanie?

– O tym, kim jest naprawdę? – Pokazałem siebie. – Tylko ja i Sydney. Rose i Dymitr wiedzą, że jest synem Olive, podobnie jak kilka dampirzyc z komuny. Poza tym nikt. Uznaliśmy, że najbezpieczniej nikomu więcej o nim nie wspominać. Gdyby odkryto, że, zapewne dzięki przywróceniu do życia, dampire mogą mieć dzieci... To byłby prawdziwy szok. Niektórzy by się ucieszyli. Inni chcieliby dowiedzieć się o tym dziecku jak najwięcej, a właśnie przed tym próbowała ochronić Declana Olive.

Neil milczał, niemal znieruchomiał, tak jak wcześniej Alicja.

– Neil... – powiedziałem, zaniepokojony jego otępieniem. – Będzie dobrze. Pomogę ci. Spełnimy życzenie Olive i Declan będzie miał normalne, szczęśliwe życie. Kiedy zakończymy tę historię z Jill, oddamy ci Declana i...

– Nie – sprzeciwił się Neil, nagle powracając do życia. Miał zawzięty wyraz twarzy, jednak w jego głosie usłyszałem głęboki smutek. – Nie mogę go więcej zobaczyć.

ROZDZIAŁ 17

Sydney

W SIEDZIBIE WOJOWNIKÓW PANOWAŁY SPOKÓJ I CISZA, gdy wędrowałam nocą po budynku. Trey i Sabrina mówili, że gospodarze organizują czasem szalone imprezy, ale gdy narzucano im dyscyplinę i ciszę nocną, okazywali posłuszeństwo. Z całą pewnością tak było teraz. Większość ludzi leżała już w łóżkach i gdy maszerowałam niewidzialna dla nikogo, spotykałam po drodze tylko patrole. Nikt nie spodziewał się nocnych awantur, więc strażnicy przechadzali się sennie korytarzami.

Bez trudu przedostałam się do budynku mistrzów przez otwarte okno, tuż obok strażnika, który miał za zadanie pilnować wejścia frontowego. Wewnątrz natrafiałam głównie na puste pokoje, tak jak w moim budynku. Większość z nich była otwarta. Jednak kilka pomieszczeń wyposażono w prawdziwe drzwi – jak na złość również to, które mistrzowie wybrali sobie na pokój narad. Postawiono przed nim dwóch strażników, ze środka dobiegały stłumione odgłosy rozmowy. Zanotowałam w pamięci, gdzie znajduje się to pomieszczenie, a potem wymknęłam się z budynku i obeszłam go od drugiej strony w nadziei, że okno będzie otwarte i zdołam przedostać się przez nie do środka. Było otwarte tylko częściowo, akurat na tyle, by wpuścić chłodne powietrze w upalną noc, ale nie wystarczająco, bym mogła przez nie wejść. Sabrina wspomniała, że jeden z mistrzów zwykle nosi przy sobie aktualne informacje na temat organizacji. Czasem miał je w formie wydruku, a czasem w laptopie, w zależności od tego, kim był i w jakim stopniu korzystał z nowoczesnej technologii. Chciałam przejrzeć te materiały w nadziei, że dowiem się z nich, gdzie trzymają Jill. Tymczasem ograniczyłam się do podsłuchiwania.

Jak się okazało, dotarłam na miejsce, akurat gdy rozpoczynali naradę, więc pomyślałam, że mam szczęście. Niestety oznaczało to także wysłuchiwanie nudnych wstępów i żalonych psalmów. W pewnej chwili ktoś zrobił dygresję i zaczął wypytywać o wynik meczu koszykówki. Przez cały ten czas byłam świadoma swojej niewidzialności. Dość długo znajdowałam się w tym stanie. Odetchnęłam z ulgą, gdy grupa zaczęła wreszcie rozmawiać o aktualnych sprawach.

– Reasumując, to był widowiskowy pokaz – rozpoznałam głos Mistrza Angeletiego.
– Stawiło się sporo rekrutów i dobrze się spisali podczas turnieju.

– Niektórzy nawet przekroczyli granice – odezwał się posępny głos, który również znałam. Należał do Chrisa Juareza.

Mistrz Angeletti parsknął śmiechem.

– Wciąż masz pretensje, że ta dziewczyna wystrychnęła cię na dudka? A ja bym ją za to nagroził. Potrzebujemy tu więcej myślących ludzi.

– Oby nie za dużo – wtrącił Mistrz Ortega.

– Nie, oczywiście, że nie – zgodził się Mistrz Angeletti. – Ale jeśli będziemy utrzymywać częstsze kontakty z alchemikami, powinniśmy umieć ich przechytrzyć.

Zastrzygłam uszami. Alchemicy? Kiedyś sprawdzałam to dla Marcusa i odkryłam, że alchemicy rzeczywiście współpracowali z wojownikami, chociaż Marcus nie znał pełnego zakresu tej współpracy.

– Już alchemików przechytrzyliśmy – powiedział Mistrz Ortega. – Przekonaliśmy ich do robienia wspólnych interesów.

– Tak, ale nie dajmy się im zwieść – odezwał się nowy głos, zapewne należący do któregoś z członków rady. – Czy nie mówiłeś, że dzwonili do ciebie w sprawie tej dziewczyny, Alfredzie?

– Tak, tak – potwierdził flegmatycznie Mistrz Angeletti. – Nie ma powodu do obaw. Jeden z nich twierdził, że dostali sygnał, iż ją przetrzymujemy, ale sędzę, że sprawdzał tylko dla porządku. Na wszelki wypadek wypytałem strażników. Nikt się tu nie kręcił ani jej nie szukał. Każę jednak odnotowywać każdy ruch. Będziemy wiedzieli, jeśli coś się wydarzy.

Nie wiedziałam, co miał na myśli, dopóki nie usłyszałam stukania palców na klawiszach. Zeszywniałam, czekając, aż powiedzą coś więcej o „tej dziewczynie”, ale zmienili temat, przechodząc do kwestii samych prób. Byłam jednak podekscytowana. Zgodnie z tym, co mówiła Sabrina, mieli komputer albo laptop, w którym Mistrz Angeletti trzymał wszystkie raporty. Czy znajdowały się tam informacje o „dziewczynie”? Nie byłam pewna, czy mówili o Jill, ale brzmiało obiecująco. Musiałam zdobyć dostęp do tego komputera. Wiedziałam, że to nie będzie łatwe, skoro nie miałam pojęcia, jak długo potrwa to spotkanie ani czy Mistrz Angeletti zostawi tam po zebraniu laptop. Zaczęłam już układać w myślach możliwe scenariusze działania, gdy znów zaczęli rozmawiać o alchemikach, i to w sposób, jakiego zupełnie się nie spodziewałam.

– Bądź ostrożny – odpowiadał komuś Mistrz Ortega. – Nie zepsuj tej umowy z alchemikami. Jeśli twój kontakt naprawdę może dostarczyć nam to, co obiecuje, nie będziemy musieli skupiać się tak bardzo na fizycznej sprawności rekrutów. Staną się tak silni, jak będziemy chcieli.

– Nie podoba mi się to – mruknął kolejny nieznan mi uczestnik narady. – To bezbożne praktyki.

– Nie, jeśli przedtem oczyścimy tę substancję – powiedział Mistrz Angeletti. – I użyjemy jej mocy do walki ze złem.

Zmarszczyłam brwi, usiłując odgadnąć, o jakiej substancji mówią.

– Widziałem, co potrafią te ich tatuaże – wtrącił Chris. – Używali ich w szkole mojego kuzyna. Jeśli alchemicy naprawdę mają dostęp do nieograniczonych zasobów tej substancji, marnują ją, zamiast wykorzystać w dobrym celu.

– Alchemicy nie walczą ze złem, oni je katalogują – zakpił ktoś.

– Nie wygłaszajcie takich uwag w obecności naszego kontaktu – ostrzegł Mistrz Ortega. – I tak ma wątpliwości, czy powinien dobić z nami targu. Jego ludziom by się to nie spodobało.

– Wiem, co robię – warknął Mistrz Angeletti. – Wiercie mi, płacę mu wystarczająco dużo, by pozbył się wątpliwości.

Rozmowa zesłała na temat rekrutów; analizowali nasze wady i zalety. Słuchałam jednym uchem, bo w głowie wciąż przetwarzałam szokujące wieści. Z tego, co mówił Chris, wynikało, że wojownicy chcieli użyć krwi wampirów do nasączenia tatuaży potęgujących ludzką siłę i sprawność. Podobna sytuacja zdarzyła się w szkole Amberwood, gdzie uczniowie niespodziewanie zaczęli wykazywać niezwykle talenty sportowe i intelektualne. Szkopuł w tym, że tatuaże powodowały nieprzewidywalne skutki uboczne. Cały proceder został udaremniony, gdy pomogłam wysledzić jego pomysłodawcę: Keitha Darnella. Wysłano go do ośrodka reedukacji, odpowiednio zaprogramowano i teraz wykonywał swoją pracę z lojalnością robota.

Czyżby?

Wojownicy mówili o swoim kontakcie „on”. Nie znałam żadnego innego alchemika, który by się tym zajmował... Czy to możliwe, że Keith wyzwolił się spod władzy przełożonych? Czyżby prowadził teraz potajemnie interesy z tą bandą psychopatów, która pragnęła wyposażyć swoich ludzi w nadludzkie moce?

I znów usłyszałam klikanie na klawiaturze, co przypomniało mi, że muszę przede wszystkim poznać dane z laptopa. Rozważałam kilka możliwości, ale po kolei z nich rezygnowałam. Wojownicy może i zachowywali się jak przedstawiciele średniowiecza, lecz prawdopodobnie Mistrz Angeletti zabezpieczył dostęp do swojego laptopa hasłem. Pomyślałam, że będę potrzebowała pomocy technicznej, żeby przejrzeć jego zawartość. Nie tylko przejrzeć. Jeśli Angeletti zamieszczał tam raporty ze wszystkich narad, odnotowywał ważne zadania i transakcje... Mogłam wejść w posiadanie cennych informacji. Moim głównym celem było uwolnienie Jill, ale dobrze by było przy tym ugrać coś jeszcze.

Opuściłam spotkanie mistrzów, by podzielić się sensacjami z Sabriną i Eddiem, którzy przebywali w swoich dormitoriach. Nie spali, gdy do nich zajrzałam. Udało nam się znaleźć ustronne miejsce za szopą na narzędzia, żeby spokojnie porozmawiać.

– Miałaś rację – powiedziałam Sabrinie. – Mistrz Angeletti zapisuje wszystkie informacje w laptopie. Jestem prawie pewna, że mają Jill.

Eddie od razu się ożywił.

– Więc na co czekamy? Zdobądźmy ten laptop.

– Właśnie o tym myślałam – przyznałam. – Może są subtelniejsze sposoby wyciągnięcia od nich informacji, ale nie mamy na to czasu. I tak już jesteśmy opóźnieni w poszukiwaniach Jill.

– Zwróciłam się do Sabriny. – Nadal jesteś gotowa na ewentualną dekonspirację, prawda?

Uniosła brew.

– Zamierzasz mnie wydać?

– Nie, ale nie wiem, czy do tego nie dojdzie – odparłam. – Ostatecznie laptop zniknie, a my z Eddiem nie wejdziemy w szeregi wojowników. Jeśli powiążą nas z kradzieżą, dotrą również do ciebie. Możesz wówczas mieć kłopoty.

– Rozumiem – stwierdziła. – Cóż, gra będzie warta świeczki, jeśli odejdę z laptopem pod pachą.

– Martwię się tylko, że zaczną cię ścigać – przyznałam.

Sabrina przyjęła to obojętnie.

– Spokojnie. Ci ludzie nie mają takich powiązań jak alchemicy, a ja potrafię zejść im z oczu. Jaki masz plan?

– Bardzo prosty – oznajmiłam. – Wywołać zamieszanie, a potem ukraść laptop.

Sabrina wyglądała na rozczarowaną, pewnie spodziewała się bardziej wyrafinowanego scenariusza. Gdybym miała czas, z pewnością opracowałabym lepszy plan. Eddiemu mój pomysł się podobał. Był prosty, a on takie lubił.

– Pożar? – zaproponował.

– Rozważałam to. Jednak budynki stoją zbyt blisko siebie... – Pokazałam gestem, co mam na myśli. – Nie podobają mi się ci goście, lecz nie chciałabym ich pozabijać, jeśli ogień wymknąłby się spod kontroli. Wierście lub nie, zamierzam wyrwać kartkę z książki Alicji. A dokładnie z księgi zaklęć.

– Alicja zapewne spaliłaby tu wszystko – zauważył Eddie.

– Zapewne. Ma jednak w zapasie mniej radykalne metody. Kiedy czekałam w Palm Springs, przejrzałam część zaklęć, jakie wykorzystwała w walce z nami. Większość wydała mi się zbyt trudna, lecz sądzę, że potrafiłabym użyć fotianów.

– Czego? – spytała Sabrina.

– Czegoś w rodzaju wkurzających zmutowanych świetlików – wyjaśnił Eddie.

Kiwnęłam głową.

– Czuję, że taki rój wywołałby wystarczające zamieszanie, by przerwać naradę mistrzów. Wtedy mogłabym zabrać laptop i nikt nie zwróciłby uwagi na naszą ucieczkę. Sabrina, myślisz,

że zdołałabyś się wymknąć i przygotować wóz?

– Jasne. Wartownicy przy bramie nie będą mnie zatrzymywać. A jeśli zrobi się naprawdę głośno, mogę im powiedzieć, że biegnę po broń do samochodu, a Eddie mi pomaga. – Widząc nasz zdumiony wzrok, przewróciła oczami. – Dajcie spokój. Chyba nie sądzicie, że wszyscy tutaj trzymają w samochodach broń?

Pozostawało pytanie, czy potrafię powtórzyć zaklęcie Alicji. Staralam się zapamiętać przeczytany tekst, ale magia to dużo więcej niż recytacja. Wezwanie nadnaturalnych mocy nie jest łatwym zadaniem, szczególnie że nie miałam materialnych składników zaklęcia, żeby je zakotwiczyć. Wypowiedziałam słowa, czerpiąc ze swojej wewnętrznej siły, i poczułam podmuch magii. Zaklęcie z książki zawierało element kontroli – rzucający mógł skierować rój fotianów w dowolną stronę. Planowałam nakazać im zataczanie kręgów nad budynkami. To wystarczyłoby, by zwrócić powszechną uwagę i wywołać mistrzów z pokoju narad. Jednocześnie nie wprowadziłabym totalnego chaosu.

Niestety, wyszło nie do końca tak, jak planowałam.

Użycie zaklęcia wymagało dużo więcej siły i energii, niż zakładałam, i chociaż udało mi się je rzucić, nie potrafiłam utrzymać kontroli nad fotianami. Rój zmaterializował się przede mną, zawisł na chwilę w powietrzu, a potem nagle rozproszył się po okolicy, lecąc z niewiarygodną prędkością w różnych kierunkach. Gapiliśmy się na nie bez słowa.

– Czy w Muzeum Robotów też były takie szybkie? – spytał Eddie, wybałuszając oczy.

– Nie sądzę – odparłam. – Może niedokładnie odtworzyłam zaklęcie. Poza tym nie chciałam wzywać ich tak wielu.

Z całą pewnością wywołaliśmy ogromne zamieszanie. Fotiany natychmiast zwróciły na siebie uwagę, wirując wokół terenu wojowników. Lecąc, pozostawiały za sobą smugi światła. Tak jak w muzeum, żądliły każdego, z kim się zderzyły. Niemal natychmiast podniosły się wrzaski, a pośród nich wołanie, którego zupełnie się nie spodziewałam.

– Armagedon! Nastął Armagedon! Wojownicy, do broni!

Sabrina jęknęła, a ja spojrzałam na nią ze zdumieniem.

– Rozumieją to dosłownie? – spytałam.

Pokiwała gwałtownie głową.

– Żartujesz? Ci ludzie przygotowywali się właśnie na tę chwilę. Nie sądziłam jednak, że uznają to za znak.

– Patrzenie! – Eddie wskazywał grupkę wojowników biegnących w naszą stronę. Spanikowałam. Jakim cudem powiązali nas z pojawieniem się fotianów?

– Pędzą do szopy – wyjaśniła Sabrina, odciągając nas w bok. – Przygotowywali się na nadejście Armagedonu. Tutaj zgromadzili broń.

Rzeczywiście. Biegący nie zwracali na nas uwagi. Już po chwili stłoczyli się przed drzwiami szopy i czekali, aż ktoś je otworzy. Kiedy tylko to się stało, zaczęto wydawać miecze i maczety. Uzbrojeni pędzili z powrotem do środka budynku, wymachując szaleńczo bronią przeciwko fotianom, które ochrzcili już „demonami z piekieł”.

– No – podniosłam głos, żeby przekrzyczeć hałas. – Z pewnością udało nam się wprowadzić chaos. Możecie pójść po samochód, a ja w tym czasie zabiorę laptop?

Sabrina potwierdziła ruchem głowy, a Eddie poprosił:

– Pozwól mi pójść z tobą.

– Mnie będzie łatwiej się tam wśliznąć i wyjść w pojedynkę.

– Sydney...

– Eddie – powiedziałam stanowczo. – Poradzę sobie. Zaufaj mi. Idź z Sabriną i przygotuj się na natychmiastową ucieczkę, kiedy tylko pokażę się w bramie.

Sądziłam, że będzie protestował, ale w końcu się poddał. Oboje odbiegli w kierunku bramy, a ja zawróciłam do pokoju narad, unikając po drodze tłumu rozszalałych i uzbrojonych wojowników oraz fotianów. Wokół mnie rozpełtało się istne pandemonium i nikt nie zwracał uwagi na samotną rekrutkę. Pewnie myśleli, że się zgubiłam. Równie dobrze mogli uznać, że wyjechaliśmy stąd przestraszeni tym, co się stało, i nie powiązać nas z Sabriną i zaginionym laptopem.

Tak jak przewidywałam, mistrzowie wybiegli z pokoju, gdy zaczęło się zamieszanie. Bez trudu dostałam się do pustego pomieszczenia i omal nie krzyknęłam z radości na widok laptopa. Ekran został zablokowany, ale ten problem mogłam rozwiązać później. Wzięłam sprzęt i zawróciłam do drzwi... w których omal się nie zderzyłam z Mistrzem Angelettim. Przez chwilę gapił się na laptop w moich rękach.

– Co ty wyprawiasz!? – wysyczał w końcu i zablokował przejście.

W tej chwili pożegnałam się z nadzieją, że sprawa pozostanie niewyjaśniona. Wahałam się tylko przez moment. Zostałam rozpoznana, zatem mogłam sobie pozwolić na więcej. Zamachnęłam się i wymierzyłam mistrzowi cios, którego zupełnie się nie spodziewał. Zapomniałam, że czarownice obdarzyły mnie podwójną siłą. Angeletti przeleciał więc kilka metrów i upadł na plecy. Jęknął i przyłożył rękę do głowy, jednak nie zdołał się poderwać, żeby ruszyć za mną. Przeskoczyłam przez niego i wybiegłam.

Nikt mnie nie zatrzymywał, gdy kierowałam się do głównej bramy. Wojownicy byli zbyt zajęci odpieraniem ataku fotianów. Krzyczeli przy tym coś o ostatniej bitwie i o wysłaniu wroga do piekieł. Wartownicy porzucili stanowiska, żeby przyłączyć się do walki, więc wymknęłam się bez trudu. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam samochód Sabriny; czekał na mnie z włączonym silnikiem. Wskoczyłam na tylne siedzenie, a Sabrina ruszyła, nim zdążyłam zamknąć drzwi.

– Masz? – spytała, kiedy już pędziliśmy przed siebie.

– Mam – potwierdziłam, zapinając pas. – Ale nie udało mi się zrobić tego w tajemnicy. Chyba powinnaś zmienić miejsce pracy.

Prychnęła nonszalancko.

– Żaden problem, szczególnie że zdobyliśmy tak cenną rzecz.

Przycisnęłam laptop do piersi.

– Miejemy nadzieję. Dokąd go zawieziemy?

– Do Marcusa, oczywiście.

Marcus nadal przebywał w domku Howiego na pustyni. Zaczynało świtać, kiedy dotarliśmy tam po kilku godzinach. Miałam nadzieję, że zastanę również Adriana, lecz w saloniku ujrzeliśmy tylko Marcusa rozpartego na sofie i zajadającego owsiany placek ze śmietaną. Czytał *Reader's Digest*.

– Adrian zatrzymał się u tych twoich wiedźm – wyjaśnił i wyciągnął rękę z moją komórką.

Podalam mu laptop.

– Masz kogoś, kto pomógłby mi złamać hasło?

Marcus wyszczerzył się w uśmiechu.

– Naszego gospodarza.

Gapiłam się na niego, nie rozumiejąc.

– Myślisz o Howiem?

– Owszem. Nie uwierzysz, ale był informatykiem, zanim na „emeryturze” zajął się ziołami. Najlepiej od razu do niego pójść.

Marcus zniknął za zasłoną z paciorków.

Wystukałam numer Adriana, odezwała się poczta głosowa. Nie wiedziałam, kiedy teraz

sypia, czy nadal funkcjonuje jak ludzie. Tłumiąc ziewnięcie, postanowiłam, że po nocnej eskapadzie należałoby się trochę zdrzemnąć. Eddie i Sabrina podzielali moje zdanie, a Marcus zapewnił, że nikt nie będzie przeszkadzał nam w saloniku. Zasnęłam natychmiast i obudziłam się kilka godzin później. Eddie i Marcus szepotali do siebie, Sabrina jeszcze spała, zwinięta w kłębek na fotelu wypchanym fasolą.

– Co jest? – spytałam cicho, podchodząc do nich obu.

– Howie nie miał problemu, żeby złamać hasło – wyjaśnił Marcus. – Mistrz Angeletti niespecjalnie zadbał o bezpieczeństwo. Przez ostatnią godzinę przeglądałem pliki.

– Znalazłeś coś o miejscu pobytu Jill?

Marcus przytaknął ruchem głowy.

– Właśnie mówiłem o tym Eddiemu. Wszystko znajduje się tutaj. No, prawie wszystko. Jest informacja o tym, jak długo ją przetrzymują, i podany plan miejsca, w którym więżą Jill. Odnalazłem nawet warunki umowy wojowników z Alicją.

– Warunki? – spytałam.

– Zawarli z nią pakt. Alicja żądała, by przetrzymali Jill jakiś czas, zapewne potrzebny jej do prowadzenia negocjacji z tobą. Jednak wojownicy ostatecznie postanowili przeprowadzić na niej rytualną egzekucję. Barbarzyństwo.

Zamarłam.

– To samo chcieli zrobić z Sonią.

– Na to wygląda – przyznał ponuro Marcus. – Zgodnie z umową mają więzić Jill jeszcze tylko przez trzy dni.

Zamarłam.

– Trzy dni...?!

– Musimy tam natychmiast jechać. – Eddie przypominał chmurę gradową. Podzielałam jego emocje.

Marcus spojrział na chłopaka ze współczuciem.

– W tym rzecz. Powiedziałem, że wiemy prawie wszystko, pamiętasz? Nie znamy dokładnej lokalizacji. Mówią o tym miejscu jako o Kompleksie Dnia Sądu.

Wybuchłabym śmiechem, gdyby nie powaga sytuacji.

– Idiotyczna nazwa, ale może wystarczy, by alchemicy dowiedzieli się, gdzie to jest. Tym razem sama z nimi porozmawiam i może uda mi się ich w to zaangażować.

– O! – Marcus uśmiechnął się tajemniczo. – Mam coś, co może nam pomóc. Wiedziałaś, że wojownicy kupują zaczarowaną krew wampirów od zbuntowanych alchemików?

Przypomniałam sobie, co usłyszałam w ich siedzibie.

– Słyszałam co nieco. Miałam cię zapytać, czy znalazłeś coś na ten temat w laptopie. Rozumiem, że tak. Czy to znów sprawka Keitha?

– Nie – odparł Marcus, obracając monitor w moją stronę. – Tu masz listę.

Odczytałam nazwiska.

– Rozumiem.

– Właśnie. Założę się, że bardzo zainteresuje alchemików. Jak wiele innych spraw wiążących ze sobą obie grupy.

Zgodziłam się z nim, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, odezwał się mój telefon. Dzwonił Adrian.

– Dajcie mi chwilę. – Odetchnęłam z ulgą.

– Adrian? Wszystko w porządku?

Po drugiej stronie usłyszałam chichot.

– Wiedziałem, że o to zapytasz. Ale to ty udałaś się w przebraniu do gniazda

wojowników. – Zrobił pauzę. – Rozumiem, że wróciłaś?

– Tak i mamy to, czego szukaliśmy. W pewnym sensie. Znamy plan pomieszczenia, w którym trzymają Jill, nie wiemy tylko, gdzie to dokładnie jest.

W słuchawce zapadła cisza.

– Niesamowite... – wydusił wreszcie z siebie Adrian. – To jedyna informacja, jaką wycisnęliśmy z Alicji! Jill jest w Saint George. Nie wiedzieliśmy tylko, w którym miejscu. Nie udałooby się tego wydobyć z niej bez dodatkowych środków perswazji. Napomknęła, że możemy natrafić na pewne przeszkody.

– Saint George – powtórzyłam z niewyobrażalną ulgą. – To jest to. Ostatni fragment układanki. Mamy całą resztę, położenie, plan, nieważne, jakie napotkamy przeszkody. Musimy przeprowadzić mobilizację. Zostały nam tylko trzy dni.

– Dlaczego akurat tyle?

– Ponieważ potem zamierzają ją zabić, tak jak chcieli to zrobić z Sonią. Przetrzywiają Jill na polecenie Alicji, która w tym czasie miała rozprawić się ze mną.

Adrian znów umilkł, a po chwili powtórzył już innym tonem:

– Trzy dni...

Wiedziałam, jak musi mu być z tym ciężko. Myśl o Jill uwięzionej i poddawanej torturom dręczyła i mnie, a nie byłam z nią tak silnie związana jak Adrian.

– Nie martw się, uwolnimy ją – zapewniłam zdecydowanym głosem. – Mamy wszystkie informacje, a ja zmuszę alchemików, żeby nam pomogli. Skontaktuj się ze strażnikami. Sprawdź, co Rose i Dymitr zdołają zorganizować. I zajrzyj do Declana...

– Już sprawdziłem, co u Declana – przerwał mi. – Doprowadzam matkę do szału ciągłymi telefonami. Czują się świetnie. I... powiedziałem Neilowi.

Rozmyślałam gorączkowo o sprawie Jill, więc nie od razu dotarły do mnie słowa Adriana.

– Powiedziałeś mu u Declana? Jak zareagował?

– Boi się do niego zbliżyć. To znaczy nie boi się Declana, ale tego, że ktoś połączy fragmenty układanki i odgadnie, kto jest ojcem malca.

– Neil jest – bąknęłam. – Powinien zająć się dzieckiem.

Adrian westchnął.

– Też mu to mówiłem. Ale Neil powtarza, że moroj obdarzony mocą ducha może się zorientować. Zresztą każdy mógłby dostrzec ich podobieństwo fizyczne i zacząć zadawać pytania. Zdaniem Neila nikt nie powinien się domyślać ich pokrewieństwa. Obawia się badań genetycznych. To dlatego się upiera, żeby trzymać się od Declana z daleka. Poza tym robi wszystko, żeby mu pomóc. Przysięgam, obrobiłby bank, gdyby było trzeba.

Zakręciło mi się w głowie.

– Przekonamy go jeszcze. Pewnie jest w szoku. W końcu posłucha głosu rozsądku.

Rozłączyliśmy się, a ja miałam nadzieję, że będzie tak, jak powiedziałam. Nie mogłam znieść myśli, że Neil musiałby zapłacić taką cenę. Oczywiście rozumiałam decyzję, ale... Jak mógłby pozbawić Declana ojca, skoro dziecko straciło już matkę? Jaki czekał je los?

Jednak te trudne pytania zostawiłam na później. Musiałam nakłonić alchemików do współpracy. Poprosiłam Eddiego, żeby mnie zawiózł na drugi kraniec Palm Springs, do budki telefonicznej na odludnej stacji benzynowej. Wystukałam numer, którego nie używałam od bardzo dawna, choć nadal go pamiętałam. Czekałam z nadzieją.

– Tu Stanton – powiedział znajomy głos.

– Witaj, Stanton. Mówi Sydney Iwaszkow.

Zapadła cisza – to było zaskoczenie albo natychmiastowa próba zlokalizowania mnie. A może jedno i drugie.

– Witaj, Sydney – powiedziała w końcu. – Cóż za miła niespodzianka. Nie powiem, że się tego spodziewałam.

– Cała przyjemność po twojej stronie. Nie będę powtarzać, więc słuchaj uważnie. Moroje potrzebują wsparcia alchemików w uwolnieniu Jill Dragomir z rąk wojowników światła. Z pewnością słyszałaś o tym od królowej Wasylisy.

– Tak – potwierdziła. – A ty z pewnością słyszałaś, że nasi zwierzchnicy odmówili jej pomocy, ponieważ nie miała dowodów, że wojownicy porwali tę dziewczynę.

– Teraz mamy już dowody, więc możesz ich przekonać – odparłam. – Jeśli to zrobisz, podam ci nazwiska czterech alchemików, którzy sprzedają nasyconą magią krew morojów wojownikom, a ci nasączają nią tatuaże, by uzyskać nadludzką siłę. Właściwie dwa nazwiska mogę ci podać od razu: Edward Hill i Callie DiMaggio. Przesłuchajcie ich. Masz godzinę, potem zadzwonię znowu, z innego numeru, więc nie próbuj namierzać tego. Powiesz mi wówczas, że w ciągu dwudziestu czterech godzin wyślecie wsparcie do Saint George w stanie Utah, by pomóc morojom w odbiciu Jill. Jeśli zostanie uwolniona, podam ci pozostałe nazwiska. Na razie.

Rozłączyłam się, a Eddie spojrzał na mnie z podziwem.

– Twardo to rozegrałaś. Myślisz, że się uda?

Poszłam za nim do samochodu, mając nadzieję, że rybka złapała przynętę. Pojechaliśmy do innej dzielnicy, do restauracji o nazwie Naleśniki i Farsz, którą dawniej często odwiedzaliśmy z Adrianem. Czekaliśmy tam, nie mówiąc wiele i pogryzając naleśniki, pogrążeni każde w swoich myślach. Wiedziałam, że Eddie martwi się o Jill i o to, co się wydarzy w ciągu najbliższych trzech dni. Też o tym myślałam. Jednocześnie niepokoiłam się o Declana i Neila. Najchętniej pojechałabym do Clarence'a, żeby zobaczyć małego, ale nie mogłam ryzykować, dopóki alchemicy obserwowali jego dom.

Po upływie godziny kupiłam pamiątkę dla Adriana przez wzgląd na stare czasy i przygotowałam się w duchu do rozmowy ze Stanton. Wybrałam ten lokal po części dlatego, że na parkingu stała budka telefoniczna.

– Co postanowiliście? – spytałam od razu, gdy Stanton odebrała.

– Pomożemy ci – odparła oschle. – Potwierdziliśmy twoje rewelacje o tych dwojgu. Wysłałam zaraz grupę do Saint George.

– No, no – wbrew sobie byłam pod wrażeniem. – Szybko działasz. Wiesz, dokąd jechać w Saint George?

– Wiemy, że wojownicy mają tam obozowisko. Przeszukamy teren i sprawdzimy, czy sytuacja zgadza się z twoimi informacjami.

– Mogę ci przesłać dane – powiedziałam. – Strażnicy...

– Oni także są już w drodze – dokończyła. – Jesteśmy z nimi w kontakcie i połączymy siły, by uwolnić tę dziewczynę. Spodziewam się, że do jutra się z tym uporamy. Rozumiem, że to cię satysfakcjonuje.

– Na tyle, bym podała wam dwa pozostałe nazwiska – odparłam. Trudno mi było zachować spokój, bo czułam wielką ulgę na wieść, że Jill zostanie uratowana. Fakt, że akcja już się rozpoczęła, dodał mi skrzydeł. – Jeśli jednak chcesz otrzymać ode mnie więcej informacji, będziesz musiała się bardziej postarać.

Zapadła długa cisza.

– Jakie dokładnie informacje masz na myśli?

– Mam dowody, że alchemicy prowadzą z wojownikami liczne interesy, o których zapewne nic nie wiesz. MAM NADZIEJĘ, że nie wiesz. – Stanton była służbistką, ale chciałam, by uwierzyła, że należy do grupy „lepszych” alchemików. – Przekażę ci je. I dopilnuję, aby moroje nie dowiedzieli się o waszych matactwach. Przekonaliście ich do waszej dobrej woli.

Odnoszę jednak wrażenie, że nie byłoby tak skorzy do współpracy, gdyby odkryli, że wasi ludzie spiskują z wrogiem.

– Czego chcesz? – spytała tylko. Dzięki temu zyskałam pewność: fakt, że mieli w swoich szeregach zdrajców, nie był jej obcy.

– Amnestii dla wszystkich, których uwolniliśmy z ośrodka reedukacji. I zamknięcia wszystkich ośrodków.

Gwałtownie złapała oddech.

– To niemożliwe.

– Jaki jest sens reedukacji, Stanton? – spytałam zdecydowanie. – Nie przynosi żadnych efektów. Ludzie latami tkwią w ośrodkach. Nawet pozorny sukces nie daje żadnej gwarancji. Nie wiecie, czy możecie ufać nawróconym. Na przykład Keithowi. Musicie ich stale obserwować. Jeśli chcecie chronić ludzi przed złem, prawdziwym złem, czyli strzygami, musicie lepiej wykorzystywać swoje zasoby.

– Możemy to przedyskutować po tym, jak uwolnimy Jill Dragomir – odparła chłodno.

– Nie. Porozmawiamy o tym teraz. Żądam amnestii dla wszystkich, także dla Adriana i dla mnie. Kiedy to się skończy, chcę z nim zamieszkać w dowolnym miejscu i żyć normalnie. Mam dosyć ukrywania się przed alchemikami. Chcę, byście dali mi spokój. W zamian za to przekażę ci kopię tego, co znalazłam na bardzo zasobnym w obciążające treści laptopie, który jest własnością wysoko postawionego wojownika, Mistrza Angeletiego. I nie zaoferuję tej kopii morojom – chyba że złamiecie warunki naszego porozumienia.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Eddie ogląda jakieś plakaty na drzwiach restauracji. Ucieszyłam się, że nie może mnie stamtąd usłyszeć. Nie spodobałoby mu się, że chcę zataić ważne informacje przed morojami, ale na razie prowadziłam negocjacje w kwestii życia mojego oraz innych byłych alchemików. Nie mogłam faworyzować żadnej grupy. Musiałam zadbać o wszystkich, którym nie powiodło się w negocjacjach.

– Będę szczerą – oświadczyła Stanton. – Ostatnio zadajemy sobie wiele pytań o skuteczność i sens reedukacji, czy przynosi pożądane skutki. Nie mogę jednak przystać na twoje warunki bez konsultacji. Powinnaś o tym wiedzieć. Muszę to uzgodnić z innymi. Obiecuję ci amnestię do zakończenia akcji w Saint George. Jeśli chcesz wziąć w niej udział, masz moje słowo, że alchemicy cię nie tkną. Potem dam ci znać, co zdecydowaliśmy.

Coś w głosie Stanton kazało mi jej zaufać.

– Dobrze – powiedziałam.

Starałam się mówić lekkim tonem, jakbym wyświadczała jej wielką przysługę, ale prawdę mówiąc, bałam się, że się nie zgodzi.

Tymczasem chodziło o wolność Jill.

ROZDZIAŁ 18

Adrian

TYLKO NA NIEGO SPÓJRZ – nalegałem. – Proszę.

– Nie. – Neil odwrócił głowę, żeby nie zerknąć na ekran telefonu, który mu podsunąłem pod nos. – Jeśli na niego spojrzę... – Głos mu się załamał i nie mógł dokończyć.

Wciąż pomieszkiwaliśmy u Maude w oczekiwaniu na kolejny etap naszej misji, a ja usiłowałem przekonać Neila, że jego decyzja o unikaniu kontaktu z Declanem jest absurdalna.

– Posłuchaj – ciągnąłem. – Nikt nie będzie niczego podejrzewał, jeśli podejmiesz się jego wychowania. Wszyscy wiemy, że kochałeś Olive. Uznają, że właśnie dlatego zajmujesz się jej dzieckiem, a nie dlatego, że za sprawą działania jakiegoś pokręconego ducha udało wam się we dwójkę zmienić porządek świata!

Neil pokręcił głową.

– Mało kto w ogóle wie, że Olive urodziła dziecko. To dobrze. Powinieneś zadbać, by tak zostało. I nie mieszać mnie do tego.

Rozmawiałem z nim setki razy, doprowadzał mnie do szaleństwa. Gdyby nie chciał widzieć Declana, bo na przykład nie lubił dzieci albo unikał ojcowskich obowiązków, mógłbym to zrozumieć. Ale było oczywiste, że Neil rozpaczliwie chciał być częścią życia swojego syna. Słyszałem to w jego głosie.

– Znajdziemy jakiś sposób – zapewniłem. – Słowo.

Spojrzał na mnie z udręką.

– Declan jest cudem – szepnął. – Potrzebuje ochrony... i normalnego życia. Szczęśliwego, normalnego życia.

– Ja również tego chcę dla dzieciaka – powiedziałem ze znużeniem. – Wierz mi.

– Adrian? – Głos Maude dotarł na ganek z tyłu domu, gdzie obaj siedzieliśmy, rozkoszując się ciepłym wieczorem. – Masz gości.

W jednej chwili znaleźliśmy się z Neilem w środku. Serce mi waliło. Nareszcie! Zobaczyłem w salonie Sydney, która odzyskała już swój wygląd. Chwyciłem ją w objęcia i zacząłem kręcić się w kółko. Śmiała się i prosiła, bym ją puścił, zanim zakręci jej się w głowie. Ująłem jej twarz w dłonie.

– Nic ci nie jest! – stwierdziłem z radością.

Wymierzyła mi kuksańca.

– Wiedziałaś.

– Co innego słyszeć coś przez telefon, a co innego zobaczyć na własne oczy – wyjaśniłem i pocałowałem ją w czoło. – To znaczy wiedziałem, że jesteś kompetentna, odważna i niesamowita, ale... kiedy twoja żona ryzykuje życie pośród zgrai oszalałych łowców wampirów, nie jest łatwo.

Sięgnąłem do kieszeni.

– I nie zapomnij o tym. – Ukłakłem i wsunąłem jej na palec diamentowe i rubinowe pierścienie, które wzięłem od niej na przechowanie. – Tak jak obiecałem. Wprawdzie mieliśmy być nago, ale to nadrobimy później.

Spodziewałem się, że mnie skarci tym swoim „Och, Adrian”, ale uśmiechnęła się z miłością. Wzięła mnie za ręce i pomogła wstać. Przez chwilę myślałem nawet, że mnie

pocałuje, ale uświadomiła sobie, iż mamy publiczność. Zarumieniła się, zrobiła krok w tył i założyła ręce na piersi, przyjmując bardziej oficjalną postawę. Eddie i Marcus przyglądali nam się z rozbawieniem. Neil wyglądał na zaintrygowanego, popatrując to na nią, to na mnie.

– Pora wracać do naszych spraw – oświadczyła Sydney.

– Dzieje się – wtrącił z energią Eddie. – Odbijamy Jill.

– Jaki jest plan? – spytałem. Przestałem być na bieżąco już w chwili, kiedy dzwoniłem do Rose i Dymitra, by przekazać im informacje o Jill i alchemikach. Wiedziałem jedynie, że Sydney opracowywała plan uwolnienia Jill.

– Alchemicy potwierdzili, że znają to miejsce w Saint George. Wspólnie ze strażnikami opracowują plan działania, aby nie popełnić błędu w czasie akcji – wyjaśniła Sydney.

Poczułem satysfakcję. Alicja była taka pewna siebie, twierdząc, że nie jesteśmy przygotowani do uwolnienia Jill, lecz nie doceniła Sydney. Dobrze się stało, że nie wykorzystałem większej mocy ducha, by wydobyć z niej szczegóły. Zresztą przez ostatnie dni zachowywałem szczególną ostrożność i zauważyłem ze zdziwieniem, że głos ciotki Tatiany przycichł.

– Mamy również tymczasową amnestię, więc możemy się swobodnie przemieszczać i nawet dołączyć do alchemików w Saint George – dodała Sydney, patrząc na mnie. – To nie znaczy, że weźmiemy udział w akcji. Możemy jednak monitorować sytuację i być na miejscu, gdy uwolnią Jill. Neil, Eddie i reszta zajmą się wszystkim.

– Nie mogę się doczekać – rzucił Neil.

Groźna mina Eddiego mówiła sama za siebie.

– W Saint George poznamy więcej szczegółów – ciągnęła Sydney. – Możemy jechać, kiedy będziecie gotowi. Podróż potrwa jakieś sześć godzin. Powinniśmy tam dotrzeć na sam początek akcji.

– Jestem gotowy – oświadczył Neil.

– Ja też – przyłączyłem się. – Dajcie mi dwie minuty, żebym pozbiarał manatki.

Sydney poszła za mną do pokoju gościnnego Maude i przyglądała się, jak pakuję ubrania i laptop do sportowej torby, którą taszczyłem ze sobą wszędzie podczas tej wyprawy.

– Dzwoniła do mnie Rose – powiedziała, zamykając drzwi. – Chcieli z Dymitrem wiedzieć, czy mogą pojechać do Saint George i zostawić twoją mamę z Declanem u Clarence’a. Pozwoliłam im. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

W pierwszej chwili przerwałem krzątanię, przestraszony, ale po namyśle skinąłem głową.

– Myślę, że tak. Alchemicy przestali cię śledzić, wiedzą już, gdzie będziesz. Poza tym dopóki nikt nie poszukuje Declana...

– Też tak pomyślałam – przytaknęła Sydney. – Rose umierała z ciekawości, dlaczego ukrywamy malucha.

Zarzuciłem torbę na ramię i wolną ręką objąłem Sydney. Zauważyłem, że wsunęła pod pachę małą torebkę.

– Powinniśmy im wyznać prawdę, kiedy to się skończy i kiedy dogadamy się z Neilem. Są godni zaufania... i zasługują na to, żeby im powiedzieć. Wiesz, co to dla nich oznacza – powiedziałem.

– Tak. Poza tym, cokolwiek ostatecznie zdecydujemy w sprawie Declana i Neila... będziemy potrzebowali sprzymierzeńców. Oboje się do tego nadają. Neil nie zmienił zdania?

– Nie – mruknąłem sfrustrowany. – Upiera się szlachetnie, że się od niego odsunie, bo tak będzie najlepiej dla malca.

– Przekonamy go – powiedziała Sydney. – Kiedy będzie już po wszystkim i Jill wróci do

domu.

– Kiedy Jill wróci do domu... – powtórzyłem. Moje tak długo tłumione emocje związane z Jill groziły wybuchem. – Boże, nie mogę uwierzyć, że jesteśmy blisko. Tak długo już się o nią boję.

Sydney ścisnęła mnie za rękę.

– Wiem, wiem. Jeszcze trochę.

– Miałem ochotę rozerwać Alicję na strzępy – wyznałem. – Za to, co zrobiła. Chciałem ją zetrzeć na proch mocą ducha.

– Ale nie zrobiłeś tego?

Wypuściłem powietrze.

– Nie. Powstrzymałem się. Użyłem tylko tyle magii, ile było trzeba. Od tamtej pory bardzo się kontrolowałem.

Uśmiech, który rozświetlił twarz Sydney, sprawił, że zrobiło mi się ciepło.

– Jestem z ciebie taka dumna, Adrian. Wiem, że to niełatwe.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Ale się staram. Chyba mi się uda, wydaje mi się, że potrafię nad sobą panować. Nie potrzebuję nawet pigulek, by powstrzymać się przed używaniem mocy.

Jej uśmiech przygasł, jakby mi nie wierzyła, ale zaskoczyła mnie tym, co powiedziała.

– Będę cię wspierać i zostanę przy tobie, cokolwiek zdecydujesz, do końca naszego życia.

– Podała mi torebkę, którą trzymała pod pachą. – Mam dla ciebie prezent. Właściwie dla nas obojga.

Zajrzałem do środka i zobaczyłem kubek do kawy z Naleśników i Farszu.

– No, nie! Nie wierzę, że pojechałaś tam beze mnie – zażartowałem.

– To dla nas – powiedziała. – Pierwszy zakup do nowego domu. Negocjuję ze Stanton odzyskanie naszej wolności. Kiedy będzie po wszystkim, zamieszkamy razem, Adrian. W prawdziwym świecie.

Kochałem ją tak bardzo, że mogłem się w tej miłości zatracić. Odstawiłem pakunki i przyciągnąłem Sydney do siebie. Ten głupi kubek nabrał nagle wielkiego znaczenia. Patrząc na nią, na jej kochaną twarz, widziałem przyszłość, o której mówiła i w której mogliśmy osiągnąć wszystko. Nawet konieczność zażywania tabletek wydawała się niewielką za to ceną. Nie potrzebowałem ducha, dopóki miałem Sydney.

Przycisnąłem ją delikatnie do drzwi i pocałowałem, pozwalając sobie na sekundę zapomnieć o wszystkim, co nas czekało po wyjściu z tego pokoju. Teraz liczył się tylko ten doskonały moment.

– Sprawiasz, że wierzę, iż wszystko jest możliwe – wyszeptalem.

– Przecież to my jesteśmy środkiem – odparła. – I ten środek wciąż spaja.

Pocałowałem ją znowu, mocniej. Po dłuższej chwili oderwaliśmy się od siebie z wielką niechęcią.

– Bardzo chcę mieć prawdziwy dom – powiedziałem, odgarniając jej włosy z twarzy.

– Ale czy moglibyśmy wcześniej wyjechać na prawdziwy miesiąc miodowy?

– Z przyjemnością – wymruczała, całując mnie znowu. – Kiedy tylko odzyskamy Jill, wszystko się zmieni.

Przytrzymałem ją mocno.

– Na Boga, to jedźmy po Jill!

Pojechaliśmy we czwórkę drogą do Saint George. Podróżowaliśmy nocą, żeby zdążyć na czas. Zmienialiśmy się za kierownicą i próbowaliśmy na zmianę odpoczywać, ale nie bardzo nam to wychodziło. Odnosiłem wrażenie nierealności sytuacji. Cieszyłem się, że znów mam przy

sobie Sydney, i próbowaliśmy nadrobić czas rozłąki. Nie poznałem szczegółów negocjacji ze Stanton, ale moja żona była przekonana, że czeka nas szczęśliwa przyszłość we wspólnym domu.

Dojechaliśmy na miejsce bardzo sprawnie i tuż przed świtem weszliśmy do wspólnego, prowizorycznego sztabu strażników i alchemików. Niechętnie to przyznałem, jednak alchemicy okazali się użyteczni. W niecały dzień znaleźli puste biuro i zapełnili je swoimi ludźmi oraz komputerami. Mieli kamery i dane z satelity o obiekcie wojowników, a ich zwiadowcy już znajdowali się na miejscu i przekazywali na bieżąco informacje o sytuacji i systemach zabezpieczeń.

Oddziałem alchemików dowodził mrukliwy gość o nazwisku McLean. Zdziwiająco sprawnie współpracowali z Dymitrem, który przyjechał przed kilkoma godzinami. Wszyscy zapewniali nas, że akcja zakończy się sukcesem. Mieliśmy znaczną przewagę liczebną. Jeśli zaskoczymy przeciwnika mocnym uderzeniem bez ostrzeżenia, powinniśmy od razu odnieść zwycięstwo. Zerkaliśmy z Sydney na siebie niepewnie, wiedząc, że rzadko okazuje się to tak łatwe, jak na początku wygląda, ale próbowaliśmy być optymistami. Mieliśmy nadzieję, że pójdzie dobrze. Musiało pójść. W tym duchu wysłaliśmy do ataku Dymitra, Rose, Eddiego i Neila. A nam pozostawało już tylko czekać na wieści od przyjaciół.

Dziwnie się czułem, nie biorąc udziału w akcji. Przez ostatni miesiąc martwiłem się o Jill, lecz nie mogłem nic zrobić uwięziony na dworze. Potem, gdy natrafiliśmy na ślad Alicji, także nie chciałem czekać bezczynnie, ukrywając jedynie nieobecność Sydney. Teraz gdy nareszcie wiedziałem, gdzie trzymają Jill, znów nie mogłem działać. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Od chwili, gdy ocalałem życie Jill, czułem się za nią odpowiedzialny. Zdawałem sobie sprawę, że obiekt pełen uzbrojonych fanatyków powinni zdobyć wyszkoleni strażnicy i alchemicy, ale chciałem tam być.

– To normalne – powiedziała łagodnie Sydney, kładąc rękę na moim ramieniu. – Ja też czuję się bezużyteczna, ale oni są fachowcami. Kiedy ją uwolnią, jako pierwsi zobaczymy Jill.

– Wiem – przyznałem i objąłem ją ramieniem. – Cierpliwość nie jest moją najmocniejszą stroną.

Kiedy to mówiłem, wzrok Sydney powędrował dalej, zobaczyła coś za moimi plecami. Odwróciłem się. Do sztabu weszli jej ojciec i Zoe. Oni również znieruchomieli, a potem Zoe postąpiła parę kroków naprzód i się uśmiechnęła. Ojciec natychmiast przywołał ją do porządku.

– Zoe! – warknął.

– Nie pozwolisz mi się przywitać z siostrą, ojcze? – spytała Sydney. – Boisz się, że ją skalam?

Zaczerwienił się.

– Słyszałem, że zawarłaś umowę ze Stanton. Nie doszłoby do tego, gdybym to ja tu dowodził.

– Jak się masz, Zoe? – Sydney po prostu zwróciła się do siostry. – Wszystko w porządku? Zoe zerknęła niepewnie na ojca, a potem powoli pokiwała głową.

– Tak. A u ciebie?

– Idziemy – rozkazał jej ojciec. – Sprawdźmy, jak rozwija się sytuacja.

Zoe spojrzała jeszcze na Sydney, a potem z ociąganiem ruszyła za Jaredem Sage'em do punktu, z którego alchemicy kontaktowali się z oddziałami atakującymi siedzibę wojowników. Sydney podążyła za nimi.

– Też chcę wiedzieć, co się dzieje – powiedziała.

Podeszła do grupy zgromadzonej wokół dwojga ludzi prowadzących rozmowę z członkami oddziału i poczekała na moment, gdy jej ojciec zadał komuś pytanie. Dotknęła rękawą Zoe i odciągnęła ją delikatnie kilka kroków w naszą stronę.

– Nie podziękowałam ci, że na mnie nie doniosłaś, gdy spotkałyśmy się w Ozarks – powiedziała wzruszona Sydney.

Zoe potrząsnęła głową, ale zerkała niepewnie na ojca.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Sydney, gdybym wiedziała, co cię czeka w ośrodku, nigdy bym cię nie wydała. Sądziłam, że ci tam pomogą. Naprawdę. – Jej oczy wypełniły się łzami.

– Skąd wiesz, co tam się działo? – spytałem. Szczegóły pobytu osadzonych w ośrodku reedukacji nie były powszechnie znane.

Zoe nie odpowiedziała od razu. Zerkała na mnie z napięciem, najwyraźniej nie radziła sobie z myślą o szwagrze wampirze.

– Carly mi mówiła – odparła w końcu. – Słyszała o wszystkim od chłopaka, który pomógł ci stamtąd uciec. Chyba się z nim spotyka.

Popatrzyliśmy na siebie z Sydney zdumieni.

– Od Marcusa? – spytaliśmy jednocześnie.

– Tak – potwierdziła Zoe. – Chyba tak ma na imię.

– A to spryciarz – mruknąłem. Widziałem, że starsza siostra Sydney od razu wpadła mu w oko, ale nie miałem pojęcia, że nawiązał z nią kontakt.

– Cieszę się, że widzisz się z Carly – powiedziała Sydney. – A rozmawiasz czasem z mamą?

Zoe zaprzeczyła ruchem głowy.

– Chciałabym, ale tata się nie zgadza. Postarał się o zakaz podczas sprawy rozwodowej.

Był w jej głosie żal, który oboje z Sydney wychwyciliśmy.

– Chcesz się uwolnić? – Sydney spytała wprost. – Chcesz być niezależna od nich?

– Jeszcze nie teraz – odparła Zoe. Widząc powątpiewający wzrok Sydney, wyjaśniła:

– Wiem, co mówię. Nie boję się. Nadal wierzę w sprawę... choć nie zawsze pochwalam metody. Nie jestem gotowa zrezygnować. Chciałabym się dalej uczyć i pracować z alchemikami... a potem, kto wie? – Posmutniała. – Z drugiej strony miło byłoby zobaczyć się z mamą.

– Zoe! – huknął Jared. Zauważył już, z kim jego córka rozmawia. – Chodź tu natychmiast i...

W tej właśnie chwili odezwała się alchemiczka odpowiedzialna za komunikację.

– Odsłuchuję raport!

Siedziała obok strażnika, który razem z nią monitorował obraz z kamer. Oboje mieli na uszach słuchawki, a przed sobą laptopy. Strażnik kiwnął głową.

– Oba oddziały są już w środku... Teren wokół budynku jest prawdopodobnie zaminowany.

Sydney ścisnęła mnie za rękę. W pokoju zapadła złowieszcza cisza. Czekaliśmy. Przypomniałem sobie wyraz twarzy Alicji, gdy mówiła, że nie uda nam się dotrzeć do Jill.

– Ominęli miny – poinformował strażnik kilka minut później. Obecni w pokoju odetchnęli z ulgą, lecz za chwilę napięcie znów wzrosło. – Rozpoczęła się walka.

Odgłosy dobiegające ze słuchawek były przytłumione, a mimo to słyszałem rozkazy wykrzykiwane przez oddziały atakujące oraz huk przypominający wystrzały. Sydney oparła się o mnie, dotykając ręką małego drewnianego krzyżyka, który pomalowałem dla niej dawno temu i który nosiła jako wisiołek. Minuty ciągnęły się jak godziny, a ja przez cały czas biłem się z myślami, że powinienem tam być.

Niby po co? – prychnęła ciotka Tatiana. Na co byś im się przydał bez mocy ducha? Bo twoja żona nie pozwoliłaby ci jej użyć, pamiętasz?

Strażnik odsłuchiwał najnowszy raport i się uśmiechnął.

– Weszli do budynku. Opanowali także piętra. Wszyscy wojownicy zostali ujęci.
– Przerwał i słuchał dalej. – Nie ma uszkodzonych po naszej stronie.

W niezwykłym momencie solidarności on i alchemiczka przybili piątki, ale ja nie podzielałem ich radości. Jeszcze nie teraz.

– Znaleźli Jill?

Strażnik zaprzeczył ruchem głowy.

– Idą po nią. Jest przetrzymywana w piwnicy. Nasi sprawdzili teren czujnikami termowizyjnymi i wiemy, że przebywa tam tylko jedna osoba. Wszystkie dane wskazują na morojkę jej wymiarów.

Mocno przygarnąłem do siebie Sydney i ukryłem twarz w jej włosach.

– To koniec. Już po wszystkim. – Nie jestem skory do płaczu, ale czułem, jak łzy napływają mi do oczu na myśl o tym, że wkrótce zobaczę Jill.

– Ja... Tak. Co to?

Odwrociłem się w stronę alchemiczki ze słuchawkami na uszach i uświadomiłem sobie, że mówi do kogoś przez telefon. Zmarszczyła brwi, a potem spojrzała na nas.

– Ktoś chce z panią mówić, pani Iwaszkow.

Kątem oka dostrzegłem, że ojciec Sydney zasępił się na dźwięk mojego nazwiska.

– Ze mną? – spytała Sydney, przyjmując podane jej słuchawki. Włożyła je i usiadła na fotelu, podejmując rozmowę, którą słyszałem tylko w połowie. – Jak to? Rozumiem... Są jakieś znaki? Przedmioty? Dobrze... nie, możesz mieć rację. Zaczekaj na mnie... Zaraz tam będę. Tak.

Wstała i zdjęła słuchawki.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Dzwonił Eddie – odparła. – Już mieli wtargnąć do piwnicy, ale kazał im się wstrzymać w ostatniej chwili.

– Dlaczego? – spytała Zoe.

Sydney spojrzała mi w oczy.

– Powiedział, że tam pachnie jak w domu panny Terwiliger.

W pierwszej chwili pomyślałem, że sugeruje, iż Jackie tam jest, ale potem skojarzyłem.

– Myślisz, że ktoś tam użył magii?

– To Alicja porwała Jill – zauważyła Sydney. – Możliwe, że zastawiła w tym miejscu pułapkę. To by również wyjaśniało, dlaczego wojownicy nie postawili przy niej warty.

– Może dlatego, że wszyscy rzucili się do walki? – wtrącił jej ojciec.

Usłyszałem w myślach słowa Alicji: „Nigdy do niej nie dotrzecie! Nigdy tam nie dotrzecie!”. Poczułem, że ściska mnie w dołku.

– Nie, to na pewno jest zasadzka.

– Postanowili się wstrzymać do mojego przybycia – ciągnęła Sydney. Spojrzała mi w oczy. – Idziesz ze mną?

Nie musiała pytać. Jeden ze strażników zawiózł nas na miejsce za rogatekami miasta. Nie zdziwiłem się, fanatycy nigdy nie budowali swoich twierdz w zaludnionych rejonach. Tutaj przeważały tereny pustynne, chociaż inne niż w okolicach Palm Springs. Ziemia i skały miały barwę czerwoną, niemal jaskrawą w promieniach zachodzącego słońca. Tu i ówdzie pojawiały się drobne kępki roślin. Sam budynek był szeroki, jednopiętrowy, otoczony drutem kolczastym. Alchemicy i strażnicy patrolowali teren ramię w ramię. Widziałem, jak otoczyli wojowników. Dymitr podszedł do nas, gdy wysiedliśmy z wozu.

– Tędy – powiedział, wskazując nam drogę. – Uważamy, że wciąż są tu miny. Poprowadzę was bezpieczną ścieżką.

Szliśmy za nim po skalistej ziemi do budynku, mijając patrzących na nas wrogo jeńców.

Budowla wyglądała ascetycznie, jak wojskowe koszary, i o ile się orientowałem, służyła wojownikom wyłącznie do przetrzymywania więźniów oraz spotkań, na których snuli swoje szalone plany unicestwienia wampirów. Idąc tamtędy, miałem dreszcze.

Schody pośrodku budynku prowadziły pod ziemię, gdzie czekali już Eddie, Neil i Rose. Oboje z Sydney stanęliśmy w długim betonowym korytarzu biegnącym w mrok. Zauważyłem kilkoro drzwi, ale nie miałem pojęcia, co się za nimi kryje. Sydney się skrzywiła.

– Przypomina prymitywną wersję niektórych pięter w ośrodku reedukacji – skomentowała.

Wiedziałem, co miała na myśli, pomagałem w jej uwolnieniu. W budynku alchemików również znajdowały się długie korytarze pełne tajemniczych drzwi, chociaż wyglądał bardziej jak klinika. Wszystko było tam sterylne i oświetlone ostrym światłem jarzeniowym. To miejsce zaś przypominało średniowieczne lochy. Mdlilo mnie na myśl o tym, że zamknęli tu Jill.

– Sądźmy, że Jill jest w głębi – powiedziała Rose. – Detektory alchemików wykryły, że jest tam ktoś jej postury. Chciałam po nią pójść, ale Eddie... – Było jasne, że nie podzielała jego wątpliwości.

Eddie miał nieco zażenowaną minę, lecz trwał przy swoim.

– Nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś tam jest nie tak. Dlaczego nie postawili warty przy swojej najcenniejszej więźniarce? Czujecie ten zapach?

Sydney potwierdziła ruchem głowy, a ja musiałem się z nią zgodzić.

– Rzeczywiście, pachnie jak w domu Jackie – zauważyłem.

– Ktoś tu palił kadzidełka – stwierdziła Sydney. – Choć panna Terwiliger robi to rzadko. Wetiweria pachnąca i czarny lotos. – Zmarszczyła czoło i się rozejrzała. – Tam. Na podłodze zostawiono popiół. Tam spalono kadzidło.

Chciałem przyjrzeć się z bliska, ale mnie powstrzymała.

– Zaczekaj – powiedziała. Uniosła rękę i wypowiedziała słowa w nieznanym mi języku. Po kilku sekundach na suficie pojawiły się lśniące symbole nad miejscem, gdzie leżał popiół. Sydney przyglądała im się z uwagą, aż zbladły, a potem wypuściła powietrze. – Szlag!

Rzadko przeklinała, uznałem więc, że to nie wróży nic dobrego.

– O co chodzi? – spytałem.

– Jest tu demon – odparła tonem stanowczo zbyt lekkim jak na taką rewelację. – Wygląda na to, że przywołała go Alicja, żeby trzymał wartę.

– Skoczus także oficjalnie jest demonem – podsunąłem.

Sydney miała ponurą minę.

– Obawiam się, że zupełnie innego rodzaju. To jest Senicus. – Zorientowała się, że nie mamy pojęcia, o czym mówi, i spytała: – Słyszeliście o hydrze z mitologii greckiej? To coś podobnego. W pewnym sensie. Wąż o wielu głowach. I te głowy plują wrzącym kwasem.

Przerabiałem mitologię grecką w liceum i nawet się nią interesowałem.

– Czy jego głowy także odrastają? – spytałem.

– Nie, jeśli zostaną spalone – odparła.

– Potrzebujemy miotacza ognia? – chciał wiedzieć Neil.

Sydney wyciągnęła rękę i po chwili na jej dłoni pojawiła się ognista kula.

– Nie.

Rose wytrzeszczyła na nią oczy.

– Nooo. A można to coś unieszkodliwić sztyletem?

– Nie – zaprzeczyła Sydney. – Chroni go magia. Tylko ja jestem w stanie go pokonać. Odciągnę jego uwagę, a wy tymczasem wyprowadźcie Jill. Ktoś musi przejść obok demona, gdy będzie zajęty walką. Można go zniszczyć tylko ogniem. Jill utknie w pułapce, kiedy wokół

rozprzestrzeni się dym.

I znów poczułem się bezużyteczny. Sydney była świetna, jeśli chodzi o ciskanie kulami ognia, ale to nie oznaczało, że zostawię ją samą z demonem.

– Co mam robić?

– Nic – odparła. – Wyjść stąd.

Uważa, że się do niczego nie nadajesz! – syknęła ciotka Tatiana. *Będiesz jej tylko zawadzał.*

– Sydney, pozwól mi pomóc – nalegałem.

Nawet na mnie nie spojrzała. Rozejrzała się po korytarzu, oceniając zasięg swojego rzutu i szacując, jakich spustoszeń może w tym pomieszczeniu dokonać ogień.

– Nie masz tu nic do roboty, Adrian. Wycofaj się w bezpieczne miejsce na wypadek, gdyby Jill potrzebowała twojej pomocy.

Czy ty to słyszysz? – jątrzyła ciotka Tatiana. *Ona cię ma za kompletnego niezdarę!*

Poczułem, że wzbiera we mnie gniew i prawie się z nią zgodziłem, gdy naprawdę dotarło do mnie, co powiedziała Sydney. *Nie, ona ma rację* – oznajmiłem zjawie. *Muszę zabezpieczyć swoją moc na wypadek, gdyby Jill została ranna. Nie chcę, żeby powtórzyła się sytuacja z Olive.*

Ciotka Tatiana nie zgadzała się ze mną.

Nie musisz niczego zabezpieczać! Dasz sobie radę ze wszystkim!

Pocałowałem Sydney, żeby zagłuszyć ten wewnętrzny głos, i pospiesznie ją przytuliłem.

– Bądź ostrożna – mruknąłem. – Jestem tu, na wypadek gdybyś mnie potrzebowała.

– Byle nie za blisko – ostrzegła. – To coś pluje kwasem. Nie możesz dać się poranić.

– Zrozumiano – odpowiedziałem szybko, zanim ciotka Tatiana zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Stanałem na schodach. W razie potrzeby będę mógł uciec, ale również zobaczę, co się dzieje na korytarzu. Nie spierałem się z Sydney, lecz martwiłem się nie tylko o bezpieczeństwo Jill. Sydney i dąpiery także bardzo ryzykowali. Chciałem być pod ręką, gdy ktoś zostanie ranny. Po burzliwej naradzie ustalili we troje plan. Eddie i Neil mieli czekać ze mną jako wsparcie, a Rose sama wejdzie do korytarza. Uparła się, że zrobi to najlepiej, bo jest najdrobniejsza i najszybsza. A wszyscy nie zdołają się precyzyjnie przycisnąć obok demona, tym bardziej że wokół będą szalały kule ognia.

– Pora go wywołać – rzuciła nerwowo Sydney. – Jeśli pomyślę kolejność run, przyjdzie sam, ale wołałabym go wezwać na moich warunkach. – Uniosła ręce i wypowiedziała inkantację, po której na suficie znów wyświetliły się tajemnicze znaki. Tym razem pod nimi zmaterializował się potwór.

Zrozumiałem wówczas, dlaczego Sydney porównała go do hydry. Od pasa w dół demon posiadał dwie nogi tak jak my, ale jego skóra była pokryta łuską i miał stopy zakończone szponami. Od pasa w górę wyrastało z korpusu kilka wijących się macek oraz pięć wężowych karków i łbów. Wszystkie syczały i patrzyły złowrogo na Sydney. Poczułem, że strach ścisną mnie za gardło i niemal pożałowałem czasów, gdy jedynymi znanymi mi potworami były strzygi. Bałem się, ale czułem zarazem przemożne pragnienie przyjscia z pomocą Sydney. Moje życie nie miało znaczenia. Byłem gotów poświęcić je dla niej.

Zrób to! Zrób to! – krzyczała ciotka Tatiana. *Ciśnij w niego czymś!*

– Nie mogę – odparłem. – W przeciwieństwie do Sydney.

– Hmm? – odezwał się Eddie.

Zacząłem mówić na głos, więc szybko potrząsnąłem głową.

– Nic.

Sydney nie ruszyła się z miejsca. Twardo patrzyła na wężowego demona przed sobą,

jakby robiła to codziennie, a nie jak ktoś, kto niespodziewanie wszedł do gądziego gniazda. Nad koniuszkami jej palców rozjarzyła się ognista kula, którą cisnęła bez ostrzeżenia w jeden z węzowych łbów. Rzut był celny, ale wąż zbyt szybki. W mgnieniu oka cofnął łeb i uniknął ciosu. Drugi łeb tymczasem splunął kulą jasnozielonej brei, która spadła na podłogę z betonu i zaczęła ją wyżerać. Wołałem nie myśleć, co ta substancja robi z ciałem.

Sydney cisnęła drugą kulą i znów chybiła, ale się nie zachwiała.

– W końcu go trafię – powiedziała do Rose. – A wtedy przyjdzie twoja kolej.

Rose stała tuż przy niej w pełnej gotowości. Tworzyły razem niezwykle widok: ciemnowłosa i złotowłosa, obie nieustraszone w obliczu niebezpieczeństwa. Były piękne i niosły śmierć.

Kolejna ognista kula Sydney trafiła w smoczy łeb. Potwór cofnął się w bólu, a jego pozostałe łby wydały z siebie wrzask. Rose wykorzystała okazję i puściła się pędem tuż obok niego. Biegła wzdłuż przeciwległej ściany betonowego korytarza. Demon zauważył ją i spróbował się zwrócić w jej stronę, ale kolejna dobrze wymierzona kula ognia kazała mu obrócić się do Sydney. Większość macek potwora okazała się zbyt krótka i gruba, ale kilka było dłuższych i te raz po raz niebezpiecznie zbliżały się do Sydney. Musiała jednocześnie uskakiwać przed nimi i wypluwanym kwasem. Robiła to zreźniej, niżbym robił to ja. Wolfe z pewnością byłby z niej dumny.

– Jest za blisko – mruknął Neil, gdy Sydney ledwo uskokczyła przed kolejnym splunięciem.

– Poradzi sobie – zapewnilem.

Jakby na zawołanie kula ognia znów wylądowała na smoczym łbie, pozostawiając po sobie zwęgloną łupinę.

– Czemu ta Rose tak się grzebie? – niecierpliwił się Eddie.

Nie umiałem na to odpowiedzieć. Rose zniknęła w ciemności, a żadne z nas nie wiedziało, co się tam kryje. Może musiała zaglądać za dwadzieścioro drzwi. A może wszystkie były zamknięte. Albo Jill została związana lub zakuta w łańcuchy. Nie mieliśmy pewności i to było najgorsze.

Sydney unicestwiła właśnie trzeci węzowy łeb, gdy usłyszałem, jak Eddie głośno wciąga powietrze. W cieniu za cielskiem bestii mignęła mi sylwetka Rose oraz druga, która ciężko się na niej wspierała. Wszędzie poznałbym te długie jasnobrązowe włosy. Serce podskoczyło mi w piersi.

To była Jill.

Rose wyraźnie czekała na szansę, żeby przejść obok potwora. Zauważyłem, że Sydney zeszytniała, i zrozumiałem, że zobaczyła je obie z tyłu. Zamachnęła się szeroko i cisnęła ognistą kulą, nie celując tym razem w łeb smoka, ale zmuszając go do przesunięcia się na bok korytarza. Rose domyśliła się zamiaru Sydney i szybko pociągnęła za sobą Jill. W pewnej chwili potwór wyrzucił przed siebie macki, które sięgnęły łydki Rose. Wstrzymałem oddech, ale wtedy szybka i doskonale wycelowana ognista kula pozbawiła bestię czwartego łba. Macki cofnęły się, smok skierował swoją wściekłość na Sydney, a Rose udało się przebiec razem z Jill na schody.

Eddie i Neil błyskawicznie przypadli do Jill i pomogli Rose wprowadzić ją wyżej. Serce mi się ścisnęło na jej widok. Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie déjà vu. W takim samym stanie była Sydney, gdy odnalazłem ją w czeluściach ośrodka reedukacji.

Jill bardzo schudła i miała nienaturalnie bladą skórę, nawet jak na morojkę. Była ubrana w brudną i pomiętą pidżamę – w której zapewne została porwana – i wyglądała tak, jakby przez cały ten czas nie pozwalano jej się wykapać. Miała lekko rozszerzone źrenice, co sugerowało, że podawali jej jakiś narkotyk. To dlatego nie mogłem skontaktować się z nią we śnie.

– Dobrze się czujesz? – spytałem. Przywołałem moc ducha, żeby ją uzdrowić.

– N... nie, nie rób tego – poprosiła. Mimo otępienia wywołanego narkotykiem nasza więź musiała wciąż działać. A może po prostu знаła mnie wystarczająco dobrze, by odgadnąć, co zamierzam. Minęło parę sekund, zanim udało jej się wypowiedzieć kolejne słowa. – Ja... jestem tylko słaba. I głodna. Podawali mi krew zwierzęcą.

Zrobiło mi się niedobrze. Moroje mogą przetrwać żywieni krwią zwierząt, ale określenie „przetrwać” jest doprawdy eufemizmem. Utrzymujemy się przy życiu, ale tracimy mnóstwo sił i energii. Od kiedy pamiętam, krążyły wśród nas opowieści o jakiejś morojskiej rodzinie uwięzionej gdzieś na tydzień bez karmiciela, która musiała żywić się krwią zwierząt. Wychodzili z tego osłabieni i otumanieni, a gazety morojskie szeroko się o tym rozpisywały. Nie umiałem sobie nawet wyobrazić, w jakim stanie musiała być Jill po miesiącu takiego traktowania. To wyjaśniało, dlaczego ślaniała się na nogach.

Instynkt nakazywał mi udzielić jej pomocy, zasilić mocą ducha.

– Nie – rzuciła ostro, znów uprzedzając mój ruch. – Zdobądź dla mnie karmiciela. I niech ktoś zajrzy na tyły budynku. Jest tam piwnica, a w niej drugie więzienie.

– Zawiozę ją do karmiciela – powiedział Eddie i ruszył razem z Jill w górę schodów. Z drugiej strony podtrzymywała ją Rose.

– A ja znajdę drugiego więźnia – oświadczył Neil, zamierzając pójść ich śladem. Zatrzymał się jednak i zerknął na Sydney. – Chyba że mnie potrzebujesz?

Pokręciłem głową.

– Wyprowadzę ją stąd. Idź im pomóc.

Dampiry i Jill zniknęły, zostawiając mnie samego czuwającego nad Sydney. Wężowy demon miał już tylko jeden łeb, ale zauważyłem w korytarzu dym. Któraś z ognistych kul musiała trafić w drzwi, które się zajęły płomieniami.

– Musimy opuścić to miejsce! – rzuciłem do Sydney. – Ogień szybko się rozprzestrzenia, a Jill jest już bezpieczna.

– Nie zostawię go tutaj. Kto wie, co może jeszcze zrobić! – odrzyknęła.

Dobrze wycelowana ognista kula omal nie pozbawiła go głowy, ale stwór zrobił unik w ostatniej chwili. Ryknął z furią i jedna z jego macek wystrzeliła naprzód, szybciej niż Sydney się spodziewała. Macka oplotła się wokół jej stóp i przewróciła ją na ziemię. Demon przypadł do niej z równą szybkością i triumfalnie uniósł ostatni łeb, zamierzając oblać Sydney kwasem.

Zrób coś! Zrób coś! – wrzeszczała ciotka Tatiana.

Nie było jednak w pobliżu żadnego przedmiotu, którym mógłbym cisnąć za pomocą telekinezy, żadnych roślin, które przywoływała na pomoc Sonia. To się działo na jawie, nie we śnie. Moc ducha nie służy walce, ale musiałem działać. Sydney – moje serce, moją miłość i żonę – sekundy dzieliły od pewnej śmierci. Zasłoniłbym ją własnym ciałem, ale wiedziałem, że nie zdążę. Musiałem podjąć decyzję w ułamku sekundy, więc uciekłem się do radykalnej metody.

– Stój! – rozkazałem.

Duch we mnie płonął, skierowałem na demona falę magii wpływu, usiłując nakłonić go, by poddał się mojej woli. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie robiłem. Nie wiedziałem nawet, czy to możliwe. Potwór znieruchomiał, pomyślałem więc natychmiast, że teoretycznie można przejąć nad nim kontrolę. Teoretycznie było właściwym określeniem. Wprawdzie zatrzymałem go na krótko, lecz poczułem, że się wymyka. Zaraz potem znów otworzył paszczę, gotów zaatakować Sydney. Im silniejszą wolę ma dany obiekt, tym trudniej go kontrolować. Demony muszą stanowić osobną kategorię, bo przywołałem naprawdę dużo mocy ducha, a efekty były mizerne.

Więcej, więcej! – krzyczała ciotka Tatiana.

Sięgnąłem po rezerwowe zasoby mocy, dałem z siebie wszystko, całą swoją energię i życie. Rzuciłem na szalę więcej niż we śnie z Olive, prawie tyle, ile potrzebowałem, by wskresić Jill. Duch wypełnił mnie bez reszty i uczynił większym, niż sądziłem, że mógłbym się stać, niemal równym jakiemuś bóstwu. Zwróciłem całą tę moc przeciw demonowi i rozkazałem: „Puść ją! Cofnij się!”.

I demon posłuchał.

Macki puściły Sydney, która odsunęła się na czworakach i wstała. W jej dłoniach płonął ogień i bez trudu pozbawiła ostatniego łba demona, którego trzymałem pod kontrolą. Kiedy to się stało, cielsko smoka rozsypało się w czarny pył. Duch nadal płonął we mnie jasno, byłem mocny i niepokonany. Sydney podbiegła do mnie i potrząsnęła moją rękę.

– Opuść, Adrian – błagała. – Skończone. Zwyciężyłeś go. Wypuść magię!

Nikt nigdy nie posiadał tak wielkiej mocy – powiedziała ciotka Tatiana. Czujesz to? Czy nie czujesz, że żyjesz? Dlaczego miałbyś ją wypuścić z rąk?

Miała rację. Posiadłszy taką moc, mogłem dokonać wielkich rzeczy. Walczyć ze strzygami, wojownikami, nawet demonami. Żaden z naszych wrogów nie mógł się ze mną równać. Nie potrzebowaliśmy już srebrnych sztyletów ani szczepionki, nad którą pracowała Sonia. Mogłem się z nimi rozprawić w pojedynkę. Jedną ręką ocaliłbym nasz lud.

– Adrian, Adrian!

W pierwszej chwili nie wiedziałem, do kogo należy ten głos. Tak bardzo zatraciłem się we własnej mocy, która mnie spalała. Ujrzałem przed sobą zamazany obraz czyjejś twarzy. Ludzkiej kobiety o jasnych włosach i brązowych oczach. Nie znałem jej.

– Adrian! – powtarzała. – Wypuść magię! Proszę. Wypuść ją... dla mnie.

Powiedziała „dla mnie”.

Ale kim ona była? Po dłuższej chwili zatrucie mocą osłabło na tyle, bym ją rozpoznał. To była Sydney. Moja żona. To ona patrzyła mi przerażona w oczy.

Nie zwracaj na nią uwagi – nie odpuszczała ciotka Tatiana. Urodziłeś się po to, by władać tą magią!

Sydney ścisnęła mnie za rękę.

– Adrian, proszę. Wypuść magię.

I znów duch zaciemnił mi umysł, postać Sydney się zamazała. Traciłem zdrowe zmysły, tak jak wcześniej Charlotte. Chciałem wypuścić magię, ale to było trudne, bo moc napawała mnie cudownym stanem uniesienia.

Jesteś bogiem – szepnęła ciotka Tatiana. Jestem z ciebie taka dumna.

– Adrian... – powiedziała Sydney. – Kocham cię.

Te słowa i jej głos miały nade mną większą moc niż jakakolwiek zjawa. W jednej chwili wypuściłem magię.

ROZDZIAŁ 19

Sydney

WIEDZIAŁAM, KIEDY TO SIĘ STAŁO. Zobaczyłam to w jego oczach, nagle wrócił do siebie. W każdym razie miałam nadzieję, że tak właśnie było. Nie wiedziałam, jak wiele mocy użył, by rozkazywać demonowi nie z tego świata, ale domyślałam się, jakie to może mieć konsekwencje.

– Sydney... – westchnął i padł mi w ramiona.

Omiał się nie rozpląkałam z ulgi.

– Tak. Chodźmy stąd.

Drzwi, w które trafiłam przypadkiem ognistą kulą, paliły się jasnym płomieniem i nie wiedziałam, jak wygląda sytuacja na niższych piętrach połączonych z głównym korytarzem. Nie chciałam ryzykować, że wszystko wokół nas się zawali. Adrian był chyba lekko otępiaty i musiałam go stamtąd wyprowadzić po schodach. W głębi duszy wciąż czułam lęk na myśl o tym, co opowiadał o stanie Charlotte. „Poznał mnie – powtarzałam sobie. – Poznał mnie”. Musiałam wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

Weszliśmy na górę, gdzie czekali zaniepokojeni strażnicy. Otrzymali surowy zakaz wkraczania do akcji, ale widziałam wyraźnie, że powstrzymywali się ze wszystkich sił...

– Wyprowadźcie stąd wszystkich – nakazałam najbliższemu strażnikowi. – Na dole się pali, nie wiem, jak bardzo rozprzestrzeni się pożar. I upewnijcie się, że nie zostawiono tu czegoś łatwopalnego. – Ostatecznie byliśmy w siedzibie wojowników. Nie chciałam kolejnej katastrofy wywołanej przypadkowym wybuchem prochu.

Wyszliśmy z Adrianem na zewnątrz. Prowadziłam go obok krzątających się strażników i alchemików, mijaliśmy grupę schwytych wojowników. Niedaleko miejsca, w którym zaparkowaliśmy, ujrzałam znajome twarze i skierowałam się w ich stronę. Rose, Dymitr i Eddie stali wokół Jill, która siedziała na składanym krześle. Osoba zajmująca miejsce obok miała już wstać i zostać odprowadzona przez strażnika. Rozpoznałam nieobecne spojrzenie karmiciela.

– Chwileczkę! – zawołałam. – Adrian także potrzebuje krwi.

Jill zerwała się na równe nogi. Wciąż jeszcze była słaba i w kiepskim stanie, ale jej twarz nabrała życia i kolorów. Natychmiast podbiegła, by pomóc Adrianowi usiąść. Nie wiedziałam, czy rzeczywiście potrzebował krwi, ale zdobył się na ogromny wysiłek, a krew zawsze ma krzepiący wpływ na morojów. Od chwili, gdy wypowiedział moje imię, nie odezwał się do mnie słowem. Nie mogłam pozbyć się lęku, że duch ostatecznie mi go odebrał. Karmiciel nadstawił szyję i Adrian automatycznie się nachylił, by się w nią wgryźć. Odwróciłam wzrok, nie wiedząc, jak zareaguję na ten widok.

– Wciąż jest z nami – zapewniła Jill, ujmując mnie za rękę. Jej zielone oczy wydawały się jeszcze większe w wychudzonej twarzy. – Wyjdzie z tego.

Skinęłam głową, próbując powstrzymać łzy.

– Musisz odpocząć – zwróciłam się do niej.

Moje serce było przy Adrianie, lecz wiedziałam, jak wiele wycierpiała Jill. Fakt, że stała obok, troszcząc się o kogoś innego, świadczył o wielkiej sile.

– Jill... Nie umiem sobie nawet wyobrazić, przez co musiałaś przejść. Tak mi przykro, że nie odnaleźliśmy cię wcześniej. Zrobili ci krzywdę?

Zaprzeczyła ruchem głowy i zdobyła się na słaby uśmiech, chociaż w jej oczach wciąż widać było udrękę.

– Żaden nie odważył się przebywać w moim towarzystwie wystarczająco długo. Alicja rzuciła zakłęcie tak, że do smoka można się było bezpiecznie zbliżyć o ściśle określonych porach, na krótko każdego dnia. O świcie ktoś wchodził do mojej celi, podawał mi narkotyk, zostawiał jedzenie i krew i wychodził. Nigdy nie zostawali długo. Pewnie się bali, że zostaną tam uwięzieni razem ze mną.

– Bardzo mi przykro – powtórzyłam. – Żałuję, że nie uwolniliśmy cię prędzej.

Przytuliła mnie.

– Wiem, że próbowaliście. Wiele odczuwałam poprzez więź i...

– Ślicznotko?

Karmiciel odszedł, a Adrian patrzył na nas bystrym, jasnym wzrokiem. Jill krzyknęła i rzuciła mu się w ramiona. Po jej policzkach spływały łzy. Patrząc na nich oboje i ja nie mogłam powstrzymać już płaczu.

– Cała i zdrowa – westchnął Adrian, ujmując jej twarz w dłonie. – Jesteś. Tak się martwiłem. Nie masz pojęcia. Bałem się, że cię zawiodłem...

Jill się rozplakała.

– Nigdy mnie nie zawiodłeś. Nigdy.

Chciałam się przytulić do Adriana, ale dałam im czas, by nacieszyli się sobą. Łączyła mnie z Adrianem wielka miłość, wiedziałam, że będzie nas podtrzymywała do końca życia, nieważne, co się wydarzy. Ale miłość jego i Jill, uczucie brata i siostry zrodzone z ducha, także miała wielką moc. Wiedziałam, jak cierpiał, będąc daleko od niej.

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi samochodu. Zerknęłam na drugą stronę prowizorycznego parkingu w chwili, gdy mój ojciec i Zoe wysiadali z wozu. Towarzyszyła im Stanton. Upewniwszy się, że Adrian i Jill mnie nie potrzebują, podeszłam, by zamienić słowo z alchemiczką.

– Sydney – rzekła na powitanie – wygląda na to, że twoja akcja się udała. Rozumiem, że teraz podasz dwa pozostałe nazwiska?

– Charlene Hampton i Eugene Li – powiedziałam bez wahania.

Stanton powtórzyła nazwiska pod nosem i natychmiast sięgnęła po komórkę.

– Świetnie. Dopilnuję, by ktoś się nimi zajął.

– A druga część naszej umowy? – spytałam.

– Nie miałam dużo czasu – przypomniała. – Ale udało mi się uzyskać pośrednią decyzję... dotyczącą ciebie. Pozostali przywódcy alchemików zgodzili się dać ci wolność. Ty i twój, hm, mąż, możecie sobie żyć w dowolnym miejscu na świecie i robić, co wam się podoba. – Tylko niewielkie zmarszczenie brwi mówiło o tym, jak mierzi ją ta perspektywa.

– Poważnie? – upewniłam się. – Jesteśmy z Adrianem wolni? I nikt nie będzie nas obserwował? – Mój ojciec wyglądał na zdruzgotanego.

– Tak wolni jak każdy na tym świecie – odparła. – Szczerze mówiąc, widziałam, że niektórzy poczuli ogromną ulgę w związku z tą decyzją. Narobiłaś nam sporo problemów, Sydney Iwaszkow.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– A pozostali? Jaki będzie los innych uciekinierów?

– Wszystkich obejmie amnestia... jeśli przekazesz nam resztę informacji – dodała. – Nie mogę ci jednak obiecać likwidacji ośrodków reedukacji. To bardziej skomplikowana sprawa.

Mnie nie wydawała się skomplikowana, ale wolność dla wszystkich przetrzymywanych w ośrodku była wielką nagrodą... jeśli alchemicy zamierzali dotrzymać słowa.

– Co do mnie, mam wiele wątpliwości dotyczących procesu reedukacji – ciągnęła Stanton. – Zamierzam dokładnie się temu przyjrzeć. Potrzebny nam system dyscyplinarny. Na wypadek takich sytuacji jak ta z tatuażami, ale oczywiście musimy wiele przemyśleć.

– Dziękuję – powiedziałam. Miałam nadzieję, że nie pomyliłam się w jej ocenie i że nie kłamała. – Prześlę potem zawartość laptopa.

– Doskonale. A teraz przepraszam na chwilę. Muszę się zająć panną Hampton i panem Li.
– Wybrała numer w komórce i odeszła parę kroków, zostawiając mnie w niezręcznej sytuacji z ojcem i Zoe.

– Nie wiem, jak ją omotałaś – warknął ojciec. – Ale alchemicy nie pozwolą ci na taką arogancję. Niektórzy mogą się na to zgadzać, ale na pewno nie wszyscy.

– Fakt – przyznałam. – Stanton jednak się zgadza. I wierzę mocno, że ludzie tacy jak ona dopilnują, bym mogła odejść, podobnie jak inni, którzy nie chcą być alchemikami. Co więcej, ty jej w tym pomożesz.

W jego oczach zapłonęła wściekłość.

– Nigdy.

– A jednak, tato – ciągnęłam niezrażona. – Stanton pomogła nam, ponieważ podałam jej nazwiska czworga ludzi współpracujących z wojownikami przy produkcji nielegalnych tatuaży. Podałam cztery nazwiska, ale znam pięć. Myślę, że wiesz, jakie zataiłam.

– Nie mam pojęcia – odparł natychmiast.

Zoe wyglądała na wstrząśniętą.

– Co takiego? Ty chyba... nie mógłbyś...

– Mam tu dowód – powiedziałam. – Zdobyliśmy laptopa, w którym zarejestrowano spotkania i umowy, jakie zawierałeś z wojownikami. Jeśli będziesz miał szczęście, twoi współpracownicy nie wydadzą cię, żeby ratować własną skórę. A jeśli pójdziesz na współpracę, ja także cię nie wydam.

– Współpraca! – prychnął. – Cóż to znaczy dla kogoś takiego jak ty? Odrzuciłaś całą moralność, jaką ci wpajałem...

– To znaczy – przerwałam mu – że będziesz pomagał Stanton w rewizji ośrodków reedukacji i dotrzymywał warunków umowy ze mną. Poza tym zmienisz warunki opieki nad Zoe i pozwolisz jej widywać się z mamą.

Ojciec zacisnął ręce w pięści.

– Nie masz prawa mi niczego narzucać! Nie zgodzę się na szantaż!

– Świetnie – ucięłam. – W takim razie powiem Stanton, że zapomniałam jej podać jeszcze jedno nazwisko. Pamiętaj, że mówiła o konieczności wprowadzenia systemu dyscyplinarnego nawet po ewentualnej likwidacji ośrodków reedukacji na wypadek sytuacji takich jak ta.

– Tato, jak mogłeś?! – wykrzyknęła Zoe. – Wiesz, ilu ludziom zaszkodziły te tatuaże!

– Nie rozumiesz – powiedział. – Noszą je tylko wojownicy. A oni nie są ważni.

Pokiwałam głową z drwiącą powagą.

– Jestem pewna, że ten pełen hipokryzji argument przemówi do Stanton. Alchemicy kochają szare strefy. Z pewnością wolą je od czerni i bieli.

– Sydney?! – usłyszałam wołanie Adriana.

Obróciłam się i pomachałam do niego, a potem znów spojrzałam na ojca i Zoe.

– Takie są moje warunki. Jeśli na nie przystaniesz, twoje nazwisko nie pojawi się w materiale, który przekażę Stanton. Jeśli jednak... – Zawiesiłam głos, pozwalając ojcu dopowiedzieć sobie resztę. Był w szoku. Pospiesznie ucisnęłam Zoe. – Cieszę się, że cię zobaczyłam. Daj mi znać, jeśli nadal będzie ci zabraniał widywać się z mamą, chociaż pewnie dowiem się o tym wcześniej.

Zostawiłam ich i podeszłam do przyjaciół. Brakowało tylko Dymitra i Neila. Adrian chwycił mnie w ramiona.

– Sydney – szepnął. – Tak mi przykro, że nawaliłem tam na dole.

– Wcale nie nawaliłeś – zaprzeczyłam gorąco, zarzucając mu ręce na szyję. – Dotrwałeś do końca. Otrząsnąłeś się i postąpiłeś właściwie.

– Nie wydaję mi się, żebym dotrwał – powiedział cicho, przytrzymując moje spojrzenie.

– Zdarzyła się tam taka chwila... w której cię nie poznawałem. Byłem ślepy i głuchy na wszystko, co nie wiązało się z mocą. Towarzyszyła mi również ciotka Tatiana, wrzeszczała w mojej głowie. Wciąż tam jest, nawet gdy z tobą rozmawiam. Myślę... – Wziął głęboki oddech.

– Myślę, że jestem gotowy znów zażywać pigułki. Nie wiem, co się wydarzy, jeśli znów będę musiał użyć mocy ducha, a nie będę miał do niej dostępu... Jednak nie mogę ryzykować, że się zatracę jak dzisiaj. Nie chcę skończyć tak jak Charlotte. I Avery.

Wtuliłam twarz w jego piersi.

– Nie skończysz. Już tego dowiodłeś. Wycofałeś się, podczas gdy one nie były w stanie. Cokolwiek się zdarzy, nie będziesz sam. Pomogę ci. – Łzy znów napłynęły mi do oczu, lecz tym razem płakałam ze szczęścia. – Chyba nam się udało. Uwolniliśmy się od alchemików. Bardzo się przy tym napracowałam, ale... wygląda na to, że dopięłam swego. Poza tym... – Roześmiałam się, bo nagle zdałam sobie sprawę ze swojej paplaniny. – Nie wiem, co będzie dalej, ale na pewno przeżyjemy to razem.

Adrian chwycił moją lewą rękę i nasze obrączki zaśniły wspólnym blaskiem rubinów i diamentów.

– Tylko to się liczy, Sage-Iwaszkow. To plus fakt, że będę musiał przyłożyć Castile'owi, jeśli w końcu nie dogada się z Jill.

Przeniosłam wzrok na Eddiego, który siedział obok Jill, trzymał ją za rękę i coś do niej mówił z czułością. I znów się roześmiałam.

– Bez urazy, ale nie masz z nim szans w walce. Całe szczęście, że nareszcie chyba się na to zdecydował.

Przyglądałam się obojgu jeszcze przez chwilę, nie słysząc, o czym mówią. Sądząc po rozpromienionej twarzy Jill, było to coś miłego. Dotknęła nieogolonego policzka Eddiego i się uśmiechnęła. Najwyraźniej spodobała jej się szczecina, z której żartował Adrian. Przytuliłam się do niego i westchnęłam z ulgą. Po raz pierwszy od bardzo dawna czułam, że zawarłam pokój z całym światem. Siedzieliśmy objęci przez kilka minut w ciszy, aż zobaczyliśmy nadchodzącego Dymitra.

– Co nowego? – spytałam, podnosząc głowę.

– Przeprowadź tego karmiciela – Dymitr zwrócił się do strażnika idącego za nim. Dampir natychmiast posłuchał. – Znaleźliśmy więcej morojów.

– Ich też trzymali w więzieniu – potwierdziła Jill. Spojrzała na Rose i Eddiego. – Mówiłam wam o nich. Nic im nie jest?

– Nie – odparł Dymitr. – Są tylko niedożywieni, tak jak ty. Ale dojdą do siebie. Neil świetnie sobie poradził z ich uwolnieniem. Przetrzymano ich w trudno dostępnym miejscu. Nielatwo było się tam dostać.

– Neil to świetny strażnik – wtrącił Adrian. – A gdzie się podział?

Dymitr był zaskoczony.

– Myślałem, że wrócił do was. – Dotknął słuchawki na uchu. – Czy ktoś widział Neila Raymonda? – Wszyscy patrzyliśmy na niego w milczeniu, gdy czekał na odpowiedź. Na koniec potrząsnął głową. – Nikt go nie widział.

Spojrzeliliśmy na siebie z Adrianem, bo przyszła nam do głowy ta sama myśl.

– Każ wszystkim go szukać – polecił Adrian. – Natychmiast. Jeśli go teraz nie znajdziemy, mam przeczucie, że nie znajdziemy go już nigdy.

Dymitr był zaskoczony tym stwierdzeniem, ale zarządził poszukiwania Neila. Eddie był zaniepokojony i zdezorientowany.

– Myślisz, że jest ranny? Albo że go schwytano?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Myślę, że dostrzegł pewną możliwość. I musimy go powstrzymać przed skorzystaniem z niej.

Spóźniliśmy się jednak. Po godzinnych poszukiwaniach ekipa Dymitra wróciła z niczym. Neil dokonał heroicznego czynu i znikł.

– Wiedział – powiedział Adrian. – Wiedział, że kiedy to się skończy, będę na niego naciskał w sprawie Declana. To moja wina.

– O czym ty mówisz? – spytała Rose. Widziała, że coś się święci i w trakcie poszukiwań bardzo się niecierpliwiła. – Z Declanem wszystko w porządku?

– Tak – potwierdził Adrian, ale znów popatrzyliśmy na siebie, bojąc się wypowiedzieć głośno nasze lęki. Jeśli stracimy Neila, co się stanie z Declanem? Adrian potrząsnął głową.

– Odnajdę Neila we śnie.

– Adrian – rzuciłam ostrzegawczym tonem. – Właśnie powiedziałaś...

– Wiem, wiem – jęknął. – Ale przecież musimy go znaleźć. Wiesz dlaczego.

I oto duch znów nam zagrażał.

– Nawet gdybyś odnalazł go we śnie, nie ma gwarancji, że wróci na jawie – przypomniałam.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, o co tu chodzi? – spytał Eddie. – Dlaczego Neil miałby nie wrócić?

Splotłam palce z palcami Adriana.

– Wracajmy do Declana. Potem zdecydujemy, co z Neilem.

Rose, Dymitr i Eddie, choć nie znali całej prawdy, chcieli wracać do Clarence'a razem ze mną i Adrianem w nadziei, że tam spotkają Neila. Jill także chciała do nas dołączyć, ale zabrano ją na dwór pod opiekę Lissy i na leczenie. Widziałam, jak ciężko było Eddiemu się z nią rozstawać, ale przyjaźnili się z Neilem. Nieraz ratowali sobie nawzajem życie. Udałam, że nie widzę, jak Eddie całuje Jill na do widzenia i obiecuje, że się wkrótce spotkają.

U Clarence'a wszystko było tak, jak kiedy wyjeżdżaliśmy. Gospodarz odpoczywał w swoim pokoju, a Daniella zajmowała salon i rozprawiała o tym, że Declan potrzebuje pidżamki z bawełny organicznej, a nie „byle jakiej”. Ku naszemu najwyższemu zdumieniu poinformowała nas, że Neil był wcześniej z wizytą.

– Co takiego? – wykrzyknął Adrian.

– Dziś rano – odparła. – Zajrzał do dziecka i wziął je na ręce. Niewiele mówił. Zaraz potem wyszedł. Myślałam, że wiecie.

Podniosłam Declana i kołysałam go w ramionach. Byłam zaskoczona, że tak mi brakowało jego ciepła i zapachu niemowlęcia. Adrian stanął obok mnie i dodał zdziwiony.

– Nie mieliśmy pojęcia – powiedział.

– Zostawił to – dokończyła Daniella.

Podaa synowi zalakowaną kopertę, którą on natychmiast rozerwał. W środku znajdował się odręcznie napisany list, który Adrian otworzył, żebyśmy mogli czytać wspólnie.

Drodzy Adrianie i Sydney,

wiem, że każde z Was potrafiłoby mnie odnaleźć swoimi sposobami. Jeśli tak właśnie

postanowicie, nie zdołam Was powstrzymać. Ale błagam, nie róbcie tego. Pozwólcie mi odejść. Niech strażnicy myślą, że zdezerterowałem. Pozwólcie mi wędrować po świecie, pomagając tym, którym mogę pomóc.

Wiem, że Waszym zdaniem powinienem zająć się Declanem. Wierzcie mi, chciałbym, żeby to było możliwe. Najbardziej na świecie chciałbym zostać i wychowywać syna Olive – mojego syna – i zapewnić mu wszystko, czego potrzebuje. Jednak nie mogę się oprzeć uczuciu, że nigdy nie bylibyśmy bezpieczni. Pewnego dnia ktoś zapytałby o Olive i jej dziecko. Ten ktoś mógłby połączyć je z chłopcem, którego wychowuję, a wówczas stałoby się to, czego Olive tak się obawiała. Wieści o jego poczęciu odmieniłyby nasz świat. Jedni bardzo by się z tego cieszyli, inni zaś przerażili. Przede wszystkim spełniłaby się przepowiednia Olive: badano by go niczym królika doświadczalnego.

Dlatego proszę, by nikt się nie dowiedział, że Declan jest synem moim i Olive. Od tej chwili niech będzie Wasz.

Nikt się nie zdziwi, że wychowujecie daimona. Ostatecznie Wasze dzieci też będą daimonami. Oboje jesteście wystarczająco bystry, by przekonać wszystkich, że to Wasze biologiczne dziecko. Widziałem też, jak bardzo się kochacie i wspieracie nawzajem. Wasz związek przeżywał wielkie trudności, ale pozostaliście sobie wierni. Tego potrzebuje Declan. Takiego domu pragnęłaby dla niego Olive i takiego pragnę ja.

Wiem, że to nie będzie łatwe, odejście jest najtrudniejszą rzeczą, jaką musiałem zrobić w życiu. Jeśli nadejdzie dzień, w którym moja obecność przy nim będzie absolutnie bezpieczna, wrócę do jego życia. Możecie posłużyć się swoją magią, żeby mnie wówczas odnaleźć, a przysięgam, że stawię się natychmiast. Do tej chwili jednak, dopóki wiszą nad nim cienie cudzych lęków i dociekań, błagam, weźcie go i dajcie mu to piękne życie, które dać mu możecie.

Najlepszego,

Neil

Adrianowi drżały ręce, gdy kończył czytać ten list. Łzy stanęły mi w oczach i musiałam szybko zamrużyć, by ich się pozbyć.

– On ma rację – powiedziałam. – Możemy go odnaleźć moją magią. Nawet nie musiałbyś sięgać po moc ducha.

Adrian złożył list i wziął ode mnie Declana.

– Ma również rację w kwestii ryzyka.

– Prosi o wielką... – zaczęłam.

Neil słusznie przewidywał, że nikt nie będzie się dziwił, iż mamy dziecko daimona, co nie znaczyło, że nie czeka nas mnóstwo komplikacji. Nasze wspólne życie było jeszcze bardzo niepewne. Opadłam na sofę. Kręciło mi się w głowie.

Kiedy Adrian oświadczył mi się po raz pierwszy, denerwowałam się, ponieważ nie planowałam ślubu w wieku dziewiętnastu lat. Nie wspominając o dziecku. Tego nie przewidywałam pod żadnym pozorem. Z drugiej strony, czy spełniło się cokolwiek z tego, co planowałam? Wpatrywałam się w buzię Declana z zachwytem. Jednocześnie byłam absolutnie świadoma, że jeśli się do niego przywiążę, nasze życie jeszcze bardziej się skomplikuje. Mimo to, czy mogłam zostawić Declana?

Spojrzałam na Adriana.

– Nie wiem, co robić. Nie mam odpowiedzi. – Uświadomiłam sobie, że nieczęsto mówię takie rzeczy.

Adrian odetchnął głęboko i spojrział na naszych przyjaciół.

– Chyba... Chyba że powinniśmy poprosić kogoś o pomoc.

Zrozumiałam, co miał na myśli, i rozważałam to również. Im mniej osób pozna prawdę o Declanie, tym lepiej. A jednak prośba Neila była zbyt trudna do uniesienia we dwójkę. Potrzebowaliśmy sprzymierzeńców, którym moglibyśmy zaufać w kwestii przyszłości Declana. Patrząc na otaczające mnie twarze – Rose, Dymitra, Eddiego i Danielli – zrozumiałam, że na nich wszystkich możemy liczyć.

– W porządku – powiedziałam do Adriana.

– Czy ktoś nas w końcu oświeci? – zniecierpliwiła się Rose.

Adrian odetchnął głęboko, szykując się do opowieści. Wszyscy umilkli i znieruchomieli, jakby wyczuli powagę sytuacji.

– To, co powiem, zmieni wasz sposób myślenia – zaczął Adrian. Utkwił wzrok w Rose i Dymitrze. – Szczególnie dotyczy to was, bo zmieni także całe wasze życie.

EPILOG

CZY TO ONI? – ZAWOŁAŁA MOJA MATKA. – Chyba słyszałam dzwonek do drzwi.
– Oby – odparłem, wyjmując z piekarnika pieczeń i ostrożnie stawiając ją na blacie.
– Tym daniem osiągnąłem kulinarne szczyty. Nie może czekać. To byłaby zbrodnia.
Wypowiedzenie wojny kuchni doskonałej.

Mama, nawykła do moich teatralnych gestów, uśmiechnęła się.

– Sydney też jeszcze nie ma.

– Och – mruknąłem. – W takim razie zaczekamy.

Eddie wsunął głowę przez drzwi z rozpromienioną miną.

– Już są.

Zdjąłem rękawice i fartuch i poszedłem do salonu przywitać się z gośćmi, którzy odwiedzili nasz niewielki wynajęty domek. Nie widziałem Rose i Dymitra prawie półtora roku, mniej więcej od czasu, gdy Jill została uwolniona z rąk wojowników w Saint George. Wyglądali jak zwykle olśniewająco, gdy strzäsali śnieg z butów i szeroko się do nas uśmiechali. Jill, która przyjechała z nimi, rzuciła się już w ramiona Eddiego i całowała go namiętnie.

– Hej, hej – zaprotestowałem. – Aż tak długo nie trwała ta wasza rozłąka. Panujcie nad sobą.

Ostatni raz widzieli się przed miesiącem, co dla nich zapewne oznaczało wieczność. Spotykali się od czasu, gdy Jill została uwolniona z Saint George, ale ona musiała wrócić na dwór i dokończyć swoją edukację, podczas gdy Eddie został z nami. Od roku żyli w związku na odległość. Jill wpadała do nas albo Eddie jechał na dwór, kiedy tylko udawało mu się ściągnąć innego strażnika, by z nami został.

Jill zarumieniła się i oderwała od Eddiego na wystarczająco długą chwilę, by mnie uściskać.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam! – powiedziała.

– Ja za tobą też – zapewniłem ciepło.

Za każdym razem, gdy ją widywałem, byłem zdumiony tym, jak z odrobinę zahukanej dziewczyny przeistoczyła się w elegancką księżniczkę rodu Dragomirów.

– Ale musisz przyznać, że informowałem cię o wszystkim na bieżąco. I że co tydzień dostawałaś ode mnie zdjęcia.

Uśmiechnęła się.

– Tak, tak. Tylko nie mogłam być blisko.

Pocałowałem ją w czoło.

– Tak jest lepiej dla nas obojga, ślicznotko.

Dotrzymałem słowa danego Sydney. Zacząłem brać pigułki, uciszając ducha i ciotkę Tatianę. Jednocześnie wyciszyła się więź między mną a Jill. Ona nadal mnie wyczuwała, ale nie mogła już zagłębiać tak głęboko do mojego serca i umysłu jak dawniej. Zanim zdołałem powiedzieć jej coś więcej, dobiegło nas kwilenie.

– Panicz się budzi – oznajmiłem. – Zaraz wracam.

Wypadłem z pokoju i wbiegłem po schodach do sypialni, która służyła za pokój Declana i Eddiego. Byłem wystarczająco wysoko urodzony, by dostać własnego strażnika, ale Eddie sam postarał się o ten przydział. Początkowo protestowałem, ponieważ chciałem, by został na dworze i prowadził w miarę normalne życie uczuciowe z Jill. Eddie czuł się jednak w obowiązku zostać z nami. Robił to w imię przyjaźni z Sydney oraz by odwdziżyć się za te wszystkie sytuacje, w których pomagał mu Neil. Proponowaliśmy, że zamienimy niewielki gabinet w pokój dla

niego, ale on i tak zawsze sypiał u Declana.

– Witaj, mały – powiedziałem, podchodząc do kołyski. Declan stał w swojej pidżamce w wozy strażackie i patrzył na mnie z powagą wielkich brązowych oczu. Miał zmierzwione ciemne loki i rozjaśnił się, gdy wziąłem go na rękę.

– Dobrze się spało? Mamy gości. Ciocia Jill wróciła.

Declan oparł główkę na mojej piersi i ziewnął. Skończył zaledwie półtora roku i kiepsko się z nim gawędziło. Jednak niewiele osób znało jego prawdziwy wiek. Dla reszty świata skończył dopiero roczek.

Tak było, ponieważ wmówiliśmy wszystkim, że jest synem moim i Sydney.

Neil był przekonany, że to jedyny sposób, by zapewnić Declanowi normalne życie, a my ostatecznie uszanowaliśmy jego decyzję o nieujawnianiu się. Poza nim Declan nie miał innej rodziny; Charlotte już nigdy nie doszła do siebie. Nawet gdybyśmy poinformowali świat, że Declan jest synem Olive i za nią go wychowujemy, być może zaczęto by rozpytywać o ojca. Skoro jednak oboje, moroj i człowiek, twierdziliśmy, że urodziło nam się dziecko dampir, nikt nie podejrzewał nas o kłamstwo.

Sydney i ja odcięliśmy się od świata na kilka miesięcy, a następnie obwieściliśmy, że urodziło nam się dziecko. Wyjaśnialiśmy, że Sydney zaszła w ciążę tuż po tym, jak uwolniliśmy ją z ośrodka reedukacji, i że urodziła wcześniaka. Nie spotykaliśmy się z nikim zbyt często, żeby nie pojawiły się podejrzenia. Naszą rezerwę tłumaczono obawą przed alchemikami. Wprawdzie dotrzyмали słowa i do tej pory zostawiali nas w spokoju, ale wszyscy rozumieli, że nie możemy czuć się całkowicie bezpieczni.

Pomógł nam również fakt, że zyskaliśmy fantastycznych sprzymierzeńców. Nigdy nie udałooby nam się przeprowadzić tej akcji bez przyjaciół. Rose i Dymitr kryli nas na dworze. Moja mama chętnie opiekowała się Declanem, więc oboje z Sydney mogliśmy rozwijać swoje zainteresowania. Eddie także włączał się do opieki nad malcem, a poza tym zapewniał nam niezbędną ochronę. Jako jedyny ostatecznie nawiązał kontakt z Neilem, choć nadal nie wiedzieliśmy, gdzie tamten przebywał. Neil niedawno pozwolił jednak, by Eddie wysłał mu informacje o synu i jego zdjęcia. Mieliśmy nadzieję, że kiedyś powróci do życia Declana.

– Patrzcie tylko! – pisnęła Jill, kiedy zszedłem na dół. – Ale urósł!

Nawet Rose i Dymitr dołączyli do zachwyków nad brzdącem. Jill widywała go często, ale od czasu ich ostatniej wizyty minęło wiele miesięcy. Declan musiał im się wydać olbrzymem.

– Powinniśmy byli mu przywieźć srebrny sztylet – stwierdził Dymitr. – Dziwię się, że Eddie jeszcze nie zaczął go szkolić.

Eddie uśmiechnął się, obejmując Jill.

– Pracujemy nad tym codziennie po porannej drzemce.

Drzwi salonu znów się otworzyły i do środka weszła Sydney z płatkami śniegu na jasnych włosach, plecaczkiem zarzuconym na ramię i papierową torbą w objęciach. Podałem szybko Declana Jill i przejąłem pakunek od Sydney. W papierowej torbie leżały owoce i bagietka. Pakunek ważył tyle, jakby znajdowało się w nim jeszcze ze sto książek, i tak pewnie było. Sydney uśmiechnęła się do mnie, zdejmując ciężki płaszcz.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Jest duży ruch na ulicach.

Pod płaszczem miała czerwoną wełnianą sukienkę i plakietkę z nazwiskiem, na której napisano: SYDNEY IWASZKOW, ASYSTENTKA.

– Fajnie było w muzeum? – spytałem.

– Jak zawsze – odparła, całując mnie szybko w usta.

– Lepiej uważaj w tej sukience – powiedziałem. – Ktoś mógłby cię wziąć za dzieło sztuki.

Kiedy się tu wprowadziliśmy w ubiegłym roku, moja żona chciała od razu pójść do pracy,

żeby zarobić na utrzymanie, i wtedy właśnie odbyliśmy pierwszą prawdziwą kłótnię nie dotyczącą spraw nadnaturalnych. Nalegałem, żeby nareszcie podjęła studia. Ona twierdziła, że to może poczekać, aż zgromadzimy trochę funduszy. Na szczęście przyszedł nam wówczas z pomocą inny dobry przyjaciel – Clarence. Mając do dyspozycji fortunę, radośnie postanowił wypłacać nam regularne stypendia – szczerze mówiąc, musieliśmy prosić, aby przysyłał mniej, bo nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi. Dzięki tej pomocy i pożyczce studenckiej Sydney realizowała marzenie o studiowaniu sztuki starożytnej na lokalnym uniwersytecie. Udało jej się nawet dostać na staż w uczelnianym muzeum.

Od niedawna sam również zasilam nasz rodzinny fundusz dzięki... mojej pracy.

Chwilami to wydawało mi się najbardziej nierzeczywiste. Ja, Adrian Iwaszkow, zarabiałem na chleb powszedni. Po tych wszystkich dziwacznych wzlotach i upadkach związanych z pieniędzmi w moim życiu – od bycia rozpieszczonym dzieciakiem z nieograniczonymi funduszami, do faceta, któremu ojciec odciął dotacje – czasem wydawało mi się nieprawdopodobne, że dostaję wypłatę jak wszyscy. Równie zdumiewające było to, że zaczęło mi się to podobać. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że znajdę jakąkolwiek pracę po studiach plastycznych, nawet gdyby udało mi się je skończyć. Nie ma zbyt wielu ofert dla artystów, a już z pewnością nie dla tych bez dyplomu. Któregoś dnia pomagałem sąsiadce i dowiedziałem się, że w przedszkolu jej córeczki poszukują nauczyciela rysunków na pół etatu. Stopień naukowy nie miał dla pracodawcy znaczenia, liczył się entuzjazm w prezentowaniu sztuki dzieciom. To niewiarygodne, ale okazało się, że jestem w tym dobry. Może to wrodzona niedojrzałość pozwalała mi nawiązać kontakt z dziećmi. Wyszukałem inne przedszkola, które przyjęły mnie na podobne stanowisko, i ostatecznie mogłem znacząco wesprzeć nasze rodzinne konto.

W pierwszym przedszkolu dyrektorka polubiła mnie na tyle, że obiecała, iż licencjat zapewni mi pracę na pełnym etacie. Sydney nie naciskała, bym wrócił na studia, ale kiedy o tym usłyszała, oczy jej pojaśniały i poczułem, że chętnie uwzględni moje chesne w swoim budżecie.

Nie widziałem nigdy tego budżetu, ale najwyraźniej uwzględniał wiele pozycji. Do tej pory pozwalał na utrzymanie naszej piątki w wynajętym domu, a w przyszłości zakładał zakup własnego, dalsze studia Sydney i moje, a później edukację Declana. Umiejętności Sydney w dziedzinie zarządzania robiły na mnie wrażenie, choć z drugiej strony przywykłem już do jej wysokich kompetencji w każdej innej dziedzinie.

Sydney uściskała naszych gości po kolei i wzięła Declana od Jill. Początkowo tylko udawaliśmy, że jest naszym synem, ale wkrótce stał się nim naprawdę. Sydney kochała go gorąco i jak my wszyscy zrobiliby dla niego wszystko. Pocałowała jego bujne loki i została nagrodzona uśmiechem.

– *Como estas, mi amor?* – spytała, niosąc go do kuchni, żeby sprawdzić, co z kolacją.

Rose spojrzała na mnie.

– Czy ona właśnie powiedziała do niego coś po hiszpańsku?

– Tak – potwierdziłem. – Właściwie zwraca się do niego tylko w tym języku. Przeczytała w jakimś podręczniku dla rodziców, że dzieci od razu powinno się uczyć drugiego języka.

– Pora jeść – oznajmiła moja matka, zerkając na mnie krzywo. – W przeciwnym razie popełnimy zbrodnię na kuchni doskonałej.

To był mój inny dobrowolny obowiązek poza pracą: gotowanie. Jak się okazało, w tej dziedzinie także wykazywałem się talentem.

Siedząc z gośćmi w czasie kolacji przy stole, nie mogłem uwierzyć, że tak wygląda moje życie. Nigdy bym nie pomyślał, że z taką łatwością dopasuję się do roli męża i ojca. Nie przypuszczałbym, że ożenię się z ludzką kobietą. A już na pewno nie przyszłoby mi do głowy, że

będę szczęśliwy bez mocy ducha.

Po tym jak uwolniliśmy Jill i zgodziliśmy się wychowywać Declana, musieliśmy szybko zdecydować, gdzie się schronić z naszą świeżo uzyskaną wolnością. Wybraliśmy północną część stanu Maine. Blisko cywilizacji, ale wystarczająco daleko, by nie można było nas szpiegować. Wciąż zdarzało mi się budzić z niepokojem. Poczuciem winy, że tak bardzo kocham Declana, i radością, że mogę nazywać go swoim synem. I niezmiennie czułem się winny tego, iż nie ocaliłem Olive, że tamtej nocy nie umiałem właściwie gospodarować mocą ducha.

Ale to wszystko należało do przeszłości i teraz mogłem tylko spełnić życzenie Olive, zapewniając Declanowi możliwie normalne życie. Na razie nam się to udawało. Brzdąc był mały i nie miał pojęcia, że jest inny pod jakimkolwiek względem. Tylko garstka osób wiedziała, że nie jest moim synem. Jeszcze mniej osób znało prawdę o jego rodzicach. Obecni na tym bożonarodzeniowym spotkaniu należeli do grona wybrańców. Wszyscy znali losy Declana i wszyscy byli gotowi go chronić.

Myśląc o tym, zatrzymałem wzrok na Rose i Dymitrze, którzy siedzieli obok siebie w jednym końcu stołu. Dymitr i Olive zostali przywrócenii do życia mocą ducha po tym, jak przemieniono ich w strzygi, i skoro Olive poczęła dziecko z drugim dampirem, to samo mogło spotkać Rose i Dymitra – dlatego powiedzieliśmy im o Declanie. Oni jednak nie zdołaliby ukryć tego cudu. Gdyby mieli dziecko, wszyscy by się o tym dowiedzieli... Zdawali sobie z tego sprawę, ale wciąż nie wiedziałem, co w związku z tym planują.

Wkrótce jednak poznałem jeden z ich planów.

– Jasny szlag! – zakląłem.

Na palcu Rose dostrzegłem lśniący przedmiot.

– Co to jest? Skradziony klejnot z korony Lissy?

Rose zarumieniła się, co jej się rzadko zdarzało.

– Może przesadziliśmy.

Dymitr podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

– Nie, jest doskonały.

Jill klasnęła z zachwytem.

– Pierścionek zaręczynowy!

– Dalej – zachęciłem. – Pokaż.

Dymitr uśmiechał się, a Rose posłusznie wystawiła lewą rękę, żebyśmy mogli dobrze obejrzeć pierścionek. Był niezwykle kunsztowny. Duży okrągły diament został osadzony w kwadratowej koronce z platyny wysadzanej maleńkimi niebieskimi opalami. Wyglądał jak manifest.

– Ty go wybierałeś? – spytałem Dymitra. Szczerze mówiąc, podejrzewałbym go prędzej o to, że własnymi rękami wygnie w kółko stalowy pręt i poda go wybrance.

– Owszem – powiedziała Rose, która już odzyskała humor. – Wciąż mi powtarzał, że kiedy skończę dwadzieścia lat, to mi się oświadczy. Odpowiadałam, że musiałby kupić pierścień jak dla gwiazdy rocka, nic subtelnego.

– Ten jest rockowy – wtrącił Eddie. – Kiedy to się stało?

– Miesiąc temu – odparł Dymitr. – Namówiłem ją, by nosiła pierścionek, ale nie chce ustalić daty ślubu.

Rose się uśmiechnęła.

– Wszystko w swoim czasie, towarzyszu. Może koło trzydziestki. Nie ma pośpiechu. Poza tym niedługo Christian oświadczy się Lissie. Nie chcemy robić im konkurencji.

Dymitr pokręcił głową z udawaną rozpaczą, ale wciąż się uśmiechał.

– Zawsze znajdziesz wymówkę, Roza. Pewnego dnia...

– Pewnego dnia – zgodziła się.

Siedzieliśmy do późna, nadrabiając czas rozłąki, a potem rozeszliśmy się do łóżek. Rose i Dymitr rozłożyli się w salonie, a Jill urządziła sobie sypialnię w gabinecie, jak zawsze, gdy nas odwiedzała. Declan zasnął już dawno i gdy położyłem go wygodnie w łóżeczku, skierowałem się do naszej sypialni. Dom, który wynajmowaliśmy, pochodził z czasów wiktoriańskich, a nasza sypialnia mieściła się w wieży przylegającej do boku budynku i praktycznie stanowiącej osobne skrzydło. Uwielbiałem kształt tego pokoju i prywatność, jaką zapewniał. Czułem się w nim, jak we własnym zamku.

Ponieważ Jill zajęła pokój, w którym zwykle uczyła się Sydney, nie zdziwiłem się, widząc żonę na naszym łóżku w otoczeniu książek, w krótkim szlafroku.

– Przebrałaś się – powiedziałem, zamykając za sobą drzwi. – Miałem nadzieję zobaczyć cię jeszcze w tej czerwonej sukience.

Uśmiechnęła się do mnie i zamknęła podręcznik zatytułowany *Sztuka i architektura minojska*. – Myślałam, że ten strój bardziej przypadnie ci do gustu. Ale mogę znów włożyć sukienkę, jeśli chcesz.

Pomogłem jej pozbierać książki i zdjąć je z łóżka, a potem usiadłem obok.

– To zależy – odparłem, sunąc ręką po jej nodze. – Masz coś pod spodem?

– Nie. Pewnie powinnam się ubrać. – Udała, że wstaje, a ja chwyciłem Sydney za rękę i pociągnąłem, aż położyła się na plecach.

– Nawet o tym nie myśl. – Zarzuciła mi ręce na szyję i zauważyłem, że wciąż ma na palcach pierścionki. To mi przypomniało o wieczornej rewelacji naszych gości.

– Zastanawiałem się, jak Rose i Dymitr poradziliby sobie z wychowaniem dzieci – zauważyłem. – Ale zdaje się, że to kwestia przyszłości, biorąc pod uwagę, że nie może jej zaciągnąć do ołtarza.

Sydney parsknęła śmiechem.

– Myślę, że mu się to uda szybciej, niż ci się wydaje. Rose mówi różne rzeczy, ale mu ulegnie. Ze mną tak było, gdy ty mi się oświadczyłeś.

– Jednak Bielikow nie jest nawet w połowie tak czarujący jak ja. Ani nie potrafi tak gotować. Będzie musiał się bardzo starać.

– Może mógłbyś udzielić mu kilku rad – zakpiła Sydney.

– Może – zgodziłem się.

Nachyliłem się i ją pocałowałem, zaskoczony, że jej dotyk wciąż działa na mnie tak elektryzująco. Nawet po długim dniu, gdy wracałem do niej do domu, zawsze czułem się pełen życia i energii. Obawiałem się, że kiedy przestaniemy uciekać i żyć na krawędzi, nasza namiętność przygaśnie. A jednak stabilizacja i, co ważniejsze, wolność rozpały ją jeszcze silniej. Potwierdziło się, że nie potrzebowałem mocy ducha. Potrzebowałem Sydney. Znalazłem pasek jej szlafroka i odkryłem, że zawiązała go w skomplikowany węzeł żeglarski.

– No, nie – jęknąłem.

– Przepraszam. – Znów się roześmiała.

Przerwałem, by pocałować ją w szyję.

– Jesteś najmądrzejszą dziewczyną, jaką znam. Po prostu wiesz wszystko i nieustająco błyszczysz... I nie chciałbym, żeby było inaczej. – Pocałowałem Sydney w usta, ale po chwili lekko się odsunęła.

– Hej – mruknęła. – Nie jesteśmy sami w domu.

– Nigdy nie jesteśmy sami – przypomniałem. – Dlatego zamieszkaliśmy w zamkowej wieży. Plan ucieczki numer... Do diabła, nie wiem. Straciłem rachubę. Od jakiegoś czasu przestaliśmy planować.

Sydney przesunęła palcami po moim policzku.

– Dlatego, że zaczęliśmy żyć, Adrian. To jedyny plan ucieczki, jakiego potrzebujemy.

– Jesteś pewna? – spytałem, opierając się na łokciu. Starłem się przybrać minę pełną namysłu i zadumy. – Bo niektóre rzeczy można zmienić. Na przykład wynająć większy dom. Albo...

– Adrian – przerwała mi. – Czy nie mówiłeś, że jestem mądra i wiem wszystko? W takim razie zaufaj mi.

– Zawsze – odparłem, pozwalając, by mnie przyciągnęła. – Zawsze.

PODZIĘKOWANIA

Kiedy napisałam pierwszy tom *Akademii wampirów* w 2006 roku, nawet mi się nie śniło, że zdobędzie miłość i uznanie tak wielu czytelników w tylu miejscach na świecie. Nie oczekiwałam, że ta seria zyska kontynuację w postaci *Kronik krwi* i że powstanie aż dwanaście książek o morojach i dampirach! Świetnie się bawiłam, pisząc o Rose i o Sydney, i jestem wdzięczna za zaangażowanie oraz oddanie ich fanów, dzięki którym mogłam opowiadać te historie. Dzięki wam moja praca stała się spełnieniem marzeń. Dziękuję, że byliście ze mną i chociaż na razie następuje przerwa – nie martwcie się. Myślę, że jeszcze się spotkamy z bohaterami tej serii.

Dziękuję także mojej rodzinie, szczególnie mężowi i synom, którzy wykazują niezmienną cierpliwość w czasie, gdy piszę te książki. Wasza miłość i wsparcie pozwalają mi działać. Wielkie podziękowanie dla mojego agenta, Jima McCarthy'ego, oraz całej ekipy z Dystel and Goderich Literary Management za prowadzenie mnie przez liczne zakręty na tej drodze! Bez was nie dotarłabym tak daleko. Na koniec wyrazy wdzięczności dla pracowników Razorbill and Penguin Young Readers, ze szczególnym podziękowaniem dla Jessiki Almon i Bena Schranka. Wasze zaangażowanie w tę serię doprowadziło ją do punktu, w którym znajduje się dzisiaj. Bardzo się cieszę na to, co jeszcze się tu wydarzy.

Tytuł oryginału angielskiego
The Ruby Circle

Copyright © 2015 Richelle Mead


© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016

Cover design by Lindsey Andrews
Cover photograph copyright © 2013 Michael Frost

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Zofia Kozik, Katarzyna Nowak, Jolanta Karaś*
Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13106-5

Plik wyprodukowany na podstawie *Kroniki krwi. Rubinowy krąg*, Warszawa 2016

 Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA

www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie *Zecer*.

świat Akademii wampirów
RICHELLE MEAD

Kroniki krwi
Rubinoowy
krag

